

ARKADIJ I BORYS STRUGACCY

Lot na Amalteę, Stażyści

(Przekład: Ewa Skórska)

LOT NA AMALTEE

PROLOG

AMALTEA, „STACJA J”

Amaltea, piąty najbliższy satelita Jowisza, dokonuje pełnego obrotu wokół swej osi mniej więcej w trzydzieści pięć godzin. Ponadto w ciągu dwunastu godzin dokonuje pełnego obrotu wokół Jowisza. Tak więc Jowisz wyłania się zza pobliskiego horyzontu co trzydzieści i pół godziny.

Wschód Jowisza przedstawia wspaniały widok. Przedtem trzeba tylko udać się windą na najwyższe piętro, pod przezroczystą kopułę ze spektrolitu.

Gdy oczy przywykną już do ciemności, dojrzeć można pokrytą lodem równinę, która wznosi się stromo, aż po pasmo skalistych gór na horyzoncie. Niebo jest czarne, usiane mnóstwem jasnych, nieruchomych gwiazd. Od ich blasku padają na równinę blade refleksy światła, a ostre granie rysują się głębokim czarnym cieniem na tle gwiazdowego nieba. Gdy się dobrze wpatrzeć, można rozróżnić nawet zarysy poszczególnych wyszczerbionych szczytów.

Niekiedy bywa tak, że nisko ponad łańcuchem gór zawisa wyraźnie widoczny sierp Ganimeda lub srebrzysty dysk Callisto, albo oba naraz, chociaż to zdarza się dosyć rzadko. Wówczas od szczytów po lśniącym lodzie kładą się na całą równinę regularne szare cienie. A gdy nad horyzontem ukaże się Słońce - okrągła plamka oślepiającego płomienia - równina błękitnieje, cienie stają się czarne i widać każdą szczelinę w lodzie.

Ukośne plamy na polu raketodromu są podobne do olbrzymich pokrytych lodem kałuż. Wywołuje to jakieś ciepłe, na poły zapomniane skojarzenia. Chciałoby się wówczas wybiec na pole i stąpając po cienkiej pokrywie spróbować, jak chrupie pod magnetycznymi podkawkami i jak po jej powierzchni przebiegają drobnutkie zmarszczki, podobne do kożuszka na gorącym mleku, tyle że czarne.

Ale wszystko to można zobaczyć nie tylko na Amaltei. Naprawdę wspaniały widok jest wówczas, gdy Jowisz wschodzi. A wschód Jowisza jest naprawdę piękny tylko na Amaltei. Szczególnie zaś wtedy, gdy Jowisz wschodząc dogania Słońce. Najpierw za szczytami gór zapala się zielona łuna, to egzosfera gigantycznej planety. Rozpala się wciąż bardziej, zbliżając się z wolna ku Słońcu, i gasi jedną po drugiej gwiazdy na czarnym niebie. A w pewnej chwili zaczyna zachodzić na Słońce. Najważniejsze, by nie przeoczyć tego momentu. Zielona łuna egzosfery, jak zaczarowana, staje się w jednej chwili krwistoczerwona. Zawsze wyczekuje się na ten moment i zawsze następuje on z nagłą. Słońce

staje się czerwone i lodowa równina też staje się czerwona, a na okrągłej wieżycze radionamiernika na krańcu równiny zapalają się raz po raz krwawe błyski. Nawet cienie szczytów różowieją. Potem czerwień powoli ciemnieje, staje się bura, aż wreszcie spoza skalistego łańcucha gór na niedalekim horyzoncie wyłania się olbrzymi, brunatny grzbiet Jowisza. Słońce wciąż jeszcze jest widoczne i wciąż jeszcze ma barwę rozpalonego żelaza, regularny wiśniowy dysk na burym tle nieba.

Nie wiadomo dlaczego uważa się zwykle, że kolor bury jest nieładny. Tak mogą sądzić tylko ci, którzy nigdy nie oglądali ciemnej, burej łuny, zapalającej pół nieba, i odcinającej się wyraźnie od niego czerwonej tarczy. Potem tarcza niknie. Zostaje tylko Jowisz. Olbrzymi, bury, kosmaty, z wolna wytacza się zza horyzontu, jak gdyby pęczniał, a potem zajmuje czwartą część nieba. Przecinają go na ukos czarne i zielone chmury amoniaku, niekiedy zaś pojawiają się na nim i natychmiast znikają maleńkie białe punkciki. Tak wyglądają z Amaltei protuberancje egzosfery. Niestety, rzadko tylko udaje się oglądać wschód aż do końca. Jowisz wstaje zza horyzontu zbyt powoli i trzeba iść do pracy. Oczywiście można obejrzeć pełny wschód w czasie dyżuru obserwacyjnego, ale wówczas nie czas na podziwianie piękna...

Dyrektor „Stacji J” spojrział na zegarek. Wschód dzisiaj wspaniały, a wkrótce będzie jeszcze piękniejszy, trzeba jednak zjeżdżać na dół i zastanowić się, co robić dalej.

W cieniu skał drgnęła i poczęła z wolna obracać się kratownica Wielkiej Anteny. Radiooptycy rozpoczęli obserwację. Głodni radiooptycy.

Dyrektor po raz ostami spojrział na bury, zamazany półkrąg Jowisza i pomyślał, że dobrze by było uchwycić taki moment, kiedy nad horyzontem wiszą jednocześnie wszystkie cztery wielkie satelity - czerwona Io, Europa, Ganimed i Callisto, sam zaś Jowisz, widoczny wówczas w jednej czwartej swej tarczy, jest na poły pomarańczowy i bury. Potem dyrektor pomyślał sobie, że nigdy nie widział zachodu. Chyba też musi być piękny: z wolna dogasa łuna egzosfery i jedna po drugiej zapalają się gwiazdy na czarnym niebie, niczym brylantowe szpilki powpinane w aksamit. Ale zazwyczaj w porze zachodu trwa najbardziej gorączkowa praca.

Dyrektor wszedł do windy i zjechał na najniższe piętro. Stację planetologiczną na Amaltei stanowiło małe miasteczko naukowe, rozłożone na kilku poziomach, wyrąbane w lodowcu i zalane metaloplastikiem. Tutaj mieszkało, pracowało, uczyło się i prowadziło budowę bez mała sześćdziesiąt osób. Pięćdziesięcioro sześciu młodych mężczyzn i kobiet. Wspaniałych chłopaków i dziewcząt o wspaniałych apetytach.

Dyrektor zajrzał do hali sportowej, ale było tu pusto. Tylko ktoś samotnie pluskał się w okrągłym basenie, aż echo odzywało się pod sklepieniem. Dyrektor ruszył dalej, powłócząc nogami w ciężkich butach z magnetycznymi podkowami. Na Amaltei panował stan prawie zupełnej nieważkości, co sprawiało ludziom wiele trudności. Naturalnie, człowiek w końcu oswaja się z tym, ale początkowo wydaje mu się, że całe ciało ma napełnione wodorem i że czyha ono tylko na okazję, by się uwolnić od butów. Szczególnie zaś trudno przyzwyczać się do spania w tych warunkach.

W tej chwili wyminęli go dwaj astrofizycy, ich włosy były mokre po kąpieli. Przywitali go i oddalili się pośpiesznie w stronę windy. Jeden z astrofizyków miał widać nie w porządku magnetyczne podkowy, gdyż idąc, niezgrabnie zataczał się i podskakiwał. Dyrektor skierował się do jadalni. Tutaj przy śniadaniu siedziało około piętnastu osób.

Kucharz, wujek Wałnoga, pełniący funkcję inżyniera gastrono-ma, rozwoził porcje na wózku. Minę miał bardzo posepną. W ogóle z natury był człowiekiem dosyć ponurym, a w ostatnich dniach najwyraźniej jeszcze bardziej sposepniał. I to od owego nieszczęsnego dnia, gdy z Callisto, czwartego satelity, przekazano drogą radiową wiadomość o katastrofie z żywnością. Zmagazynowane na Callisto zapasy żywności zniszczyła pleśń. Podobne wypadki zdarzały się już przedtem, ale tym razem przepadła cała żywność, wszystko co do suchara, ponadto zniszczeniu uległy także plantacje glonów chlorella.

Na Callisto bardzo trudno pracować. W odróżnieniu od Amaltei, na Callisto istnieje biosfera i jak dotychczas nie znaleziono żadnych środków, które by potrafiły skutecznie zapobiec przenikaniu pleśni do pomieszczeń ludzkich. Jest to bardzo interesująca pleśń. Przenika przez wszelkie przegrody i pochłania wszystko co jadalne - chleb, konserwy, cukier. Ze szczególną zachłannością pożera chlorellę. Zdarza się też niekiedy, że atakuje człowieka, ale to nic groźnego. Początkowo bardzo się tego obawiano i nawet największym śmiałkom rzedła mina, gdy na swej skórze dostrzegali charakterystyczny, odrobinę śluzowaty nalot. Ale pleśń nie wyrządzała żywemu organizmowi żadnych szkód ani nie powodowała bólu. Mówiło się nawet, że działanie jej jest nieco tonizujące. Natomiast żywność niszczyła w okamgnieniu.

- Wujku Wałnoga - odezwał się czyjś głos. - Czy na obiad znów bada suchary?

Dyrektor nie zauważył nawet, kto to powiedział, gdyż wszyscy przestali na chwilę jeść i zwrócili twarze w stronę wujka Wałnogi. Ci młodzi, wspaniali ludzie mieli twarze opalone prawie na czarno. Można było na nich wyczytać jakby znużenie. A może tylko tak się wydawało?

- Na obiad będziecie mieli zupę - odrzekł wujek Wałnoga.

- Świetnie! - powiedział ktoś z obecnych, ale dyrektor i tym razem nie zauważył kto.

Potem dyrektor podszedł do najbliższego stolika i usiadł przy nim. Wałnoga podtoczył ku niemu wózek i dyrektor wziął swoje śniadanie - talerz z dwoma sucharami, pół tabliczki czekolady i szklaną gruszę z herbatą. Zrobił to bardzo sprawnie, a mimo to grube białe suchary podskoczyły i zawisły w powietrzu. Naczynie z herbatą stało jak przedtem, dno jego opasywała magnetyczna obręczka. Dyrektor pochwycił jeden z sucharów, ugryzł kawałek i zabrał się do herbaty. Herbata wystygła.

- Zupa - rzekł Wałnoga. Mówił szeptem, by słyszał go tylko dyrektor. - Możecie sobie wyobrazić, co to będzie za zupa. A oni zapewne myślą, że podam im bulion z kury. - Wałnoga pchnął wózek i usiadł przy stoliku. Spoglądał jeszcze, jak wózek toczy się w przejściu między stolikami coraz wolniej i wolniej. - A nawiasem mówiąc, zupę z kury zajadają sobie na Callisto.

- Czyżby? - spytał w roztargnieniu dyrektor.

- Jak to „czyżby” - zdumiał się Wałnoga. - Oddałem im przecież sto siedemdziesiąt puszek, czyli ponad połowę naszych zapasów.

- A resztę zapasów już zjedliśmy?

- Oczywiście, że zjedliśmy - odparł Wałnoga.

- To znaczy, że oni także już zjedli - powiedział dyrektor, rozgryzając suchar. - Ludzi tam prawie dwa razy więcej niż u nas.

Oj, łzesz ty, wujku Wahio, pomyślał dyrektor. Znam ja cię, mój ty inżynierze od gastronomii. Na pewno schowałeś jeszcze ze dwadzieścia puszek dla chorych i tak na wszelki wypadek.

- Herbata wam nie ostygła? - zapytał Wahio z głośnym westchnieniem.

- Nie, dziękuję.

- A chlorella nie może się jakoś przyjąć na Callisto - rzekł Wałnoga i westchnął. - Znów przekazali stamtąd radiogram, żeby im przysłać z dziesięć kilogramów roztworu. Zakomunikowali, że już wysłali planetolot.

- Cóż robić, trzeba będzie dać.

- Dać! - wykrzyknął wujek Wahio. - Oczywiście, trzeba dać. Tylko że ja nie mam stu ton chlorelli, a i jej potrzebny jest czas, by się rozmnożyła... Na pewno psuję wam apetyt, co?

- Nie, nie - sprzeciwił się dyrektor. Wydawało się, że w ogóle nie miał apetytu.

- Dość tego! - powiedział ktoś.

Dyrektor podniósł głowę i od razu spostrzegł zmieszana minę Zojki Iwanowej. Obok niej siedział fizyk jądrowy Kozłów. Ci dwoje zawsze siadywali razem.

- Dość tego, słyszysz? - rozgniewał się Kozłów.

Zojka poczerwieniała i opuściła głowę. Przykro jej było, gdyż wszyscy zwrócili na nich oczy.

- Wczoraj podsunęłaś mi swój suchar - rzekł Kozłów. - I dziś znów mi podsuwasz ten swój nieszczęsny suchar.

Zojka milczała. Ze wstydu bliska była płaczu.

- Czego się na nią wydzierasz, ty koźle! - zawołał z drugiego końca jadalni fizyk atmosfery Potapow. - Zojeczko, po co dokarmiasz to zwierzę, lepiej daj tego suchara mnie. Zjem i na pewno nie będę na ciebie wrzeszczał.

- Nie, naprawdę... - Kozłów mówił już spokojniejszym tonem. - Przecież jestem zdrów, a ona powinna jeść więcej ode mnie.

- Nie masz racji, Wala - zaprotestowała Zojka, nie podnosząc głowy.

- Wujku Wałnoga, można jeszcze herbaty? - zapytał ktoś. Gdy Wałnoga wstał, Potapow zawołał przez całą jadalnię:

- Hej, Gregorze, zagramy po pracy?

- Zagramy - odrzekł Gregor.

- Znów sprawisz mu lanie, Wadimku - odezwał się ktoś.

- Po mojej stronie jest prawo prawdopodobieństwa! - oświadczył Potapow. Wszyscy się roześmiali.

Do jadalni zajrzała czyjaś zdenerwowana fizjonomia.

- Potapow tutaj? Wadia, burza na Jowiszu!

- No! - Potapow poderwał się z miejsca.

Inni meteorologowie również pośpiesznie wstali zza stołu. Fizjonomia zniknęła, lecz po chwili znów się pokazała:

- Po drodze zabierz dla mnie suchary, słyszysz?

- Jeśli Wałnoga da - rzucił za nim Potapow i spojrzał na Wałnogę.

- A czemu miałbym nie dać? - zdziwił się wujek Wałnoga. - Konstanty Stecenko - dwieście gramów sucharów i pięćdziesiąt gramów czekolady...

Dyrektor wstał, ocierając usta serwetką.

Towarzyszu dyrektorze, jak tam ze statkiem transportowym „Tachmasib”? - zapytał Kozłów.

Wszyscy umilkli i spojrzeli na dyrektora.

Ich młode opalone twarze były nad wiek poważne.

- Na razie nijak - odpowiedział dyrektor.

Dyrektor ruszył przejściem między stolikami, wolnym krokiem kierując się w stronę swego gabinetu. Cała bieda w tym, że na Callisto wybuchła nie w porę „epidemia konserwowa”. Na razie to jeszcze nie głód. Amaltea może się jeszcze dzielić z Callisto swoją chlorellą i sucharami. Ale jeśli Bykow nie przyleci z transportem żywności... Bykow jest gdzieś niedaleko. Określono już nawet za pomocą radionamierników jego położenie, ale później zamilkł czemuś i tak milczy od sześćdziesięciu godzin. Znowu trzeba będzie zmniejszyć racje, pomyślał dyrektor. Wszystko może się zdarzyć. A do bazy na Marsie nie jest wcale tak blisko. Różnie może się ułożyć. Bywa nawet tak, że planetoloty wysyłane z Ziemi lub z Marsa giną gdzieś w drodze. Rzadko to się zdarza, nie częściej niż epidemia pleśni. Ale to, że się zdarza miliard kilometrów od Ziemi jest gorsze niż dziesięć epidemii.

Oznacza bowiem głód. A może nawet - zagładę.

ROZDZIAŁ 1

FOTONOWY TRANSPORTOWIEC „TACHMASIB”

1. Planetolot zbliża się do Jowisza, a kapitan toczy spór z nawigatorem i zażywa sporamine.

Aleksiej Pietrowicz Bykow, kapitan fotonowego transportowca „Tachmasib”, wyszedł z kajuty i starannie zamknął za sobą drzwi. Włosy miał mokre. Kapitan dopiero przed chwilą wziął natrysk. Przyjął nawet dwa natryski, wodny i jonowy, ale wciąż jeszcze zataczał się z niewyspania. Spać mu się chciało tak, że z trudem otwierał oczy. Przez ostatnie trzy doby Bykow spał w sumie nie więcej niż pięć godzin. Przelot okazał się trudny.

Na korytarzu było jasno i pusto. Bykow skierował kroki do kabiny nawigacyjnej, starając się nie szurać nogami. Do kabiny nawigacyjnej trzeba było przejść przez kajutę ogólną. Drzwi do niej były otwarte i dolatywały stamtąd strzępy rozmowy. Były to głosy planetologów Daugego i Jurkowskiego. Bykowowi wydało się, że głosy są dziwnie stłumione, a równocześnie czuło się w nich podniecenie.

Znów coś sobie wykombinowali, pomyślał Bykow. Nie ma przed nimi żadnego ratunku. Nawet zwymyślać ich porządnie nie można, bo są przecież moimi przyjaciółmi i bardzo cieszą się z tego, że w tym rejsie lecimy razem. Niezbyt często możemy być razem.

Bykow wszedł do kajuty ogólnej i zatrzymał się u wejścia. Szafa z książkami była otwarta, tomy rzucone niedbale na kupę poniewierały się po podłodze. Serweta zsunęła się ze stołu. Spod kanapy sterczały długie nogi Jurkowskiego w szarych, wąskich, obcisłych spodniach. Jurkowski przebierał nimi rozpaczliwie.

- Mówię ci, że jej tu nie ma - zapewniał Dauge. Daugego nie było widać.

- Szukaj - rzekł Jurkowski zduszonym głosem. - Jak zacząłeś, to szukaj.

- Co tu się dzieje? - zapytał Bykow surowo.

- Aha, jesteś! - ucieszył się Dauge, wyłaząc spod stołu. Twarz miał uśmiechniętą, bluza i kołnierz koszuli były rozpięte.

Jurkowski tyłem wygramolił się spod kanapy.

- O co chodzi? - zapytał Bykow.

- Gdzie moja Warieczka? - odpowiedział mu pytaniem Jurkowski, wstając na nogi.
Był bardzo rozdrażniony.

- Potwór! - wyraził się głośno Dauge.

- Próżniaki - powiedział Bykow.

- To on! - rzekł Dauge dramatycznym głosem. - Spójrz na tę twarz, Wołodia. To kat!

- Aleksiej, mówię najzupełniej poważnie - irytował się Jurkowski. - Gdzie jest moja Warieczka?

- Wiecie co, planetolodzy - odezwał się Bykow. - Idźcie do diabła!

Bykow wydał policzki i ruszył do kabiny nawigacyjnej. Dauge rzucił w ślad za nim:

- On spalił Warieczkę w reaktorze. Bykow głośno zatrasnął za sobą luk.

W kabine nawigacyjnej było cicho. Przy stole przy analizatorze matematycznym siedział na zwykłym miejscu nawigator Michaił Antonowicz Krutikow, podpierając podwójny podbródek zwiniętą w kułak pulchną dłońią. Maszyna matematyczna wydawała lekki szmer, mrugając neonowymi światłami lamp kontrolnych. Michaił Antonowicz zwrócił na kapitana swe łagodne spojrzenie.

- Pospałeś sobie, Loszeńka, co?

- A pospałem - odrzekł Bykow.

- Odebrałem z Amaltei namiary - powiadomił go Michaił Antonowicz. - Wyczekują nas tam, aj, jak wyczekują... - Pokiwał przy tym głową. - Wyobraź sobie, Loszeńka, że dzienna racja wynosi teraz dwieście gramów sucharów i pięćdziesiąt gramów czekolady. Poza tym zupa z chlorelli. Trzysta gramów zupy z chlorelli. To przecie okropnie niesmaczne.

Ciebie by tam posłać, pomyślał Bykow, schudłbyś zdrowo, grubasie. Obrzucił nawigatora surowym spojrzeniem i nie wytrzymał -uśmiechnął się. Michaił Antonowicz zafrasowany wydał grube wargi i oglądał pokratkowany arkusz niebieskiego papieru.

- Masz, Loszeńka - rzekł. - Opracowałem program końcowej trasy lotu. Sprawdź, proszę.

Programów trasy, opracowanych przez Michaiła Antonowicza, nie trzeba było zwykle sprawdzać. Michaił Antonowicz był nadal

najgrubszym i najbardziej doświadczonym nawigatorem z całej flotyli statków międzyplanetarnych.

- Sprawdzę później - powiedział Bykow. Ziewnął serdecznie, osłaniając usta dłońią. - Podaj program do autonawigatora.

- Już podałem, Loszeńka - odezwał się tonem winowajcy Michaił Antonowicz.

- Aha - mruknął Bykow. - No więc cóż, dobrze. Gdzie jesteśmy?

- Za godzinę wchodzimy w strefę końcową - poinformował Michaił Antonowicz. - Przelecimy nad północnym biegunem Jowisza - słowo „Jowisz” wymówił przy tym ze szczególnym akcentem zadowolenia - w odległości dwóch średnic, dwustu dziewięćdziesięciu megametrów. A potem jeszcze ostatnie okrążenia. W zasadzie możemy uważać, że jesteśmy na miejscu, Loszeńka...

- Odległość liczyłeś od środka Jowisza?

- Tak, od centrum.

- Gdy wejdziemy w strefę końcową lotu, będziesz co kwadrans podawał odległość od egzosfery.

- Tak jest, Loszeńka - rzekł Michaił Antonowicz.

Bykow ziewnął raz jeszcze, dłońmi zwiniętymi w pięści z zakłopotaniem przetarł klejące się ze snu oczy i przeszedł wzdłuż pulpitu sygnalizacji awaryjnej. Tutaj wszystko było w porządku. Silnik pracował bez zrywów, plazma dochodziła rytmicznie, regulacja pułapek magnetycznych działała bez zarzutu. Za pracę pułapek magnetycznych odpowiadał inżynier pokładowy Żylin. Zuch, Żylin, pomyślał Bykow. Wyregulował znakomicie, zuch chłopak.

Bykow zatrzymał się i spróbował zmieniając odrobinę kurs zakłócić regulację pułapek, ale bezskutecznie. Białe światelko za przezroczystą szybą z masy plastycznej nawet nie drgnęło. Zuch chłopak, pomyślał znowu Bykow. Teraz wyminął wypukłą ścianę, która stanowiła osłonę fotoreaktora. Przy aparaturze kontrolującej działanie zwierciadła stał Żylin z ołówkiem w zębach. Obiema rękami opierał się o pulpit i prawie niewidzialnymi ruchami wybijał czeczotkę, poruszając przy tym potężnymi łopatkami na przygarbionych plecach.

- Witaj, Wania - powiedział Bykow.

- Witajcie, Aleksieju Pietrowiczu - odpowiedział Żylin, odwracając się gwałtownie. Ołówek wypadł mu z zębów, ale Żylin zręcznie pochwycił go w locie.

- Jak tam zwierciadło? - zapytał Bykow.

- Zwierciadło w porządku - odparł Żylin, ale Bykow mimo wszystko pochylił się nad pulpitem i przeciągnął szeroką błękitną taśmę z zapisem danych kontrolnych.

Zwierciadło to najważniejszy i najdelikatniejszy element silnika fotonowego, gigantyczne paraboliczne lustro pokryte pięcioma warstwami substancji mezonowej o wielkiej wytrzymałości. W literaturze zagranicznej zwierciadło takie nazywa się często „sail” - żagiel. W soczewce paraboloidu co sekunda następują zapłony milionów porcji deutronowo-trytonowej plazmy, która przekształca się w promieniowanie. Potok bladofioletowych płomieni uderza w powierzchnię zwierciadła, tworząc siłę ciągu. Przy tym w warstwie

substancji mezonowej powstają tytaniczne skoki temperatur, a sama substancja wypala się stopniowo warstwa po warstwie. Ponadto zwierciadło ulega bez przerwy niszcącemu działaniu korozji meteorytovej. A jeśli przy włączonym silniku zwierciadło ulegnie zniszczeniu u samej nasady, w miejscu gdzie dochodzi do niego gruba rura fotoreaktora, statek momentalnie zostanie zniszczony przez bezgłośny wybuch. Dlatego też zwierciadła statków fotonowych są wymieniane po każdych stu jednostkach astronomicznych lotów. I dlatego właśnie za pomocą systemu kontrolnego prowadzi się nieprzerwanie pomiary stanu warstw substancji mezonowej na całej powierzchni zwierciadła.

Tak - stwierdził Bykow, obracając w palcach taśmę. - Pierwsza warstwa spłonęła.

Żylin przyjął te słowa w milczeniu.

- Misza, czy wiesz, że pierwsza warstwa spłonęła? - powtórzył głośno Bykow.

- Wiem, Loszeńka - odrzekł nawigator. - Cóż chcesz? Oversun. Loszeńka...

Oversun, czyli inaczej „skok przez Słońce”, wykonuje się bardzo rzadko i tylko w sytuacjach wyjątkowych, jak na przykład obecnie, gdy „Stacji J” zagraża, głód. Przy oversunie między start-planetą a finisz-planetą znajduje się Słońce. Taki układ jest bardzo niedogodny z punktu widzenia kosmogacji bezpośredniej. Przy oversunie silnik fotonowy pracuje z maksymalną mocą, szybkość statku dochodzi do sześciu-siedmiu tysięcy kilometrów na sekundę, a na aparaturze dają się zaobserwować skutki mechaniki nieklasycznej, bardzo słabo dotychczas poznane. Załoga prawie nie śpi, zużycie paliwa i zwierciadła jest olbrzymie, a na domiar wszystkiego statek podchodzi zawsze do finisz-planetę od strony bieguna, co sprawia wiele trudności i komplikuje lądowanie.

- Tak - przyznał Bykow. - Oversun. No i masz ten oversun. Wrócił do nawigatora i spojrzał na licznik rejestrujący zużycie paliwa.

- Daj no mi kopię końcowej trasy lotu, Misza.

- Chwileczkę. Loszeńka - odrzekł nawigator.

Był w tej chwili bardzo zajęty. Na stole leżały rozrzucone kartki papieru, półautomatyczna przystawka do analizatora elektronowego pracowała prawie bezszelestnie. Bykow usiadł w fotelu i przymknął lekko powieki. Widział niewyraźnie, jak Michaił Antonowicz, nie odrywając wzroku od taśmy z zapisem, przeciągnął rękaw stroną pulpitu i szybko przebiegł palcami po klawiaturze. Ręka jego była podobna do wielkiego białego pająka. Analizator matematyczny zaszumił głośniejsze, po czym zatrzymał się i zapaliło się światełko „stop”.

- Co ci jest, Loszeńka? - zapytał nawigator, nie odrywając wzroku od swych zapisów.

- Daj program trasy końcowej - rzekł Aleksiej Pietrowicz, otwierając z wysiłkiem oczy.

Z analizatora zaczęła wypełzać taśma tabelogramu i Michaił Antonowicz wczepił się w nią obiema rękami.

- Jedną chwilę - odrzekł pośpiesznie. - Chwileczkę. Bykow poczuł przyjemny szum w uszach, pod powiekami zawirowały żółte ogniki. Głowa opadła mu na piersi.

- Loszeńka - przemówił nawigator. Pochylił się nad stołem i poklepał Bykowa po ramieniu. - Loszeńka. Masz tu program...

Bykow ocknął się, potrząsnął głową, rozejrzał się na boki, po czym wziął zapisane kartki.

- Khe-khe - odkaslnął, marszcząc czoło. - Tak, znów teta-algorytm... - Spojrzał sennym wzrokiem na zapis.

- Loszeńka, może byś przyjął sporaminę - poradził mu nawigator.

- Czekaj, chwilę - odparł Bykow. - A co to znowu? Czyś ty oszalał?

Michaił Antonowicz porwał się z miejsca, obiegł stół i zajrzał Bykowowi przez ramię.

- Gdzie, co? - zapytał.

- Dokąd lecisz? - rzucił zjadliwe pytanie Bykow. - A może ci się wydaje, że lecisz na Siódmy Poligon, co?

- O co ci chodzi, Losza?

- A może wyobrażasz sobie, że na Amaltei zbudowano dla ciebie trytonowy generator?

- Czy chodzi ci o paliwo? - zapytał Michaił Antonowicz. - Paliwa nam starczy na trzy takie kursy...

Bykowa zupełnie odeszła senność.

- Mamy lądować na Amaltei - rzekł. - Potem musimy wraz z planetologami wyprawić się do egzosfery i znów wrócić na Amalteę. W końcu mamy wreszcie wracać na Ziemię. A to znów będzie oversun!

- Czekaj - zaczął wyjaśniać Michaił Antonowicz. - Chwileczkę...

- Opracowałeś mi zwariowany program, jakby oczekiwały nas tam magazyny paliwa!

Ktoś uchylił luk do kabiny. Bykow odwrócił się. W szczelinie luku ukazała się głowa Daugego. Dauge powiódł oczyma po kabinie i wyszeptał błagalnie:

- Słuchajcie, chłopcy, nie ma tu Warieczki?

- Precz! - wrzasnął Bykow.

Głowa natychmiast zniknęła. Luk przymknięto bezszelestnie.

- H-hultaje - rzekł Bykow. - No więc widzisz, nawigatorze! Jeśli zabraknie mi paliwa na powrotny oversun, marny twój los!.

- Nie wydzieraj się, proszę - oburzył się Michaił Antonowicz. Podumał chwilę i dodał, czerwieniąc się na twarzy. - A do licha z tym...

Zapanowało milczenie. Michaił Antonowicz wrócił na miejsce. Teraz obaj spoglądali na siebie nadąsani.

- Skok w egzosferę przewidziałem - przemówił Michaił Antonowicz. - Powrotny oversun także obliczyłem prawie dokładnie. - Położył dłoń na kupce kartek na stole. - A jeśli cię tchórz obleciał, to z powodzeniem możemy zaopatrzyć się w paliwo na Antymarsie...

Antymarsem kosmogatorzy nazywali sztuczną planetę, krążącą po prawie identycznej orbicie co Mars, tyle że po drugiej stronie Słońca. W istocie był to olbrzymi magazyn paliwa, w pełni zautomatyzowana stacja zaopatrzeniowa.

- A w ogóle to mógłbyś na mnie... nie podnosić głosu - rzekł Michaił Antonowicz.

Ostatnie słowa wypowiedział prawie szeptem. Michaił Antonowicz ochłonął już z pierwszego uniesienia; Bykow także.

- No dobrze - rzekł. - Wybacz, Misza. Michaił Antonowicz uśmiechnął się natychmiast.

- Nie miałem racji - dodał Bykow.

- Ach, Loszeńka - podchwycił skwapliwie Krutikow. - To głupstwo. Nie ma o co... Spójrz no tylko, jak zadziwiająca spirala z tego wychodzi. Z linii prostopadłej - zaczął pokazywać ręką - przechodzimy równolegle do powierzchni Amaltei i tuż ponad egzosferą po elipsie bezwładności docieramy do punktu przeznaczenia. Przy lądowaniu względna szybkość lotu będzie wynosiła zaledwie cztery metry na sekundę. Przeciężenie maksymalne tylko dwadzieścia dwa procent, a czas nieważkości potrwa nie więcej niż trzydzieści - czterdzieści minut. Odchylenia mogą tu być zupełnie minimalne.

- Odchylenia minimalne, no bo przecież teta-algorytm - rzekł Bykow. Miał ochotę powiedzieć nawigatorowi coś miłego: teta-algorytm został opracowany i zastosowany po raz pierwszy przez Michaiła Antonowicza.

Michaił Antonowicz wydał jakiś nieokreślony dźwięk. Był wyraźnie zadowolony. Bykow sprawdził program lotu do końca, kilka razy z rzędu kiwnął potakująco głową i, odłożywszy kartki, zaczął przecierać oczy olbrzymimi, obsypanymi piegami, zwiniętymi w pięści dłońmi.

- Mówiąc szczerze - odezwał się po chwili - wcale się nie wyspałem.

- Przyjmij sporaminę, Loszka - namawiał Michaił Antonowicz. - Ja przyjmuję co dwie godziny tabletkę i widzisz, wcale nie chce mi się spać. Wania tak samo. Po co tak się męczyć?

- Nie lubię tej ich chemii - rzekł Bykow. Ruszył z miejsca i przeszedł się po kabinie. - Słuchaj Misza, co się dzieje na statku?

- A o co ci chodzi, Loszeńka? - zapytał nawigator.

- Znowu planetolodzy - rzekł Bykow.

Żylin spoza osłony fotoreaktora rzucił wyjaśnienie:

- Warieczka gdzieś przepadła.

- Ejże? - rzekł Bykow. - No, nareszcie. - Znow przeszedł się po kabinie. - Dzieciaki, duże dzieciaki.

- Nie złość się na nich, Loszeńka - uspokajał nawigator.

- Wiecie, co wam powiem? - Bykow usiadł w fotelu. -Najgorsi w czasie rejsu są pasażerowie. A najbardziej niezdolni pasażerowie - to starzy przyjaciele. Daj no mi, Misza, sporaminę.

Michaił Antonowicz skwapliwie wyciągnął z kieszeni pudełeczko. Bykow przyjrzał mu się sennym wzrokiem.

- Daj od razu dwie tabletki - poprosił.

2. Planetolodzy prowadzą poszukiwania Warieczki, a radioptyk dowiadyuje się, co to hipopotam.

- Wyrzucił mnie za drzwi - oświadczył Dauge, wróciwszy do kajuty Jurkowskiego.

Jurkowski stał na stole pośrodku kajuty i obmacywał dłońmi miękki matowy sufit. Na podłodze leżały rozsypane okruszyny ciasta.

- A więc ona jest tam - rzekł Jurkowski. Zeskoczył ze stołu, strzepnął z kolan białe okruszki i zaczął wołać błagalnie: - Warieczko, kochana, gdzie się podziewasz?

- A czy próbowałaś siadać znienacka w fotelu? - zapytał Dauge. Podszedł do kanapy i jak kłoda zwałił się na nią z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała.

- Zabijesz ją! - zawołał Jurkowski.

- Nie ma jej tu - stwierdził Dauge i ułożył się wygodniej, kładąc nogi na oparciu kanapy. - Taką operację trzeba by przeprowadzić ze wszystkimi kanapami i fotelami. Warieczka lubi układać się tam, gdzie miękko.

Jurkowski przysunął stół pod ścianę.

- Nie ma - rzekł. - Podczas lotu lubi włączyć na ściany i sufity. Trzeba będzie przeszukać cały statek i sprawdzić sufity.

- Boże, mity - westchnął Dauge. - Co też nie przyjdzie do głowy planetologowi, który zgłupiał do reszty z nieróbstwa! - Usiadł, spojrzał spod oka na Jurkowskiego i szepnął złowieszczo: - Jestem przekonany, że to Aleksiej. Zawsze jej nienawidził.

Jurkowski spojrzał uważnie na Daugego.

- Tak - ciągnął Dauge. - Zawsze. Sam wiesz o tym dobrze. I za co? Przecież była taka spokojna... taka miła...

- Głupiś - odrzekł Jurkowski. - Żartujesz sobie, a mnie naprawdę będzie bardzo żal, jeśli zginie.

Usiadł na stole, wsparł się łokciami o kolana, złożył podbródek na zaciśniętych w pięści dłoniach, zmarszczył wysokie, przechodzące w łysinę czoło, czarne brwi nasępił tragicznie.

- No, daj spokój - odezwał się Dauge. - Przecież na statku nie może zginąć. Jeszcze się znajdzie.

- Znajdzie! - wybuchnął Jurkowski. - Akurat pora, żeby coś zjadła. Sama przecież nigdy nie poprosi, teraz zdechnie mi z głodu.

- Zaraz ci zdechnie... - rzekł z powątpiewaniem Dauge.

- Już od dwunastu dni nic nie jadła. Od samego startu. To się odbije na jej zdrowiu.

- Zechce żreć, przylezie - przekonywał Dauge. - Tak jest ze wszystkimi zwierzakami. Jurkowski pokręcił głową.

- Nie, Grisza, ona nie przyjdzie.

Znów wszedł na stół i zaczął, centymetr po centymetrze, obszukiwać sufit. Rozległo się stukanie do drzwi. Po chwili drzwi bezszelestnie odjechały w bok i w progu ukazał się mały, czarnowłosy radiooptyk Charles Molliar.

- Wejść mnie? - zapytał Molliar.

- Oczywiście - rzekł Dauge. Molliar klasnął w dłoń.

- *Mais non!* - zawołał, uśmiechając się radośnie. Zawsze się tak uśmiechał. - *Non* „wejść”. Pytam, czy wchodzić?

- Naturalnie - odezwał się Jurkowski z wysokości stołu. - Naturalnie, wchodzić Charles, dlaczego by nie?

Molliar wszedł, zamknął za sobą drzwi i z ciekawością zadarł do góry głowę.

- Waldemar - rzekł, wymawiając świetne, gardłowe „r”. - Wy się uczą chodzić po suficie?

- *Oui, madame* - odrzekł Dauge z koszmarnym akcentem. - To znaczy monsieur. Właściwie to, *il chercher la* Warieczka.

- Nie, nie - rzekł głośno Molliar, wymachując przy tym rękami. - Tylko nie tak. Tylko po rosyjsku. Ja mówię tylko po rosyjsku!

Jurkowski zlaźł ze stołu i zapytał:

- Charles, nie widzieliście czasem mojej Warieczki? Molliar pogroził mu palcem.

- Wy się ze mną wciąż żartujecie - rzekł, nieprawidłowo akcentując słowa. - Wy żartujecie ze mną dwanaście dni. - Usiadł na kanapie obok Daugego. - Co to jest Warieczka? Słyszałem tyle razy „Warieczka”, teraz jej szukacie, ale ja nie widziałem jej ani razu. Co? - spojrzał na Daugego - Czy to ptak? A może kotka? Albo... też...

- Hipopotam? - dokończył Dauge.

- Co to „hipopotam”? - zapytał Molliar.

- *C'est taka l'hirondelle!* - odrzekł Dauge. - Jaskółka.

- *O, l'hirondelle!* - zawołał Molliar. - To hipopotam?

- Yes - powiedział Dauge. - Natürlich.

- *Non, non!* Tylko po rosyjsku! - Molliar zwrócił się do Jurkowskiego: - Gregoire mówił prawdę?

- Bzdury plecie twój Gregoire - ze złością odparł Jurkowski. -Brednie.

Molliar spojrział na niego z uwagą.

- Wy są zdenerwowani, Wołodia - rzekł. - Może ja pomogę?

- Nie, Charles, nic z tego. Trzeba po prostu szukać. Obmacywać wszystko rękami, tak jak ja...

- Po co obmacywać? - zdziwił się Molliar. - Powiedźcie tylko, jak ona wygląda, będę szukał.

- Ha - rzekł Jurkowski - gdybym to ja wiedział, jak ona w tej chwili wygląda.

Molliar odchylił się na oparcie kanapy i przysłonił oczy dłonią.

- *Je ne comprends pas* - wyrzekł z żalem. - Nic nie rozumiem. Nie ma żadnego wyglądu? A może ja nie rozumiem po rosyjsku?

- Nie, wszystko w porządku, Charles - odrzekł Jurkowski. -Musi przecież mieć jakiś wygląd. Tylko że u niej wygląd stale się zmienia, rozumiecie? Gdy się znajdzie na suficie, upodabnia się do niego, gdy na kanapie, nie można jej odróżnić od kanapy...

- A gdy siądzie na Gregoire'a, to będzie jak Gregoire - rzekł Molliar. - Wciąż żartujecie.

- Nie, prawdę mówi - włączył się do rozmowy Dauge. - Warieczka stale zmienia barwę. Potrafi nadzwyczajnie się maskować, rozumiecie? Zdolność przystosowania.

- Mimikra u jaskółka? - zgorszył się Molliar. Znów zapukano do drzwi.

- Wchodzić! - zawołał radośnie Molliar.

- Wejść - poprawił Jurkowski.

Wszedł Żylin, olbrzymi, rumiany i jakby onieśmielony.

- Wybaczcie mi, Władimirze Siergiejewiczu - przemówił, pochylając się nieco ku przodowi. - Mnie...

- O! - zawołał Molliar, rozplywając się w uśmiechu. Zawsze okazywał żywą sympatię inżynierowi pokładowemu. - *Le petit ingénieur!* Jak zdrowie, doskonał-je?

- Doskonale - odparł Żylin.

- A jak dziewczynki? Doskonał-je?

- Doskonale - odrzekł Żylin. Przyzwyczał się już do tego. - *Tres bien.*

- Masz świetny akcent - rzekł Dauge z nutką zazdrości. - A propos, Charles, dlaczego pytacie zawsze Wanię o dziewczynki?

- Bardzo je lubię - odparł z powagą Molliar. -I zawsze jestem ich ciekaw.

- *Tres bien* - rzekł Dauge. - *Je vous comprend.*

Żylin zwrócił się do Jurkowskiego:

- Władimirze Siergiejewiczu, przychodzę z polecenia kapitana. Za czterdzieści minut przejeżdżamy przez perijovum niemalże w samej egzosferze.

Jurkowski poderwał się z miejsca.

- No, wreszcie!

- Jeśli będziecie prowadzili obserwacje, jestem do waszej dyspozycji.

- Dziękuję, Wania - odparł Jurkowski i zwrócił się do Daugego: - No więc Johanyczu, do dzieła!

- No, Jowiszu, trzymaj się - rzekł Dauge.

- *Les hirondelles, les hirondelles* - zanucił Molliar. - A ja pójdę szykować obiad. Dzisiaj mój dyżur i na obiad będzie zupa. Lubicie zupę, Wania?

Żylin nie zdążył odpowiedzieć. Statkiem gwałtownie szarpnęło i inżynier poleciał w otwarte drzwi, ledwie zdążył uchwycić się framugi. Jurkowski potknął się o wyciągnięte nogi rozwalonego na kanapie Molliara i wpadł na Daugego. Dauge aż jęknął.

- Oho - rzekł Jurkowski. - Meteoryt.

- Zleż ze mnie - powiedział Dauge.

3. Inżynier pokładowy podziwia bohaterów, a nawigator odkrywa Warieczkę.

Ciasna kabina obserwacyjna wypełniona była po brzegi aparaturą planetologów.

Dauge przykucnął przed olbrzymim, lśniącym aparatem, podobnym do kamery telewizyjnej.

Był to spektrograf do badania egzosfery. Planetolodzy pokładali w nim wielkie nadzieje.

Aparat był całkiem nowy, wprost z fabryki. Jego działanie było zsynchronizowane z wyrzutnią bomb. Matowoczarna komora wyrzutni bomb wypełniała połowę kabiny. Obok w lekkich metalowych stelażach połyskiwały czarne boki płaskich pojemników na bombosondy. Każdy z pojemników zawierał dwadzieścia bombosond i ważył czterdzieści kilogramów. Zgodnie z projektem, pojemniki powinny być podawane do wyrzutni bomb automatycznie. Ale statek fotonowy „Tachmasib” nie został należycie przystosowany do prowadzenia badań naukowych na większą skalę, więc na jego pokładzie nie starczyło już miejsca na zainstalowanie tego typu urządzeń automatycznych. Wyrzutnię bomb obsługiwał Żylin.

- Ładuj - podał komendę Jurkowski.

Żylin odsunął pokrywę komory, uchwycił rękami z obu stron pierwszy pojemnik, podniósł go z wysiłkiem i wstawił w prostokątny otwór komory wyrzutni. Pojemnik bezszelestnie wsunął się na miejsce. Żylin zaciągnął pokrywę, szczerknął zamkiem i powiedział:

- Gotów.

- Ja też - odrzekł Dauge.

- Misza - rzekł Jurkowski do mikrofonu - czy prędko?

- Jeszcze pół godzinki - zachrypiał niewyraźny głos nawigatora. Statek znów zadrzał gwałtownie. Podłoga usunęła się spod nóg.

- Znów meteoryt - powiedział Jurkowski - To już trzeci.

- Coś za gęsto - rzekł Dauge. Jurkowski rzucił do mikrofonu pytanie.

- Misza, czy dużo mikrometeorytów?

- Dużo, Wołodienka - odpowiedział Michaił Antonowicz. W jego głosie brzmiał niepokój. - Już o trzydzieści procent ponad średnią gęstość, a wciąż rośnie i rośnie...

- Misza, kochany - poprosił Jurkowski - prowadź częstsze pomiary, dobrze?

- Pomiary prowadzi się co dwadzieścia sekund - odrzekł nawigator.

Potem powiedział coś jeszcze, ale już nie do mikrofonu. W odpowiedzi rozległ się głos Bykowa: Można.

- Wołodienka - przemówił znów nawigator. - Przełączam pomiary na dziesięć na minutę.

- Dziękuję, Misza - rzekł Jurkowski. Statkiem znów szarpnęło.

- Słuchaj, Wołodia - szepnął Dauge. - To coś niebywałego.

Żylin także pomyślał, że to coś niezwykłego. Nigdzie, w żadnym podręczniku ani też w locjach nie było mowy o zwiększeniu gęstości meteorytów w bezpośredniej bliskości Jowisza. Zresztą w bezpośredniej bliskości Jowisza mało kto bywał.

Żylin przysiadł na ramie komory i spojrzał na zegarek. Do perijovum pozostawało jeszcze ze dwadzieścia minut, nie więcej. Za dwadzieścia minut Dauge kropnie pierwszą serię. Według niego wybuch serii bombosond to nadzwyczajny widok. Dwa lata temu Dauge prowadził za pomocą takich sond bombowych badania atmosfery Uranu. Żylin obejrzał się na niego: siedział przykucnięty przed spektrografem, trzymając rękami dźwignie steru. Był chudy, czarny, o ostrym nosie, na lewym policzku miał szramę. Co chwila wyciągał długą szyję i spoglądał to lewym, to prawym okiem w celownik. Za każdym razem po jego twarzy przebiegał pomarańczowy odblask. Żylin zwrócił spojrzenie na Jurkowskiego. Stał z twarzą wciśniętą w okular peryskopu i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Na jego szyi chybotąło się zawieszone na czarnej taśmie cętkowane jajo mikrofonu. Tak, Dauge i Jurkowski to sławni planetolodzy.

Przed miesiącem zastępca dowódcy Wyższej Szkoły Kosmogacji Czen-Kun wezwał do siebie absolwenta Żylin. Kosmonauci nazywali Czen-Kuna „Żelaznym Kunem”. Był to mężczyzna już po pięćdziesiątce, ale w granatowej kurtce z wykładanym kołnierzem robił wrażenie jeszcze całkiem młodego. Byłby zdecydowanie przystojny, gdyby nie martwe, ziemistoróżowe plamy na czole i na podbródku - ślady dawnego porażenia od promieniowania. Czen-Kun oświadczył, że Wydział Trzeci DNLMP zażądał natychmiast do swej dyspozycji dobrego zmianowego inżyniera pokładowego i że wybór Rady Szkoły padł na absolwenta Żylin (Żylin w tym momencie aż zaniemówił ze wzruszenia: przez pięć lat w szkole nękały go obawy, że zostanie wysłany do odbycia stażu na trasy księżycowe). Czen-Kun dodał, że jest to wielki zaszczyt dla absolwenta Żylin, iż pierwszą nominację otrzymuje na statek, który leci oversunem w kierunku Jowisza (Żylin wówczas z radości omal nie

podskoczył) z transportem żywności dla „Stacji J”, znajdującej się na piątym satelicie Jowisza - Amaltei.

- Amaltei zagraża, głód - powiedział Czen-Kun. - Waszym dowódcą będzie znakomity kosmonauta, również wychowanek naszej szkoły, Aleksiej Pietrowicz Bykow. Starszym nawigatorem będzie doświadczony kosmonauta Michaił Antonowicz Krutikow. Pod ich kierunkiem przejdziecie doskonałą szkołę praktyczną. Ja osobiście bardzo się z tego cieszę.

O tym, że tym samym rejsem lecą Gregor Johanycz Dauge i Władimir Siergiejewicz Jurkowski, Żylin dowiedział się później, już na raketodromie Mirza-Charle. Same znakomitości! Jurkowski i Dauge, Bykow i Krutikow, Bogdan Spicyn i Anatol Jermakow. Wstrząsająca i wspaniała, znana od dzieciństwa legenda, opowieść o ludziach, którzy rzucili do stóp ludzkości groźną planetę, o ludziach, którzy na przedpotopowym „Hiusie” - żółtym fotonowym z jedną jedyną warstwą substancji mezonowej na zwierciadle - przedarli się przez rozszalałą atmosferę Wenus, o ludziach, którzy pośród prawiecznych czarnych piasków odkryli Uranową Golkondę - ślad uderzenia potwornego meteorytu z antimaterii.

Oczywiście, Żylin znał również i innych wspaniałych ludzi. Na przykład, kosmonautę-badacza Wasyla Lachowa. W szkole Lachów prowadził na trzecim i czwartym roku wykłady z teorii napędu fotonowego. Był on także organizatorem trzymiesięcznej praktyki dla absolwentów na „Spu-20”. Kosmonauci nazywali „Spu-20” - „Gwiazdką”. Wyprawa była bardzo interesująca. W czasie jej trwania wypróbowywano po raz pierwszy najprostsze silniki fotonowe o jednym ciągu. Z „Gwiazdki” wysyłano w strefę absolutnie swobodnych lotów automatyczne stacje zwiadowcze. Na „Gwiazdce” budowano pierwszy statek międzygwiazdny „Hius-Błyskawica”. Pewnego razu Lachów zaprowadził swoich słuchaczy do hangaru. W hangarze wisiał dopiero co przybyły fotonowy tankowiec-automat, wyrzucony przed pół rokiem w strefę absolutnie swobodnych lotów. Tankowiec, olbrzymi niezgrabny twór, oddalił się od Słońca na odległość świetlnego miesiąca. Wszystkich wprawił w zdumienie jego kolor. Powłoka statku zrobiła się turkusowozielona i odpadała całymi kawałkami, wystarczyło tylko dotknąć dłonią. Kruszyła się po prostu jak chleb. Ale urządzenia sterujące okazały się w porządku. W przeciwnym razie, oczywiście, zwiadowca-automat nie powróciłby, podobnie jak nie wróciły trzy statki zwiadowcze z liczby dziewiętnastu wyrzuconych w strefę ASL. Słuchacze zwrócili się do Lachowa z pytaniem, co się mogło stać, i Lachów odpowiedział, że sam nie wie. Na wielkich odległościach od Słońca jest coś takiego, czego dotychczas nie znamy - odpowiedział Lachów. A Żylin pomyślał wówczas o pilotach, którzy za kilka lat poprowadzą „Hius-Błyskawicę” tam właśnie, gdzie jest to coś, czego dotychczas nie poznaliśmy.

To zabawne, pomyślał Żylin, mam już co wspominać. Choćby to na przykład. Kiedy byłem na czwartym roku, w czasie lotu egzaminacyjnego na rakiemie geodezyjnej odmówił posłuszeństwa silnik i wraz z rakieta zwałem się na pole kołchozowe pod Nowojenisejskiem. Przez kilka godzin kluczyłem pośród wibracyjnych pługów automatycznych o wysokiej częstotliwości drgań i dopiero wieczorem natknąłem się na człowieka. Był to operator-telemechanik. Całą noc przeleżeliśmy w namiocie, obserwując światełka pługów, poruszających się na czarnym polu. Jeden z pługów z głośnym warkotem przejechał w pobliżu nas, zostawiając za sobą smugę ozonu. Operator podejmował mnie winem miejscowej produkcji i, jak mi się wydaje, nie zdołałem przekonać tego wesołego chłopca, że kosmonauci nie piją ani kropli. Rankiem po rakieta przyjechał transporter. „Żelazny Czen” zrobił mi surową wymówkę za to, że nie skorzystałem z katapuły...

Albo dyplomowy lot „Spu-16” Ziemia-Księżyc, kiedy członek komisji egzaminacyjnej usiłował zbić nas z tropu i podając dane początkowe wołał przeraźliwym głosem: „Asteroid trzeciej wielkości na kursie z prawej! Szybkość zbliżania się - dwadzieścia dwa!”. Było nas sześciu dyplomantów i egzaminator obrzydł nam wszystkim do reszty. Tylko Jan, który był naszym starostą, ciągle starał się nas przekonać, że ludziom należy wybaczać ich drobne słabostki. W zasadzie zgadzaliśmy się z tym, ale nie chcieliśmy pobłażać czyimś słabostkom. Wszyscy uważaliśmy, że taki lot to fraszka, i nikt się nie wystraszył, gdy statek nagle wpadł w straszliwy wiraż w warunkach czterokrotnego przeciążenia. Przedostaliśmy się do kabiny sterowniczej, w której leżał nasz egzaminator. Wyglądał, jak gdyby zginął od przeciążenia. Wyprowadziliśmy statek z wirażu. Wówczas egzaminator otworzył jedno oko i rzekł: Brawo, kosmonauci. A my z miejsca darowaliśmy mu wszystko, ponieważ nikt dotychczas nie traktował nas poważnie jako kosmonautów, prócz naszych matek i dziewcząt. Za to nasze matki i dziewczęta zawsze mawiały: Mój kochany kosmonauto, miały przy tym taki wyraz twarzy, jakby je coś zmroziło wewnątrz...

Nagle „Tachmasibem” wstrząsnęło tak silnie, że Żylin poleciał na plecy i padając uderzył tyłem głowy o stojak.

- O, do diabła! - zaklął Jurkowski. - Wszystko to jest oczywiście dość niezwykle, ale jeśli statek będzie się tak zataczał, to nie ma mowy o pracy.

- No przecież - odezwał się Dauge, przyciskając dłonią prawe oko. - Cóż to za praca...

Najwidoczniej statek spotykał na kursie coraz więcej dużych meteorytów, a gwałtowne sygnały, przekazywane przez radary przeciwmeteorytowe do automatycznego nawigatora cybernetycznego, coraz częściej rzucały statek z boku na bok.

- Czyżby róż? - zastanawiał się Jurkowski, przytrzymując się peryskopu. - Biedna Warieczka, bardzo źle znosi wstrząsy.

- Niechby więc siedziała sobie w domu - rozżościł się Dauge. Prawe oko puchło mu szybko, dotykał je palcami i wydawał jakieś niezrozumiałe okrzyki w języku łotewskim. Nie siedział już przykucnięty, znajdował się na podłodze w pozycji półleżącej, z szeroko rozsuniętymi nogami, by łatwiej utrzymać równowagę.

Żylin trzymał się jakoś, uczeplony rękami o komorę wyrzutni i stojak. Podłoga raptem uciekła spod nóg, potem jakby podskoczyła i uderzyła boleśnie w pięty. Dauge jęknął, Żylinowi podcięło nogi. Chrypiący basowy głos Bykowa popłynął przez mikrofon:

- Inżynier pokładowy Żylin do kabiny nawigacyjnej! Pasażerowie, proszę do amortyzatorów!

Żylin zataczając się przedostał się do drzwi. Z tyłu doleciał go głos Daugego:

- Jak to do amortyzatorów?

- A niech to diabli! - odezwał się Jurkowski.

Coś potoczyło się po podłodze z metalicznym brzękiem. Żylin wypadł na korytarz. Zaczynało się dziać coś niedobrego.

Statkiem bez przerwy miało jak deską na falach. Żylin biegł korytarzem i powtarzał w myślach: ten obok... i ten obok. Ten też obok, wszystko obok... Wtem z tyłu doleciał go przeraźliwy syk: Pak-psz-sz-sz-sz... Żylin przywarł gwałtownie plecami do ściany i obrócił się. W pustym korytarzu o jakieś dziesięć kroków od niego stał gęsty obłok białej pary; wyglądało to zupełnie tak, jakby pękł nagle balon z ciekłym helem. Syk szybko ucichł. W korytarzu zapanował chłód.

- Trafił, gad - powiedział Żylin i oderwał się od ściany. Za nim, osiadając z wolna, włókł się biały obłok.

W kabinie nawigacyjnej było bardzo zimno. Żylin dostrzegł zamróż lśniący tęczowo na ścianach i na podłodze. Michaił Antonowicz siedział przy maszynie matematycznej i podciągał ku sobie taśmę z zapisami. Bykowa tutaj nie było, widocznie znajdował się za osłoną reaktora.

- Co, znów trafiło? - cieniutkim głosem zawołał nawigator.

- Czy inżynier pokładowy już jest? - huknął basem Bykow spoza osłony reaktora.

- Jestem - odezwał się Żylin.

Przebiegł przez kabinę, ślizgając się po szronie. Bykow wyszedł mu na spotkanie i rude włosy stały mu na głowie dęba.

- Do kontroli zwierciadła - zakomenderował.

- Tak jest - odpowiedział Żylin.

- Nawigatorze, czy jest gdzieś jakieś przejście?

- Nie, Loszeńka. Wszędzie jednakowa gęstość meteorytów. Ależ dogodziło nam...

- Wyłącz zwierciadło. Spróbuję się przebić na silnikach awaryjnych.

Michaił Antonowicz okręcił się pośpiesznie na fotelu obrotowym, w stronę pulpitu aparatury sterującej. Położył rękę na klawiszach i rzekł:

- Można by było...

Zamilkł w pół zdania. Jego twarz wykrzywił grymas przerażenia. Tarcza z klawiszami urządzeń sterujących wygięła się, potem się wyprostowała i bezszelestnie spłynęła na podłogę. Żylin usłyszał krzyk Michaiła Antonowicza i w popłochu wybiegł spoza osłony reaktora. Na ścianie kabiny, wczepiona w miękkie obicie, siedziała półtorametrowa jaszczurzyca marsjańska, ulubienica Jurkowskiego - Warieczka. Widoczny na jej bokach rysunek klawiszy sterowniczych zaczął się już zacierać, ale na strasznym trójkątnym pysku wciąż jeszcze migotało wolniutko czerwone odbicie światełka „stop”. Michaił Antonowicz wpatrywał się w cętkowaną Warieczkę i pochlipywał, przyciskając rękę do serca.

- Poszła won! - wrzasnął Żylin. Warieczka rzuciła się gdzieś w bok i zniknęła.

- Zatłukę! - ryknął Bykow. - Żylin, na miejsce, do stu diabłów! Żylin odwrócił się i w tym właśnie momencie „Tachmasib” oberwał zdrowo.

AMALTEA, „STACJA J”

Woziwody rozprawiają o głodzie, a inżynier od gastronomii wstydzi się za swoją kuchnię.

Po kolacji wujek Wałnoga wszedł do świetlicy i nie patrząc na nikogo powiedział:

- Potrzeba mi wody, kto na ochotnika?

- Ja - zgłosił się Kozłów.

- I ja - rzekł Potapow, podnosząc głowę znad szachownicy.

- Oczywiście, ja też - odezwał się Kostia Stecenko.

- A czyja mogę? - zapytała cieniutkim głosem Zojka Iwanowa.

- Możesz - odpowiedział Wałnoga, spoglądając w sufit. - No więc przychodźcie.

- A ile potrzebujecie tej wody? - zapytał Kozłów.

- Niedużo - odrzekł wujek Wałnoga. - Jakies dziesięć ton.

- Dobra - powiedział Kozłów. - Zaraz będziemy. Wujek Wałnoga wyszedł.

- Pójdę z wami - oświadczył Gregor.

- Lepiej zostań tutaj i zastanów się nad swoim posunięciem - odrzekł mu Potapow. - Twój ruch. Zawsze nad każdym ruchem zastanawiasz się z pół godziny.

To nic - odparł Gregor. - Zdążę się jeszcze zastanowić.

- Hala, pójdziesz z nami? - zapytał Stecenko.

Hala leżała w fotelu przed magnetowideofonem. Leniwym głosem odpowiedziała:

- Chyba pójdę.

Podniosła się z fotela i przeciągnęła rozkosznie. Hala miała dwadzieścia osiem lat, wysoka, o smągłej cerze i bardzo ładna - była najładniejszą kobietą tu, na stacji. Połowa chłopaków stacji kochała się w niej. Hala kierowała pracami obserwatorium astrometrycznego.

- Chodźmy - rzekł Kozłów, zapiął sprzączki przy podkawkach magnetycznych i ruszył do drzwi.

Wszyscy skierowali się do magazynu, wzięli stamtąd futrzane kurtki, piły elektryczne i samobieżną platformę.

Miejsce, gdzie stacja zaopatrywała się w wodę na potrzeby techniczne, higieniczne i konsumpcyjne, nazywało się „Eisgrotte”. Amaltea - spłaszczona kula o średnicy około stu

trzydziestu kilometrów -była zbudowana z czystego lodu. Najzwyklejszego lodu z wody, zupełnie takiego samego, jak na Ziemi, tyle że na powierzchni przysypanego nieco pyłem meteorytów oraz odłamkami kamieni i żelaza. O pochodzeniu lodowej planetki nikt nie potrafił powiedzieć nic konkretnego.

Jedni, mało obeznani z kosmogonią, utrzymywali, że Jowisz w pradawnych czasach zerwał otoczkę wodną z jakiejś planety, która nieostrożnie zbliżyła się do niego. Inni skłonni byli przypisywać powstanie piątego satelity procesowi kondensacji kryształów wody. Jeszcze inni twierdzili, że Amaltea nie należała w ogóle do systemu słonecznego, że przybyła z przestrzeni międzygwiazdnej i została przechwycona przez Jowisza. Jakkolwiek by było, ważne, że nieograniczone zapasy lodu, istniejące na Amaltei, stanowiły dla „Stacji J” wielką wygodę.

Platforma przejechała korytarzem dolnego poziomu i zatrzymała się przed szerokimi odrzwiami „Eisgrotte”. Gregor zeskoczył z platformy, podszedł do drzwi i, mrużąc oczy krótkowidza, zaczął szukać guzika od zamku automatycznego.

- Niżej, niżej, ślepy puchaczu - rzekł Potapow.

Gregor odnalazł guzik i odrzwia rozwarły się. Platforma wjechała do „Eisgrotte”. „Eisgrotte” była lodową pieczarą, tunelem

wyrąbanym w litym lodzie. Trzy gazowe rurki oświetlały tunel, ale światło odbijało się od ścian lodowych i sufitu, rozpraszało i iskrzyło na wszystkich występach, dlatego też wydawało się, że „Eisgrotte” oświetla cały system luster.

Nie było tutaj pola magnetycznego, należało więc chodzić bardzo ostrożnie. Panował tu niezwykły chłód.

- Lód - rzekła Hala, rozglądając się wokół. - Zupełnie jak na Ziemi.

Zojka skuliła się z zimna, otulając się szczelnie futrzaną kurtką.

- Jak na Antarktydzie - wyszeptała.

- Byłem na Antarktydzie - oświadczył Gregor.

- Gdzieś ty nie bywałeś! - powiedział Potapow. - Wszędzie byłeś!

- No, chłopcy, do roboty - zakomenderował Kozłów.

Chłopcy ujęli piły elektryczne, podeszli do najbardziej oddalonej ściany i zaczęli wypiłowywać bloki lodu. Piły cięły lód jak gorący nóż masło. W powietrzu zamigotały lodowe opiłki. Zojka i Hala podeszły bliżej.

- Daj mi - poprosiła Zojka, spoglądając na pochylone plecy Kozłowa.

- Nie dam - odparł Kozłów, nie odwracając się. - Możesz sobie oczy uszkodzić.

- Zupełnie jak śnieg na Ziemi - powiedziała Hala, podstawiając dłoń pod smużkę lodowych drobinek.

Tego dobra wszędzie jest dosyć - rzekł Potapow. - Na przykład na Ganimedzie śniegu, ile dusza zapagnie.

- Byłem na Ganimedzie - oświadczył Gregor.

- Zwariować można - rzekł Potapow. Wyłączył swą piłę i odwalił ze ściany olbrzymi blok lodu. - No tak.

- Potnij na kawałki - poradził mu Stecenko.

- Nie tnij - rzekł Kozłów. Właśnie wyłączył swą piłę i także odwalił ze ściany bryłę lodu. - Przeciwnie... - Z wysiłkiem pchnął bryłę, która powoli odjechała do wyjścia z tunelu. - Przeciwnie, Wałnodze wygodniej, gdy bloki są duże.

- Lód - powtórzyła Hala. - Zupełnie jak na Ziemi. Teraz zawsze będę tu przychodziła po pracy.

- Czy bardzo tęsknicie za Ziemią? - nieśmiało zapytała Zojka. Zojka była o dziesięć lat młodsza od Hali, pracowała jako laborantka w obserwatorium astrometrycznym i w obecności swej kierowniczkii czuła wyraźne onieśmienie.

- Bardzo - odpowiedziała Hala. - Tęsknię w ogóle za Ziemią, Zojeczko, tak bym chciała posiedzieć sobie na trawie, pójść wieczorem na spacer do parku, potańczyć... I to nie te nasze napowietrzne tańce, lecz zwyczajnego walca. I pić z normalnych szklanek, a nie z tych idiotycznych grusz. I nosić suknie, a nie spodnie. Strasznie stęskniłam się za zwykłą spódniczką.

- Ja też - rzekł Potapow.

- Za spódniczką, no tak - powiedział Kozłów.

- Dzieciaki.

- Pleciuchy - odparła Hala. - Dzieciaki.

Podniosła odłamek lodu i rzuciła nim w Potapowa. Potapow podskoczył, uderzył plecami o sufit i wleciał na Stecenkę.

- Daj spokój - rozzłościł się Stecenko. - Nie wpadnij pod piłę.

- No, chyba już dosyć - rzekł Kozłów, odwalając ze ściany trzeci blok. - Ładować, chłopaki.

Załadowali lód na platformę, po czym Potapow chwycił znienacka jedną ręką Halę, a drugą Zojkę i obydwie rzucił na lodowe bryły. Zojka zapiszczała przeraźliwie i chwyciła się kurczowo Hali. Hala roześmiała się.

- No, jazda - zawołał Potapow. - Zaraz Wałnoga da wam premię: po misce zupy z chlorelli na gębę.

- Nie odmówiłbym - odburknął Kozłów.

- I przedtem nigdy nie odmawiałeś - stwierdził Stecenko. - Co więc mówić teraz, gdy głód...

Platforma wyjechała z „Eisgrotte” i Gregor zamknął odzwia.

- Jakiż to głód? - odezwała się Zojka z wysokości lodowej piramidy. - Niedawno czytałam książkę o wojnie z faszystami, tam to rzeczywiście był głód. W Leningradzie, w czasie blokady.

- Byłem w Leningradzie - oświadczył Gregor.

- Przecież zjadamy czekoladę - ciągnęła dalej Zojka - a tam wydawano po sto pięćdziesiąt gramów chleba na dzień. I to jakiego chleba! Pół na pół z trocinami.

- O, zaraz z trocinami - niedowierzał Stecenko.

- Wyobraź sobie, że właśnie z trocinami.

- Czekolada czekoladą - stwierdził Kozłów - ale nietęgo będzie z nami, jeśli „Tachmasib” nie przyleci.

Kozłów niósł piłę elektryczną na ramieniu jak karabin.

- Przyleci - powiedziała z przekonaniem Hala. Zeskoczyła z platformy i Stecenko skwapliwie ją podtrzymał. - Dziękuję, Kostia. Na pewno przyleci, zobaczycie, chłopcy.

- Myślę, że mimo wszystko trzeba zaproponować kierownikowi zmniejszenie racji dziennych - rzekł Kozłów. - Choćby tylko dla mężczyzn.

- Bzdury - stwierdziła Zojka. - Gdzieś czytałam, że kobiety o wiele łatwiej znoszą głód niż mężczyźni.

Szli korytarzem w ślad za powoli jadącą platformą.

- Tak, kobiety - skomentował Potapow. - Ale nie dzieci.

- Ależ dowcip - odparła Zojka. - Nie ma co!

- Nie, koledzy, naprawdę - powiedział Kozłów.

- Jeśli Bykow nie przyleci jutro, trzeba zwołać ogólne zebranie

1 zapytać wszystkich, czy się zgadzają na zmniejszenie racji.

- No cóż - przyznał Stecenko. - Przypuszczam, że sprzeciwów nie będzie.

- Ja nie będę się sprzeciwiał - oświadczył Gregor.

- To dobrze - rzekł Potapow. - A ja już zastanawiałem się nad tym, co zrobimy, jeśli okaże się raptem, że się nie zgadzasz.

- Cześć woziwodom! - zawołał przechodzący obok astrofizyk Nikolski.

Hala odezwała się z rozdrażnieniem:

- Nie rozumiem, jak można troszczyć się tylko o swój brzuch. Przecież „Tachmasib” nie jest automatem i na jego pokładzie są też żywi ludzie.

Potapow poczerwieniał ze wstydu, spieszył się i nawet nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Ostatni kawałek drogi do kuchni wszyscy przeszli w milczeniu. W kuchni wujek Wałnoga siedział pochmurny i zgnębiony przy olbrzymiej maszynie do wymiany jonów podczas oczyszczania wody. Platforma zatrzymała się u wejścia do kuchni.

- Wyładowujcie - rzekł wujek Wałnoga, wpatrując się w podłogę.

W kuchni było niezwykle cicho, trochę zimno i nie czuć tu było żadnych zapachów. Wujek Wałnoga ciężko przeżywał tę sytuację.

W milczeniu zdjęto bloki lodu z platformy i włożono w otwartą gardziel filtrów wodnych.

- Dziękuję - rzekł wujek Wałnoga, nie podnosząc wzroku.

- Prosimy bardzo, wujku Wałnoga - odpowiedział Kozłów. -No, koledzy, chodźmy.

W milczeniu ruszyli do magazynu, a potem w milczeniu wrócili do świetlicy. Hala wzięła książkę i położyła się w fotelu przed magnetowideofonem. Stecenko pokręcił się nieśmiało obok niej, popatrzył na Kozłowa i Zojkę, którzy znów zasiedli do odrabiania zadań (Zojka studiowała na wydziale zaocznym Instytutu Energetyki, a Kozłów pomagał jej w nauce), westchnął głęboko i ruszył wolniutko do swego pokoju. Potapow zwrócił się do Gregora: - Twój ruch. Twoja kolej.

ROZDZIAŁ 2

AWARIA

1. Kapitan oznajmia nieprzyjemną nowinę, a inżynier pokładowy nie okazuje lęku.

Duży meteoryt uderzył prawdopodobnie w zwierciadło, gdyż symetria rozkładu siły ciągu na powierzchni paraboloidu została gwałtownie zakłócona i „Tachmasibem” zakręciło w koło. W kabinie nawigacyjnej tylko kapitan Bykow nie stracił przytomności. Co prawda, uderzył boleśnie o coś najpierw głową, a potem bokiem i przez pewien czas zupełnie nie mógł złapać tchu. Udało mu się jednak uczeplić nogami i rękami fotela, na który rzuciło go przy pierwszym wstrząsie. Bykow chwycił się wszystkiego co popadło, podciągał się i pełził dopóty, aż dojrzał w końcu do pulpitu sterowania. Wszystko wokół wirowało z nieprawdopodobną szybkością. Skądś z góry zwałił się Żylin i przeleciał obok z rozrzuconymi na boki rękami i nogami. Bykowowi wydało się, że Żylin w ogóle nie daje znaku życia. Kapitan pochylił się nad pulpitem sterowania i starannie mierząc nacisnął palcem potrzebny klawisz.

Nawigator cybernetyczny włączył awaryjne silniki wodorowe i Bykow poczuł wstrząs jak przy gwałtownym hamowaniu auta w pełnym biegu, tyle że o wiele silniejszy. Kapitan był na to przygotowany i z całych sił wparł się nogami w podstawę pulpitu, dzięki czemu nie wyleciał z fotela. Pociemniało mu tylko w oczach i poczuł, że usta ma pełne drobniutkich odprysków emalii z zębów. „Tach-masib” wyrównał kurs. Wówczas Bykow poprowadził statek prosto przez chmurę odłamków kamieni i żelaza. Na ekranie układu kontrolnego raz po raz ukazywały się niebieskie rozbłyski. Było ich wiele, bardzo wiele, ale statkiem już nie rzucało na boki - wyłączone urządzenia przeciwmeteorytowe nie wpływały już na działanie nawigatora cybernetycznego. Bykow poprzez szum w uszach kilkakrotnie usłyszał przeraźliwe pak-psz-sz-sz i za każdym razem, gdy dosięgał go obłok lodowatej pary, wciągał głębiej głowę w ramiona, pochylając się równocześnie nad pulpitem. Raz coś stuknęło mocno i rozsypało się z brzękiem tuż za jego plecami. Potem sygnały na ekranie poczęły stopniowo zanikać, aż wreszcie przestały się pojawiać. Atak meteorytów się skończył.

Wówczas Bykow spojrzął na kursograf.

„Tachmasib” spadał. Statek leciał przez egzosferę Jowisza i szybkość jego była teraz o wiele mniejsza od szybkości orbitalnej. „Tachmasib” spadał po wciąż zwięzającym się torze spiralnym. Statek stracił szybkość w czasie ataku meteorytów. Zwykle tak bywa, że w czasie ataku meteorytów statek schodzi nieco z kursu i traci szybkość. Tak się zdarza w pasie asteroidów podczas normalnych rejsów na trasie Jowisz-Mars lub Jowisz-Ziemia. Ale tamto nie stwarza żadnego niebezpieczeństwa. Tutaj, nad Jowiszem, utrata szybkości oznaczała niechybną śmierć. Statek spłonie, gdy tylko wejdzie w gęste warstwy atmosfery potwornej planety. Tak było dziesięć lat temu z Paulem Dangerem. A jeśli nawet nie spłonie, to spadnie w otchłań wodoru, skąd nie ma już powrotu. Tak się stało prawdopodobnie z Sergiuszem Pietruszewskim w początkach bieżącego roku.

Można by się z tego wyrwać tylko za pomocą silnika fotonowego. Bykow zupełnie machinalnie nacisnął podłużny klawisz startera, ale na pulpicie urządzeń sterujących nie zapłonęła ani jedna lampka. Zwierciadło zostało uszkodzone i automat awaryjny blokuje nierozsądne rozporządzenie. To już koniec, pomyślał Bykow. Teraz wyrównał dokładnie lot statku i włączył na całą moc silniki awaryjne. Siła pięciokrotnego przeciążenia wtoczyła go w fotel. To była jedyna rzecz, jaką Bykow mógł obecnie przedsięwziąć - zmniejszyć szybkość spadania statku do minimum, aby w ten sposób uchronić go przed spłonieniem w warstwach atmosfery. Bykow siedział jakieś trzydzieści sekund bez ruchu, spoglądając na swe ręce, nabrzmiewające szybko pod wpływem przeciążenia. Potem zmniejszył dopływ paliwa i przeciążenie ustało. Silniki awaryjne będą powoli hamowały szybkość spadania, dopóki starczy paliwa. A paliwa było niewiele. Jak dotychczas nikogo jeszcze i nigdy nie uratowały rakiet awaryjne nad Jowiszem. To możliwe nad Marsem, nad Merkurym, nad Ziemią, ale nie nad tą gigantyczną planetą.

Bykow z trudem wstał i spojrzał ponad pulpit. Na podłodze, pośród odłamków masy plastikowej, leżał na wznak nawigator Michaił Antonowicz Krutikow.

- Misza - odezwał się, nie wiedząc czemu, szeptem Bykow. - Misza, żyjesz?

Rozległo się jakieś skrobanie, zza osłony reaktora wypelzł na czworakach Żylin. Wygląd miał nieszczególny. Obrzucił wzrokiem kapitana, nawigatora, skierował wzrok na sufit i usiadł, podwinąwszy nogi.

Bykow wydostał się zza pulpitu i przykucnął obok nawigatora, z wysiłkiem zginając nogi w kolanach. Potrząsnął nawigatora za ramię i powtórzył:

- Misza, żyjesz?

Michaił Antonowicz zmarszczył czoło i nie otwierając oczu oblizał wargi.

- Loszeńka - powiedział cicho.

- Czy coś cię boli? - zapytał Bykow i zaczął obmacywać nawigatora.

- Oj! - jęknął nawigator, szeroko otwierając oczy.

- A tu?

- U! -jęknął zboliałym głosem nawigator.

- A tu?

- Oj, daj spokój! - zachnął się nawigator i usiadł, wspierając się rękami o podłogę.

Głowa opadła mu na ramię. - A gdzie Waniusza? - zapytał.

Bykow obejrzał się. Żylin nie było widać.

- Wania - zawołał cicho Bykow.

- Jestem tutaj - odezwał się Żylin zza osłony reaktora. Słysząc było, jak zaklął po cichu, gdy coś wypadło mu z rąk.

- Iwan żyje - poinformował nawigatora Bykow.

- No, to chwala Bogu - rzekł Michaił Antonowicz i uczepiwszy się ramienia kapitana wstał.

- Misza, jak tam? - zapytał Bykow. - Czy jesteś w stanie...?

- Chyba tak - bez przekonania odparł nawigator, przytrzymując się Bykowa. - Myślę, że tak. - Popatrzył chwilę na Bykowa zdziwionymi oczami, po czym stwierdził: - Człowiek to twarde bydlę, Loszeńka... Oj, twarde!

- Mhm - mruknął niepewnie Bykow. - Twarde. Słuchaj, Misza... - Bykow umilkł na chwilę. - Kiepsko z nami. Spadamy, bracie, ot co. Jeżeli jesteś w stanie, siadaj i oblicz, co i jak. Maszyna matematyczna, zdaje się, ocalała. - Spojrzał na nią. - Zresztą zobacz sam.

Oczy Michaiła Antonowicza zrobiły się całkiem okrągłe.

- Spadamy? - powiedział. - Ach, więc to tak! Spadamy. Spadamy na Jowisza.

Bykow w milczeniu pokiwał głową.

- Oj-j ej-j ej! - rzekł Michaił Antonowicz. - No więc trzeba...! Dobrze. Zaraz, ja zaraz...

Postał jeszcze chwilę, marszcząc się i kręcąc głową, potem puścił ramię kapitana, uchwycił się brzegu pulpitu i pokuśtykał na swoje miejsce.

- Zaraz obliczę - mruczał pod nosem. - Zaraz.

Bykow patrzył, jak Krutikow trzymając się za bok, próbuje możliwie najwygodniej usadowić się w fotelu. Fotel był wyraźnie skrzywiony. Gdy Michaił Antonowicz wreszcie się usadowił, spojrzał nagle z przerażeniem na Bykowa i zapytał:

- Ale przyhamowałeś, Alosza, co? Zahamowałeś?

Bykow skinął głową i poszedł do Żylin, rozdeptując z chrzęstem odłamki leżące na podłodze. Na suficie dostrzegł niewielką czarną plamę i drugą taką samą tuż przy ścianie. Były to dziury po uderzeniach meteorytów zaciągnięte smołopłastem. Wokół plam drżały wielkie krople osiadłej rosy.

Żylin siedział po turecku przed urządzeniem kontrolnym zwierciadła. Osłona aparatury była rozpruta na pół. Wnętrze nie wyglądało zachęcająco.

- Co tam u ciebie? - zapytał Bykow. Żylin podniósł opuchniętą twarz.

- Nie wiem jeszcze dokładnie - odpowiedział. - Ale widać, że wszystko poszło w kawałki.

Bykow przysiadł obok.

- Jedno bezpośrednie uderzenie meteorytu - oznajmił Żylin. - No i dwa razy ja sam tu wjechałem. - Wskazał palcem miejsce, w które wjechał, ale i bez tego było ono widoczne. - Za pierwszym razem tuż na początku nogami, a później - głową.

- Tak - rzekł Bykow. - Tego nie wytrzymałby żaden mechanizm. Ustawiaj aparaturę zapasową. I wiesz co jeszcze? Spadamy.

- Słyszałem, Aleksieju Pietrowiczu - odparł Żylin.

- W zasadzie - powiedział Bykow w głębokiej zadumie - po co nam te urządzenia kontrolne, jeśli zwierciadło zostało rozbite?

- A może nie rozbite? - zastanawiał się Żylin.

Bykow popatrzył na niego z uśmiechem.

- Taką karuzelę - wyjaśnił - mogą spowodować tylko dwie przyczyny. Albo - albo. Albo z jakichś powodów zmieniło się nagle położenie ogniska spalania się plazmy, albo odłupał się wielki kawałek zwierciadła. Myślę, że to zwierciadło zostało rozbite, ponieważ Boga nie ma, a więc nie ma siły, która zmieniłaby ogniskową spalania się plazmy. Ale mimo wszystko działaj, ustawiaj zapasową aparaturę.

Bykow wstał i zadzierając głowę zaczął oglądać sufit.

- Trzeba jeszcze solidnie zabezpieczyć dziury. Tam w dole panuje wielkie ciśnienie i smołoplast nie wytrzyma. Ale sam to zrobię.

Odwrócił się, zamierzając odejść, ale przystanął jednak jeszcze na moment i zapytał cicho:

- Nie boisz się, malcze?

W szkole malcami nazywano pierwszoroczników i w ogóle wszystkich młodszych.

- Nie - odpowiedział Żylin.

- Dobra! Zabieraj się do roboty - powiedział Bykow. - Pójdę obejrzyć statek. Trzeba jeszcze uwolnić pasażerów z amortyzatorów.

Żylin milczał. Odprowadzał wzrokiem szerokie, przygarbione plecy kapitana i nagle tuż obok zobaczył Warieczkę. Stała na tylnych nogach i wolno mrugała wylupiastymi oczami. Cała była granatowa w białe kropki, na jej pysku straszyla się szczecina wąsów. Znaczyło to, że Warieczka jest bardzo niespokojna i że źle się czuje. Żylin widział ją już kiedyś w takim stanie. Było to przed miesiącem na raketodromie Mirza-Charle, kiedy Juricowski wiele rozprawiał o zadziwiającej zdolności przystosowywania się jaszczurek marsjańskich, a na dowód tego wrzucił Warieczkę do wanny z gorącą wodą.

Warieczka gwałtownie ziewnęła i znów zamknęła ogromną, szarą paszczę.

- No co? - szeptem zapytał Żylin.

Z sufitu oderwała się wielka kropla i - tik! - spadła na rozprutą osłonę aparatury. Żylin spojrzał na sufit. Tam, w dole, panuje wielkie ciśnienie. Tak, pomyślał, ciśnienie dochodzi tam do setek i tysięcy atmosfer. Uszczelki ze smołoplastu nie wytrzymają.

Warieczka poruszyła się i znowu otworzyła paszczę. Żylin poszperał w kieszeni, znalazł suchar i rzucił go w rozdziawioną paszczę. Warieczka przełknęła suchar bez pośpiechu, patrząc na niego szklanymi oczami. Żylin westchnął.

- Ech, ty łazęgo - rzekł cicho.

2. Planetolodzy milczą w poczuciu winy, a radiooptyk śpiewa piosenkę o jaskółkach.

Gdy „Tachmasib” przestał wywracać kozły, Dauge puścił krawędź komory wyrzutni, której się przedtem uczeplił, i wyciągnął bezwładne teraz ciało Jurkowskiego spod odłamków aparatury. Nie zdążył się jeszcze zorientować, co zostało rozbite, a co ocalało, wiedział wszakże, że wiele rzeczy uległo zniszczeniu, że stojak z pojemnikami przechylił się, pojemniki zaś poleciały na pulpit z przyrządami do kierowania radioteleskopem. W kabynie obserwacyjnej było gorąco i czuło się ostrą woń spalenizny.

Dauge wyszedł z opresji bez większego szwanku. Od razu kurczowo uchwycił się komory, więc tylko krew wystąpiła mu pod paznokciami i bardzo bolała go głowa. Jurkowski miał bladą twarz, powieki fioletowe. Dauge zaczął dmuchać mu w twarz, potrząsać za ramiona, klepać po policzkach. Jurkowski nie odzyskiwał przytomności. Jego głowa chwiała się na wszystkie strony. Dauge zaczął go ciągnąć do kabiny lekarskiej. Na korytarzu panował straszny chłód, na ścianach iskrzył się szron. Dauge położył sobie głowę Jurkowskiego na kolanach, zeszkrobał ze ściany trochę szronu i przyłożył zimne, mokre palce do jego skroni. W tym momencie doznał przeciążenia - Bykow zaczął właśnie hamować lot „Tachmasiba”. Wówczas Dauge położył się na wznak, ale poczuł się tak źle, że przewrócił się na brzuch i zaczął wodzić twarzą po oszronionej podłodze. Gdy przeciążenie minęło, Dauge poleżał jeszcze chwilę, potem wstał, ujął Jurkowskiego pod pachy i idąc tyłem, włókł go dalej. Od razu zorientował się, że nie zdoła dobrnąć do kabiny lekarskiej, i dlatego też przywłókł Jurkowskiego do kajuty ogólnej, rzucił na kanapę, a sam usiadł obok, sapiąc ciężko i dysząc. Jurkowski strasznie rzeził.

Gdy Dauge nieco odpoczął, wstał i podszedł do bufetu. Wziął karafkę z wodą i zaczął pić prosto z niej. Woda ciekła mu po podbródku i szyi za kołnierz. Dauge poczuł przyjemny chłodek. Wrócił do Jurkowskiego i spryskał mu twarz wodą z karafki. Potem postawił karafkę na podłodze i rozpiął Jurkowskiemu bluzę. Na ciele Jurkowskiego zauważył dziwny, zagmatwany rysunek, biegnący przez całą szerokość piersi od ramienia do ramienia. Rysunek przypominał kształtem dziwaczne wodorosty - na śniadej skórze odcinał się purpurą. Dauge przez dłuższą chwilę oglądał dziwny rysunek, aż nagle zdał sobie sprawę, że jest to ślad po silnym porażeniu prądem elektrycznym. Widocznie Jurkowski upadł na nieosłonięte przewody, znajdujące się pod wysokim napięciem. Cała aparatura pomiarowa planetologów

pracowała pod wysokim napięciem. Dauge puścił się biegiem do kabiny lekarskiej. Zrobił Jurkowskiemu cztery zastrzyki i dopiero wówczas ten ostatni otworzył oczy. Dauge bardzo się ucieszył, chociaż wzrok Jurkowskiego był zamglony i bezmyślny.

- O niech cię diabli, Wołodia - powiedział z ulgą w głosie. - Już myślałem, że z tobą całkiem kiepsko. No jak, możesz się podnieść?

Jurkowski poruszył wargami, otworzył usta i coś wychrypiał. Oczy jego pojaśniały, zmarszczył brwi.

- Dobrze, dobrze, leż - rzekł Dauge. - Musisz trochę poleżeć. Odwrócił się i ujrzał w drzwiach Charlesa Molliara. Molliar stał

trzymając się framugi drzwi, chwiając się z lekka. Twarz miał czerwoną, nabrzmiąłą, cały był mokry i obwieszony jakimiś białymi sopelkami. Daugemu wydało się nawet, że unosi się z niego para. Molliar stał dłuższą chwilę w milczeniu, przenosząc wzrok z Daugego na Jurkowskiego, planetolodzy zaś patrzyli na niego ze zdumieniem. Jurkowski przestał chrypieć. Potem Molliar mocno kiwnął się ku przodowi, przestąpił próg i szybko przebijając nogami dotarł do najbliższego fotela. Był cały mokry i wyglądał fatalnie. A kiedy usiadł, w kajucie rozszedł się zapach gotowanego mięsa. Dauge pociągnął nosem.

To zupa? - zapytał.

- *Oui monsieur* - odrzekł żałośnie Molliar. - *Vermicelle*.

- A jak tam zupa? - zapytał Dauge. - Doskonał-je?

- Doskonał-je - odparł Molliar i zaczął zbierać z siebie makaron.

- Bardzo lubię zupę - wyjaśnił Dauge. - I zawsze się nią interesuję.

Molliar westchnął i uśmiechnął się.

- Nie ma już zupa - powiedział. - To była bardzo gorąca zupa. Ale nie była to wrzątek.

- O Boże! - zawołał Dauge i mimo wszystko się roześmiał. Molliar także zaczął się śmiać.

- Tak! - zawołał. - To było bardzo zabawne, ale bardzo niemile i zupa przepadła.

Jurkowski zachrypiał. Twarz mu się wykrzywiła i nabiegła krwią. Dauge spojrział na niego z niepokojem.

- Waldemar mocno się uderzył? - zapytał Molliar i wyciągając szyję, spojrział na Jurkowskiego z trwogą i ciekawością.

- Waldemara poraził prąd - rzekł Dauge. Teraz już się nie uśmiechał.

- Ale co się stało? - powiedział Molliar. - To było bardzo przykro...

Jurkowski przestał rzeźzić, siadł, strasznie wyszczerzył zęby i zaczął grzebać w kieszeni bluzy na piersi.

- Co z tobą, Wołodia? - stropił się Dauge.

- Waldemar nie może mówić - rzekł cicho Molliar. Jurkowski skwapliwie pokiwał głową, wyciągnął wieczne pióro oraz notes i potrząsając głową, zaczął pisać.

- Uspokój się, Wołodia - wyszeptał Dauge. - To przejdzie ci wkrótce.

- To przejdzie - przytaknął Molliar. - Ze mną też tak było. Był bardzo silny prąd, a potem wszystko przeszło.

Jurkowski podał notes Daugemu, znów się położył i przymknął oczy.

- Nie mogę mówić - z trudem rozszyfrował Dauge. - Nie przejmuj się, Wołodia, to przejdzie. - Jurkowski szarpnął się niecierpliwie. - Tak. Zaraz. Co z Aleksiejem i z pilotami? Co ze statkiem? Nie wiem - rzekł Dauge zmieszany i spojrzął w stronę luku, prowadzącego do kabiny nawigacyjnej.

- Niech to diabli, o wszystkim zapomniałem.

Jurkowski potrząsnął głową i również spojrzął na luk, prowadzący do kabiny nawigacyjnej.

- Zobaczę - rzekł Molliar. - Zaraz się dowiem wszystkiego. Podniósł się z fotela. Tymczasem luk się otworzył i do kajuty

wszedł kapitan Bykow, olbrzymi, nasepiony, o nienaturalnie fioletowym nosie i z granatowoczarnym siniakiem nad prawym okiem. Obrzucił wszystkich wściekłym spojrzeniem maleńkich oczu, podszedł do stołu, wsparł się o jego blat pięściami i rzekł:

- Dlaczego pasażerowie nie w amortyzatorach? Powiedział to głosem cichym, ale tak, że z twarzy Charlesa

Molliara od razu zniknęła radość. Nastąpiła krótka chwila denerwującej ciszy, po czym Dauge wykrzywił się w jakimś dziwnym grymasie i zaczął patrzeć gdzieś w bok. Jurkowski natomiast znów przymknął oczy. No, nie jest wesoło, pomyślał sobie Jurkowski. Znał przecież dobrze Bykova.

- Kiedy wreszcie na tym statku zapanuje dyscyplina? - rzekł Bykow.

Pasażerowie milczeli.

- Smarkacze - powiedział Bykow z niesmakiem i usiadł. - Czy to żłobek? Co z wami, monsieur Molliar? - W jego głosie brzmiało znużenie.

To zupa - skwapliwie odparł Molliar. - Już idę się oczyścić.

- Poczekajcie, monsieur Molliar - powstrzymał go Bykow.

- Kch... ziemy? - zachrypiał Jurkowski.

- Spadamy - uciął Bykow. Jurkowski wstrząsnął się cały i wstał:

- Kch... zie? - zapytał.

Spodziewał się tego, ale mimo wszystko aż go poderwało.

- Na Jowisza - poinformował Bykow.

Nie patrzył na planetologów. Spoglądał tylko na Molliara. Było mu go żal, bardzo. Przecież to pierwszy, naprawdę poważny rejs kosmiczny Molliara i na Amaltei oczekiwano go niecierpliwie. Molliar był świetnym radiooptykiem.

- O - odezwał się Molliar - na Jowisza?

- Tak. - Bykow zamilkł, obmacując siniak na czole. - Zwierciadło fotonowe rozbite. Aparatura kontrolna zwierciadła zniszczona. Statek ma osiemnaście dziur.

- Czy spłonimy? - spytał niecierpliwie Dauge.

- Na razie jeszcze nie wiem. Misza przeprowadza obliczenia. Może i nie spłonimy.

Bykow zamilkł. Molliar znów się odezwał:

- Pójdę się oczyścić.

- Zaczekajcie, Charles - przerwał mu Bykow. - Towarzysze, czy zrozumieliście dobrze, co wam powiedziałem? Spadamy na Jowisza.

- Zrozumieliśmy - rzekł Dauge.

Teraz będziemy spadać na Jowisza aż do końca życia - powiedział Molliar.

Bykow nie odrywając wzroku patrzył na niego spod oka.

- D-dobrze powiedziane - rzekł Jurkowski.

- *C'est le mot* - potwierdził Molliar, uśmiechając się. - Czy można... czy można, jednak mimo wszystko pójdę się oczyścić?

- No, idźcie już - wycodził Bykow.

Molliar odwrócił się i wyszedł z kajuty. Wszyscy patrzyli za nim i usłyszeli, jak w korytarzu zaczął coś śpiewać cichym, acz przyjemnym głosem.

- Co on śpiewa? - zapytał Bykow. - Molliar nigdy dotąd nie śpiewał.

Dauge przysłuchiwał się przez chwilę, po czym zaczął tłumaczyć:

- Dwie jaskółki całują się za oknem mojego gwiazdolotu. W ogromnej pustce-ce-ce. Co je zagnało aż tutaj? One bardzo się kochały i przyfrunęły aż tu, by popatrzeć na gwiazdy. Tra-la-la. I co wam do tego. Coś w tym rodzaju.

- Tra-la-la - rzekł zamyślony Bykow. - Fajne to.

- T-ty t-tłu-tłumaczysz j-jak maszyna LIANTO - rzekł Jurkowski. - P-pra-awdziwe aar-rcydzieło.

Bykow spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- A co ci jest, Wołodia? - zapytał. - Co z tobą?

- J-jąkała n-na całe życie - odparł Jurkowski.

- Prąd go poraził - szepnął Dauge. Bykow poruszył wargami.

- No nic - powiedział. - Nie my pierwsi. Bywało gorzej. Wiedział dobrze, że dotychczas nigdy jeszcze nie było gorzej.

Ani z nim, ani z planetologami. Przez niedomknięty luk posłyszeli głos Michaiła Antonowicza:

- Aloszeńka, gotowe!

- Chodź tutaj - rzekł Bykow.

Michaił Antonowicz, gruby i pokiereszowany, wpadł do kajuty. Był bez koszuli, cały lśnił od potu.

- Och, j aktu macie chłodno! - powiedział, obejmując tęgą pierś krótkimi, pulchnymi dłońmi. - A w kabynie nawigacyjnej potwornie gorąco.

- Dawaj, Misza - niecierpliwił się Bykow,

- A co z Wołodieńką? - przestraszył się nawigator.

- Dawaj, dawaj - powtórzył Bykow. - Prąd go poraził.

- A gdzie jest Charles? - siadając, zapytał nawigator.

- Charles zdrow i cały - odrzekł Bykow, hamując zniecierpliwienie. - Wszyscy zdrowi i cali. Zaczynaj.

- No, to chwala Bogu - odetchnął z ulgą nawigator. - No więc, chłopcy. Coś niecoś obliczyłem i oto co z tego wynika: „Tachmasib” spada, ale nie starczy nam paliwa, żeby się wyrwać.

- To jasne nawet dla jeża - rzekł Jurkowski, prawie się nie zacinając.

- Nie starczy. Wyrwać się można tylko na reaktorze fotonowym, ale zdaje się mamy rozbite zwierciadło. A na hamowanie lotu paliwa starczy. Obliczyłem, oto program. Jeśli uznana powszechnie teoria budowy egzosfery Jowisza jest słuszna, to nie spłoniemy.

Dauge chciał wtrącić, że nie istnieje i nigdy nie istniała żadna powszechnie uznana teoria budowy Jowisza, jednak się powstrzymał.

- Już w tej chwili niezgorzej hamujemy - ciągnął Michaił Antonowicz. - Sądzą, że spadanie przebiegnie pomyślnie. Nic więcej nie możemy zdziałać, chłopcy. - Michaił Antonowicz uśmiechnął się, jakby był winowajcą. - Jeśli oczywiście nie zreperujemy zwierciadła.

- Na Jowiszu nie ma stacji remontowych. To wynika jasno ze wszystkich teorii budowy Jowisza.

Bykow chciał, żeby chłopcy zdali sobie sprawę z sytuacji. Żeby zrozumieli wszystko do końca. Wciąż mu się jeszcze wydawało, że chłopcy nie zdawali sobie z tego sprawy.

- Jaką teorię budowy uważasz za uznaną powszechnie? - zapytał Dauge.

Michał Antonowicz wzruszył ramionami.

- Teorię Kangrena - odrzekł.

Bykow spoglądał wyczekująco na planetologów.

- No cóż - wzruszył ramionami Dauge. - Może być i Kangren. Jurkowski milczał, spoglądając w sufit.

- Słuchajcie, planetolodzy-specjaliści - nie wytrzymał Bykow. - Co będzie tam w dole? Czy możecie coś o tym powiedzieć?

- Tak, oczywiście - rzekł Dauge. - Już wkrótce powiemy ci o tym.

- Kiedy? - ożywił się Bykow.

- Gdy będziemy tam, na dole - roześmiał się Dauge.

- Planetolodzy - rzekł Bykow. - Spec-jali-ści.

T-trzeba obliczyć - powiedział Jurkowski, patrząc w sufit. Mówił powoli, prawie się nie zaciął. - Niech M-michał obliczy, na jakiej głębokości s-statek przestanie spadać i z-zawiśnie.

- A to ciekawe - zainteresował się Michał Antonowicz.

- W-według Kangrena ciśnienie atmosfery na Jowiszu r-rośnie szybko. O-oblicz, Misza. I podaj g-głębokość zanurzenia, c-ciśnienie na tej głębokości oraz siłę c-ciężkości.

- Tak - rzekł Dauge. - Jakie będzie ciśnienie? Może po prostu nas zgniecie.

- No, nie takie to łatwe - powiedział Bykow. - Dwieście tysięcy atmosfer wytrzymamy. A reaktor fotonowy i kadłuby raket wytrzymają więcej.

Jurkowski usiadł, podwinąwszy nogi.

- T-teoria Kangrena nie jest gorsza od innych - oznajmił. -Dostarczy nam podstawowych danych. - Spojrzał na nawigatora. -Moglibyśmy o-obliczyć to sami, ale ty masz m-maszynę.

- Oczywiście - przyznał Michał Antonowicz. - Nie ma o czym mówić. Oczywiście, chłopcy.

Bykow zwrócił się do Krutikowa z prośbą:

- Misza, daj mi program, tylko przejrzę... I zaraz przekaz go nawigatorowi cybernetycznemu.

- Już mu podałem, Loszeńka - odrzekł nawigator przepraszającym tonem.

- Aha. No cóż, dobrze - powiedział Bykow i wstał. - Tak. Teraz wszystko jasne. Nie zgniecie nas, oczywiście, ale z powrotem już się nie wydostaniemy - możemy to sobie otwarcie powiedzieć. Nie my pierwsi. Żyliśmy z honorem i z honorem umrzemy. Spróbuję

razem z Żylinem, może się coś uda zrobić ze zwierciadłem, ale to... nic... - Zmarszczył czoło i pokręcił spuchniętym nosem. - A co wy zamierzacie robić?

- P-prowadzić obserwacje - odparł zdecydowanie Jurkowski. Dauge przytaknął kiwnięciem głowy.

- Bardzo dobrze. - Bykow popatrzył na nich spod oka. - Mam do was prośbę. Zwróćcie uwagę na Molliara.

- Tak, tak - poparł go Michał Antonowicz.

- To człowiek nowy i... może się zdarzyć coś niedobrego... sami wiecie.

- Dobra, Losza - rzekł Dauge, uśmiechając się zuchowato. - Możesz być spokojny.

- No więc tak - powiedział Bykow. - Ty, Misza, idź do kabiny nawigacyjnej i dokonaj wszystkich obliczeń, a ja pójde pomasażować sobie bok. Strasznie się potłukłem.

Wychodząc usłyszał, jak Dauge mówi do Jurkowskiego:

- Wiesz, Wołodia, w pewnym sensie to się nam powiodło. Zobaczmy coś takiego, czego nikt dotychczas nie widział. No chodź, do dzieła.

- Ch-chodźmy-rzekł Jurkowski.

No, mnie nie zwiedziacie, pomyślał Bykow. A jednak jeszcze nie zdajecie sobie ze wszystkiego sprawy. Jednak jeszcze wierzycie. Myślcie sobie: Aleksiej wybawił nas z Czarnych Piachów Golkondy, wybawił nas ze zgniłych bagien, wybawi nas też od śmierci wodorowej. Dauge na pewno tak myśli. Ale czy Aleksiej wybawi? A może jednak, może wybawi?

W kabinie lekarskiej Molliar, głośno sapiąc z bólu, smarował się tłustą maścią taninową. Skórę na twarzy i rękach miał czerwoną i lśniącą. Gdy ujrzał Bykova, uśmiechnął się i zaczął głośno śpiewać piosenkę o jaskółkach. Wyglądało na to, że jest już całkiem uspokojony. I gdyby nie zaśpiewał tej piosenki, Bykow mógłby pomyśleć, że Molliar naprawdę już się uspokoił. Ale Molliar śpiewał zbyt głośno i zbyt wyraźnie, od czasu do czasu sycząc z bólu.

3. Inżynier pokładowy oddaje się wspomnieniom, a nawigator radzi mu, by nie wspominał.

Żylin remontował urządzenia kontrolne zwierciadła. W kabinie było bardzo gorąco i duszno, najwidoczniej system klimatyzacji na statku całkiem się rozregulował, ale nikt nie miał czasu ani ochoty, by się tym zająć. Żylin najpierw zrzucił z siebie bluzę, potem kombinezon i wreszcie został tylko w spodenkach i koszulce. Warieczka natychmiast ułożyła się w fałdach kombinezonu i wkrótce zniknęła - pozostał widoczny tylko jej cień, czasem ukazywały się i natychmiast nikły wielkie, wyłupiaste oczy.

Żylin wyciągał z rozbitego korpusu aparatu, jedną po drugiej, płyty z metalu plastycznego do schematów zapisów, sprawdzał całe, odkładał na bok rozbite i zaraz wymieniał je na zapasowe. Pracował metodycznie, bez pośpiechu, jak na egzaminie z montażu, bo też śpieszyć się nie było po co, a może też i dlatego, że i tak to wszystko na nic się prawdopodobnie nie przyda. Starał się nie myśleć o niczym i był zadowolony, że świetnie pamięta schemat ogólny, i że prawie wcale nie musi zaglądać do instrukcji, a także i z tego, że sam nie ucierpiał zbyt, że draśnięcia na głowie już zaschły i przestały boleć. Zza osłony fotoreaktora dolatywał szum maszyny obliczeniowej. Michał Antonowicz szeleścił papierem i nieskładnie nucił coś pod nosem. Michał Antonowicz zawsze podczas pracy mrucał pod nosem różne melodie.

Ciekawie, nad czym w tej chwili pracuje?, pomyślał Żylin. A może po prostu stara się czymś zająć, żeby nie myśleć o niczym. To wielka sztuka umieć w takiej chwili zająć się czymś. Planetolodzy też z pewnością pracują, zrzucają bombosondy. Tak więc nie udało mi się zobaczyć wybuchów serii bombosond. I wielu innych rzeczy też nie dane mi było zobaczyć. Powiadają, na przykład, że widok Jowisza z Amaltei jest wspaniały. Bardzo też pragnąłem wziąć udział w ekspedycji międzygwiazdnej albo w którejś z ekspedycji Tropicieli, uczonych poszukujących na innych planetach śladów Przybyszów z innych światów... Mówią wreszcie, że na „Stacjach J” są wspaniałe dziewczęta, przyjemnie byłoby je poznać, a później opowiedzieć o wszystkim Pierre'owi Huntowi, który dostał skierowanie na trasy księżycowe i był z tego, dziwak, zadowolony. Zabawne, Michał Antonowicz fałszuje tak, jakby robił to umyślnie. Krutikow ma żonę i dwoje dzieci, nie, troje, a starsza córka liczy już szesnaście lat. Ciągłe obiecywał, że nas pozna ze sobą i za każdym razem jakoś tak po kawalersku mrugał okiem, ale teraz to już przepadło. Teraz wiele rzeczy przepadło. Ojciec

będzie bardzo zdenerwowany - to fatalne! Jak to się wszystko źle złożyło - i to w pierwszym samodzielnym rejsie! Dobrze, że się wówczas z nią pogniewałem, pomyślał nagle Żylin. Teraz wszystko jest o wiele łatwiejsze, a mogło być bardzo trudne. Tak, na przykład, Michałowi Antonowiczowi na pewno jest o wiele gorzej niż mnie. I kapitanowi również. Kapitan ma żonę - bardzo ładna kobieta, wesoła i zdaje się mądra. Odprowadzała go i nic podobnego nawet jej przez myśl nie przeszło, a może i myślała o tym, tylko nie dawała po sobie poznać, chyba jednak nie, bo się już do tego przyzwyczała. Człowiek do wszystkiego może się przyzwycząć. Ja, na przykład, przyzwyczałem się do przeciążeń, chociaż z początku znosiłem je bardzo źle i nawet myślałem już, że przeniosą mnie na wydział zarządu tras. W szkole nazywano to „przejściem do dziewcząt”. Na wydziale studiowało dużo dziewcząt, zwyczajnych, miłych dziewcząt, zawsze było z nimi przyjemnie i wesoło, ale mimo to „przejście do dziewcząt” uważano za coś poniżającego. Właściwie nie wiadomo dlaczego. Dziewczęta szły pracować na różne Spu oraz na stacje i bazy na innych planetach i pracowały nie gorzej od chłopców. Czasem nawet lepiej. Mimo wszystko, pomyślał Żylin, to bardzo dobrze, żeśmy się wtedy pogniewali. Jak ona by się teraz czuła? Nagle zatrzymał wzrok na trzymanej w ręku rozbitej płytce ze schematem.

...całowaliśmy się w Wielkim Parku, a potem na bulwarze nabrzeżnym pod białymi posągami i odprowadzałem ją do domu, i znów długo całowaliśmy się w klatce schodowej, a przez cały czas, nie wiadomo dlaczego, chodzili jacyś ludzie, mimo że było już późno. A ona bała się bardzo, że raptem może się zjawić jej mama i zapytać: Co tu robisz, Wału, i kim jest ten młody człowiek? To było latem, noce były białe. A potem przyjechałem na ferie zimowe i znów spotkaliśmy się, i znów wszystko było jak dawniej, tylko w parku leżał śnieg i nagie gałęzie drzew kołysały się pod niskim szarym niebem. Zrywał się wiatr i obsypywał nas śnieżnym puchem, zmarznięci na kość biegliśmy ogrzać się do kawiarni przy ulicy Kosmonautów. Cieszyliśmy się bardzo, że było tu pusto, siedzieliśmy przy oknie i patrzyliśmy, jak ulicą mkną samochody. Założyłem się, że znam wszystkie marki samochodów. I przegrałem; podjechało wspaniałe, smukłe auto i nie wiedziałem, jakiej jest marki. Wyszedłem na ulicę, by się dowiedzieć, i powiedziano mi, że to Złoty Smok, nowy i chiński automokar. Spieraliśmy się o wszystko gwałtownie. Wówczas wydawało się, że to jest najważniejsze, że tak już będzie: zawsze - i zimą, i latem, na bulwarze nabrzeżnym pod białymi posągami i w Wielkim Parku, i w teatrze, gdzie ona wyglądała tak pięknie w czarnej sukni z białym kołnierzem, i wciąż trącała mnie w bok, żebym się nie śmiał zbyt głośno. Ale pewnego razu nie przyszła na umówione spotkanie. Więc przez wideofon umówiłem się z nią ponownie, ale znów nie przyszła. I gdy wróciłem do szkoły, przestała pisywać do mnie listy.

Wciąż jeszcze nie mogłem w to uwierzyć i pisywałem do niej długie, bardzo głupie listy, lecz wówczas jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że są głupie. A w rok później zobaczyłem ją w naszym klubie. Była tam z jakąś koleżanką i nawet mnie nie poznała. Wydawało mi się, że wszystko już dla mnie stracone, ale pod koniec piątego roku przeszło mi to jakoś i nie rozumiem nawet, dlaczego mi się to wszystko przypomniało teraz. Chyba dlatego, że obecnie i tak już mi wszystko jedno. Mógłbym nawet o tym nie myśleć, ale jeśli i tak wszystko jedno...

Drzwi luku głośno trzasnęły i zabrzmiał głos Bykowa:

- No jak tam, Misza?

- Kończymy pierwszy skręt po spirali, Aloszeńka. Spadliśmy o pięćset kilometrów.

- Tak... - słychać było, jak w kabinie ktoś potrąca nogami odłamki masy plastikowej. -

No więc tak. Łączności z Amalteą oczywiście nie ma.

- Odbiornik milczy - westchnął Michaił Antonowicz. - Nadajnik działa, ale tutaj przecież takie burze radiowe...

- Jak tam twoje obliczenia?

- Już prawie gotowe, Aloszeńka. Wynika z tego, że spadniemy o jakieś sześć-siedem megametrów i tam zawiśniemy. Będziemy pływali, jak powiada Wołodia. Ciśnienie olbrzymie, ale nie zgniecie nas, to jasne. Tylko będzie bardzo ciężko - siła ciężkości wynosi tam dwa do dwóch i pół jednostek.

- Uhm - mruknął Bykow, potem milczał przez chwilę i wreszcie rzekł: - Może masz jakąś myśl?

- Co?

- Pytam, czy masz jakąś myśl? Jak się stąd wydostać?

- Coś ty, Aloszeńka. - Głos nawigatora brzmiał dziwnie łagodnie, prawie przymilnie. - Co tu można wymyślić! Przecież to Jowisz. Nie słyszałem jakoś dotychczas, by ktoś się stąd... wydostał.

Nastąpiło długie milczenie, Żylin znów sprawnie i cicho zabrał się do pracy. Po długiej chwili Michaił Antonowicz rzekł nagle:

- Nie wspominaj jej lepiej, Aloszeńka. Lepiej nie wspominać, bo się tak strasznie robi człowiekowi na duszy, prawda?...

- Toteż nie wspominam - odparł Bykow jakimś takim nieprzyjemnym tonem. - I tobie nie radzę, nawigatorze. Iwanie! - zawołał kapitan.

- Tak? - poruszył się Żylin.

- Jeszcze się grzebiesz?

- Zaraz kończę.

Słychać było, jak kapitan idzie do niego, potrącając odłamki masy plastikowej.

- Śmietnik - mrucał pod nosem. - Knajpa. Żłobek. Wyszedł zza osłony reaktora i przykucnął obok Żylina.

- Zaraz kończę - powtórzył Żylin.

- Wcale ci nie spieszno, inżynierze - rozłościł się Bykow.

Zaczął sapać i zabrał się do wyciągania z futerału bloków zapasowych. Żylin odsunął się trochę, by zrobić mu miejsce. Obaj byli potężni, barczyści, więc trochę brakowało im tu miejsca. Pracowali w milczeniu, sprawnie. Słychać było, jak Michaił Antonowicz znów nucił, włączwszy maszynę obliczeniową.

Gdy skończyli montaż, Bykow przywołał nawigatora:

- Misza, chodź tutaj.

Kapitan wstał, wyprostował się i otarł pot z czoła. Potem nogą odsunął kupę rozbitych płytek i włączył kontrolę ogólną. Na ekranie urządzenia ukazał się trójwymiarowy obraz schematu zwierciadła. Obraz powoli się obracał.

- Ojej - rzekł Michaił Antonowicz.

Tik-tiktik - z otworu wylotowego zaczęła wypływać niebieska taśma zapisu.

- A mikrodziur niewiele - rzekł cicho Żylin.

- Co tam mikrodziury - odparł Bykow i pochylił się bliżej nad ekranem. - O, gdzie najgorsze ścierwo.

Schemat zwierciadła miał kolor niebieski. Na niebieskim tle białe, jak wyszarpane, plamy. Były to miejsca, w których meteoryty albo przebiły warstwy substancji mezonowej, albo zniszczyły system komórek kontroli.

Białych plam było dużo, bliżej krawędzi zwierciadła zlewały się one w nierówny, biały kleks, zajmujący co najmniej jedną ósmą powierzchni paraboloidu.

Michaił Antonowicz machnął ręką i wrócił do maszyny obliczeniowej.

- Takim zwierciadłem tylko petardy zapalać - mruknął Żylin, po czym sięgnął po kombinezon, wytrząsnął z niego Warieczkę i zaczął się ubierać.

W kabinie znów zrobiło się chłodno. Bykow wciąż jeszcze stał, spoglądał na ekran i ogryzał paznokieć. Potem wziął taśmę zapisu i szybko zaczął ją przeglądać.

- Żylin - odezwał się nagle - weź dwa sigma-testery¹, sprawdź, czy działają, i przychodź do kesonu. Będę tam czekał na ciebie. Misza, rzuć wszystko i zajmij się naprawą dziur. Mówię ci, rzucaj wszystko.

- Dokąd cię niesie, Loszeńka? - zdziwił się Michaił Antonowicz.

- Na zewnątrz - uciął krótko Bykow i wyszedł.

- Po co? - zapytał Michaił Antonowicz, zwracając się do Żylina. Żylin wzruszył tylko ramionami. Nie wiedział po co. Naprawić zwierciadło w czasie rejsu, w przestrzeni, bez specjalistów chemików substancji mezonowej, bez olbrzymich krystalizatorów, bez pieców rakietowych - było wprost niepodobieństwem, rzeczą równie nieprawdopodobną, jak na przykład ściągnięcie Księżyca na Ziemię gołymi rękami. Zwierciadło w obecnym stanie, z odbitą krawędzią, mogło wprowadzić „Tachmasib” tylko w ruch wirowy, podobnie jak to było w momencie katastrofy.

- To jakiś nonsens - rzekł Żylin niepewnie.

Popatrzył na Michaiła Antonowicza, ten z kolei na niego, milczeli dłuższą chwilę, po czym nagle obaj zaczęli się gorączkowo krzątać. Krutikow pozbierał pośpiesznie swoje kartki i zwrócił się do Żylina:

- No idź już, idź, Waniusza.

W kesonie Bykow i Żylin włożyli skafandry próżniowe i z niejakim trudem wcisnęli się do windy. Pudło windy pomknęło szybko w dół wzdłuż gigantycznej rury fotoreaktora, na której umocowane były wszystkie segmenty statku - od gondoli dla ludzi aż po zwierciadło paraboliczne.

- To dobrze - stwierdził Bykow.

- Co dobrze? - nie rozumiał Żylin. Winda zatrzymała się.

- Dobrze, że winda działa - wyjaśnił Bykow.

- Aaa - westchnął Żylin rozczarowany.

- Mogłaby przecież nie działać - rzekł ostro Bykow. - Łaziłbyś wówczas dwieście metrów tam i z powrotem.

Wyszli z szybu windy i zatrzymali się na górnej platformie paraboloidu. W dół opadała pochyło czarna, pocętkowana kopuła zwierciadła. Zwierciadło było olbrzymie - siedemset pięćdziesiąt metrów długości, liczonych wzdłuż powierzchni, i pół kilometra średnicy. Z miejsca, w którym się znajdowali, nie było widać jego krawędzi. Nad ich głowami zwiślała ogromna srebrzysta tarcza komory ładowniczej. Po bokach, daleko

¹ Sigma-tester - urządzenie przenośne do kontroli zwierciadła parabolicznego na statku fotonowym

wysunięte na wspornikach, buchały bezgłośnie niebieskim płomieniem gardziele raket wodorowych. Wokół trwał przedziwnie rozmigotany, niezwykły i groźny wszechświat.

Z lewej strony ciągnęła się ściana rudej mgły. Daleko w dole, pod ich nogami, niesłychanie głęboko, mgła rozwarstwiała się na grube, zbite pasma obłoków, porozdzielane ciemnymi przepaściami. Jeszcze dalej i jeszcze głębiej obłoki te zlewały się w równą, brązową płaszczyznę. Po prawej stronie zalegała zbitą masą różowa mgła i Żylin ujrzał nagle Słońce - oślepiająco jasną maleńką, różową tarczę.

- Do dzieła. Umocuj w szybie - zakomenderował Bykow, podając Żylinowi zwój cienkiej liny.

Na drugim końcu liny zawiązał pętlę i zaciągnął ją sobie wokół pasa. Następnie powiesił na szyi oba testery i przerzucił nogę przez poręcz.

- Linę popuszczaj wolno - rzekł - No, idę.

Żylin stał przy poręczy i trzymając kurczowo linę obiema rękami obserwował, jak gruba, niezręczna postać w błyszczącym pancerzu znika powoli za wypukłością kopuły. Pancerz rzucał różowy odblask i na czarnej, cętkowatej kopule również kładły się nieruchome, różowe odblaski.

- Szybciej popuszczaj - rozległ się w hełmofonie głos Bykowa. Postać w pancerzu skryła się i na cętkowatej powierzchni pozostała tylko lśniąca gruba nić liny. Żylin zaczął przyglądać się Słońcu.

Chwilami różową tarczę przesłaniała mgła, a wówczas Słońce stawało się wyraźniejsze i aż czerwone. Żylin spojrzał w dół, pod nogi, i dostrzegł na platformie swój niewyraźny, różowy cień.

- Spójrz, Iwanie - odezwał się głos Bykowa. - W dół spójrz, w dół!

Żylin spojrzał we wskazanym kierunku. Głęboko w dole, z gładkiej brązowej płaszczyzny wypłynął, jak dziwaczne widmo, potężny, białawy kłęb, przypominający potworny grzyb. Powoli zaczął się rozciągać wszerek, na jego powierzchni można było dojrzeć ruchliwy niczym kłębowisko żmij, falisty deseń.

- Protuberaniec egzoferyczny - rzekł Bykow. - Zdaje się, że to wielka rzadkość. A niech to diabli, trzeba by było pokazać to chłopakom.

Miał na myśli planetologów. Raptem grzyb rozświetlił się od wewnątrz drżącym, liliowym światłem.

- Ech, ty... - westchnął mimowolnie Żylin.

- Popuszczaj linę - rzekł Bykow.

Żylin popuścił jeszcze trochę liny, nie odrywając wzroku od dziwnego zjawiska. Z początku wydawało się, że „Tachmasib” leci wprost na ten dziwaczny obłok, ale już po chwili Żylin zorientował się, że statek minie go z lewej strony w sporej odległości. Protuberaniec oderwał się od brązowej powierzchni i popłynął w różową mgłę, ciągnąc za sobą zlepiony ogon żółtych, przezroczystych nici. W niciach zapaliła się i szybko zgasła liliowa łuna. Protuberaniec rozpląnął się w różowym świetle.

Bykow pracował długo i wytrwale. Parokrotnie wracał na platformę, odpoczywał trochę i znów schodził, obierając za każdym razem nowy kierunek. Gdy wrócił po raz trzeci, miał już tylko jeden tester.

- Wypadł mi - rzekł krótko.

Żylin cierpliwie popuszczał i ściągał linę, wspierając się stopą o poręcz. W tej postawie zachowywał równowagę i mógł rozglądać się dookoła. Ale nigdzie nie dostrzegał żadnych zmian. Dopiero gdy kapitan wrócił po raz szósty i powiedział: „No dosyć. Chodźmy” Żylinowi przemknęło nagle przez myśl, że ruda, zamglona ściana po lewej - chmury nad powierzchnią Jowisza - wyraźnie się zbliżyła.

W kabinie nawigacyjnej panował porządek. Michaił Antonowicz wymiół odłamki i siedział teraz na zwykłym miejscu nastroszony, w futrzanej kurtce naciągniętej na kombinezon. Z jego ust wydobywały się obłoczki pary - w kabinie było chłodno. Bykow usiadł w fotelu,

oparłszy ręce na kolanach bacznie przyglądał się wpraw najpierw nawigatorowi, a potem Żylinowi. Nawigator i Żylin milczeli wyczekująco.

- Załatałeś dziury? - zapytał nawigatora kapitan. Michaił Antonowicz kilkakrotnie kiwnął głową.

- Jest szansa - rzekł Bykow.

Michaił Antonowicz wyprostował się i głośno wciągnął powietrze do płuc. Żylin z przejęcia przełknął ślinę.

- Jest szansa - powtórzył Bykow - Ale bardzo znikoma. I w zasadzie nierealna.

- No gadaj, Aloszeńka - poprosił cicho nawigator.

- Zaraz powiem. - Bykow zakaszłał. - Szesnaście procent zwierciadła nie nadaje się do niczego. Chodzi więc o to, czy możemy wykorzystać pozostałą powierzchnię zwierciadła, to znaczy osiemdziesiąt cztery procent? Nawet mniej niż osiemdziesiąt cztery, ponieważ jakieś dziesięć procent powierzchni znajduje się poza kontrolą- został zniszczony system komórek kontrolnych.

Nawigator i Żylin trwali w milczeniu, wyciągając szyje.

- Możemy - odpowiedział na postawione przez siebie pytanie Bykow. - W każdym razie możemy spróbować. Ogniskową spalania plazmy należy przemieścić tak, by skompensować asymetrię uszkodzonego zwierciadła.

- To jasne - rzekł Żylin drżącym głosem. Bykow spojrział na niego.

To nasza ostatnia szansa. Ja z Iwanem zajmę się przestrojeniem pułapek magnetycznych. Iwan z powodzeniem może pracować. A ty, Misza, obliczysz nam nowe położenie ogniskowej spalania z uwzględnieniem schematu uszkodzeń. Schemat zaraz dostaniesz. To szaleństwo, ale taka jest nasza jedyna szansa.

Spoglądał na nawigatora i gdy Michaił Antonowicz podniósł głowę, ich wzrok się spotkał. Obaj zrozumieli się doskonale i w lot. Tak, mogą nie zdążyć. Tam w dole, w warunkach potwornego ciśnienia korozja zaczyna zżerać kadłub statku i statek może się rozpuścić jak kostka cukru w gorącej wodzie, zanim zdążą zakończyć pracę. I nie można nawet o tym marzyć, by w zupełności skompensować asymetrię. I wreszcie, że nikt nigdy nie próbował prowadzić statku z taką kompensacją na silniku osłabionym co najmniej półtorakrotnie.

- To nasza jedyna szansa - podkreślił z naciskiem Bykow.

- Zrobi się, Loszeńka - obiecał Michaił Antonowicz. - Obliczyć nową ogniskową to proste. Zrobi się.

- Zaraz dam ci schemat martwych fragmentów - powtórzył Bykow. - Musimy się bardzo śpieszyć. Wkrótce nastąpi przeciążenie i wówczas niezwykle trudno będzie pracować. A jeśli spadniemy bardzo głęboko, włączenie silnika stanie się niebezpieczne, gdyż może spowodować reakcję łańcuchową w stężonym wodorze. - Pomyślał jeszcze chwilę i dodał: - Wtedy zamienimy się w gaz.

To jasne - powiedział Żylin. Palił się do roboty, chciał się za nią zabrać już, natychmiast.

- Schemat, Loszeńka, schemat - zapiszczał cienkim głosem Michaił Antonowicz, wyciągając dłoń o krótkich palcach.

Na tablicy pulpitu awaryjnego zamigotały trzy kolorowe światełka.

- No tak - stwierdził Michaił Antonowicz. - W rakietach awaryjnych kończy się paliwo.

Gwizdać na to - powiedział, wstając Bykow.

ROZDZIAŁ 3

LUDZIE W OTCHŁANI

1. Planetolodzy zabawiają się, a nawigator zostaje przyłapany na przemyście.

- Ładuj - rzekł Jurkowski.

Wisiał właśnie przy peryskopie z twarzą przyciśniętą do zamszowego wizjera okularu. Wisiał w pozycji poziomej, brzuchem w dół, z nogami i rękami rozrzuconymi szeroko, a obok niego w powietrzu pływał gruby dziennik obserwacji oraz wieczne pióro. Molliar zręcznie odsunął pokrywę komory, wyciągnął ze stojaka pojemnik z bombosondami i, podpychając go z góry i z dołu, z wysiłkiem umieścił w prostokątnym otworze komory naboowej. Pojemnik powoli i cicho wśliznął się na miejsce. Molliar zaryglował pokrywę i szczerknął zamkiem.

- Gotowe, Waldemar - powiedział.

Molliar w warunkach nieważkości trzymał się świetnie. Co prawda, czynił niekiedy gwałtowne i nieostrożne ruchy i zawisał pod sufitem, tak że trzeba go było ściągać w dół. Od czasu do czasu chwytaly go również mdłości, ale jak na nowicjusza, który po raz pierwszy trafił w stan nieważkości, trzymał się dobrze.

- Gotowe - rzekł Dauge, obsługujący spektrograf egzosferyczny.

- Pal! - zakomenderował Jurkowski.

Dauge nacisnął cyngiel. Du-du-du-du - zadudniło głucho w komorze, a równocześnie tik-tik-tik - zaterkotał zamek spektrografu. Jurkowski widział przez peryskop, jak w pomarańczowej mgłę, przez którą przedzierał się w tej chwili „Tachmasib”, wybuchały jeden po drugim i szybko niosły się w górę białe kłęбки płomieni. Dwadzieścia rozbłysków, dwadzieścia wybuchów bombosond, powodujących promieniowanie mezonów.

- W-wspaniale - szepnął Jurkowski.

Na zewnątrz rosło ciśnienie. Bombosondy rwały się coraz bliżej. Spadanie ich było hamowane bardzo silnie.

Dauge spoglądając na przyrządy pomiarowe spektroanalizatora, mówił głośno do dyktafonu:

- Wodór molekularny - osiemdziesiąt jeden, trzydzieści pięć, hel - siedem, jedenaście, metan - cztery, szesnaście, amoniak -jeden, zero, jeden... Prążek niezidentyfikowany wzmacnia się... Mówiłem im: zainstalujcie automat do przekazywania pomiarów, tak przecież nie można...

- S-spadamy - rzekł Jurkowski. - Strasznie s-spadamy... -M-metanu już ledwie cz-cztery...

Dauge obracając się, odczytywał z wielką wprawą dane z przyrządów pomiarowych.

- Jak dotychczas wszystko się zgadza z Kangrenem - powiedział. - Proszę, batymetr już nie działa. Ciśnienie - trzysta atmosfer. Dalej nie będziemy już mogli mierzyć.

- Dobra - przerwał mu Jurkowski. - Ładuj.

- A czy warto? - odparł Dauge. - Batymetr wysiadł. Synchronizacja została naruszona.

- Spróbujemy jednak - naciskał Jurkowski. - Ł-ładuj. Obejrzał się na Molliara. Ten wolniutko kołysał się pod sufitem, uśmiechając się smętnie.

- Ściągnij go, Grisza - poprosił Jurkowski, Dauge wspiał się, chwycił Molliara za nogę i ściągnął w dół.

- Charles - powiedział wyrozumiale - nie można robić tak gwałtownych ruchów. Zaczepcie się czubkami butów, o tutaj, i trzymajcie się.

Molliar ciężko westchnął i odryglował pokrywę komory. Pusty Pojemnik wyskoczył z komory nabojoyej, uderzył go w pierś i posoli przesunął się w stronę Jurkowskiego. Ten się odchylił.

- O, znowu! - rzekł Molliar tonem winowajcy. - Przepraszam, Waldemar. Och, ten nieważkość!

- Ł-ładuj, ładuj - pośpieszał go Jurkowski.

- Słońce - oznajmił nagle Dauge.

Jurkowski przypadł do peryskopu. W pomarańczowej mgłę ukazała się na kilka sekund niewyraźna czerwona tarcza.

- To już ostatni raz. - Dauge zakaszłał.

- Już trzy razy mówiliście „ostami raz” - stwierdził Molliar, ryglując pokrywę, po czym pochylił się, by sprawdzić zamek. - Żegnaj Słońce, jak mawiał kapitan Nemo. Ale okazało się, że nie ostatni raz. Gotowe, Waldemar.

- Też gotowe - rzekł Dauge. - Może nam się jednak uda zakotwiczyć?

Do kabiny planetologów wszedł Bykow, szcękając po podłodze magnetycznymi podkownikami.

- Kończycie pracę - odezwał się ponurym głosem.

- D-dlaczego? - zapytał Jurkowski, zwracając się do niego.

- Zbyt wielkie ciśnienie za burtą. Jeszcze pół godziny i wasze bomby będą się rwały tu, w kabinie.

- P-pał - rzucił pospieszną komendę Jurkowski.

Dauge wahał się przez moment, nacisnął jednak cyngiel. Bykow zaczekał, aż przegrzmiało du-du-du w komorze wyrzutni.

- No, już dosyć - powiedział. - Pozatykać wszystkie otwory w aparaturze. Tę sztukę - wskazał na komorę wyrzutni - zaryglować i to na fest.

- A o-observacje przez p-peryskop można jeszcze p-prowadzić? - zapytał Jurkowski.

- Można - odparł Bykow. - Bawcie się, jeśli chcecie. Odwrócił się i wyszedł.

- No proszę - rzekł Dauge. - Wiedziałem od razu. Ni cholery nie wyszło. Nie ma synchronizacji.

Wyłączył aparaturę i zaczął wyciągać szpulę z dyktafonu.

- Jo-ohanyczu - zwrócił się Jurkowski do Daugego - m-myślę, że Aleksiej coś wykombinował, jak sądzisz?

- Nie wiem - odparł Dauge i spojrzał na niego. - Z czego to wnosisz?

- Ma t-takaj-jakąś gębę - powiedział Jurkowski. - Ja go z-znam. Przez dłuższą chwilę wszyscy trwali w milczeniu, tylko Molliar wzdychał głęboko, zbierało mu się na mdłości. Potem odezwał się Dauge:

- Jeść mi się chce. Co z zupą, Charles? Rozlaliście zupę, a my tu głodni. Kto dziś jest dyżurnym, Charles?

- Ja - odpowiedział Charles. Na myśl o jedzeniu zaczęło go mdlić jeszcze bardziej. Jednak przemógł się: - Pójdę i zgotuję nową zupę.

- Słońce! - krzyknął Jurkowski.

Dauge przywarł podbitym okiem do okularu wizjera.

- No widzicie - rzekł Molliar. - Znów Słońce.

- To nie Słońce - zaprzeczył Dauge.

- T-tak - powiedział Jurkowski. - To chyba nie Słońce. Daleka kula światła w jasnobłękitnej mgie bladła, wzdymała

się i rozplątała w szare plamy, aż wreszcie zniknęła zupełnie. Jurkowski patrzył zaciskając zęby, aż w skroniach mu łupało. Żegnaj, Słońce, pomyślał sobie. Żegnaj, Słońce.

- Jeść mi się chce - złościł się Dauge. - Chodźmy do kambuza, Charles.

Odbił się z wprawą od ściany, podpłynął ku drzwiom i otworzył je. Molliar także się odepchnął i uderzył głową w gzyms. Dauge złapał go za rękę o rozczapierzonych palcach i wyciągnął na korytarz. Jurkowski słyszał, jak Johanycz zwrócił się do radiooptyka z pytaniem:

- No, jak zdrowie, doskonal-je?

- Doskonal-je, chociaż żyć tu trudno - odrzekł Molliar.

- To nic - pocieszył go Dauge. - Wkrótce się przyzwyczaiacie.

To nic, pomyślał Jurkowski, wkrótce wszystko się skończy. Spojrzał przez peryskop. Widać było, jak w górze, skąd spadał planeto-lot, zagęszcza się brązowy tuman, a w dole z niesłychanych głębi, z bezdennych głębi wodorowej przepaści prześwitywało dziwne różowe światło. Wówczas Jurkowski zamknął oczy. Żyć, pomyślał. Żyć jak najdłużej. Żyć wiecznie. Wczepił obie ręce we włosy i mocno zacisnął powieki. Stracić wzrok, słuch, oniemieć, ale żyć. Byle czuć Słońce i wiatr, a obok obecność przyjaciela. Ból, niemoc, żal. Tak jak teraz.

Z całej siły szarpnął rękami za włosy. Niech będzie tak, jak teraz, byle zawsze tak było. Raptem usłyszał, że sapie głośno i oprzytomniał. Uczucie dzikiego, straszliwego przerażenia i rozpaczki zniknęło. Przeżywał już podobne chwile - dwanaście lat temu na Marsie, dziesięć lat temu na Golkondzie, a dwa lata temu znów na Marsie. Szalony przypływ pragnienia - żyć za wszelką cenę - pragnienia niročnego i tak odwiecznego jak sama protoplazma. Jakby zapadł na chwilę w malignę. Ale to mija. Trzeba to umieć znieść jak ból. I natychmiast zająć się czymś konkretnym. Loszka kazał zabezpieczyć otwory w aparaturze.

Odjął dłonie od twarzy, otworzył oczy i spostrzegł, że siedzi na podłodze. Spadanie „Tachmasiba” zostało przyhamowane, rzeczy z powrotem nabierały wagi.

Jurkowski podszedł do małego pulpitu i pozatykał w osłonie gondoli wszystkie otwory, w które wstawiało się czujniki przyrządów. Następnie starannie zaryglował komorę wyrzutni, zebrał porzrzućane pojemniki po bombosondach i ułożył je porządnie w stojakach. Zajrzał jeszcze w peryskop i wydało mu się - chyba tak było rzeczywiście - że mgła w górze zgęstniała, a różowa jasność w dole przybrała na sile. Pomyślał sobie, że na taką głębokość w atmosferę Jowisza nie przeniknął jeszcze żaden człowiek, może tylko sławnej pamięci Sierioza Pietruszewski, ale i on prawdopodobnie zginął wcześniej przy wybuchu statku. Miał także rozbite zwierciadło.

Jurkowski wyszedł na korytarz i skierował się do kajuty ogólnej, zaglądając po drodze kolejno do wszystkich kajut. „Tachmasib” jeszcze spadał, chociaż z każdą minutą wolniej, i Jurkowski szedł na palcach, jak gdyby pod wodą, balansując rękami i od czasu do czasu mimowolnie podskakując.

W opustoszałym korytarzu nagle zabrzmiał stłumiony krzyk Molliara, podobny do zawołania bojowego: „Jak zdrowie, Gregoire, doskonal-je?”. Widocznie Daugemu udało się wprawić radiooptyka w zwykły nastrój. Odpowiedzi Gregoire’a Jurkowski nie słyszał, „Doskonal-je” - bąknął pod nosem, nie zauważając nawet, że się niejaka. Mimo wszystko, doskonale.

Zajrzał do kajuty Michaiła Antonowicza. W kajucie było ciemno i unosił się tu dziwny aromat. Jurkowski wszedł i zapalił światło. Pośrodku pokoju poniewierała się rozdarta na strzępy walizka. Jurkowski nigdy dotychczas nie widział walizki w takim stanie. Mogłaby tak wyglądać, gdyby wybuchła w niej któraś z bombosond. Matowy sufit i ściany kajuty były zachlapane czymś śliskim i brązowym. Od tych plam biła ostra, smakowita woń. Midie z przyprawami korzennymi, odgadł od razu Jurkowski. Sam bardzo lubił midie z przyprawami, niestety, były one stanowczo zakazane jako pożywienie dla kosmonautów. Obejrzał się wokół i dostrzegł tuż nad drzwiami lśniąca czarna plamę - dziurę po uderzeniu meteorytu. W gondoli przeznaczonej dla ludzi wszystkie kabiny były hermetyczne. W razie uderzenia meteorytu dopływ powietrza do nich zostawał automatycznie wstrzymany aż do chwili, gdy smołoplast - lepka i gęsta substancja stanowiąca warstwę kadłuba - zaciągnął szczelnie dziury. Wszystko trwa nie więcej niż sekundę, dwie, ale w tym czasie ciśnienie w kabinie może poważnie spaść. Nie jest to zbyt groźne dla człowieka, ale śmiertelne dla przemycanych konserw. Puszki po prostu wybuchają. Szczególnie zaś konserwy z przyprawami aromatycznymi. Przemyt, pomyślał Jurkowski. Stary łakomczuchu! No, kapitan da ci szkołę. Bykow nie toleruje przemytu.

Jurkowski jeszcze raz rozejrzał się po kajucie i zauważył, że czarna plama dziury srebrzy się z lekka. Aha, pomyślał, ktoś zametalizował już dziury. Słusznie, gdyż w przeciwnym razie pod takim ciśnieniem uszczelki ze smołoplastu wcisnęłyby do środka. Jurkowski zgasił światło i wrócił na korytarz. W tej chwili zdał sobie sprawę, że jest zmęczony, całe ciało ciążyło jak nalane ołowiem. O, niech to diabli, jak się rozkleiłem!, pomyślał i nagle poczuł, że taśma, na której był zawieszony mikrofon, wpija mu się w szyję. Zrozumiał,

O co chodzi. Lot się kończył. Za kilka minut siła ciężkości zwiększy się dwukrotnie i nad głową będzie dziesięć tysięcy kilometrów zagęszczonego wodoru, a pod nogami sześćdziesiąt tysięcy kilometrów bardzo gęstego, ciekłego i zestalonego wodoru. Każdy kilogram ciała będzie ważył dwa kilogramy albo i więcej. Biedny Charles, pomyślał Jurkowski. Biedny Misza.

- Waldemar! - zawołał za jego plecami Molliar. - Waldemar, pomóżcie nam wieźć zupę. Coś bardzo ciężka ta zupa.

Jurkowski obejrzał się za siebie. Dauge i Molliar, czerwoni i spoceni, ciągnęli przez wejście do kambuza chwiejący się stół na kółkach. Na stoliku dymiły z lekka trzy rondle. Jurkowski ruszył ku nim i nagle poczuł, że mu się zrobiło ciężko. Molliar zawołał cicho „ach” i usiadł na podłodze. „Tachmasib” zatrzymał się. „Tachmasib” przybył wraz z załogą, pasażerami i ładunkiem na swą końcową stację.

2. Planetolodzy dręczą nawigatora, a radioptyk zadręcza planetologów.

- Kto gotował ten obiad? - zapytał Bykow.

Kolejno obrzucił wszystkich wzrokiem, po czym znów spojrzał na rondle. Michaił Antonowicz oddychając ciężko, ze świstem zwałił się piersią na stół. Twarz miał czerwoną i obrzmiałą.

- Ja - rzekł nieśmiało Molliar. - A o co chodzi? - zapytał Dauge.

Wszyscy mówili ochryple, z wyraźnym trudem wyrzucając z siebie słowa. Molliar skrzywił się w uśmiechu i położył na wznak na kanapie. Zrobiło mu się niedobrze. „Tachmasib już przestał spadać i siła ciężkości stawała się nie do zniesienia. Bykow popatrzył na Molliara.

- Ten obiad was zabije - rzekł. - Zjecie i więcej już nie wstaniecie. Zmiażdży was, rozumiecie?

- O, niech to diabli! - odezwał się zgnębiony Dauge. - Zapomniałem o sile ciężkości.

Molliar leżał z zamkniętymi oczami i ciężko oddychał. Usta miał szeroko otwarte.

- Zjemy trochę bulionu - oświadczył Bykow. - I to wszystko. Więcej ani odrobiny. - Spojrzał na Michaiła Antonowicza i skrzywił się w niedobrym uśmiechu. - Ani odrobiny - powtórzył.

Jurkowski wziął łyżkę wazową i zaczął nalewać bulion do talerzy.

- Ciężki obiad - ocenił.

- Pachnie smakowicie - powiedział Michaił Antonowicz. - Może jednak dolejesz mi jeszcze odrobinę, Wołodienka?

- Starczy - rzekł ostro Bykow.

Jadł bulion powoli, trzymając łyżkę po dziecinnemu w zaciśniętej pięści umazanej smarem grafitowym. Wszyscy jedli w milczeniu. Molliar podniósł się z trudem i znów opadł.

- Nie mogę - rzekł. - Darujcie, ale nie mogę. Bykow odłożył łyżkę i wstał.

- Wszystkim pasażerom polecam położyć się w amortyzatorach

- powiedział. Dauge przecząco pokręcił głową. - Jak sobie chcecie. Ale Molliara bezwzględnie położyć do amortyzatora.

- Dobra - rzekł Jurkowski.

Dauge wziął talerz, usiadł na kanapie obok Molliara i zaczął go karmić łyżką jak chorego. Molliar głośno łykał bulion, nie otwierając oczu.

- A gdzie Iwan? - zapytał Jurkowski.

- Na wachcie - odrzekł Bykow.

Wziął rondel z resztkami zupy i ruszył w stronę luku, stąpając ciężko na sztywnych nogach. Jurkowski z zaciśniętymi ustami spoglądał na jego przygarbione plecy.

- No, dosyć, chłopcy - westchnął żałośnie Michaił Antonowicz.

- Zaczynam się odchudzać. Tak przecież nie można. Teraz strach pomyśleć, ważę ponad dwieście kilo z hakiem. A będzie jeszcze gorzej. Wciąż jeszcze trochę spadamy.

Odchylił się do tyłu na oparcie fotela i złożył obrzmiałe dłonie na brzuchu. Potem trochę się jeszcze powiercił, położył ręce na boczne oparcie i prawie natychmiast zasnął.

- Śpi, grubas - oznajmił Dauge, spoglądając na niego. - Statek ginie, a nawigator kima. No, zjedz jeszcze łyżeczkę, Charles. Za tatę. No tak. A teraz za mamę.

- Nie mogę, darujcie - wymamrotał Molliar. - Nie mogę. Położę się. - Położył się i zaczął coś bredzić po francusku.

Dauge odstawił talerz na stół.

- Michaił - zawołał cicho. - Misza. Michaił Antonowicz chrapał głośno.

- Z-zaraz go ob-budzę - rzekł Jurkowski. - Michaił - odezwał się przymilnie - m-midie. M-midie z przyprawami.

Krutikow wzdrygnął się i przebudził.

- Co? - wymamrotał. - Co?

- Nieczyste s-sumienie - rzekł Jurkowski.

Dauge spojrział na nawigatora badawczym wzrokiem.

- Co wy tam wyprawiacie w swojej kabinie? - powiedział. Michaił Antonowicz zamrugał zaczerwienionymi powiekami,

potem zaczął się mościć w fotelu i próbował wstać, ledwo słyszalnie szepcząc:

-Ach, zapomniałem na amen...

- Siedź - powiedział Dauge.

- No w-więc, co w tej k-kabinie w-wyprawiacie? -I po kie licho?

- Nic szczególnego - zwierzył się Michaił Antonowicz i spojrział na luk do kabiny. - Naprawdę nic takiego, chłopcy, tylko tak...

- M-misza - nie dowierzał Jurkowski - p-przecież widzimy, że k-kapitan coś tam sobie w-wykombinował.

- Gadaj, grubasie - rozzłościł się Dauge. Nawigator znów próbował wstać.

- S-siedź - rzucił Jurkowski bezlitośnie. - Midie. Z przyprawami. Gadaj.

Michaił Antonowicz poczerwieniał jak burak.

- Nie jesteśmy dziećmi - rzekł Dauge. - Nieraz już zaglądaliśmy śmierci w oczy. Po kie lichu robicie jakieś sekrety?

- Jest szansa - ledwie słyszalnie wymamrotał nawigator.

- Szansa jest zawsze - odpalił Dauge. - Gadaj konkretnie.

- Znikoma szansa - rzekł Michaił Antonowicz. - Ale prawda, czas już na mnie.

- Co oni tam robią? - zapytał Dauge. - Loszka i Iwan? Michaił Antonowicz popatrzył smutno na luk do kabiny.

- Bykow nie chce wam mówić - szepnął. - Nie chce niepotrzebnie rozpalać w was nadziei, Aleksiej ma nadzieję wyrwać się stąd. Oni tam przemontowują system pułapek magnetycznych... I dajcie mi spokój, proszę! - wrzasnął przeraźliwie piskliwym głosem, jakos zdołał się podnieść i podreptał do kabiny.

- *Mon Dieu* - szepnął Molliar i znów położył się na wznak.

- A wszystko to bzdury, mielenie jęzorem - rzekł Dauge. - Oczywiście, Bykow nie potrafi siedzieć z założonymi rękami, nawet gdy kostucha sięga do gardła. Chodźmy. Chodźmy, Charles, położymy was do amortyzatora. Rozkaz kapitana.

Wzięli Molliara pod ręce z obu stron, dźwignęli z kanapy i wyprowadzili na korytarz. Głowa Molliara chwiała się na boki.

- *Mon Dieu* - mamrotał Molliar. - Darujcie. Ja kosmonauta bardzo kiepski. Ja tylko zwyczajny radiooptyk.

Bardzo trudno było im iść i dźwigać Molliara, ale mimo to planetolodzy dobrnęli do jego kajuty i ułożyli radiooptyka w amortyzatorze. Maleńki, bezsilny, ciężko dyszący, o zsiniałej twarzy leżał w długiej, o wiele za dużej jak na jego wzrost, skrzyni.

- Zaraz będzie wam lepiej, Charles - pocieszał go Dauge. Jurkowski kiwnął w milczeniu głową i natychmiast skrzywił się

czując ból w kręgosłupie.

- P-poleżcie sobie, o-odpocznijcie - rzekł.

- Doskonał-je - odparł Molliar. - Dziękuję, towarzysze. Dauge zamknął wieko i postukał. Molliar odstukał mu w odpowiedzi.

- No, dobrze - rzekł Dauge. - Teraz przydałyby się nam skafandry przeciwko przeciążeniom...

Jurkowski skierował się ku wyjściu. Na statku znajdowały się tylko trzy skafandry tego typu z przeznaczeniem dla załogi. W warunkach przeciążenia pasażerowie powinni byli znajdować się w amortyzatorach.

Planetolodzy obeszlili wszystkie kajuty i pozbiali wszystkie koce oraz poduszki. W kabinie obserwacyjnej długo mościli się przed peryskopami, obłożyli się wszystkim miękkim, co mieli, a potem położyli się i przez pewien czas trwali w milczeniu. Trudno było oddychać. Mieli wrażenie, że na piersi każdego z nich legł wielokilogramowy ciężar.

- P-pamiętam, jak na studiach p-przechodziliśmy próby w-wielkich przeciążeń - rzekł Jurkowski. - T-trzeba było zrzucać w-wagę.

- Tak - przypomniał sobie Dauge. - Aha, całkiem bym zapomniał. Co to za bzdury z tymi midiami i przyprawami?

- D-dobra rzecz, co? - rzekł Jurkowski. - Nasz nawigator w-wiózł w tajemnicy przed kapitanem k-kilka puszek i one mu wybuchły w w-walizce.

- Tak? - zdumiał się Dauge. - Znowu? A to łakomczuch. I w dodatku przemytnik! Jego szczęście, że Bykow ma teraz głowę zaprzątniętą czym innym.

- B-bykow z pewnością n-nic j-jeszcze n-nie wie - odrzekł Jurkowski.

I nigdy się nie dowie, pomyślał w duchu. Obaj milczeli przez chwilę, potem Dauge wziął dziennik obserwacji i zaczął go przeglądać. Sprawdzili niektóre dane pomiarów, potem zaczęli dyskutować na temat ataku meteorytów. Dauge uważał, że to jakiś przypadkowy rój. Jurkowski twierdził natomiast, że to był pierścień.

- Pierścień wokół Jowisza? - rzekł z powątpiewaniem Dauge.

- Tak - odparł Jurkowski. - Już dawno to przypuszczałem. A teraz przekonałem się.

- Nie - upierał się Dauge. - Jednak to nie pierścień. To tylko półpierścień.

- Niech będzie półpierścień - zgodził się Jurkowski.

- Kangren to tęga głowa - rzekł Dauge. - Obliczenia jego okazały się nadzwyczaj ścisłe.

- Niezupełnie - odparł Jurkowski.

- A to dlaczego? - zdziwił się Dauge.

- Dlatego, że wzrost temperatury jest o wiele powolniejszy - wyjaśnił Jurkowski.

- To jest światło wewnętrzne typu nieklasycznego - zaoponował Dauge.

- Właśnie, nieklasycznego - rzekł Jurkowski.

- Kangren nie mógł tego przewidzieć - powiedział Dauge.

- Musiał przewidzieć - odparł Jurkowski. - Na ten temat toczą się spory już od stu lat, musiał to przewidzieć.

- Wstyd ci po prostu - powiedział Dauge. - Tak się wyklócałeś z Kangrenem w Dublinie i teraz ci wstyd.

- Och, ty bałwanie - rzekł Jurkowski. - Przecież brałem pod uwagę efekty nieklasyczne.

- To wiem - odparł Dauge.

- No więc, jeśli wiesz - dociął mu Jurkowski - to nie gadaj głupstw.

- Nie wrzeszcz na mnie - rzekł Dauge. - To nie są głupstwa. Efekty nieklasyczne przewidziałeś, a sam widzisz, co to jest warte.

- To ty widzisz, co to jest warte - rozsierdził się Jurkowski. -Widzę, że nie czytałeś mojej ostatniej pracy.

- Dobra - łagodził Dauge - nie złość się. Plecy mi spuchły.

- Mnie też - powiedział Jurkowski, po czym przewrócił się na brzuch i stanął na czworakach. Nie było to łatwe. Teraz doczołgał się do peryskopu i zajrzał. - P-popatrz-trz - rzekł.

Patrzyli przez peryskopy. „Tachmasib” pływał w pustkowiu wypełnionym różowym światłem. Nie było widać ani jednego przedmiotu, nigdzie żadnego poruszenia, niczego co mogłoby zatrzymać wzrok. Tylko równomierne różowe światło. Zdawało się im, że patrzą wprost na fluoryzujący ekran. Po dłuższej chwili milczenia Jurkowski rzekł:

- Nudy.

Poprawił poduszki i znów położył się na wznak.

- Nikt jeszcze tego nie widział - powiedział Dauge. - To świecenie wodoru w stanie stałym.

- T-takie o-observacje - rzekł Jurkowski - nie są warte z-złamanego szeląga. Może podłączymy do p-peryskopu s-spektrograf?

- Bzdury - odparł Dauge, ledwie poruszając wargami. Opuścił się na poduszki i również położył się na wznak. - Szkoda - powiedział - przecież nikt jeszcze nigdy tego nie widział.

- J-jak nieznośna jest t-taka bezczynność - rzekł Jurkowski znudzony.

Dauge nagle dźwignął się, wsparł na łokciu i pochylił głowę, nasłuchując.

- Co ci jest? - zapytał Jurkowski.

- Cicho - odrzekł Dauge. - Posłuchaj.

Jurkowski zaczął nasłuchiwać. Skądś dolatywał huk, który to narastał falami, to znów przycichał jak buczenie gigantycznego trzmiela. Huk zmienił się w pomruk, dolatywał jeszcze skądś z góry, aż ucichł.

- Co to? - zapytał Dauge.

- Nie wiem - odparł Jurkowski półgłosem i usiadł. - A może to silnik?

- Nie, to stąd - Dauge wskazał ręką peryskop. - Ano... - Znow zaczął nasłuchiwać, bo znow do jego uszu doleciał narastający huk.

- Trzeba zobaczyć - rzekł Dauge. Gigantyczny trzmiel umilkł, ale po sekundzie zahuczał znowu. Dauge dźwignął się na kolana i wetknął twarz w wizjer peryskopu. - Spójrz! - zawołał.

Jurkowski podpełzł do peryskopu.

- Spójrz, jakie to wspaniałe! - wołał Dauge.

W żółtoróżowej otchłani pojawiały się olbrzymie, tęczowe kule. Przypominały bańki mydlane i mieniły się zielono, niebiesko i czerwono. Było to bardzo piękne i całkiem niepojęte. Kule wzbijały się z przepaści z niskim nasilającym hukiem, szybko przemieszczały się, znikając z pola widzenia. Miały różną wielkość, więc Dauge uczeplił się kurczowo zębatego koła dalmierza. Jedna kula, wyjątkowo wielka i rozkołysana, przemknęła całkiem niedaleko. Na moment kabinę obserwacyjną wypełnił przeraźliwie niski, dokuczliwy huk i planetolot lekko się zakółsał.

- Hej tam, w obserwatorium - rozległ się w megafonie głos Bykowa. - Co się dzieje za burzą?

- Coś niesłychanie dziwnego - odpowiedział Jurkowski, pochylając twarz nad mikrofonem.

- Co takiego? - zapytał Bykow.

- J-jakieś bańki - wyjaśnił Jurkowski.

- To i sam widzę - odburknął Bykow i umilkł.

- Nie jest to zestalony wodór - powiedział Jurkowski, prawie się nie zacinając.

Bańki zniknęły.

- No tak - rzekł Dauge. - Średnice. Pięćset, dziewięćset i trzy tysiące trzysta metrów. Jeśli oczywiście perspektywa nie jest tu wypaczona. Więcej nie zdążyłem. Co to może być takiego?

W różowej pustce przemknęły jeszcze dwie takie bańki. Rozległ się narastający, gruby, basowy huk, który zaraz ucichł.

- M-maszyna p-planety p-pracuje - rzekł Jurkowski. - I my nigdy nie będziemy wiedzieli, co się tam dzieje...

- Bańki w gazie - powiedział Dauge. - Jakież to może być gaz - gęstość jak benzyny...

Dauge odwrócił się. W otwartych drzwiach na progu siedział Molliar, przytulony skronią do framugi. Skóra twarzy z powodu przeciążenia obwisała mu aż na podbródek. Czoło miał białe, a szyję nalaną purpurą.

- To ja - odezwał się Molliar.

Przewrócił się na brzuch i doczołgał na swoje stanowisko przy komorze wyrzutni. Planetolodzy przyglądali mu się w milczeniu, potem Dauge wstał i wzięwszy dwie poduszki, swoją i Jurkowskiego, pomógł Molliarowi ułożyć się wygodnie. Wszyscy milczeli.

- Stłasznie nudno - przemówił wreszcie Molliar. - Nie mogą: sam wytrzymać. Chciałoby się porozmawiać - mówił radiooptyk, potwornie kalecząc rosyjski.

- Bardzo nam będzie miło, Charles - rzekł Dauge zupełnie szczerze. - Nam też się nudzi i cały czas sobie rozmawiamy.

Molliar spróbował usiąść, ale się rozmyślił, położył się znów i oddychając z trudem spoglądał w sufit.

- A jak zdrowie, Charles? - zainteresował się Jurkowski.

- Zdrowie doskonał-je - odrzekł Molliar z wymuszonym uśmiechem. - Tylko życia już niewiele.

Dauge również się położył i wbił wzrok w sufit. Niewiele, pomyślał sobie, dużo mniej, niż by się pragnęło. Zaklął półgłosem po lotewsku.

- Co? - zapytał Molliar.

- Zaklął sobie - objaśnił Jurkowski. Molliar nagle podniósł głos:

- Drodzy przyjaciele!

W tym momencie planetolodzy jak na komendę odwrócili się ku niemu.

- Drodzy przyjaciele! - powtórzył Molliar. - Co mam począć? Wy jesteście doświadczonymi kosmonautami! Wspaniałymi ludźmi, bohaterami. Tak, bohaterami! Mon Dieu! Częściej patrzyliście śmierci w oczy, niż ja spoglądałem w oczy dziewcząt. - Z żali pokiwał głową. - Zupełnie brak mi doświadczenia. Strach mnie ogarnia i teraz mam ochotę dużo mówić, ale teraz koniec już blisko i nie wiem, co powiedzieć. Tak, tak, nie wiem, co wam teraz powiedzieć

Patrzył na Daugego i Jurkowskiego błyszczącymi oczami. Dau-gemu wyrwało się niezręcznie: „Do diabła” - i zaraz obejrzał się na Jurkowskiego. Jurkowski leżał z rękami założonymi pod głowę i spode łba spoglądał na Molliara.

- Do diabła - rzekł Dauge. - Zapomniałem już o rym.

- Ch-chcecie, m-mogę wam opowiedzieć, j-jak p-pewnego razu; ch-chcieli mi am-mputować n-nogę - wyjąkał Jurkowski.

- Dobra - rozweselił się Dauge. - A potem Charles opowie nam także coś wesołego...
- Ach, wy wciąż sobie żartujecie - odparł Molliar.
- Można by też coś zaśpiewać - zaproponował Dauge. - Gdzieś czytałem o tym.

Zaśpiewacie nam, Charles?

-Ach - westchnął Charles. - Zupełnie się rozkleiłem.

- A skądże! - zaprotestował Dauge. - Trzymacie się wspaniale, Charles. A to najważniejsze. Charles trzyma się wspaniale, prawda, Wołodia?

- O-oczywiście - przyznał mu rację Jurkowski. - W-wspaniale.

- A kapitan nie śpi - ciągnął dalej Dauge dziarskim tonem. -Zauważyliście to, Charles?

Coś sobie wykombinował ten nasz kapitan.

- Tak - rzekł Molliar. - Tak! Kapitan to wielka nasza nadzieja.

- Jeszcze jaka - powiedział Dauge. - Nawet nie wyobrażacie sobie, jaka to dla nas wielka nadzieja.

- M-metr dziewięćdziesiąt pięć - uściślił Jurkowski. Molliar roześmiał się.

- Wciąż żartujecie - rzekł.

- A my tymczasem będziemy tu sobie rozmawiać i obserwować - powiedział Dauge. - Chciecie popatrzeć w peryskop, Charles? To wspaniale. Jeszcze nikt nigdy tego nie oglądał. - Dauge podniósł się i przywarł do peryskopu. Jurkowski spostrzegł, jak nagle zgięły mu się plecy. Dauge obiema rękami uchwycił się wizjera. - O Boże! -krzyknął. - Planetolot!

W różowej pustce wisiał planetolot. Był doskonale widoczny, w najdrobniejszych detalach, i znajdował się mniej więcej o jakieś trzy kilometry od „Tachmasiba”. Był to transportowiec fotonowy pierwszej klasy ze zwierciadłem parabolicznym; podobnym do rozpostartej spódnicy, z okrągłą gondolą dla ludzi i komorą ładunkową w kształcie tarczy z trzema cygarami rakiet awaryjnych, wysuniętych daleko w bok na wspornikach. Wisiał pionowo i całkiem nieruchomo. Był szary, jak na ekranie czarnobiałego filmu.

- Kto to może być? - wyszeptał Dauge. - Czyżby Pietruszewski?

- S-spójrz na zwierciadło - rzekł Jurkowski.

Szary planetolot miał zwierciadło obłamane na skraju.

- Też się chłopakom nie poszczęściło - stwierdził Dauge.

- Tam jeszcze jeden - odezwał się Molliar.

- Ten też ma rozbite zwierciadło - rzekł Dauge.

Drugi planetolot - całkiem identyczny - wisiał dalej i bardziej w głębi niż pierwszy.

- J-już wiem - odezwał się nieoczekiwanie Jurkowski. - To nasz „Tachmasib”. To m-miraż.

Był to miraż zdwukrotniony. Kilka tęczyowych baniek wzniosło Sle. w szybkim locie z głębin i widmowe odbicia „Tachmasiba”

zmieniły się, poczęły drżeć i znikły. Tymczasem z prawej strony, nieco wyżej, ukazały się jeszcze trzy widmowe obrazy.

- Jakież cudowne banie - zachwycił się Molliar. - One śpiewają.

Znów się położył na wznak. Krew mu poszła nosem, smarkał i krzywił się, wciąż popatrując na planetologów w obawie, że to spostrzegą. Naturalnie, oni tego nie widzieli.

- No - rzekł Dauge - powiadasz, że tu nudno.

- N-nic n-nie mówię - bronił się Jurkowski.

- Jak to, właśnie że mówisz - odparł Dauge. - Cały czas zrządzisz, że tu nudy.

Obaj starali się nie patrzeć na Molliara. Nie sposób było zatamować krwi. Skrzepnie sama. Radiooptyka należałoby odnieść do amortyzatora; ale... To nic, sama skrzepnie. Molliar cicho pociągał nosem.

- A tam znów miraż - obwieścił Dauge. - Ale to nie statek.

Jurkowski spojrział w peryskop. Niemożliwe, pomyślał. To niemożliwe. Ani tu, ani w samym Jowiszu. Pod „Tachmasibem” powoli przepływał wierzchołek olbrzymiej szarej skały. Jej podstawa tonęła w różowej mgle. Obok wznosiła się inna skała - naga, o stromych zboczach, poźłobiona głęboko równymi szczelinami. A jeszcze dalej wyrastało całe pasmo podobnych ostrych spadzistych szczytów. Ciszę w kabine obserwacyjnej zakłóciły jakieś poskrzypywania, szmery, ledwie dosłyszalny huk, przypominający dalekie echo górskich lawin.

- T-to już n-nie miraż - odezwał się Jurkowski. - To p-przypomina jądro.

- Bzdury - sprzeciwił się Dauge.

- M-może jednak J-jowisz ma j-jądro.

- Bzdura, bzdura - zirytował się Dauge.

Łańcuch górski ciągnął się pod „Tachmasibem” bez końca.

- O, i tam - rzekł Dauge.

Sponad skalistych wierzchołków wychyłała ciemna, bezkształtna gruda, wyrosła w oczach, zamieniła się w poszarpany odłam czarnego kamienia i zniknęła. Natychmiast w ślad za nią pojawiła się druga i trzecia, a w oddali przeświecała ledwie dostrzegalnie, jak zatarta plama, jakaś okrągła szara masa. Łańcuch górski w dole schodził stopniowo głębiej, aż zupełnie stracili go z oczu. Jurkowski, nie odrywając się od peryskopu, zbliżył mikrofon do ust. Słysząc było, jak zatrzeszczało mu w stawach.

- Bykow - zaczął wzywać. - Aleksiej.

- Aloszy nie ma, Wołodieńka - zabrzmiał głos nawigatora. Głos był zdyszany i zachrypnięty. - Bykow jest przy silniku.

- M-misza, znajdujemy się n-nad s-skałami - oznajmił Jurkowski.

- Nad jakimi skałami? - przeraził się Michał Antonowicz.

W oddali przesunęła się zdumiewająco równa, jak gdyby wypolerowana gładzina, olbrzymia równina, otoczona pasmem niewysokich wzgórz. Przesunęła się i pogrzyła powoli w różowej mgiele.

Jeszcze n-nie r-rozumiemy wszystkiego - przyznał Jurkowski.

- Zaraz zobaczę, Wołodieńka - powiedział Michał Antonowicz.

W peryskopie przepływała jeszcze jedna górzysta kraina. Płynęła wysoko w górze, a szczyty były zwrócone ku dołowi. Był to dziwny, fantastyczny widok i Jurkowski myślał początkowo, że to znów miraż. Ale to nie był miraż. Wówczas zrozumiał wszystko.

- To nie jądro, Johancyzu. To cmentarzysko. Dauge nic z tego nie rozumiał.

- To cmentarzysko światów - dodał Jurkowski. - Jowisz je pochłoniął.

Dauge milczał długo, wreszcie wyszeptał:

- Cóż za odkrycia... Pierścień, różowe promieniowanie, cmentarzysko światów...

Szkoda. Wielka szkoda.

Odwrócił się i zawołał na Molliara. Ten nie odpowiadał. Leżał z twarzą wciśniętą w podłogę.

Zaciągnęli Molliara do amortyzatora, przywrócili go do przytomności, a on, zmordowany i spuchnięty, pogrzył się od razu we śnie lub może zapadł w omdlenie. Potem obaj wrócili do kabiny obserwacyjnej i znów przywarli do peryskopu. Pod „Tachmasibem”, obok „Tachmasiba”, a od czasu do czasu także ponad „Tachmasibem” w masach gęstego wodoru przesuwwały się z wolna szczątki niepowstałych światów - góry, skały, potworne spękane bryły, przezroczyste szare tumany pyłów. Potem „Tachmasiba” przeniosło w bok i w peryskopach widoczne było tylko czyste, jednostajne, różowe światło.

- Jestem zmordowany jak pies - oświadczył Dauge. Przewrócił się na bok, aż zatrzeszczało w stawach. - Słyszysz?

- Słyszę - odrzekł Jurkowski. - Patrzmy dalej.

- Dobra - powiedział Dauge.

- Myślałem, że to jądro - rzekł Jurkowski.

- To niemożliwe - odparł Dauge. Jurkowski zaczął rozcierać sobie twarz dłońmi.

- To ty tak twierdzisz - powiedział. - Patrzmy dalej.

Wiele jeszcze widzieli i słyszeli albo im się tylko tak zdawało, ponieważ obaj byli potwornie zmęczeni i chwilami ciemniało im w oczach, a wówczas znikwały ściany kabiny obserwacyjnej i zostawało tylko jednostajne różowe światło. Widzieli szerokie, nieruchome zygzaki błyskawic, ginące gdzieś we mgle w górze i w różowej otchłani w dole i słyszeli, jak w nich samych z metalicznym łoskotem pulsowały fioletowe rozbłyski. Widzieli jakieś rozkołysane taśmy, które przepływały tuż obok z ostrym świstem. Rozpoznawali we mgle jakieś dziwaczne cienie, które poruszały się i przemieszczały z miejsca na miejsce i Dauge twierdził, że są to cienie trójwymiarowe, Jurkowski natomiast dowodził, że Dauge bredzi. Słyszeli wycie, pisk, łoskot i jakieś dziwne dźwięki podobne do ludzkich głosów i Dauge zaproponował, by je utrwalić na dyktafonie, ale w tej samej chwili spostrzegł, że Jurkowski śpi, leżąc na brzuchu. Wówczas ułożył go na wznak i znów wrócił do peryskopu.

Przez otwarte drzwi wpełzła do kabiny Warieczka, wlokąc brzuchem po podłodze. Była niebieska w kropki. Przyłazła do Jurkowskiego i wgramoliła mu się na kolana. Dauge chciał ją przegnać, ale nie miał już zupełnie sił. Nie mógł nawet unieść głowy. A Warieczka ciężko robiła bokami i mrugała powoli. Szczecina na jej pysku była najeżona, a półmetryjowy ogon drgał konwulsyjnie w rytm oddechu.

3. Nodchodzi moment pożegnań, a radioptyk nie wie, jak to zrobić.

W takich warunkach trudno było pracować, niewyobrażalnie trudno. Żylin parokrotnie tracił przytomność. Serce zamierało i wszystko wokół spowijała czerwona mgła. A w ustach przez cały czas czuło się smak krwi. Żylin bardzo się tego wstydził, gdyż Bykow pracował przez cały czas nieprzerwanie, rytmicznie i sprawnie jak maszyna. Kapitan był cały zlany potem, było mu też niesłychanie ciężko, ale widocznie potrafił siłą woli obronić się przed utratą przytomności. Już po dwóch godzinach Żylin zatracił zupełnie wszelką świadomość celu tej pracy, nie podtrzymywały go już żadne nadzieje ani przywiązanie do życia, ale za każdym razem, gdy się ocknął, powracał machinalnie do przerwanej pracy, ponieważ czuł obok obecność Bykowa. W pewnej chwili oprzytomniał i zorientował się, że Bykowa nie ma. Wówczas się rozplakał. Ale Bykow wkrótce powrócił, postawił przy nim rondel z zupą i rzekł: Jedz. Żylin zjadł i znów zabrał się do pracy. Bykow miał bladą twarz i ciemnoszarłatną, obrzękniętą szyję. Oddech jego był szybki i ciężki. Milczał. Jeśli zdołamy się uratować, pomyślał Żylin, nie wezmę udziału w żadnej ekspedycji międzygwiazdnej, nie będę uczestniczył w ekspedycji na Plutona, nie ruszę się nigdzie, dopóki nie stanę się taki jak Bykow. Taki zwyczajny, a nawet nudny w normalnych warunkach. Taki ponury, a nawet trochę śmieszny. Taki, że gdy się patrzy na niego, to trudno nawet uwierzyć w legendę o Golkondzie, w legendę o Callisto i inne legendy. Żylin doskonale pamiętał, jak młodzi kosmonauci podśmiewali się skrycie z „Rudego Pustelnika” -skąd się wzięło to dziwaczne przezwisko? - ale nie widział nigdy, by któryś z pilotów lub uczonych starszego pokolenia wyraził się kiedykolwiek o Bykowie lekceważąco. Jeśli uda się nam uratować, muszę się stać taki jak Bykow. Jeśli nie uratuję się, muszę umrzeć jak Bykow. Gdy Żylin tracił przytomność, Bykow w zaciętym milczeniu kontynuował jego robotę. Gdy Żylin odzyskiwał przytomność, Bykow bez słowa wracał na swoje stanowisko.

Wreszcie Bykow powiedział: Chodźmy - i obaj opuścili kabinę układu magnetycznego. Żylinowi wszystko wirowało przed oczami, miał ochotę położyć się, wcisnąć nos w coś miękkiego i leżeć tak, aż go podniosą. Szedł z tyłu za Bykowem. Zatrzymał się i mimo wszystko legł twarzą na zimnej podłodze, ale szybko się ocknął i wówczas ujrzał tuż przy swej głowie but Bykowa. Kapitan przestępował z nogi na nogę ze zniecierpliwienia. Żylin przemógł się i wylazł z luku. Potem przykucnął, żeby dokładnie zamocować pokrywę.

Zamek nie chciał się poddać i Żylin zaczął się z nim siłować pokaleczonymi palcami. Bykow stał obok, wysoki jak maszt radiowy, i spoglądał nieruchomym wzrokiem z góry na dół.

- Zaraz - gorączkował się Żylin. - Zaraz. Wreszcie zamek się poddał.

- Gotowe - rzekł Żylin, prostując się, nogi drżały mu w kolanach.

- Chodźmy - powiedział Bykow.

Wrócili do kabiny nawigacyjnej. Michaił Antonowicz spał w swym fotelu przy maszynie matematycznej. Pochrapywał głośno.

Maszyna była włączona. Bykow pochylił się i sięgnął ponad nawigatorem po mikrofon selektora, po czym wydał rozkaz:

- Pasażerowie - do kajuty ogólnej!

- Co? - zapytał Michaił Antonowicz, wyrwany gwałtownie ze snu. - Co, już?

- Już - odrzekł Bykow. - Chodźmy do kajuty ogólnej.

Ale nie poszedł od razu, przez dłuższą chwilę stał i przyglądał się w zamyśleniu, jak Michaił Antonowicz ze zboląłą miną, postępując dźwigał się z fotela. Potem rzekł, jakby się nagle ocknął:

- Chodźmy.

Ruszyli do kajuty ogólnej. Michaił Antonowicz od razu podszedł do kanapy i usiadł, składając ręce na brzuchu. Żylin także usiadł, żeby opanować drżenie nóg, i wlepił wzrok w stół. Na stole piętrzyła się jeszcze sterta brudnych talerzy. Potem drzwi do korytarza otworzyły się i weszli pasażerowie. Planetolodzy przywlekli Molliara. Wisiał wsparty na ramionach planetologów i powłóczył nogami. W ręku trzymał zgniecioną chustką do nosa, całą w ciemnych plamach.

Dauge i Jurkowski nic nie mówiąc, umieścili Molliara na kanapie, a sami usiedli po obu jego stronach. Żylin przyjrzał się im. To tak, pomyślał sobie. Czyżbym i ja miał taką gębę? Ukradkiem pomacał się po twarzy. Wydało mu się, że ma bardzo chude policzki, podbródek zaś nalany jak u Michaiła Antonowicza. Pod skórą przebiegły ciarki, jakby w zdrętwiałej nodze. Odsiedziałem sobie fizjonomię, pomyślał Żylin.

- Tak - przemówił Bykow.

Siedział na krześle w rogu i teraz wstał. Podszedł do stołu i oparł się na nim ciężko, Molliar ni z tego, ni z owego mrugnął do Żylina i zakrył twarz poplamioną chustą. Bykow spojrzał na niego zimno.

- Tak - powtórzył kapitan. - Pracowaliśmy nad re-kon-strukcją urządzeń „Tachmasiba”. Dokonaliśmy re-kon-struk-cji. - Miał ogromne trudności z wymówieniem tego słowa, ale powtórzył je dwukrotnie z uporem, sylaba po sylabie. - Teraz możemy uruchomić

silnik fotonowy. I postanowiłem go uruchomić. Ale najpierw chcę was uprzedzić o ewentualnych następstwach. Uprzedzam, decyzję już podjąłem i nie mam zamiaru pytać was o radę i zdanie...

- Do rzeczy, Aleksiej - przerwał mu Dauge.

- Decyzja podjęta - powiedział Bykow. - Ale sądzę, że macie prawo wiedzieć, czym to się może skończyć. Po pierwsze, włączenie fotoreaktora może spowodować wybuch w zgęszczonym wodorze wokół nas. Wówczas „Tachmasib” ulegnie kompletnemu zniszczeniu. Po wtóre, pierwszy zapłon plazmy może zniszczyć zwierciadło. To jest możliwe, gdyż zewnętrzna powierzchnia zwierciadła jest już nadżarta przez korozję. Wówczas zostaniemy tutaj i... sami rozumiecie. Po trzecie wreszcie, „Tachmasib” może szczęśliwie wydostać się z Jowisza.

- Rozumiemy - rzekł Dauge.

-I żywność zostanie dostarczona na Amalteę - dodał Bykow.

- Żywność będzie wieki słać B-bykowa - skomentował Jurkowski.

Michaił Antonowicz uśmiechnął się blado. Nie do śmiechu mu było.

Bykow wbił wzrok w ścianę.

- Zamierzam startować zaraz - poinformował. - Polecam pasażerom zająć miejsca w amortyzatorach. Wszyscy mają zająć miejsca w amortyzatorach. I proszę bez tych waszych kawałów - zwrócił się do planetologów. - Przeciężenie będzie co najmniej ośmiokrotne. To wszystko. Inżynier pokładowy Żylin sprawdzi wykonanie rozkazu i zamelduje mi.

Obrzucił wszystkich ponurym spojrzeniem, odwrócił się i poszedł na sztywnych nogach do kabiny nawigacyjnej.

- *Mon Dieu* - odezwał się Molliar. - To ci życie.

Znów krew mu poszła z nosa i zaczął po cichu siąkać. Dauge pokręcił głową i powiedział:

- Przydałby się nam teraz jakiś szczęściarz. Czy jest taki wśród nas? Bardzo by się nam teraz przydał.

Żylin wstał.

- No, towarzysze, ruszajmy - rzekł. Pragnął, żeby wszystko to jak najszybciej się skończyło. Bardzo pragnął, by wszystko było już poza nimi. Wszyscy jeszcze siedzieli na swoich miejscach.

- Ruszajmy, towarzysze - powtórzył niepewnym głosem.

- P-prawdopodobieństwo sukcesu m-mniej więcej dz-dziesięć p-procent - rzekł w zamyśleniu Jurkowski i zaczął rozcierać sobie twarz.

Michaił Antonowicz postępując dźwignął się z kanapy.

- Chłopcy - rzekł - trzeba się chyba pożegnać. Na wszelki wypadek, wiecie...

Wszystko może się zdarzyć - uśmiechnął się żałośnie.

- No, jak się żegnać, to żegnać - powiedział Dauge. - A więc żegnajmy się.

- A ja znów nie wiem, jak to zrobić - rzekł Molliar.

Jurkowski wstał.

- N-no to - powiedział - ch-chodźmy do am-mortyzatorów. Z-zaraz tu w-wpadnie B-bykow, a w-wtedy... lepiej już s-splonąć. R-rękę ma ch-chłop ciężką, p-pamiętam do dź-dzisiaj. Dz-dziesięć lat.

- Tak, tak - zaniepokoił się Michaił Antonowicz. - Chodźmy, chłopcy, chodźmy już... Niech was ucałuję.

Pocałował Daugego, potem Jurkowskiego, potem odwrócił do Molliara. Molliara ucałował w czoło.

- A gdzie ty będziesz, Misza? - zapytał Dauge.

Michaił Antonowicz ucałował Żylina, chlipnął głośno i odrzekł:

- W amortyzatorze, jak wszyscy. -A ty.Wania?

- Także - odparł Żylin, podtrzymując Molliara. -A kapitan?

Wyszli na korytarz i znów przystanęli. Pozostało im jeszcze tylko parę kroków.

- Aleksiej Pietrowicz mówi, że nie dowierza automatom na Jowiszu - wyjaśnił Żylin. - Sam osobiście poprowadzi statek.

- B-bykow jak Bykow - powiedział Jurkowski, krzywiąc się w uśmiechu. - W-wszystkich s-słabych p-podźwignie na swych barkach.

Michaił Antonowicz pochlipując skierował się do swej kajuty.

- Pomogę wam, monsieur Molliar - zaproponował Żylin.

- Dobra - zgodził się Molliar i posłusznie wsparł się na ramieniu Żylina.

- Powodzenia i spokojnej plazmy - rzekł Jurkowski.

Dauge skinął głową i wszyscy rozeszli się do swych kajut. Żylin zaprowadził Molliara do jego kajuty i położył go do amortyzatora.

- Jak zdrowie, Waniusza? - zapytał smętnie Molliar. - Doskonał-je?

- Doskonale, monsieur Molliar - odpowiedział Żylin.

- A jak dziewczęta?

- Świetnie - odparł Żylin. - Na Amaltei są wspaniałe dziewczęta.

Uśmiechnął się przymilnie, zamocował wieko i od razu przestał się uśmiechać. Niechby to się już szybciej skończyło, pomyślał.

Gdy ruszył korytarzem, wydało mu się, że jest tu teraz strasznie pusto. Zapukał po kolei w pokrywy wszystkich amortyzatorów, posłuchał jak mu odpowiedziano stukaniem. Potem wrócił do kabiny nawigacyjnej.

Bykow siedział na miejscu starszego pilota. Był w ubraniu chroniącym od przeciążeń. Ubiór ten przypominał kokon jedwabnika, z którego wystawała ruda rozczochrana głowa. Bykow wyglądał całkiem normalnie, tyle że był bardzo zły i zmęczony.

- Gotowe, Aleksieju Pietrowiczu - rzekł Żylin.

- Dobra - powiedział Bykow i spojrzał spod oka na Żylina. - Nie boisz się, chłopie?

- Nie - odparł Żylin.

Nie bał się rzeczywiście, pragnął tylko, żeby to wszystko jak najprędzej się skończyło. I nagle zapragnął jeszcze ujrzeć ojca, jak wychodzi ze stratoplanu, krępy, wąsaty, z czapką w dłoni. I poznać ojca z Bykowem.

- No idź już, Iwan - rzekł Bykow. - Masz jeszcze dziesięć minut czasu.

- Spokojnej plazmy, Aleksieju Pietrowiczu - pozdrowił go Żylin.

- Dziękuję - odpowiedział Bykow. - Idź już.

Muszę wytrzymać, pomyślał Żylin. Niech to diabli, czyżbym miał nie wytrzymać? Podeszedł do drzwi swej kajuty i nagle ujrzał Warieczkę. Warieczka przywarła do ściany, pełza z trudem, wlokąc spłaszczony po bokach ogon. Gdy spostrzegła Żylina, podniosła trójkątny pysk i zamrugła.

- Ech, ty łazęgo - powiedział Żylin. Chwycił Warieczkę za odstającą skórę na szyi, zawlókł do kajuty, zdjął wieko amortyzatora i spojrzał na zegarek. Potem wrzucił Warieczkę do amortyzatora - była ciężka i szarpała mu się w rękach - i sam wlaź do środka. Leżał w kompletnych ciemnościach, słyszał, jak szumi mieszanka amortyzacyjna, i powoli przestawał odczuwać ciężar ciała. Było to bardzo przyjemne uczucie, tylko Warieczka wciąż się wierciła pod boki i kłuła jego rękę szczecina wąsów. Muszę wytrzymać, powtarzał sobie.

W kabine nawigacyjnej Aleksiej Pietrowicz Bykow nacisnął wielkim palcem wklęsły klawisz startera.

EPILOG

AMALTEA, „STACJA J”

Dyrektor „Stacji J” nie patrzy na zachód Jowisza, a Warieczkę ciągną za ogon.

Zachód Jowisza jest również wspaniały. Z wolna przygasa żółtozielona luna egzosfery i jedna po drugiej zapalają się gwiazdy, jak diamentowe szpilki powpinane w czarny aksamit.

Ale dyrektor „Stacji J” nie widział ani gwiazd, ani żółtozielonej poświaty nad pobliskimi skałami. Spoglądał na lodowe pole raketodromu. Na pole powoli, prawie niezauważalnie dla oka, opuszczał się potężny kadłub „Tachmasiba”. „Tachmasib” był olbrzymim transportowcem fotonowym pierwszej klasy. Miał tak olbrzymie rozmiary, że nie można go było porównać z niczym tutaj, na niebieskozielonej równinie, pokrytej krągłymi, czarnymi plamami. Przez kopułę ze spektrolitu wydawało się, że „Tachmasib” opada sam. W rzeczywistości jednak ściągano go. W cieniu skał, po tej i po drugiej stronie równiny potężne dźwigi ściągały liny i lśniąca nitki połyskiwały od czasu do czasu w promieniach słońca. Słońce wyraźnie oświetlało statek. Był widoczny cały, poczynając od olbrzymiej czaszy zwierciadła do kulistej gondoli dla ludzi.

Nigdy jeszcze na Amalteę nie opuszczał się planetolot tak poharatany. Skraj zwierciadła był rozbity, a w olbrzymiej czaszy leżał nierówny cień. Dwustumetrową rurę fotoreaktora pokrywały plamy, jakby obsypały ją krosty. Rakiety awaryjne na skróconych wspornikach sterczały głupio na wszystkie strony, komora ładunkowa przechyliła się, jeden jej sektor został zgnieciony. Dysk komory ładunkowej przypominał spłaszczoną puszkę od konserw, rozdeptaną butem z ołowiu. Część żywności, oczywiście, przepadła, pomyślał dyrektor. Co za szaleństwa przychodzą mi do głowy. Czyż to nie wszystko jedno? No tak, „Tachmasib” nieprędko teraz stąd wyruszy.

- Drogo nas kosztuje ten bulion z kury - stwierdził wujek Wałnoga.

- Tak - odburknął dyrektor. - Bulion z kury. Dajcie spokój, Wałnoga. Przecież tak nie myślicie. Co ma do tego bulion z kury?

- No jakże - odparł Wałnoga. - Ludzie muszą mieć porządne jedzenie.

Planetolot opadł na równinę i pogrążył się w cień. Teraz widać było tylko słaby zielonkawy poblask na bokach z tytanu, potem zabłyśły tam światła i mignęły maleńkie czarne postacie. Kosmaty grzbiet Jowisza skrył się za skały, które poczerniały i jakby urosły, a na mgnienie rozświetliła się wyraźnie jakaś rozpadlina i ukazały się kratownice anten.

W kieszeni dyrektora cicho odezwał się radiofon. Dyrektor wyciągnął płaskie pudełko i nacisnął klawisz odbioru.

- Słucham - powiedział.

Dyżurny stacji oznajmiał pośpiesznie wesołym i swobodnym głosem:

- Towarzyszu dyrektorze, kapitan Bykow z załogą oraz pasażerami przybył na stację i oczekuje was w waszym gabinecie.

- Już idę - odpowiedział dyrektor.

Razem z wujkiem Wałnoga zjechali windą i skierowali się do gabinetu. Drzwi były otwarte na oścież. W gabinecie zebrało się wiele osób. Wszyscy rozmawiali i śmiali się. Już w korytarzu dyrektor usłyszał radosne wołanie:

- Jak zdrowie? Doskonał-je? Jak chłopcy? Doskonał-je?

Dyrektor nie wszedł od razu, zatrzymał się przez chwilę w progu, szukając wzrokiem przybyłych. Wałnoga dyszał głośno tuż nad jego uchem, czuło się, że się uśmiecha całą gębą. Zobaczyli Molliara z włosami mokrymi jeszcze po kąpieli. Molliar gestykulował zamasyście i chichotał. Wokół niego stały dziewczęta - Zojka, Halina, Nadieńka, Jenny, Jurijko, wszystkie dziewczęta Amaltei - i też się śmiały. Molliar zawsze starał się zgromadzić wokół siebie wszystkie dziewczęta. Potem dyrektor ujrzał Jurkowskiego, a właściwie tylko jego głowę sterzącą ponad innymi oraz jakiegoś koszmarnego stwora na jego ramieniu. Stwór kręcił pyskiem i od czasu do czasu potwornie ziewał. Warieczkę pociągano za ogon. Daugego nie było widać, za to było słychać nie gorzej od Molliara.

- No, nie wszyscy naraz! Puście mnie chłopcy! Oj, oj! - wołał Dauge. Z boku stał jakiś wysoki, nieznajomy chłopak, bardzo przystojny, ale zbyt blady wśród reszty opalonych ludzi.

Z chłopcem rozmawiało z ożywieniem kilku tutejszych planetopilotów. Michaił Antonowicz Krutikow siedział w fotelu przy biurku dyrektora. Coś tam opowiadał, klaszcząc w małe dłonie i od czasu do czasu podnosił do oczu zmiętą chusteczkę.

Bykowa dostrzegł ostatniego. Był blady, prawie zsiniały i włosy miał niemal miedziane. Oczy podsinione, podbite, jak ludzie po przejściu wielkich i długotrwałych przeciążeń miał zaczerwienione. Mówił coś, ale tak cicho, że dyrektor nie mógł niczego zrozumieć i widział tylko, że Bykow mówi wolno, z trudem poruszając wargami. Bykow

siedział w towarzystwie kierowników wydziałów oraz dowódcy raketodromu. Tworzyli najspokojniejszą grupą w gabinecie. Bykow podniósł wzrok i dostrzegł dyrektora. Wstał, przez gabinet przeleciał szept i wszyscy natychmiast umilkli.

Ruszyli sobie na spotkanie, pobrzękując magnetycznymi podkawkami na metalowej podłodze. Spotkanie ich nastąpiło w pokoju. Uścisnęli sobie dłonie i tak trwali, przez chwilę znieruchomiali i milczący. Potem Bykow cofnął dłoń i zameldował:

- Towarzyszu Kangren, planetolot „Tachrnasib” przybył z ładunkiem.

STAŻYŚCI

PROLOG

Podjechał czerwono-biały autobus. Odlatujących poproszono o zajęcie miejsc.

- Cóż, wchodźcie - powiedział Dauge. Bykow warknął:

- Zdążymy. Zanim się usadowią...

Patrzył spode łba, jak pasażerowie jeden po drugim niespiesznie wchodzą do autobusu. Było ich ze stu.

- To potrwa co najmniej piętnaście minut - zauważył Grisza. Bykow spojrział na niego surowo.

- Zapnij koszulę - powiedział,

- Tato, przecież gorąco - sprzeciwił się Grisza.

- Zapnij koszulę - powtórzył Bykow. - Nie chodź taki rozmamłany.

- Nie bierz przykładu ze mnie - dorzucił Jurkowski. - Ja już mogę, ty jeszcze nie.

Dauge popatrzył na niego i odwrócił wzrok. Nie miał ochoty patrzeć na jego zarozumiałą, obwisłą twarz, wydętą pogardliwie dolną wargę, na ciężką teczkę z monogramem, na ekskluzywny garnitur 2 rzadkiego stereosyntetyku. Wołał już oglądać wysokie przezroczyście niebo, czyste, niebieskie, bez jednej chmurki, nawet bez ptaków - nad portem lotniczym ich stada rozganiano ultradźwiękowymi syrenami.

Bykow-junior pod uważnym spojrzeniem Bykowa-seniora zapinał guzik przy kołnierzyku.

- Na kosmodromie startoplanie poproszę o butelkę essentuków i wypiją... - powiedział zamyślony Jurkowski.

- Wątroba? - spytał podejrzliwie Bykow-senior.

- Dlaczego akurat wątroba? - mruknął Jurkowski. - Po prostu jest mi gorąco. Poza tym, powinienes wiedzieć, że essentuki na ataki nie pomagają.

- Wziąłeś chociaż swoje tabletki? - zapytał Bykow.

- Coś się do niego przyczepił? - nie wytrzymał Dauge. Wszyscy spojrzeli na niego. Dauge spuścił oczy i mruknął przez zęby:

-Nie zapomnij, Władimir. Natychmiast po przybyciu na Syrt trzeba przekazać paczkę Arnautowowi.

- Jeśli Arnautow jest na Marsie. - Jurkowski wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Proszę tylko, żebyś nie zapomniał.

- Już ja mu przypomnę - obiecał Bykow.

Zamilkli. Kolejka do autobusu stopniowo się zmniejszała.

- Wiecie co, idźcie już - powiedział Dauge.

- Tak, już pora - westchnął Bykow. Podszedł do Daugego i objął go. - Nie smuć się, Johanycz - dodał cicho. - Do widzenia. Nie smuć się.

Mocno ścisnął Daugego długimi kościstymi rękami. Dauge odepchnął go lekko i odparł:

- Spokojnej plazmy.

Uścisnął dłoń Jurkowskiemu. Jurkowski zamrugnął oczami, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko obliznął wargi. Nachylił się, podniósł z trawy swoją elegancką teczkę, przez chwilę obracał ją w rękach, po czym znów położył na trawie. Dauge nie patrzył na niego. Jurkowski jeszcze raz podniósł teczkę.

- Nie łam się, Grigorij - powiedział z żalem.

- Postaram się - odparł sucho Dauge.

Na stronie Bykow półgłosem dawał synowi ostatnie polecenia.

- Bądź teraz miły dla mamy. Żadnych podwodnych zabaw.

- Dobrze, tato.

- Żadnych rekordów.

- Dobrze, tato. Nie martw się.

- Mniej myśl o dziewczętach, więcej o mamie.

- Dobrze, tato, dobrze.

- Pójdę już - szepnął Dauge.

Odwrócił się i powlókł w stronę budynku portu lotniczego. Jurkowski patrzył za nim. Dauge był malutki, zgarbiony i bardzo stary.

- Do widzenia, wujku Wołodia - powiedział Grisza.

- Do widzenia, mały. - Jurkowski przez cały czas patrzył za Daugem. - Odwiedzaj go... Ot tak, zajdź, herbaty się napij... On cię lubi...

Grisza skinął głową. Jurkowski nadstawił mu policzek, poklepał po ramieniu i wszedł za Bykowem do autobusu. Ciężko stąpając wszedł po stopniach, usiadł obok Bykowa i rzekł:

- Mogliby odwołać rejs.

Bykow spojrział na niego zdumiony.

- Jaki rejs? Nasz?

- Tak, nasz. Daugemu byłoby lżej. Albo żeby medycy nas wszystkich odrzucili.

Bykow sapnął, ale nie odezwał się ani słowem. Gdy autobus ruszył, Jurkowski znowu zaczął:

- Nawet nie chciał mnie objąć. I dobrze zrobił. Nie powinniśmy lecieć bez niego. To niesprawiedliwie. Nieuczciwie.

- Przestań - przerwał mu Bykow.

Dauge wszedł po granitowych schodach portu lotniczego i obejrzał się. Czerwona plamka autobusu pełzła przy horyzoncie. Tam w różowej mgielce widać było stożkowate sylwetki liniowców pionowego startu.

- Gdzie cię podwieźć, wujku? Do instytutu? - spytał Grisza.

- Może być - odparł Dauge.

Nie chce mi się nigdzie jechać, pomyślał. Zupełnie nigdzie. Ciężko... Nie sądziłem, że będzie tak ciężko. Przecież nie zdarzyło się nic nowego ani nieoczekiwanego. Wszystko to dawno wiedziałem i dawno przetrwałem. I dawno po cichu przeboleiałem... Nikt nie chce okazywać słabości... Wszystko jest sprawiedliwe i uczciwe. Pięćdziesiąt dwa lata. Cztery silne napromieniowania. Zniszczone serce. Zszargane nerwy. Nawet krew nie własna. Dlatego nigdzie nie biorą, odrzucają. Wołodię Jurkowskiego biorą. A tobie mówią: Grigoriju Johancyzu powinieneś jeść, co dają, i spać, gdzie położą. Pora, mówią, Grigoriju Johancyzu, młodych uczyć. A czego ich uczyć? Dauge zerknął kątem oka na Griszę. Wyrósł na schwał... Śmiałości go uczyć? Zdrowia? Więcej mu nic nie potrzeba. Zostałem sam. Sam z setką artykułów, które się zestarzały. I z kilkoma książkami, które zestarzeją się wkrótce. I ze sławą, która zestarzeje się najszybciej.

Odwrócił się i ruszył w stronę chłodnego westybulu. Grisza Bykow szedł obok niego. Koszulę znowu miał rozpiętą. Westybul wypełniał gwar przyciszonych rozmów i szelest gazet. Na wielkim, zajmującym pół ściany wklęsłym ekranie pokazywano jakiś film, kilku ludzi, zatopionych w fotelach patrzyło na ekran, trzymając przy uszach lśniące pudełeczka fonoprojektorów. Gruby cudzoziemiec o wschodnich rysach stał obok bufetu-automatu.

Przed wejściem do baru Dauge nagle się zatrzymał:

- Chodź, imienniku, napijemy się - powiedział. Grisza popatrzył na niego ze zdumieniem i żalem.

- Po co, wujku Grisza? - odezwał się prosząco. - Po co? Nie trzeba.

- Uważasz, że nie trzeba? - spytał w zadumie Dauge.

- Oczywiście, że nie trzeba. To na nic, słowo daję. Dauge przechylił głowę, zmrużył oczy i spojrzał na niego.

- Czy tobie się czasem nie zdaje - zaczął zjadliwie - że rozkleiłem się dlatego, bo odstawili mnie na bocznicy? Że nie mogę żyć bez tych wszystkich przepaści i przestrzeni? W nosie mam te przepaści! Chodzi o to, że zostałem sam... Rozumiesz? Sam! Po raz pierwszy w życiu zostałem sam!

Grisza obejrzał się zakłopotany. Gruby cudzoziemiec patrzył na nich. Dauge mówił cicho, ale Grisza miał wrażenie, że słyszy go cała sala.

- Dlaczego zostałem sam? Za co? Dlaczego właśnie ja... właśnie ja mam być sam? Przecież nie jestem najstarszy, mój imienniku. Michaił jest starszy ode mnie, twój ojciec też...

- Dla wujka Miszy to też ostatni rejs - przypomniał nieśmiało Grisza.

- Tak - przyznał Dauge. - Zestarzał się nasz Misza... No, wchodź, napijemy się.

Weszli. W barze było pusto, tylko przy stoliku pod oknem siedziała piękna kobieta. Siedziała nad pustym kieliszkiem, opierając podbródek na splecionych palcach i spoglądała przez okno na betonowe pole kosmodromu.

Dauge przystanął i ciężko oparł się o najbliższy stolik. Nie widzieli się dwadzieścia lat, ale poznał ją od razu. W gardle poczuł suchość i gorzyc.

- Co z tobą, wujku? - spytał zaniepokojony Bykow-junior. Dauge wyprostował się.

- To moja żona - odparł spokojnie. - Chodźmy.

- Jaka znowu żona? - przeraził się Grisza. - Może poczekam w samochodzie? - spytał.

- Głupstwa. Chodźmy.

Podeszli do stolika.

- Witaj, Masza - odezwał się Dauge.

Kobieta podniosła głowę. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

Powoli odchyliła się na oparcie krzesła.

- Ty... nie odleciałeś? - spytała. -Nie.

- Lecisz później?

- Nie. Zostaję.

Nadal patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Rzęsy miała mocno umalowane. Pod oczami siateczkę zmarszczek. I dużo zmarszczek na szyi.

- Jak to - zostajesz? - spytała nieufnie. Chwycił ręką za oparcie krzesła.

- Możemy posiedzieć z tobą? - zapytał. - To Grisza Bykow. Syn Bykowa.

Uśmiechnęła się tym swoim mechanicznym, obiecująco-olśniewającym uśmiechem, którego Dauge tak nienawidził.

- Bardzo mi miło - rzekła. - Siadajcie, chłopcy.

Usiedli.

- Maria Siergiejewna - przedstawiła się, patrząc na Griszę. - Jestem siostrą Władimira Siergiejewicza Jurkowskiego.

Grisza spuścił oczy i ukłonił się lekko.

- Znam pańskiego ojca - ciągnęła już bez uśmiechu. - Wiele mu zawdzięczam, Grigoriju... Aleksiejewczu...

Grisza milczał. Czuł się niezręcznie, nic nie rozumiał. Dauge spytał nienaturalnym głosem:

- Czego się napijesz, Masza?

- Dżejmo - odrzekła z olśniewającym uśmiechem.

- To bardzo mocne? - chciał wiedzieć Dauge. - Zresztą, wszystko jedno. Grisza, przynieś dwa dżejmo.

Patrzył na nią, na jej gładkie, opalone ręce, na lekką jasną suknię z odrobinę zbyt głębokim dekoltem. Wyglądała zdumiewająco dobrze

i młodo jak na swoje lata. Nawet warkocze były dokładnie takie same, ciężkie, grube, brązowe, bez jednego siwego włosa, opięte wokół głowy. Uśmiechnął się, rozpiął powoli ciepły płaszcz i zdjął ciepłą czapkę z nausznikami. Jej twarz drgnęła na widok jego łysej czaszki z rzadką srebrną szczecinią wokół uszu. Znowu się uśmiechnął.

- Co za spotkanie - powiedział. - Skąd się tu wzięłaś? Czekasz na kogoś?

- Nie - odparła. - Na nikogo nie czekam. Spojrzała w okno i on nagle zrozumiał.

- Odprowadzałaś - powiedział cicho. Skinęła głową.

- Kogo? Czyżby nas? - Tak.

Jego serce zamarło na ułamek sekundy.

- Mnie? - spytał.

Podszedł Grisza i postawił na stoliku dwa spotniałe kielichy.

- Nie - odparła.

- Wołodię? - spytał z goryczą. - Tak.

Grisza po cichutku odszedł.

- Co za miły chłopiec - powiedziała. - Ile ma lat?

- Osiemnaście.

- Naprawdę? Zabawne! Wcale nie jest podobny do Bykowa. Nawet nie jest rudy.

- Tak, czas płynie - powiedział Dauge. - Ja też już nie latam.

- Dlaczego? - Jej głos brzmiał obojętnie.

- Zdrowie.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

- Nie wyglądasz najlepiej. Powiedz mi... - Zamilkła. - Bykow też wkrótce przestanie latać?

- Co? - spytał zdumiony.

- Nie lubię, gdy Wołodia wychodzi w rejs bez Bykowa - odrzekła, patrząc w okno. Po czym znowu zamilkła. - Bardzo się o niego boję. Przecież wiesz.

-A co ma do tego Bykow? - zjeżył się Dauge.

- Z Bykowem jest bezpiecznie - odparła po prostu. - No, a jak tam twoje sprawy, Grigorij? Jakie to dziwne, że nie latasz.

- Będę pracować w instytucie.

- Pracować... - Pokręciła głową. - Pracować... Popatrz tylko na siebie.

Dauge uśmiechnął się krzywo.

- Za to ty wcale się nie zmieniłaś. Wyszłaś za męża? - Z jakiej racji?

- Ja też zostałem kawalerem.

- Nic dziwnego.

- Dlaczego?

- Nie nadajesz się na męża.

Dauge roześmiał się z zażenowaniem.

- Nie musisz mnie atakować - powiedział. - Chciałem tylko porozmawiać.

- Kiedyś umiałaś mówić zajmująco.

- Już cię znudziłem? Rozmawiamy dopiero pięć minut.

- Nie, dlaczego? - powiedziała uprzejmie. - Słucham cię z przyjemnością.

Zapadła cisza. Dauge mieszał słomką w kielichu.

- Wołodię odprowadzam od zawsze - powiedziała. - Mam przyjaciół w zarządzie i zawsze wiem, kiedy wylatujecie. I skąd. I zawsze go odprowadzam. - Wyjęła słomkę ze swojego kielicha, zmięła i wrzuciła do popielniczki. - To jedyny bliski mi człowiek w waszym zwariowanym świecie. On mnie nie znosi, ale to niczego nie zmienia. - Uniosła kielich i wypła parę łyków. - Zwariowany świat. Idiotyczne czasy. - W jej głosie słychać było znużenie. - Ludzie zupełnie oduczuli się żyć. Praca, praca, praca... cały sens życia w pracy. Przez cały czas czegoś szukają. Przez cały czas coś budują. Po co? Rozumiem, że to było potrzebne wcześniej, gdy wszystkiego brakowało. Gdy trwała walka ekonomiczna. Gdy trzeba było udowodniać, że możemy pracować nie gorzej, ba, nawet lepiej niż oni. Udowodniliśmy. A walka trwa nadal. Jakaś skryta, potajemna. Nie rozumiem jej. Ty rozumiesz, Grigorij?

- Rozumiem - odpowiedział Dauge.

- Zawsze rozumiałeś. Zawsze rozumiałeś świat, w którym żyjemy. I ty, i Wołodia, i ten nudny Bykow. Czasem myślę, że wy po prostu jesteście bardzo ograniczeni. Że nie jesteście w stanie postawić sobie pytania - po co? - Znowu się napiła. - Wiesz, niedawno poznałam pewnego szkolnego nauczyciela. Uczy dzieci strasznych rzeczy. Uczy ich, że praca jest bardziej interesująca niż rozrywka. Rozumiesz? Przecież to straszne! Rozmawiałam z jego uczniami. Wydawało mi się, że mną gardzą. Za co? Za to, że pragnę przeżyć moje jedyne życie tak, jak chcę?

Dauge mógł sobie wyobrazić rozmowę Maszy Jurkowskiej z piętnastolatkami z rejonowej szkoły. Nie zrozumiesz tego, pomyślał. Nie wiesz, jakie to uczucie, gdy tygodniami, miesiącami zrozpaczony człowiek wali głową w mur, zapisuje sterty papieru, wydeptuje dziesiątki kilometrów po gabinecie albo po pustyni i wydaje mu się, że rozwiązania nie ma, że jest bezmózgim, ślepym robakiem i już nie wierzy, nie pamięta, że już nieraz tak było, że potem zawsze następowała ta cudowna chwila, gdy otwiera się wreszcie furtkę w murze i pozostawia za sobą jeszcze jeden głuchy mur. I człowiek znowu jest bogiem i wszechświat spoczywa na jego dłoni. Tego nie trzeba rozumieć. To trzeba czuć.

- Oni też pragną przeżyć życie tak, jak chcą. Tylko chcecie różnych rzeczy.

- A jeśli to ja mam rację? - sprzeciwiła się ostro.

- Nie. Oni ją mają. Oni nie zadają pytań po co?

- A może po prostu nie są zdolni do szerszego myślenia? Dauge uśmiechnął się. Co ty wiesz o szerszym myśleniu...

- Pijesz zimną wodę w gorący dzień i nie pytasz po co? Po prostu ją pijesz i jest ci dobrze...

- Tak, jest mi dobrze - przerwała mu. - Dlatego pozwólcie mi pić moją zimną wodę, a oni niech piją swoją!

- Niech piją - zgodził się spokojnie Dauge. Ze zdumieniem i radością czuł, jak opuszcza go wstrętny, przygnębiający smutek. - Ale nie o tym mówiliśmy. Chcesz wiedzieć, kto ma rację. Posłuchaj. Człowiek to nie zwierzę. Natura dała mu rozum, który musi się rozwijać. A ty gasisz go w sobie. Sztucznie gasisz. Poświęciłaś temu całe swoje życie. Na planecie jest mnóstwo ludzi, którzy robią to samo. Mnóstwo mieszczan.

- Dziękuję.

- Nie chciałem cię obrazić - powiedział Dauge. - Ale wydawało mi się, że ty chcesz obrazić nas. Szerokość spojrzenia... Jaką wy możecie mieć szerokość spojrzenia?

Dopiła swój kielich.

- Bardzo ładnie dziś mówisz - uśmiechnęła się nieprzyjemnie. - Wszystko tak miło wyjaśniasz. Wobec tego bądź tak dobry i wyjaśnij jeszcze jedną rzecz. Przez całe życie pracowałeś. Przez całe życie rozwijałeś swój rozum, byłeś ponad zwykłe światowe przyjemności...

- Nigdy nie byłem ponad światowe przyjemności - sprzeciwił się Dauge. - Był ze mnie niezły szalapat.

- Nie będziemy się o to spierać. Z mojego punktu widzenia byłeś. A ja przez całe życie gasiłam swój rozum. Przez całe życie zajmowałam się tylko hołubieniem swoich niskich instynktów. I kto z nas jest bardziej szczęśliwy teraz?

- Oczywiście, że ja - odparł bez zastanowienia Dauge. Popatrzyła na niego otwarcie i zaśmiała się.

- Nie - powiedziała. - Ja! W najgorszym razie oboje jesteśmy jednakowo nieszczęśliwi. Pozbawiona talentu kukułka - zdaje się, że tak nazywa mnie Wołodia? - czy pracowita mrówka - koniec jest jeden: starość, samotność, pustka. Ja nic nie zyskałam, ty wszystko straciłeś. Na czym polega różnica?

- Spytaj Griszę Bykowa - rzekł spokojnie Dauge.

- Ach, ci! - Machnęła pogardliwie dłonią. - Wiem, co mi powiedzą. Ale mnie interesuje, co ty powiesz. I nie teraz, gdy świeci słońce i wokół są ludzie, lecz nocą, gdy dręczy cię bezsenność i masz obok siebie jedynie twoje obrzydłe talmudy, niepotrzebne kamienie z niepotrzebnych planet, milczący telefon i żadnej nadziei na przyszłość.

- Tak, to się zdarza - powiedział Dauge. - Każdemu. Wyobraził sobie to wszystko - i milczący telefon, i brak nadziei - ale nie talmudy i kamienie, lecz flakoniki z perfumami, martwy blask złotych ozdób i bezlitosne lustro. Jestem świnią, pomyślał ze skrucą. Pewną siebie, obojętną świnią. A przecież ona prosi o pomoc!

- Pozwolisz, że cię dzisiaj odwiedzę? - spytał.

- Nie - odparła, wstając. - Dzisiaj mam gości.

Dauge odsunął nietknięty kielich i również wstał. Wzięła go pod rękę i wyszli do westybulu. Dauge ze wszystkich sił starał się nie kuleć.

- Dokąd teraz jedziesz? - spytał.

Zatrzymała się przed lustrem i poprawiła włosy, chociaż nie było takiej potrzeby.

- Dokąd? Dokądś. Jeszcze nie mam pięćdziesiątki i na razie mój świat należy do mnie.

Zeszli po białych schodach na zalany słońcem plac.

- Mógłbym cię podwieźć - zaproponował.

- Dziękuję, mam swój samochód.

Niespiesznie naciągnął czapkę, sprawdził, czy nie wieje w uszy i zapiął płaszcz.

- Żegnaj, staruszk - powiedziała.

- Żegnaj - odparł, uśmiechając się łagodnie. - Wybacz, jeśli byłem okrutny... I dziękuję. Bardzo mi dziś pomogłaś.

Popatrzyła na niego, nie rozumiejąc, wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i skierowała w stronę swojego samochodu. Dauge patrzył, jak idzie, kołysząc biodrami, zdumiewająco zgrabna, dumna i żalosna. Miała wspaniały chód i nadal była ładna, zdumiewająco ładna. Mężczyźni odprowadzali ją wzrokiem. Oto całe jej życie. Przyodziać ciało w coś drogiego i pięknego i przyciągać męskie spojrzenia. Jak wielu jest takich ludzi, i jacy są żywotni, pomyślał Dauge ze smutkiem i złością.

Gdy podszedł do samochodu, Grisza Bykow siedział, opierając się kolanami o łuk kierownicy i czytał grubą książkę. Radio w samochodzie włączone było na cały regulator; Grisza lubił mocny dźwięk.

Dauge wsiadł do samochodu, wyłączył radio i przez chwilę trwał w milczeniu. Grisza odłożył książkę i uruchomił silnik. Dauge, patrząc przed siebie, powiedział:

- Życie daje człowiekowi trzy radości, imienniku. Przyjaciela, miłość i pracę. Każda z tych radości oddzielnie warta jest bardzo wiele. Ale jakże rzadko ma się je wszystkie razem!

- Bez miłości można się obejść - zauważył wnikliwie Grisza. Dauge zerknął na niego.

- Można - zgodził się. - Ale to znaczy, że będzie o jedną radość mniej. A przecież i tak jest ich tylko trzy.

Grisza nic nie powiedział. Uważał, że to nieuczciwe wdawać się w spór beznadziejny dla przeciwnika.

- Do instytutu - zarządził Dauge. - Postaraj się zdążyć przed pierwszą. Nie spóźnimy się?

- Nie, będę jechał szybko. Samochód wyjechał na szosę.

- Wujku Grisza, nie wieje ci? - spytał Grisza Bykow.

- Wieje. Zamknijmy okna, bracie - odpowiedział Dauge i pociągnął nosem.

1. Mirza-Charle, rosyjski chłopiec.

Dyżurna od przewozów pasażerskich bardzo współczuła Jurze Borodinowi, ale w żaden sposób nie mogła mu pomóc. Regularne połączenie pasażerskie z systemem Saturna nie istniało. Nie istniało nawet regularne połączenie towarowe. Automaty-transportowce wysyłano tam dwa, trzy razy w roku, a statki z pilotem jeszcze rzadziej. Dyżurna dwa razy wysyłała zapytanie elektronicznemu dyspozytorowi, przekartkowała jakiś gruby informator, kilka razy gdzieś dzwoniła, wszystko na próżno. Jura musiał mieć bardzo nieszczęśliwą minę, bo w końcu powiedziała ze smutkiem:

- Nie trzeba się tak martwić, kochany. To bardzo odległa planeta. Po co się tak daleko zapuszczasz?

- Odłączyłem się od grupy - wyjaśnił zdenerwowany Jura. -Bardzo pani dziękuję. Pójdę już. Może jeszcze gdzieś...

Odwrócił się i ruszył do wyjścia ze spuszczoną głową, wpatrzony w wytartą plastikową podłogę pod nogami.

- Poczekaj chwilę, kochany - zawołała go dyżurna. Jura natychmiast wrócił. - Rozumiesz, kochany - zaczęła niepewnie - bywają czasami specjalne rejsy.

- Naprawdę? - spytał z nadzieją Jura.

- Tak. Ale informacje o nich do mnie nie docierają.

- A mogliby mnie wziąć w taki specjalny rejs?

- Nie wiem, kochany. Nawet nie wiem, gdzie się tego można dowiedzieć. Może u naczelnika kosmodromu? - Spojrzała pytająco na Jurę.

- Do naczelnika pewnie się nie dostanę- stwierdził markotnie Jura.

- Spróbuj.

- Dziękuję. Do widzenia. Spróbuję.

Wyszedł z administracji przewozów i rozejrzał się. Po prawej stronie, nad zieloną gęstwą drzew w rozpalone niebo wzbijał się budynek hotelu. Po lewej lśniła w słońcu ogromna szklana kopuła, którą Jura zauważył jeszcze z lotniska. Z lotniska w zasadzie było widać tylko to - szklaną kopułę i złotą iglicę hotelu. Jura oczywiście zapytał, co to takiego, i usłyszał, że to SESK. Co to takiego SESK, Jura nie wiedział.

Przed budynkiem administracji biegła szeroka droga, wysypana czerwonym piaskiem. Na piasku widniały liczne ślady stóp i żłobkowany odcisk bieżnika. Po obu stronach drogi

ciągnęły się betonowane haki, wzdłuż nich rosły akacje. Jakies dwadzieścia kroków od wejścia do administracji w cieniu akacji stał malutki biały atomocar. Nad błyszczącą przednią szybą sterczały nieruchome, wielkie błękitne hełmy z białymi literami: International Police. Mirza-Charle.

Jura stał chwilę, nie mogąc się zdecydować. Po chwili na pustej drodze pojawił się, stawiając wielkie kroki, wysoki, opalony na czerwono człowiek w białym garniturze. Zrównał się z Jurą, zatrzymał, zdjął z głowy ogromny biały beret i powachlował nim twarz. Jura patrzył na niego z ciekawością.

- Gorrrądo - powiedział człowiek w białym garniturze z silnym akcentem. - A tobie?

- Bardzo gorąco - zgodził się Jura.

Człowiek w białym garniturze nasadził beret na wypaloną grzywę i wyciągnął z kieszeni szklaną płaską butelkę.

- Napijemy się? - spytał. Jego usta rozjechały się od ucha do ucha.

- Nie piję.

- Ja też nie - oświadczył człowiek w białym garniturze, chowając butelkę do kieszeni.

- Ale zawsze mam ze sobą whisky, na wypadek gdyby ktoś pił.

Jura roześmiał się. Facet mu się podobał.

- Gorrrądo - powtórzył ten ostatni. - Na międzynarodowym kosmodromie w Grenlandii marznę. Na międzynarodowym kosmodromie w Mirza-Charle jestem mokry od potu.

- Strasznie gorąco - przyznał Jura.

- Dokąd to lecimy? - spytał mężczyzna.

- Muszę się dostać na Saturna.

- Oo! Taki młody i już na Saturna! W takim razie będziemy się często widywać! - Poklepał Jurę po ramieniu i spojrzał na policyjny samochód. - Międzynarodowa policja - obwieścił uroczyście. -Należy im oddać honory.

Skinął głową Jurze i poszedł dalej. Zrównawszy się z policyjnym atomocarem, wyprężył się i przyłożył palec wskazujący do skroni. Błękitne hełmy nad przednią szybą jednocześnie powoli skinęły i znowu zastygły nieruchomo.

Jura westchnął i ruszył niespiesznie w stronę hotelu. Należało gdzieś znaleźć naczelnika kosmodromu. Tylko na razie nie miał kogo spytać. Można było oczywiście zagadnąć policjantów, ale Jura nie chciał się do nich zwracać. Nie podobało mu się, że siedzieli tak nieruchomo. Przez chwilę żałował, że nie spytał o naczelnika człowieka w białym garniturze, a potem nagle przyszło mu do głowy, że miła dyżurna na pewno wszystko

wie o Mirza-Charle. W końcu jednak nie wrócił do niej - nieładnie zajmować ludziom tyle czasu. No nic, gdzieś się dowiem, pomyślał. Przyspieszył kroku.

Szedł brzegiem aryku, starając się nie wychodzić na słońce. Mijał jaskrawe automaty z wodą gazowaną i sokami, puste ławki i szezlongi, malutkie białe domki, ukryte w cieniu akacji, przestronne betonowe placyki, zastawione pustymi atomocarami. Nad jednym z takich placyków brakowało namiotu, ponad lśniącoymi, gładkimi dachami samochodów drżała fala gorącego powietrza. Przykro było patrzeć na samochody, może już od dawna stojące pod bezlitosnym słońcem. Mijał gigantyczne tablice reklamowe, w trzech językach obiecujące herkulesowe zdrowie tym, którzy piją witaminizowane kozie mleko „Golden Horih”, mijał jakichś dziwnych ludzi, śpiących na trawie, z węzełkami, plecakami i walizkami pod głowami, mijał zastygłe na poboczu samochody-sprzątacze, opalone dzieciaki, pluskające się w aryku. Kilka razy wyminęły go puste autobusy, przeszedł pod przeciągniętym nad drogą plakatem: „Mirza-Charle pozdrawia zdyscyplinowanego kierowcę”. Napis był po angielsku. Minął błękitną budkę regulującego ruchem, skręcił w prawo i wyszedł na ulicę Przyjaźni - główną ulicę Mirza-Charle.

Tutaj też było pusto. Sklepy, kina, bary, kawiarnie, wszystko zamknięte. Sjesta, pomyślał Jura. Na ulicy panował koszmarny gorąc. Jura zatrzymał się przy automacie i wypił szklankę ciepłego soku pomarańczowego. Uniósłszy brwi, podszedł do kolejnego automatu, gdzie wypił szklankę ciepłej wody gazowanej. Tak, pomyślał. Sjesta. Teraz z przyjemnością wszedłby do lodówki.

Białe, jakby zasnute mgłą słońce paliło ulicę. Cienia nie było. Na końcu ulicy, w gorących oparach różowiał i błękitniał budynek hotelu. Jura szedł, czując przez podeszwy butów rozpalony chodnik. Początkowo poruszał się szybko, ale wkrótce zwolnił - tracił oddech, jego twarz łaskotały spływające strumyczki potu.

Długi, wąski samochód z odstającymi skrzydłami pokrywowymi zbliżył się do chodnika. Kierowca w ogromnych czarnych okularach otworzył drzwi.

- Posłuchaj, przyjacielu, gdzie tu jest hotel?

- O, tam, prosto, na końcu ulicy - odparł Jura. Kierowca popatrzył, skinął głową i spytał:

- A ty czasem nie idziesz tam?

- Tam - westchnął Jura.

- Siadaj - powiedział kierowca. Jura z radością wszedł do samochodu.

- Od razu widzę, żeś przyjezdny, tak jak i ja - stwierdził kierowca. Prowadził samochód bardzo powoli. - Wszyscy miejscowi siedzą w cieniu. Upredzano mnie, że lepiej

jechać na wieczór, ale taki już ze mnie człowiek, nie lubię czekać. Na próżno się spieszyłem. Śpiące królestwo.

W samochodzie było mnóstwo chłodnego czystego powietrza.

- A ja uważam - powiedział Jura - że to bardzo interesujące miasteczko. Nigdy wcześniej nie byłem w takich międzynarodowych miastach. Tutaj się wszystko tak zabawnie wymieszało. Kara kumy i międzynarodowa policja. Widział pan, tacy w błękitnych hełmach?

- Widziałem ich przed chwilą - rzekł posępnie kierowca - na szosie. - Ruszył głową. - Ze trzydziestu. Ciężarówki się zderzyły.

- Jak to się zderzyły? - zdumiał się Jura. - Jakie ciężarówki? Automaty?

- Nie, dlaczego automaty - warknął kierowca. - To ci... Wikingowie... Dorwali się... Pijani dranie.

Zatrzymał samochód przed hotelem.

- Jesteśmy na miejscu. Skręcam w pierwszą uliczkę na prawo. Jura wysiadł.

- Dziękuję bardzo.

- Nie ma za co - powiedział kierowca. - Do widzenia.

Jura wszedł do holu i podszedł do recepcjonistki. Rozmawiała przez telefon, więc usiadł w fotelu i zaczął oglądać obrazy na ścianach. Tutaj też wszystko się wymieszało. Obok tradycyjnych niedźwiedzi Szyszkina widniało wielkie płótno, pokryte fluorescencyjnymi farbami, nie przedstawiające niczego konkretnego. Przez jakiś czas Jura z cichą radością porównywał dwa obrazy. Bardzo zabawne.

- Słucham pana, monsieur - powiedziała recepcjonistka, kładąc dłonie na stole.

Jura zaśmiał się.

-Nie jestem żaden monsieur. Jestem zwykłym radzieckim towarzyszem.

Recepcjonistka też się roześmiała.

- Szczerze mówiąc, tak właśnie myślałam. Ale wolałam nie ryzykować. Mamy tu zagranicznych gości, którzy obrażają się, gdy nazywa się ich towarzyszami.

-Ale cudaki!

- Cóż... - powiedziała recepcjonistka. - Więc czym mogę wam służyć, towarzyszu?

- Rozumie pani - zaczął Jura. - Bardzo mi zależy na tym, żeby spotkać się z naczelnikiem kosmodromu. Czy nie mogłaby mi pani czegoś doradzić?

- A co tu radzić? - Zdumiała się recepcjonistka. Wzięła słuchawkę i wykręciła numer.

- Wala? - spytała. - A, Zoja? Słuchaj, Zojeczka, mówi Krugłowa. Kiedy twój dzisiaj przyjmuje? Aha?... Rozumiem... Nie, po prostu jeden młody człowiek... Tak... No dobrze, dziękuję, przepraszam.

Ekran wideofonu pozostał ślepy i Jura uznał to za zły omen. Niedobrze, pomyślał.

- No więc, sprawa wygląda tak - zaczęła recepcjonistka. - Naczelnik jest bardzo zajęty i wejść do niego będzie można dopiero po szóstej. Podam panu adres i telefon... - Szybko napisała coś na hotelowym blankiecie. - Proszę. O szóstej niech pan tam zadzwoni albo od razu wejdzie. To tuż obok.

Jura wstał, wziął kartkę i podziękował.

- Gdzie się pan zatrzymał? - zainteresowała się recepcjonistka.

- Rozumie pani - odparł Jura - jeszcze nigdzie. I nie chcę się zatrzymywać. Muszę jeszcze dziś odlecieć.

- Aha - powiedziała recepcjonistka. - W takim razie szczęśliwej drogi. Spokojnej plazmy, jak to mówią.

Jura jeszcze raz podziękował i wyszedł na ulicę.

W zacienionym zaułku nieopodal hotelu znalazł kawiarnię, w której sješta się skończyła albo jeszcze nie zaczęła. Na trawie pod dużym, kwiecistym namiotem rozstawione były stoliki, pachniało pieczoną świniną. Nad namiotem wisiała tablica: „Your old Micky Mouse” z rysunkiem disneyowskiej myszki. Jura nieśmiało wszedł pod namiot.

Takie kawiarnie bywają tylko w międzynarodowych miastach. Za długim metalowym barem na tle butelek z pstrymi naklejkami siedział łysy rumiany barman w białej kurtce z podwiniętymi rękawami. Jego wielkie włochate pięści spoczywały leniwie pośród srebrnych kloszy, przykrywających półmiski z bezpłatnymi zakąskami. Po lewej stronie barmana wznosiła się dziwna srebrna maszyna, znad której wzbijały się strumienie gorącej pary. Po prawej stronie pod szklaną pokrywą widniały różnorakie kanapki na tekturowych talerzykach. Nad głową barmana były przybite dwa plakaty. Jeden po angielsku oznajmiał, że „Pierwszy drink gratis, drugi dwadzieścia cztery centy, każdy następny - osiemnaście centów”. Drugi plakat, w języku rosyjskim, głosił: „Wasza stara Myszka Miki uczestniczy we współzawodnictwie o tytuł najlepszej kawiarni”.

W kawiarni było tylko dwóch gości. Jeden z nich spał przy stoliku, jego rozczochrana głowa spoczywała na dłoniach. Obok niego na trawie leżał brudny, zatłuszczony plecak.

Drugi gość, potężny mężczyzna w kraciastej koszuli, niespiesznie i ze smakiem jadł ragout i przez dwa rzędy stolików dyskutował z barmanem. Dyskusja prowadzona była po rosyjsku. Gdy Jura wszedł, barman mówił:

- Nie mówię o rakietach fotonowych i atomowych reaktorach. Chcę mówić o kawiarniach i barach. Na tym się znam. Weźmy tutaj, w Mirza-Charle, wasze radzieckie kawiarnie i nasze zachodnie. Znam obrót każdej knajpy w tym mieście. Kto chodzi do

waszych radzieckich kawiarni? A przede wszystkim, po co? Do waszych kawiarni chodzą kobiety, żeby jeść lody i tańczyć z niepijącymi pilotami... - W tym momencie dostrzegł Jurę. - O, przyszedł chłopak - powiedział. - Rosyjski chłopak. Przyszedł do „Myszki Miki” w dzień, więc jest przyjezdny. I chce coś zjeść.

Mężczyzna w kraciatej koszuli spojrział na Jurę z ciekawością.

- Dzień dobry - odezwał się Jura do barmana. - Rzeczywiście chciałem coś zjeść. Jak się to u was robi?

Barman głośno zachichotał.

- Dokładnie tak samo, jak i u was. Szybko, smacznie i uprzejmie. Co byś chciał zjeść?

Człowiek w kraciatej koszuli powiedział:

- Zrób mu chłodnik z lodem i schabowego, Joyce. A wy, towarzyszu, siadźcie koło mnie. Po pierwsze, tutaj jest przewiew, po drugie, w ten sposób łatwiej nam będzie prowadzić walkę ideologiczną ze starym Joyce'em.

Barman znowu zachichotał i skrył się za barem. Jura uśmiechnął się speszony i usiadł obok kraciatej koszuli.

- Prowadzę z „Myszką Miki” walkę ideologiczną - wyjaśnił mężczyzna w kraciatej koszuli. - Już piąty rok próbuję mu udowodnić, że w systemie słonecznym jest jeszcze coś poza knajpami.

Barman wyłonił się zza baru, niosąc na tacy głęboki kartonowy talerz z chłodnikiem i chleb.

- Nawet nie będę proponował alkoholu - powiedział i zręcznie postawił tacę na stole. - Od razu zrozumiałem, że jest pan rosyjskim chłopcem. Wszyscy macie jakiś taki szczególny wyraz twarzy. Nie mogę powiedzieć, żeby mi się nie podobał, ale na wasz widok człowiekowi odechciewa się pić. I chciałby wziąć udział w jakimś współzawodnictwie, nawet kosztem kawiarni.

- W wolnym przedsiębiorcy odezwało się sumienie - uśmiechnął się Iwan. - Jeszcze rok temu udało mi się go przekonać, że wpychanie spirytusu niewinnym ludziom jest zajęciem niemoralnym.

- Zwłaszcza jeśli się to robi bezpłatnie - dorzucił barman i zachichotał. Najwidoczniej była to aluzja do darmowego drinka.

Jura słuchał, z przyjemnością jedząc zimny, wyjątkowo smaczny chłodnik. Brzeg talerza ozdobił angielski napis, który Jura przetłumaczył: Zjedz do dna, a zobaczysz niespodziankę.

- Już nawet nie o to chodzi, Joyce, że przez waszą klientelę trzeba trzymać w Mirza-Charle międzynarodową policję - powiedział leniwie Iwan. - I nie poruszam na razie kwestii, że właśnie wyższość zachodnich kawiarni nad radzieckimi sprawia, że człowiek zaskakująco łatwo traci ludzkie oblicze. Smutek mnie ogarnia, gdy patrzę na pana jako takiego, Joyce. Nie na barmana, lecz na człowieka. Energiczny mężczyzna, złote ręce, niegłupi. I czym się zajmuje? Sterczy za barem jak stary automat handlowy i każdego wieczoru, śliniąc palce, liczy brudne banknoty.

- Nigdy pan tego nie zrozumie, Iwan - odrzekł majestatycznie barman. - Takie pojęcia jak obrót i dobre imię kawiarni są wam obce. Kto nie zna „Myszki Miki” i Joyce’a? Mój bar znany jest w każdym zakątku Wszechświata! Dokąd idą nasi piloci, wracając z jakiegoś Jowisza? Do „Myszki Miki”! Gdzie nasi zwerbowani włóczędzy spędzają swój ostatni dzień na Ziemi? W „Myszce Miki”! Tutaj! Przy tym barze! Dokąd idą zagłuszyć smutek albo oblać radość? Do mnie! A dokąd idzie pan, Iwanie? - Zachichotał. - Idzie pana do starego Joyce’a! Oczywiście, nigdy nie zagląda pan do mnie wieczorem. Co najwyżej w składzie patrolu porządku. Wiem, że w głębi duszy woli pan wasze radzieckie kawiarnie. Ale mimo wszystko pan tu przychodzi! Do „Myszki Miki” i starego Joyce’a - coś się tu panu podoba, prawda? Dlatego właśnie jestem dumny z mojego zakładu.

Barman odetchnął i wysunął przed siebie palec wskazujący.

- I jeszcze jedno - powiedział. - Mówił pan o brudnych banknotach. W waszym szalonym kraju wszyscy powtarzają, że pieniądze to błoto. Ale w moim kraju wszyscy wiedzą, że błoto to nie pieniądze. Pieniądze trzeba zdobywać! Po to latają nasi piloci, po to zaciągają się nasi robotnicy. Jestem starym człowiekiem i pewnie dlatego nie mogę zrozumieć, co jest u was miarą dobrobytu i sukcesu. U was wszystko stoi do góry nogami. A u nas jasne i zrozumiałe. Gdzie teraz jest zdobywca Ganimedu, kapitan Epton? Jest dyrektorem kompanii „Minerals Limited”. Kim jest znamienity nawigator Cyrus Campbell? Właścicielem dwóch wielkich restauracji w Nowym Jorku. Oczywiście, kiedyś znał ich cały świat, a teraz są w cieniu, za to kiedyś byli sługami i szli tam, gdzie ich posyłano, a teraz sami mają służących, których posyłają tam, gdzie im się podoba. Ja też nie chcę być sługą. Ja też chcę być panem.

Iwan powiedział w zadumie:

- Do czegoś już pan doszedł, Joyce. Nie chce pan być sługą. Teraz już zostało wam tylko - bagatelka! - przestać pragnąć być panem.

Jura zjadł chłodnik i zobaczył niespodziankę. Na dnie talerza był napis: To danie sporządziła elektroniczna maszyna kuchenna „Orfeusz” firmy Cybernetix Limited. Jura odsunął talerz i oświadczył:

- A moim zdaniem to nudne przez całe życie stać za barem. Barman poprawił na ścianie tabliczkę z napisem „Noszenie broni palnej w Mirza-Charle grozi karą śmierci” i powiedział:

- Co to znaczy - nudno? Co to znaczy nudna czy wesoła praca? Praca to praca.

- Praca powinna być ciekawa - oznajmił Jura.

- Po co? - barman wzruszył ramionami.

- Jak to - po co? - zdumiał się Jura. - Jeśli praca nie jest ciekawa, trzeba, trzeba... Kto chciałby mieć nieciekawą pracę? Jaki z ciebie pożytek, jeśli nie interesuje cię to, co robisz?

- Dobrze mu tak, staremu - powiedział Iwan.

- To nieuczciwe. Werbujesz sobie towarzyszy, a ja jestem sam - oświadczył barman, wstając ciężko.

- Was też jest dwóch - stwierdził Iwan, wskazując śpiącego. Barman popatrzył, pokręcił głową, zebrał brudne talerze i wszedł za bar.

- Twardy, co? - rzekł Iwan półgłosem. - Jak o dobrym imieniu zakładu mówił! Wy byście sobie porozmawiali! Totalny brak płaszczyzny porozumienia! Sam ciągle próbuję nawiązać z nim wspólny język. W sumie to fajny facet!

Jura z uporem potrząsnął głową.

- Nie - orzekł. - Wcale nie jest fajny. Jest zarozumiały i tępy. Żal mi go. I po co on żyje? Uzbiera pieniędzy, wróci do domu. I co dalej?

- Joyce! - krzyknął Iwan. - Tu jest do pana jeszcze jedno pytanie!

- Idę! - odkrzyknął barman.

Wynurzył się zza baru i postawił przed Jurą talerz ze schabowym i spotniałą butelkę winogronowego soku.

- Na koszt firmy - powiedział, wskazując butelkę i usiadł.

- Dziękuję, nie trzeba - odparł Jura.

- Słuchaj pan, Joyce. Rosyjski chłopiec pyta, co będzie pan robił, jak się pan wzbogaci?

Joyce popatrzył uważnie na Jurę.

- Dobrze - stwierdził. - Ja wiem, jakiej odpowiedzi oczekuje chłopiec. Dlatego to ja spytam. Chłopiec dorośnie i zostanie dorosłym mężczyzną. Przez całe życie będzie się

zajmował... tą swoją interesującą pracą. A gdy się zestarzeje, nie będzie już mógł pracować. Co wtedy będzie robił chłopiec?

Iwan opadł na oparcie krzesła i z satysfakcją popatrzył na barmana. Na twarzy miał wypisane: A to ci pytanie! Jura czuł, że palą go uszy. Opuścił widelec i zmieszany powiedział:

- Nie wiem, nie myślałem o tym... - Zamilkł.

Barman patrzył na niego ze smutkiem i powagą. Powoli płynęły straszne sekundy. Jura rzucił z rozpaczą:

- Postaram się umrzeć, zanim nie będę mógł pracować... - Barman uniósł wysoko brwi i przestraszony obejrzał się na Iwana. Kompletnie stropiony Jura dorzucił:

- I w ogóle, uważam, że najważniejsze w życiu człowieka to piękna śmierć!

Barman wstał w milczeniu, szeroką dłonią poklepał Jurę po plecach i oddalił się za bar. Iwan powiedział:

- Dzięki, stary. A toś mi pomógł. W ten sposób rozwalisz mi całą ideologiczną robotę.

- No, dlaczego... - wymamrotał Jura. - Starość... Nie pracować... Człowiek powinien walczyć przez całe życie! Nie tak?

- Tak - rzekł barman. - Ja na przykład przez całe życie walczę z nałogami.

- Przecież ja nie o tym - zawołał Jura, machnął ręką i utkwiał wzrok w talerzu.

Iwan napił się winogronowego soku na koszt firmy i z wolna wycedził:

- Przy okazji, Joyce. Bardzo interesujący szczegół. Wprawdzie mój sprzymierzeniec z powodu zbyt młodego wieku nic mądrego nie powiedział, ale zauważ pan, że on woli umrzeć, niż żyć waszą starością. Nigdy nie przyszło mu do głowy, co będzie robił, jak się zestarzeje. A pan, Joyce, przez całe życie o tym myśli. I przez całe życie szykuje się pan do starości. Tak, Joyce.

Barman w zadumie poskrobał palcem łysinę.

- Może i racja - powiedział.

- Na tym właśnie polega różnica - podsumował Iwan. - I chyba nie jest ona na waszą korzyść.

Barman zastanowił się, znowu poskrobał łysinę i bez słowa zniknął za drzwiami w głębi baru.

- Taak... - Iwan był wyraźnie zadowolony. - Dzisiaj mu dopiekłem. A przy okazji, skąd jesteś, cudowny dzieciaku?

- Z Wiaźmy - odparł Jura ze smutkiem, w jaki zawsze wprawiał go brak pewności.

- I po co?

- Muszę na Rheę. - Spojrzał na Iwana i wyjaśnił: - Rheę to jeden z satelitów Saturna.

- Ach tak - powiedział Iwan. - Interesujące. I czego tam szukasz?

- Tam jest nowa budowa. A ja jestem spawaczem próżniowym. Było nas jedenaścioro, ale ja się spóźniłem, bo... no, z powodów rodzinnych. Teraz nie wiem, jak się tam dostać. O szóstej pójde do naczelnika kosmodromu.

- Do Majkowa?

- Nie... - powiedział Jura. - To znaczy, nie wiem, jak on się nazywa. No, do naczelnika kosmodromu.

Iwan przyglądał mu się z zainteresowaniem.

- Jak się nazywasz?

- Jura... Jurij Borodin.

- Otóż tak, Juriju Borodinie... - Iwan strapiiony pokręcił głową.

- Obawiam się, że będziesz musiał pięknie umrzeć. Problem w tym, że naczelnik kosmodromu, towarzysz Majkow, a wiem to z pewnego źródła, poleciał do Moskwy - popatrzył na zegarek - dwanaście minut temu.

To był potworny cios. Jura stracił cały rezon.

- Jakże tak... - wymamrotał. - Przecież powiedziano mi...

- No, no - pocieszył go Iwan. - Nie trzeba się tak martwić. Starość jeszcze nie nadeszła. Każdy naczelnik, odlatując do Moskwy, zostawia swojego następcę.

- Prawda! - Jura odżył. - Przepraszam pana, muszę natychmiast pójść i zadzwonić...

- Idź. Telefon jest za rogiem.

Jura zerwał się i pobiegł do telefonu. Gdy wrócił, Iwan stał na ścieżce przed wejściem do kawiarni.

- No i co? - spytał.

- Nie mam szczęścia - pożałował Jura. - Naczelnik rzeczywiście poleciał, a jego zastępca może mnie przyjąć dopiero jutro wieczorem.

- Wieczorem? - spytał Iwan.

- Tak, po siódmej.

Iwan w zadumie wpatrywał się w korony akacji.

- Wieczorem - powtórzył. - Tak, to rzeczywiście zbyt późno.

- Więc jednak będę musiał zanoć w hotelu - westchnął Jura. - Pójde wynająć pokój.

Ścieżką zbliżał się, przebierając krótkimi nóżkami, elegancko odziany człowiek w korkowym hennie. Twarz miał obrzmiałą, oczy podpuchnięte. Pod lewym okiem ciemniał

mocno przypudrowany siniak. Dziesięć kroków przed Iwanem mężczyzna zerwał z głowy hełm i zgiął się wpół, po czym pospiesznie wszedł do kawiarni. Iwan skłonił mu się uprzejmie.

- Czemu on tak? - zdziwił się Jura.

- Chodźmy, chodźmy - powiedział Iwan. - Idziemy w tę samą stronę.

- Chwileczkę - poprosił Jura. - Tylko zapłacę.

- Już zapłaciłem - odparł Iwan. - Idziemy.

- Ależ dlaczego - rzekł Jura z godnością. - Mam pieniądze... Wszystkim nam wydali...

Iwan obejrzał się na kawiarnię.

- A ten wazeliniarz - zaczął - to mój dobry znajomy. Duma i chluba międzynarodowego portu Mirza-Charle. - Jura też się obejrzał. Duma Mirza-Charle wspięła się na wysoki taboret przy barze. - Król stinkerów². Podziemny werbownik. Najlepiej prosperujący łajdak w mieście. Dwa dni temu upił się jak świnia i przyczepił się do dziewczyny na ulicy. Tam go właśnie trochę poturbowałem. Dlatego teraz taki grzeczny.

Szli powoli cienistym, zielonym zaułkiem. Zrobiło się chłodniej. Z ulicy Przyjaźń dobiegał huk silników atomocarów.

- A kogo on werbuje? - spytał Jura.

- Robotników - odparł Iwan. - Przy okazji, kto zarekomendował cię na Rheę?

- Rekomendował nas nasz zakład - powiedział Jura. - A co to za robotnicy? Czyżby nasi?

- Skąd nasi? - zdumiał się Iwan - Chłopaki z Zachodu. Różni biedacy, którzy od dzieciństwa myślą o starości i marzą, żeby zostać panami. Dużo tam jeszcze takich. Posłuchaj, Jura, a jeśli nie uda ci się dostać na Rheę?

- Co pan - oburzył się Jura. - Na pewno dostanę się na Rheę. Jak bym wyglądał przed chłopakami, gdybym tam nie dotarł! Było nas stu pięćdziesięciu ochotników, a wybrali tylko jedenastu. No to jak mógłbym tam nie polecieć!

Przez jakiś czas szli w milczeniu.

- A jak ich zwerbują - odezwał się Jura - to co potem?

- Potem wsadzają ich na statki i wysyłają na asteroidy. Werbownicy dostają forszę za każdego człowieka wsadzonego do ładowni.

Dlatego udając agentów handlowych tłuką się po Mirza-Charle. I innych międzynarodowych kosmodromach.

² Stinker - (ang.) śmierdziel - wszystkie przypisy autorów.

Wyszli na ulicę Przyjaźni i skręcili do hotelu. Iwan zatrzymał się przed wielkim białym domem.

- Tutaj skręcam - powiedział. - Do widzenia, Juro Borodinie.

- Do widzenia - odrzekł Jura. - Bardzo dziękuję. I przepraszam że tam, w kawiarni, nagadałem różnych głupstw.

- Nie szkodzi. Najważniejsze, że mówiłeś szczerze. Uścisnęli sobie ręce.

- Posłuchaj, Jura - zaczął Iwan i zamilkł. - Tak?

-Jeśli chodzi o Rheę... - Przerwał, znów spoglądając w bok. Jura czekał. - No więc, jeśli chodzi o Rheę. Zajdź, bracie, dzisiaj, powiedzmy o dziewiątej wieczorem do pokoju trzysta sześć w hotelu.

-I co?

- Co z tego wyjdzie, nie wiem - powiedział Iwan. - Ale w tyra pokoju zobaczysz człowieka o bardzo groźnym wyglądzie. Spróbuj go przekonać, że koniecznie musisz dostać się na Rheę.

-A kim on jest?

- Do widzenia - uciął Iwan. -I nie zapomnij: pokój trzysta sześć, po dziewiątej.

Odwrócił się i zniknął w białym budynku. Przy wejściu wisiała czarna plastikowa tabliczka z białym napisem: Sztab patroli porządkowych. Mirza-Charle.

- Pokój trzysta sześć - powtórzył Jura. - Po dziewiątej.

2. Mirza-Charle. Hotel, pokój 306.

Jura zabijał czas. W ciągu kilku godzin obszedł niemal całe miasto. Lubił chodzić po nieznanymi miastami i dowiadywać się, co w nich jest. W Mirza-Charle był SESK. Pod gigantyczną, przezroczystą kopułą nikogo nie wpuszczano, ale teraz Jura wiedział, że SESK to System Elektronicznego Sterowania i Kontroli, elektroniczny mózg kosmodromu. Idąc na pomoc od SESK, można trafić do przestronnego parku, z kinem pod gołym niebem, dwiema strzelnicami, wielkim stadionem, z atrakcją „Człowiek w rakiemie”, muzycznymi kabinami, huśtawkami i miejscami do tańca, i z wielkim jeziorem, wokół którego rosły araukarie i piramidalne topole. Jura z rozkoszą wykąpał się w tym jeziorze. Na południowych peryferiach miasta Jura trafił na niski czerwony budynek, za którym od razu zaczynała się pustynia. Obok budynku stało kilka kwadratowych atomocarów i chodził błękitny policjant z pistoletem. Policjant powiedział Jurze, że czerwony budynek to więzienie i rosyjski chłopiec nie ma co tu robić. Na zachód od SESK znajdowały się osiedla. Stało tam dużo wielkich i małych, pięknych i niepozornych domów. Ulice były wąskie, bez nawierzchni. Żyło się tu najwidoczniej całkiem nieźle -chłodno, cieniście i niedaleko od centrum. Jurze bardzo spodobał się budynek miejskiej biblioteki, ale nie wszedł do środka. Na zachodnich peryferiach miasta znajdowały się budynki administracji, a za nimi zaczynała się ogromna dzielnica magazynów.

Magazyny były bardzo długie, z szarego tworzywa, z gigantycznymi białymi cyframi na ścianach. Jura zobaczył ogromną liczbę ciężarówek i ciężarowych helikopterów. Czegoś takiego nie widział jeszcze nigdy w życiu. Od niemiłkącego ryku silników zatykało uszy. Jura nie zdążył zrobić nawet dziesięciu kroków, gdy z tyłu zawyła syrena. Uskoczył w bok, pod jakąś ścianę. Ściana rozsunęła się i przez szeroką jak łuk triumfalny bramę prosto na Jurę wypełzł olbrzymi czerwono-biały potwór na kołach, dwukrotnie przerastający człowieka. Z wysokości pierwszego piętra na Jurę zaryczał bezgłośnie kierowca w tiubietejce. Potworna ciężarówka powoli nabierała prędkości, sunąc wąskim przejazdem pomiędzy magazynami. Za nią z czarnego wnętrza magazynu już wypełzała druga i trzecia. Jura ostrożnie przemykał się pod dyszącymi żarem ścianami, ogłuszony rykiem, warkotem i łoskotem nieznanymi mechanizmów.

Potem zobaczył niską platformę, na którą ładowano znajome cylindryczne butle z mieszkanką do spawania próżniowego. Jura podeszedł bliżej i uśmiechając się radośnie, stanął

obok człowieka, kierującego załadunkiem za pomocą przenośnego pulpitu na szyi. Przez jakiś czas stał i patrzył, jak dźwig starannie układa spakowane sztapel butli jeden na drugim. Potem stwierdził rzeczowo:

- Nie, to nie przejdzie.
- Co nie przejdzie? - spytał człowiek i z zainteresowaniem spojrzął na Jurę.
- Ta butla nie przejdzie.
- Dlaczego?
- Przecież pan widzi. Ma utracony zawór. Człowiek wahał się przez kilka sekund.
- Nie szkodzi - odezwał się w końcu. - Tam się będą martwić.
- Nie - sprzeciwił się Jura. - Nie będziemy się tam martwić. Odrzućcie ten sztapel.

Człowiek zdjął ręce z pulpitu i utkwiał wzrok w Jurze. Wysięgnik dźwigu znieruchomiał, kolejny sztapel kołyszając się spokojnie zawisł w powietrzu.

- To przecież drobiazg - powiedział człowiek.
- Tutaj.

Człowiek wzruszył ramionami i znowu położył dłonie na pulpicie. Jura uważnie obserwował wyładunek uszkodzonej butli, po czym uprzejmie podziękował i poszedł dalej. Wkrótce zorientował się, że zabłądził. Terytorium magazynów to jakby oddzielne miasto, a jego ulice i zaułki były zdumiewająco do siebie podobne. Kilka razy trafiał w uliczki, wychodzące prosto na pustynię. Na końcu takich uliczek stały ogromne tablice z napisem: „Strefa niebezpiecznego promieniowania!”. Szybko zapadał zmierzch, nad magazynami rozbłysły reflektory. Poszedł za kolumną jakichś maszyn na szerokich elastycznych gąsienicach i niespodziewanie znalazł się na szosie.

Jura wiedział, że miasto powinno znajdować się po prawej stronie, ale po lewej, tam, gdzie jechała kolumna, błyskały różnokolorowe światła i ruszył w tę stronę. Po obu stronach szosy rozpościerała się pustynia. Nie było ani drzew, ani aryków, tylko równy, czarny horyzont. Słońce już dawno zaszło, ale powietrze było nadal gorące i suche.

Różnokolorowe światła migotały nad szlabanem. Obok szlabanu stał niewielki, podobny do grzyba domek. Obok domku, na ławeczce pod latarnią siedział policjant z hełmem na kolanach. Drugi policjant przechadzał się przed szlabanem. Na widok Jury przystanął, po czym skierował się ku niemu. Jura czuł, że zamiera mu serce. Policjant podszedł i wyciągnął rękę.

- Papers³ - zaszczekał.

³ (ang.) - dokumenty.

Wpadłem, pomyślał Jura. Jeśli mnie tu zatrzymają... Zanim coś się wyjaśni... Po co ja tu szedłem! Pospiesznie sięgnął do kieszeni. Policjant czekał z wyciągniętą ręką. Drugi policjant założył hełm i wstał.

- Wait a minut - wymamrotał Jura. - Już, już... sekundę... No, gdzie ona jest...

Policjant opuścił dłoń.

- Rosjanin? - spytał.

- Tak - odparł Jura. - Zaraz... widzi pan, mam tylko rekomendację od zakładu... Wiaziemska Fabryka Konstrukcji Metalowych... - W końcu znalazł rekomendację.

- Nie trzeba. - Głos policjanta brzmiał teraz dobrodusznie. Podszedł drugi policjant i spytał:

- What's the matter? The chap hasn't got his papers?⁴

- Nie - powiedział pierwszy. - To Rosjanin.

- A - rzekł drugi. Odwrócił się i poszedł z powrotem do ławki.

- Chciałem tylko popatrzeć, co tu jest - odezwał się Jura.

- Kosmodrom - wyjaśnił ochotczo policjant. - Tam. - Wskazał ręką szlaban. - Ale nie wolno wchodzić.

- Nie, nie - powiedział szybko Jura. - Chciałem tylko popatrzeć. - Popatrzeć można - zgodził się policjant. Zaczął iść w stronę szlabanu. Jura ruszył za nim. - To kosmodrom - powtórzył policjant. Pod jasnymi gwiazdami Azji połyskiwała, jakby pokryta szkłem, płaska równina. Daleko przed nimi, tam, dokąd biegła szosa, płonęły rozbłyski i przesuwwały się światła reflektorów, wyciągając z ciemności gigantyczne sylwetki. Od czasu do czasu nad równiną przetaczał się słaby łoskot. Statki kosmiczne, pomyślał z zadowoleniem Jura. Wiedział oczywiście, że Mirza-Charle, tak jak wszystkie inne kosmodromy na Ziemi, służy tylko do komunikacji okołoziemskiej, że prawdziwe rakiety fotonowe typu „Hius”, „John Brown” czy „Jangcy” są ogromne, zbyt potężne, żeby startować prosto z Ziemi, ale te ciemne sylwetki za horyzontem też robiły wrażenie.

- Rakiety, rakiety - powiedział powoli policjant. - Tyle ludzi stąd odlatuje. - Podniósł ku czarnemu niebu błękitną świecącą się pałkę. - Każdy ze swoimi nadziejami. A ilu ich wraca w zaspawanych ołowianych trumnach! Tutaj, przy tym szlabanie wystawiamy żalobną wartę. Ich upór wprost dech zapiera. A jednak tam - znów podniósł pałkę - jest ktoś, komu się ten upór nie podoba...

⁴ (ang.) - Co się dzieje? Chłopak nie ma dokumentów?

Horyzont nagle rozjaśnił oślepiający wybuch, ognisty strumień wzbił się w niebo i rozsypał kaskadą iskier. Beton pod nogami zadrżał. Policjant podniósł do oczu zegarek.

- Dwudziesta dwanaście. Wieczorny łunnik.

W niebie rozległ się łoskot, oddalając się powoli słabł, w końcu cichnąc zupełnie.

- Pora na mnie - stwierdził Jura. - Jak stąd najszybciej dojść do miasta?

- Najlepiej na piechotę - odpowiedział policjant. - Przed zakrętem do magazynów złapie pan okazję.

Gdy w końcu o wpół do dziesiątej Jura dotarł do hotelu, był zmęczony i oszołomiony. Mirza-Charle wieczorem w niczym nie przypominało miasta za dnia. Ulicami, poprzecinany czarnymi cieniami, płynęły potoki autobusów. Światła reklam oświetlały tłumy na chodnikach. Drzwi wszystkich barów i kawiarni były otwarte na oścież. Grała tam muzyka, wnętrza wypełniał szary papierosowy dym. Pijani cudzoziemcy włączyli się po chodnikach, obejmując się po trzech, po czterech, i śpiewając nieznane piosenki. Co jakieś dwadzieścia, trzydzieści kroków stali policjanci z kamiennymi twarzami pod nisko opuszczonymi hełmami. Przez płynący tłum niespiesznie szły trójki krzepkich młodych chłopaków z czerwonymi opaskami na rękawach. To były patrole porządkowe. Jura widział, jak jeden taki patrol wszedł do baru, gdzie natychmiast zapanowała cisza, nawet muzyka przestała grać. Patrolujący mieli znudzone, wzgardliwe twarze. Z drugiego baru, nieopodal hotelu dwóch mężczyzn z wąsikami wyrzuciło na chodnik jakiegoś nieszczęśnika i zaczęło go kopać. Nieszczęśnik krzyczał głośno po francusku: Patrol! Szybko! Pomocy! Jura zacisnął zęby. Już miał zamiar dać w ucho jednemu z wąsatych, w tym momencie jednak został bezceremonialnie odsunięty, a długa, żyłasta ręka z czerwoną opaską chwyciła jednego wąsacza za kołnierz. Drugi skulił się i dał nura do baru. Patrol niedbale strząsnął zdobycz w objęcia policjantów i ci, wykręcając awanturnikowi ręce za plecy zawlekli go do najbliższego zaułka. Jura zdążył zauważyć, jak jeden z policjantów, oglądając się na patrol, z całej siły trzasnął wąsacza po głowie świecącą się pałką. Szkoda, że ja nie zdążyłem, pomyślał Jura. Na chwilę odechciało mu się lecieć na Rheę. Zapragnął włożyć czerwoną opaskę i przyłączyć się do tych krzepkich pewnych siebie młodych ludzi.

-Ale tu u was porządki! - oburzał się Jura, mówiąc do recepcjonistki w hotelu. - Istne gniazdo pluskiew!...

- O czym pan mówi? - przestraszyła się recepcjonistka. Jura ochłonął.

- No, na ulicach, rozumie pani - wyjaśnił. - Bagno!...

- To międzynarodowy port... Na razie musimy wytrzymać - odrzekła recepcjonistka z uśmiechem. - A jak tam pańskie sprawy?

- Jeszcze nie wiem - odparł Jura. - Niech mi pani powie, jak trafić do pokoju trzysta sześć?

- Niech pan wjedzie windą, drugie piętro na prawo.

- Dziękuję - powiedział Jura i ruszył do windy.

Wjechał na drugie piętro i od razu znalazł pokój trzysta sześć. Stanął przed drzwiami i po raz pierwszy zastanowił się, jak, o czym, a przede wszystkim, z kim będzie rozmawiał. Przypomniały mu się słowa Iwana o groźnym wyglądzie człowieka. Starannie przygładził włosy i obejrzał się. Potem zapukał.

- Wejść - odezwał się za drzwiami niski ochrypły głos.

Jura wszedł. W pokoju, przy okrągłym, nakrytym białym obrusem stole siedziało dwóch starszych mężczyzn. Jura osłupiał - poznał obu, co go zaskoczyło tak, że wydawało mu się, iż pomylił drzwi. Twarzą do niego, utkwivszy w Jurze spojrzenie malutkich oczek siedział słynny Bykow, kapitan nie mniej słynnego „Tachmasiba”, ponury i rudy - taki jak na stereofotografii nad stołem starszego brata Jury. Twarz drugiego człowieka, niedbale rozwalonego w plecionym fotelu, szlachetna, pociągła, z pogardliwą zmarszczką wokół warg, też była zdumiewająca znajoma. Jura w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska, ale był absolutnie pewien, że kiedyś go widział, może nawet nieraz. Na stole stała smukła, ciemna butelka i jeden kielich.

- O co chodzi? - spytał głucho Bykow.

- Czy to pokój trzysta sześć? - odezwał się niepewnie Jura.

- Tak - odpowiedział aksamitnym głosem człowiek z kielichem. - Kogo szukacie, młody człowieku?

Przecież to Jurkowski, przypomniał sobie Jura. Planetolog z Wenus. Nakręcili o nich film...

- Ja... ja... nie wiem - bąkał Jura. - Rozumiecie, ja muszę na Rheę... Dzisiaj jeden towarzysz...

- Nazwisko? - spytał Bykow.

- Czyje? - nie zrozumiał Jura.

- Wasze nazwisko!

- Borodin... Jurij Michajłowicz Borodin.

- Specjalizacja?

- Spawacz próżniowy.

- Dokumenty.

Drugi raz w ciągu ostatnich dwóch godzin (i całego życia) Jura sięgnął po dokumenty. Bykow patrzył na niego wyczekująco. Jurkowski leniwie sięgnął po butelkę i nalał sobie wina.

- Proszę - powiedział Jura.

Położył rekomendację na stole i cofnął się o kilka kroków. Bykow wyjął z kieszeni na piersi ogromne staromodne okulary i przystawiając je do oczu, bardzo uważnie, jak wydało się Jurze dwa razy przeczytał dokument, po czym podał go Jurkowskiemu.

- Jak to się stało, że nie zdążyliście z grupą? - spytał ostro.

- Ja... Rozumiecie, z powodów rodzinnych...

- Więcej szczegółów, młody człowieku - zahuczał Jurkowski. Czytał rekomendację, trzymając ją w wyciągniętej ręce i popijając wino.

- Rozumiecie, zachorowała moja mama - powiedział Jura. -Atak wyrostka. Nie mogłem wyjechać. Brat jest w ekspedycji, ojciec teraz na biegunie... Nie mogłem...

- Wasza mama wie, że zgłosiliście się na ochotnika w kosmos? - spytał Bykow.

- Tak, oczywiście.

- Zgodziła się?

- Taak...

- Narzeczoną macie?

Jura pokręcił głową. Jurkowski starannie złożył rekomendację i położył ją na brzegu stołu.

- Powiedzcie mi, młody człowieku, dlaczego was... n-nie zastąpiono?

Jura poczerwieniał.

- Bardzo prosiłem - odpowiedział cicho. - I wszyscy myśleli, że zdążę ich dogonić. Spóźniłem się tylko o dobę...

Zapanowała cisza i było słychać, jak na ulicy Przyjaźni wydzierają się wikingowie. Albo zalewali robaka, albo opijali radość. Możliwe, że u starego Joyce'a.

- Czy macie... z-znajomych w Mirza-Charle? - spytał ostrożnie Jurkowski.

-Nie. Przyjechałem dopiero dzisiaj. Poznałem tu jednego towarzysza, nazywa się Iwan i on...

- A do kogo się zwracaliście?

- Do dyżurnej od pasażerskich przewozów i recepcjonistki hotelu. Bykow i Jurkowski popatrzyli na siebie. Jura miał wrażenie, że

Jurkowski ledwie zauważalnie pokręcił głową.

- No, to jeszcze nie tak źle - burknął Bykow.

- Zupełnie nie rozumiem, po co nam pasażer - niespodziewanie ostro odezwał się Jurkowski.

Bykow milczał.

- Słowo honoru, nikomu nie będę przeszkadzał - powiedział z przekonaniem Jura. -1
jestem gotów na wszystko.

- Nawet pięknie umrzeć - warknął Bykow.

Jura przygryzł wargi. Źle, pomyślał. Złe ze mną. Oj, źle...

- Muszę się dostać na Rheę - powiedział. Nagle z całą jasnością zrozumiał, że to jego ostatnia szansa i że na jutrzejszą rozmowę z zastępcą naczelnika nie ma co liczyć.

- Mmm? - mruknął Bykow i popatrzył na Jurkowskiego. Jurkowski wzruszył ramionami, uniósł kielich i zaczął patrzeć przez szkło na lampę. Wtedy Bykow wstał zza stołu - Jura cofnął się - tamten okazał się taki potężny i ciężki - i szurając domowymi pantoflami podszedł do wiszącej w kącie na oparciu krzesła wytartej skórzanej kurtki. Wyciągnął z kieszeni płaski błyszczący futerał radiofonu. Jura wstrzymał oddech i patrzył na jego plecy.

- Charles? - spytał głucho Bykow. Przycisnął do ucha giętki sznur z metalową kulką na końcu. - Tu Bykow. Masz jeszcze u siebie rejestr „Tachmasiba”? Dopisz do składu załogi na specrejs 17... Tak, biorę stażystę... tak, naczelnik ekspedycji nie wyraża sprzeciwu... - Jurkowski skrzywił się, ale nic nie powiedział. - Co? Zaraz. - Bykow odwrócił się do Jury, wyciągnął rękę i niecierpliwie pstryknął palcami. Jura rzucił się do stołu, chwycił rekomendację i włożył w palce Bykowa. - Już... tak... Od kolektywu Wiaziemskiej Fabryki Konstrukcji Metalowych... Boże mój, Charles, to absolutnie nie twoja sprawa! W końcu to specrejs! Tak. Podaję: Borodin, Jurij Michajłowicz... Osiemnaście lat. Tak, właśnie osiemnaście. Spawacz próżniowy... Stażysta... Przyjęty z mojego polecenia z wczorajszą datą. I proszę cię, Charles, od razu przygotuj dla niego dokumenty. Nie, nie on, ja sam zajadę... Jutro rano. Do widzenia, Charles, dziękuję.

Bykow powoli zwinął sznur i wsunął radiofon z powrotem do kieszeni kurtki.

- To niezgodne z prawem - odezwał się niezbyt głośno Jurkowski.

Bykow wrócił do stołu i usiadł.

- Gdybyś ty wiedział, Władimir, bez ilu praw mogę się obejść w przestrzeni. I bez ilu praw przyjdzie nam się obejść w tym rejsie. Stażysto, możecie się - zwrócił się do Jury. Jura pospiesznie i bardzo niewygodnie usiadł. Bykow wziął słuchawkę. - Żylin, zajdź do mnie. - Powiesił słuchawkę. - Weźcie wasze dokumenty, stażysto. Będziecie podlegali

bezpośrednio mnie. Z waszymi obowiązkami zapozna was inżynier pokładowy Żylin, który zaraz tu przyjdzie.

- Aleksiej - powiedział uroczystym tonem Jurkowski - Nasz... k-kadet jeszcze nie wie, z kim ma do czynienia.

- Ja wiem - rzekł Jura. - Od razu was poznałem.

- O! - zdumiał się Jurkowski. - Nas jeszcze można poznać? Jura nie zdążył odpowiedzieć. Drzwi otworzyły się i na progu

stanął Iwan w tej samej kraciastej koszuli.

- Jestem, Aleksieju Pietrowiczu - oznajmił wesoło.

- Przyjmij swojego chrześniaka - burknął Bykow. - To nasz stażysta. Przydzielam go tobie. Zaznacz w dzienniku. A teraz bierz go do siebie i aż do startu nie spuszczaaj z oka.

- Tak jest - powiedział Żylin, ściągnął Jurę z krzesła i wyprowadził na korytarz.

Do Jury powoli docierało, co się dzieje.

- To wy jesteście Żylin? - spytał. - Inżynier pokładowy? Żylin nie odpowiedział.

Postawił Jurę przed sobą, cofnął się

o krok i spytał straszonym głosem:

- Wódkę pijesz?

- Nie - bronił się przestraszony Jura.

- W Boga wierzysz? -Nie.

- Prawdziwa międzyplanetarna dusza! - zawołał usatysfakcjonowany Żylin. - Gdy przybędziemy na „Tachmasiba”, dam ci pocałować klucz od startera.

3. Mars. Astronomowie.

Mrużąc oczy przed oślepiającym słońcem, Marti patrzył na wydmy. Crawlera nie było widać. Nad wydmami wisiała wielka chmura czerwonego pyłu, którą słaby wiatr powoli przesuwiał w bok. Było cicho, tylko na wysokości pięciu metrów szeleścił wiatraczek wiatromierza. W tym momencie Marti usłyszał wystrzały - puk, puk, puk, puk - cztery wystrzały pod rząd.

- Pudło, oczywiście - stwierdził.

Obserwatorium stało na wysokim płaskim wzgórzu. Latem powietrze było przezroczyste i z wierzchołka wzgórza było doskonale widać białe kopuły i parallelepipy Ciepłego Syrtu pięć kilometrów na południe i szare ruiny Starej Bazy na takim samym wysokim płaskim wzgórzu trzy kilometry na zachód. Teraz jednak Starą Bazę zasłaniał obłok pyłu. Puk, puk, puk - rozległo się znowu.

- Strzelcy - rzekł z goryczą Marti. Obejrzał obserwacyjny placyk. - Ale podlec - dodał.

Szerokokątna kamera była przewrócona, klatka meteorologiczna przechylona, a ściana pawilonu teleskopu zachlapana jakimś żółtym świństwem. Nad drzwiami ziała świeża dziura od rozpryskowego pocisku. Żarówka nad wejściem została rozbita.

- Strzelcy - powtórzył Matti.

Podszedł do pawilonu i palcami w futrzanej rękawiczce obmacał krawędź dziury. Pomyślał o tym, co może zrobić pocisk rozpryskowy w pawilonie i zrobiło mu się niedobrze. W pawilonie stał bardzo dobry teleskop z poprawionym obiektywem, rejestrator migotań i automaty błyskowe - aparatura rzadka, kapryśna i skomplikowana. Te automaty boją się nawet pyłu, trzeba je przykrywać hermetycznym pokrowcem. A co da pokrowiec w kontakcie z pociskiem rozpryskowym?

Matti nie wszedł do pawilonu. Niech sami zobaczą, pomyślał. Sami strzelali, niech sami patrzą. Szczerze mówiąc, po prostu bał się tam wejść. Położył karabin na piasku i z wysiłkiem podniósł kamerę. Jedna noga statywu była pogięta i kamera stała krzywo.

- Podlec! - wykrzyknął Matti z nienawiścią. Wykonywał zdjęcia meteorologiczne i kamera była jego jedynym instrumentem. Poszedł przez cały placyk do klatki. Pył na placyku był zryty, Matti ze złością deptał charakterystyczne okrągłe jamy - ślady „latającej pijawki”. Dlaczego przez cały czas lezie na placyk? - pomyślał. Poszłaby sobie wokół domu. Włamałaby się do garażu. To nie, lezie na placyk. Ludzkim mięsem tu pachnie, czy co?

Drzwiczki klatki były pocięte, nie otwierały się. Matti z rezygnacją machnął ręką i wrócił do kamery. Odkręcił ją, zdjął z trudem i, postępując, położył na rozpostarty brezent. Potem wziął statyw i zaniósł do domu. Postawił go w warsztacie i zajął do pokoju stołowego. Natasza siedziała przed radiostacją.

- Nadałaś? - chciał wiedzieć Matti.

- Wiesz co, po prostu ręce mi opadają - odrzekła gniewnie. - Słowo honoru, już prościej się tam przebiec.

- A co? - spytał Matti.

Natasza gwałtownym ruchem odkręciła gałkę potencjometru. W pokoju zahuczał niski, zmęczony głos: „Siódma, siódma, tu Syrt. Dlaczego nie ma komunikatu? Słyszycie, siódma? Dajcie komunikat!”. Siódma zabębniła cyframi.

- Syrt! - zawołała Natasza. - Syrt! Mówi pierwsza!

- Pierwsza, nie przeszkadzajcie - odezwał się zmęczony głos. - Wykażcie cierpliwość.

- Proszę - odparła Natasza i przekręciła gałkę potencjometru w przeciwną stronę.

- Co właściwie chcesz im powiedzieć? - zainteresował się Matti.

- To, co się stało - zakomunikowała Natasza. - Przecież to wyjątkowe wydarzenie.

- A tam, wyjątkowe - sprzeciwił się Matti. - Każdej nocy mamy takie wydarzenia.

Natasza w zadumie podparła dłonią policzek.

- A wiesz, Matti - zaczęła - że dzisiaj pierwszy raz pijawka przyszła w dzień...

Słusznie! Wcześniej przychodziły albo późną nocą, albo przed samym wschodem słońca.

- Tak - rzekł. - Taak. Rozumiem, że zbeczelniały.

- Ja też tak myślę - zgodziła się Natasza. - Co tam na placyku?

- Lepiej idź sama zobaczyć - doradził Matti. - Moją kamerę pokieroszowało. Dzisiaj nici z obserwacji.

- Chłopaki są tam? - spytała Natasza. Matti zawahał się.

- Tak, generalnie tam. - I zrobił nieokreślony gest ręką. Nagle wyobraził sobie, co powie Natasza, gdy zobaczy dziurę nad drzwiami pawilonu.

Natasza znowu wróciła do radiostacji, Matti cichutko zamknął za sobą drzwi. Crawler mknął z maksymalną prędkością, zręcznie skacząc z wydmy na wydme, za nim aż po same gwiazdy wzbijał się gęsty tuman pyłu. Od tego żółtoczerwonego tła bardzo efektywnie odcinała się potężna figura Pieńkowa, wyprostowanego, z karabinem opartym o bok. Crawler prowadził oczywiście Siergiej. Skierował maszynę prosto na Mattiego i ostro wyhamował pięć metrów przed nim. Chmura pyłu szczelnie otuliła plac obserwacyjny.

- Centaury - powiedział Matti, przecierając okulary. - Łeb konia na ludzkim ciele.

- A co? - spytał Siergiej, zeskakując. Za nim niespiesznie zszedł Pieńków.

- Uciekła - powiedział.

- A mnie się zdaje, że ją trafiłeś - odrzekł Siergiej. Pieńków z ważną miną skinął głową.

- Mnie też się tak zdaje.

Matti zbliżywszy się do niego, mocno chwycił za rękaw futrzanej kurtki.

- Dobra, chodźmy - powiedział.

- Dokąd? - spytał Pieńków, stawiając opór.

- Chodźmy, chodźmy, strzelcu - powtórzył Matti. - Pokażą ci, gdzie trafiłeś na pewno.

Podeszli do pawilonu i zatrzymali się przed drzwiami.

- A niech to - stwierdził Pieńków. Siergiej bez słowa rzucił się do środka.

- Nataszka widziała? - spytał szybko Pieńków.

- Jeszcze nie - poinformował Matti. Pieńków w zadumie obmacywał krawędź dziury.

- Ciężko będzie - westchnął.

- Tak, ciężko znaleźć na Syrcie zapasowy pawilon - skomentował złośliwie Matti.

Miesiąc temu Pieńków, strzelając w nocy do pijawek, przestrzelił klatkę meteorologiczną. Wtedy pojechali do Syrtu i gdzieś zdobył zapasową. Przedziurawioną klatkę schował w garażu.

- Chyba wszystko w porządku! - krzyknął Siergiej z pawilonu.

- Jest otwór wylotowy? - spytał Pieńków. - Jest...

Rozległo się ciche brzęczenie, dach pawilonu rozsunał się i zsunął z powrotem.

- Tym razem chyba się nam upiekło - oznajmił Siergiej, wychodząc z pawilonu.

- A mnie złamało trójnog - powiedział Matti. - Klatkę tak pokaleczyło, że znowu trzeba będzie skądś wytrzasnąć nową.

Pieńków rzucił okiem na klatkę, po czym znowu zaczął się wpatrywać w ziejącą dziurę. Siergiej stał obok niego i też na nią patrzył.

- Klatkę wyprostuję - odezwał się posępnie Pieńków - ale co zrym...

- Natasza idzie - ostrzegł półgłosem Matti.

Pieńków zrobił ruch, jakby chciał się gdzieś ukryć, ale tylko się skulił. Siergiej dodał szybko:

- Tutaj jest niewielka dziurka, Nataszka, ale to głupstwo, jeszcze dzisiaj ją załatamy, a w środku wszystko całe...

Natasza podeszła do nich, spojrzała na dziurę.

- Świnie jesteście, chłopaki - powiedziała cicho.

Teraz już wszyscy trzej zapragnęli się gdzieś schować, nawet Matti, który niczemu nie był winien i wybiegł na plac, gdy było już po wszystkim. Natasza weszła do pawilonu i zapaliła światło. Przez otwarte drzwi było widać, jak zdejmuje pokrowce z automatów błyskowych. Pieńków westchnął przeciągle ze smutkiem. Siergiej szepnął:

- Pójdą wstawić crawler.

Nikt mu nie odpowiedział. Wsiadł do crawlera i włączył silnik. Matti w milczeniu podszedł do swojej kamery i, zgięty w pół, powłókł ją do domu. Teraz przed pawilonem widać było tylko posępną, potężną postać Pieńkowa.

Matti wciągnął kamerę do warsztatu, zdjął maskę tlenową, kaptur i długo rozpiął obszerną futrzaną kurtkę. Następnie, nie zdejmując untów - wysokich futrzanych butów, siadł na stole obok kamery. Przez okno widział, jak bardzo powoli, ostrożniutko wjeżdża do garażu crawler.

Natasza wyszła z pawilonu, szczelnie zamykając za sobą drzwi. Potem ruszyła przez plac, zatrzymując się przy przyrządach. Pieńków włókł się za nią, głęboko wzdychając. Chmury pyłu już opadły, małe czerwone słońce wisiało nad czarnymi, jakby obgryzionymi ruinami Starej Bazy, porośniętymi kolczastym marsjańskim saksaułem. Matti popatrzył na niskie słońce, na szybko ciemniejące niebo, przypomniał sobie, że dzisiaj on ma dyżur, i udał się do kuchni.

- Nasza Nataszka dzisiaj bardzo poważna - powiedział przy kolacji Siergiej, spoglądając na Nataszę.

- A niech was - odezwała się Natasza. Jadła, nie patrząc na nikogo, zła i przygnębiona.

- Gniewa się nasza Nataszka - rzekł Siergiej.

Pieńków wydał z siebie głębokie, żalosne westchnienie. Matti pokręcił głową.

- Nie lubi nas dzisiaj Nataszka - dodał Siergiej czule.

- No bo naprawdę, jak z wami wytrzymać - nie wytrzymała Natasza. - Przecież ustaliliśmy, że nie będziemy strzelać na placu. Przecież to nie strzelnica. Tam są przyrządy... Gdybyście dzisiaj rozbili automaty błyskowe, co byśmy zrobili? Skąd wzięlibyśmy nowe?

Pieńków obrzucił ją spojrzeniem wiernego psa.

- Coś ty, Nataszka? - zdumiał się Siergiej. - Jak można trafić w automat?

- Strzelamy tylko do żarówek - warknął Matti.

- Przedziurawiliście pawilon - powiedziała Natasza.

- Nataszka! - wykrzyknął Siergiej. - Przyniesiemy ci inny pawilon! Pieńków skoczy na Syrt i przyniesie. Silny z niego chłop, da radę!

- A niech was - powtórzyła Natasza. Już się nie gniewała. Pieńków ożywił się.

- Gdzie do niej strzelać, jak nie na placu? - zaczął, ale gdy Matti pod stołem nadepnął mu na stopę, zamilkł.

- Wołodia, jaki z ciebie niezgraba-powiedziała Natasza. - Ogromny potwór wielkości szafy, a ty od miesiąca nie możesz w niego trafić.

- Sam się dziwię - przyznał szczerze Pieńków i mocno podrapał się w kark. - Może celownik jest utracony?

- Zgięta lufa - rzucił jadowicie Matti.

- Wszystko jedno, chłopaki, teraz już koniec tej zabawy - rzekła Natasza. Wszyscy popatrzeli na nią. - Rozmawiałam z Syrtem. Dzisiaj pijawki napadły na grupę Azizbekowa, na geologów, na nas i na działkę nowej budowy. Wszystko w środku dnia.

- Wszystko na zachód i na północ od Syrtu - zauważył Siergiej.

- Rzeczywiście - przyznała Natasza. - Nawet o tym nie pomyślałam. W każdym razie, postanowiono przeprowadzić obławę.

- I dobrze - powiedział Pieńków. - Nareszcie.

- Jutro rano odbędzie się narada, wzywają wszystkich naczelników grup. Ja pojedę, a ty zostaniesz za starszego, Sierioża. I jeszcze jedno. Dzisiaj nie będziemy prowadzić obserwacji. Kierownictwo poleciło odwołać wszystkie nocne prace.

Pieńków przestał jeść i ze smutkiem popatrzył na Nataszę. Matti rzekł:

- Mnie wszystko jedno i tak na razie nie mam kamery. Ale Pieńkowowi lichy weźmie program, jeśli przepuści kilka nocy.

- Wiem - odparła Natasza. - Wszystkim poleci program.

- A może ja bym tak po cichutku? - spytał Pieńków. - Nikt nie zauważy.

- Nie chcę nawet o tym słyszeć - pokręciła głową Natasza.

- A może... - zaczął Pieńków. Matti znowu nadepnął mu na stopę.

Słusznie, nie ma co języka strzępić. I tak wszyscy będą prowadzić obserwacje - pomyślał Pieńków.

- Jaki mamy dzisiaj dzień? - spytał Siergiej. Miał na myśli dzień dekady.

- Ósmy - odrzekł Matti. Natasza poczerwieniała i zaczęła patrzeć w oczy wszystkim po kolei.

- Coś Rybkina długo nie ma - zauważył Siergiej, nalewając sobie kawy.

- Rzeczywiście - powiedział znacząco Pieńków.

- I godzina późna - dodał Matti. - Pomoc się zbliża, a Rybkina nie ma...

- O! - wykrzyknął Siergiej i podniósł palec do góry. W korytarzu brzęknęły drzwi śluzu. - Oto i on! - wyszeptał triumfalnie.

- Cudaki - Natasza zaśmiała się speszona.

- Nie dokuczajcie Nataszy - zażądał Siergiej. - Nie śmiejcie się z niej śmiać.

- Przyjdzie Rybkin, on się z nas pośmieje - powiedział Pieńków.

Do drzwi stołowego ktoś zastukał. Siergiej, Matti i Pieńków jednocześnie przyłożyli palce do ust i popatrzyli znacząco na Nataszę.

- No co wy? - wyszeptała Natasza. - Niech się któryś odezwie... Marti, Siergiej i Pieńków jednocześnie pokręcili głowami.

- Proszę wejść! - zawołała z determinacją Natasza.

W drzwiach stanął Rybkin, jak zawsze akuratny, w czystym kombinezonie, śnieżnobiałej koszuli z wykładanym kołnierzem, gładko ogolony. Jego twarz, podobnie jak twarze wszystkich Tropicieli, sprawiała dziwne wrażenie: opalone na czarno policzki i czoło, białe plamy wokół oczu i biała dolna część twarzy - w tych miejscach, gdzie skórę przykrywały okulary i maska tlenowa.

- Można? - przemówił cicho. Zawsze mówił bardzo cicho.

- Siadajcie, Feliksie - zaprosiła Natasza.

- Zjesz kolację? - spytał Matti.

- Dziękuję - odparł Rybkin. - Wolałbym filiżankę kawy.

- Coś się dzisiaj spóźniłeś - stwierdził prostoduszny Pieńków, nalewając mu kawy.

Siergiej zrobił straszną minę, a Matti kopnął Pieńkova pod stołem.

Rybkin spokojnie wziął do rąk filiżankę.

- Jestem tu już od pół godziny i obszedłem dom dookoła. Widzę, że u was dzisiaj też była pijawka.

- Dzisiaj tu u nas była batalia - odparła Natasza.

- Tak... Widziałem dziurę w pawilonie.

- Nasze karabiny cierpią na gięcie luf - wyjaśnił Matti. Rybkin zaśmiał się. Miał małe, białe i równe zęby.

- Udało ci się kiedykolwiek trafić jakąś pijawkę? - spytał Siergiej.

- Raczej nie - odparł Feliks. - Bardzo trudno w nie trafić.

- Tyle to i ja wiem - warknął Pieńków. Natasza kruszyła chleb ze spuszczonej oczami.

- Dzisiaj u Azizbekowa jedną zabili - powiedział Rybkin.

- Naprawdę? - zdumiał się Pieńków. - Kto?

Rybkin znowu się zaśmiał.

- Nikt - zerknął na Nataszę. - Zabawna sprawa, zerwało się ramię dźwigu i przygniotło ją. Zapewne ktoś trafił w linę.

- To dopiero strzał - uniósł brwi Siergiej.

- My też tak umiemy - stwierdził Matti. - W pełnym pędzie, z trzydziestu kroków, prosto w żarówkę nad drzwiami.

- Wiecie co - odezwał się Siergiej - mnie się zdaje, że wszystkie karabiny na Marsie cierpiana gięcie luf.

- Nie - sprzeciwił się Feliks. - Potem się okazało, że w pijawkę u Azizbekowa trafiło sześć kul.

- Niedługo będzie obława - rzekł Pieńków. - Wtedy im pokażemy, gdzie raki zimują.

- A mnie ta obława wcale nie cieszy - odezwał się Matti. - U nas zawsze, od wieku wieków to samo: trach, trach, wybijamy wszystkie zwierzęta, a potem budujemy rezerваты.

- No coś ty? - zdumiał się Siergiej - Przecież one przeszkadzają.

- Nam wszystko przeszkadza - odparł Matti. - Za mało tlenu -źle, za dużo też niedobrze, za dużo lasów - nie pasuje, rąbać las... Kim my jesteśmy, że nam tak wszystko przeszkadza?

- Sałatka była niedobra? - odezwał się w zadumie Pieńków. -Ale przecież sam ją przygotowałeś...

- Nie poddawaj się, Pieńków - powiedział Siergiej. - Przecież on chce zacząć ogólną dyskusję. Żeby się Nataszka wypowiedziała.

Feliks popatrzył uważnie na Siergieja. Miał duże jasne oczy. Matti uśmiechnął się.

- A może to wcale nie one nam przeszkadzają - zastanawiał się - tylko my im.

- No? - burknął Pieńków.

- Stawiam roboczą hipotezę - rzekł Matti. - Latające pijawki to rdzenni rozumni mieszkańcy Marsa, chociaż obecnie na niskim poziomie rozwoju. Zajęliśmy rejony, gdzie jest woda, i one chcą nas stąd usunąć.

Pieńków popatrzył na niego z osłupieniem.

- Cóż... - mruknął. - To możliwe.

- No nie... Pospieraj się z nim trochę - powiedział Siergiej. -Zrób mu przyjemność.

- Wszystko potwierdza moją hipotezę - ciągnął Matti. - Żyją w podziemnych miastach. Napadają zawsze z prawej strony - takie mają tabu. I... z-zawsze zabierają swoich rannych...

- Noo, stary... - rozczarował się Pieńków.

- Feliksie - odezwał się Siergiej - zniszcz te błyskotliwe rozważania.

- Taka hipoteza była już wysuwana - orzekł Feliks. (Marti zdumiony uniósł brwi). - Dawno temu, zanim zabito pierwszą pijawką. Teraz wysuwa się znacznie ciekawsze.

- No? - spytał Pieńków.

- Do tej pory nikt nie wyjaśnił, dlaczego pijawki napadają na ludzi. Nie wykluczamy możliwości, że to ich bardzo stary zwyczaj. Nasuwa się myśl, czy jednak na Marsie nie występuje rasa wyprostowanych dwunożnych.

- Występuje - odparł Siergiej. - Od trzydziestu z górą lat.

- Mamy nadzieję, że pijawki naprowadzą nas na tę rasę. - Feliks uśmiechnął się uprzejmie.

Przez jakiś czas panowało milczenie. Matti patrzył z zawiścią na Feliksa. Zawsze zazdrościł ludziom, przed którymi stoją takie zadania. Śledzenie latających pijawek było już samo w sobie pasjonującym zajęciem, a jeśli jeszcze przy tym stawia się takie zadanie...

...Matti w myślach przeliczył wszystkie interesujące zadania, które on sam rozwiązywał w ciągu ostatnich pięciu lat. Najbardziej interesujące było skonstruowanie poszukiwacza-myśliwego na chemostaderach. Patrolowa kamera zamieniała się w ogromne ciekawe oko, obserwujące pojawianie się i ruch „obcych” punktów świetlnych na nocnym niebie. Sieriożka biegał nocą po wydmach, od czasu do czasu machając latarką, a kamera bezszelestnie leciała za nim, śledząc każdy jego ruch... Cóż, pomyślał Matti. To też było interesujące.

Siergiej odezwał się nagle ze złością:

- Przecież my nic nie wiemy! - Pieńków odsunął filiżankę i spojrzał na niego. - I nawet nie próbujemy się dowiedzieć! Dzień za dniem, dekada za dekadą brodzimy zanurzeni po szyję w drobiazgach... Zajmujemy się elektroniką, psujemy sumowniki, naprawiamy sumowniki, ustalamy grafiki, piszemy artykuły, sprawozdania... Ohyda! - Silnie potarł policzki. - Za ogrodzeniem, na tysiąc kilometrów rozciąga się zupełnie nieznaną obcy świat. Czasem chciałoby się plunąć na to wszystko i pójść gdzie oczy poniosą, przez pustynię w poszukiwaniu prawdziwej pracy... Wstyd. To śmieszne i poniżające, żeby siedzieć na Marsie i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nie oglądać nic poza grafikami i ponurą fizjonomią Pieńkova...

Ten ostatni powiedział łagodnie:

- Pluń na to wszystko, Sierioża. Idź, gdzie oczy poniosą. Może cię przyjmą budowniczy. Albo idź do Feliksa. - Odwrócił się do Rybkina. - Weźcie go do siebie, co?

Feliks wzruszył ramionami.

- Nie, Pieńków, przyjacielu, to na nic. - Siergiej zacisnął wargi, potrząsnął jasną czupryną. - Trzeba coś umieć. A co ja umiem? Naprawiać automaty błyskowe... Liczyć do dwóch i całkować na małej maszynie. Crawler umiem prowadzić, a i to nieprofesjonalnie... Co jeszcze umiem?

- Biadolić za to umiesz profesjonalnie - powiedział Matti. Było mu głupio za Sieriożę przed Feliksem.

- Nie biadolę, tylko się złościę. Jacy my jesteśmy zadowoleni z siebie, jacy ograniczeni! I skąd się to bierze? Dlaczego uważa się, że znalezienie miejsca dla obserwatorium jest ważniejsze niż przemierzenie planety wzdłuż południka, od bieguna do bieguna? Dlaczego ważniejsze jest szukanie nafty niż tajemnicy? Co, nafty nam brakuje?

- A co, tajemnic ci brakuje? - spytał złośliwie Matti. - Usiadłbyś i rozwiązał ograniczone T-zadanie...

- Nie chcę go rozwiązywać! Nudzi mnie to, mój biedny Matti! Nudzi! Jestem zdrowym, silnym chłopakiem, zginam gwoździe palcami... Dlaczego mam siedzieć nad papierami?

Zamilkł. Zapanowało ciężkie milczenie i Matti pomyślał, że dobrze by było zmienić temat, ale nie wiedział jak.

- W zasadzie nie zgadzam się z Sieriożą, ale to prawda - za bardzo ugrzęźliśmy w codziennej pracy - odezwała się Natasza. -1 czasem człowieka bierze złość... No niechby nawet nie my, niechby ktokolwiek zajął się Marsem jak nową ziemią. Przecież to nie wyspa, nawet nie kontynent - terra incognita - to planeta! A my siedzimy tu trzydzieści lat, cichutko, tchórzliwie, ciśniemy się do wody i kosmodromów. I jest nas śmiesznie mało. Naprawdę można się zdenerwować. Siedzi tam w zarządzie jakiś siwy staruszek z bojową przeszłością i zrzędzi: „Za wcześnie! Za wcześnie!”

Usłyszawszy słowa: „za wcześnie”, Pieńków drgnął i spojrzał na zegarek.

- Do licha - wymamrotał, wstając zza stołu. - Już dwie gwiazdy tu z wami przesiedziałem. - W tym momencie popatrzył na Nataszę, otworzył usta i szybko usiadł. Miał tak zabawny wyraz twarzy, że wszyscy, nawet Siergiej, roześmiali się.

Matti zerwał się i podszedł do okna.

- Co za noc! - powiedział. - Jakość obrazu musi być dzisiaj niewiarygodna! - Spojrzał przez ramię na Nataszę. Feliks się ożywił.

- Natasza - powiedział - jeśli trzeba, mogę popilnować, póki będziecie pracować.

- Ale wy... Przecież na was już czas... -Natasza zaczerwieniła się. - To znaczy, chciałam powiedzieć, że zwykle o tej porze wychodzicie.

- Po co nas pilnować? - zdumiał się Matti. - Sam mogę popilnować. I tak mi diabli wzięli kamerę.

- W takim razie pójdę się ubrać - rzekł Rybkin.

- No dobrze - ustąpiła Natasza. - W wyniku odwołania mojego polecenia z godziny dziewiętnastej...

Pieńkowa już nie było. Siergiej też wstał i wyszedł, na nikogo nie patrząc. Matti zaczął sprzątać naczynia.

- Pomogę - zaproponował Feliks i akuratnie zawinął rękawy.

- A w czym tu pomagać? - odparł Matti. - Pięć talerzy, pięć filiżanek...

Spojrzał na ręce Feliksa i ugryzł się w język.

- A to po co? - spytał zdziwiony.

Feliks miał po dwa zegarki na każdej ręce. Rybkin stwierdził z powagą:

- To jedna z hipotez. Więc sam pozmywasz?

- Sam - odrzekł Matti. Dziwny facet z tego Feliksa, pomyślał.

- W takim razie pójdę - powiedział Feliks i wyszedł. Stojąca w kącie radiostacja nagle ożyła, zasyczała, brzęknęła

i basowy zmęczony głos zahuczał:

- Pierwsza, tu Syrt. Syrt wzywa pierwszą. Matti krzyknął:

- Natasza, Syrt wzywa! Podeszedł do mikrofonu i powiedział:

- Tu pierwsza!

- Zawołajcie naczelnika - zabrzmiało z głośnika. -Już.

Wbiegła Natasza w rozpiętej kurtce, z maską tlenową na piersi.

- Mówi naczelnik.

- Jeszcze raz potwierdzam zarządzenie. Nocne prace są zabronione - ciągnął głos. - Ciepły Syrt otoczony jest pijawkami. Powtarzam...

Matti słuchał, wycierając talerze. Weszli Pieńków i Siergiej; Matti z zainteresowaniem obserwował, jak wydłużają się im twarze.

- ...Ciepły Syrt otoczony jest pijawkami. Jak mnie zrozumieliście?

- Zrozumiałam was dobrze - zakomunikowała zdenerwowana Natasza. - Syrt otoczony pijawkami, nocne prace zabronione.

- Dobranoc - powiedział głos i głośnik przestał syczeć.

- Dobranoc, Pieńków - mruknął Siergiej i zaczął rozpinać kurtkę.

Pieńków nie odezwał się słowem. Sapnął tylko gniewnie i poszedł do swojego pokoju.

- To ja idę - stwierdził Feliks.

Wszyscy spojrzeli na niego. Stał w drzwiach, niewysoki, silny, z nieproporcjonalnie wielkim karabinem przy nodze.

- Jak pójdziesz? - spytał Matti. Feliks pokazał palcami, jak pójdzie.

- Zwariowałeś - rzekł Matti. Feliks uśmiechnął się zdziwiony.

- Co z tobą?

- Słyszeliście, co mówili? - spytała szybko Natasza.

- Słyszałem - odparł Feliks. - Aleja, jako Tropiciel, nie podlegam komendantowi Syrtu. - Założył maskę na twarz, opuścił okulary, machnął dłonią w rękawiczce i wyszedł. Wszyscy w osłupieniu patrzyli na drzwi.

- No jak to? - odezwała się stropiona Natasza. - Przecież go zjedzą...

Siergiej gwałtownie zerwał się z miejsca i zapinając kurtkę rzucił się za Feliksem.

- Dokąd?! - krzyknęła Natasza.

- Podwiozę go! - odkrzyknął w biegu Siergiej i trzasnął drzwiami. Natasza ruszyła za nim. Matti chwycił ją za rękę.

- Dokąd, po co? - powiedział spokojnie. - Sierioża dobrze zrobił.

- A kto mu pozwolił? - spytała zapalczywie Natasza. - Dlaczego on się nie słucha!

- Przecież trzeba człowiekowi pomóc - orzekł rozsądnie Matti. Poczuli, jak zadrżała podłoga. Siergiej wyprowadzał crawler.

Natasza opadła na krzesło, zacisnęła ręce.

- To nic - powiedział Matti. - Za jakieś piętnaście minut wróci. - A jak będzie wracał, jeśli zaatakują Sieriożę?

- Jeszcze nie było przypadku, żeby pijawka rzuciła się na maszynę - zauważył Matti. - Zresztą, Sierioża tylko by się ucieszył...

Siedzieli i czekali. Matti nagle pomyślał, że Feliks Rybkin tyle razy przychodził do nich do obserwatorium wieczorami i późno wychodził. A przecież pijawki każdej nocy krążą wokół Syrtu. Śmiały facet z tego Feliksa, pomyślał Matti. Popatrzył na Nataszę. Może ma tylko dziwny sposób adorowania kobiet: nieśmiałe oblężenie...

Matti spojrzął w okno. W czarnej pustce widać było tylko jasne gwiazdy.

Wszedł Pieńków, niosąc stertę papierów i powiedział, nie patrząc na nikogo:

- Kto mi pomoże zrobić grafik?

- Ja mogę - powiedział Matti.

Pieńków zaczął z hałasem sadzić się za stołem. Natasza siedziała wyprostowana, czujnie nasłuchując. Pieńków, rozłożywszy papiery, odezwał się z ożywieniem:

- Wychodzi interesująca rzecz! Pamiętacie prawo Dega?

- Pamiętamy - odezwał się Matti. - Sekans w stopniu dwie trzecie.

- Na Marsie nie występuje sekans dwie trzecie! - stwierdził triumfalnie Pieńków. -

Natasza, popatrz no... Natasza!

- Daj jej spokój!

- A co? - szepnął Pieńków.

- Jedzie! - Natasza zerwała się z miejsca.

- Kto? - zastanawiał się Pieńków.

Pod nogami znowu zadrżała podłoga, potem zrobiło się cicho, brzęknęła śluza. Wszedł Siergiej, zdzierając z twarzy oszronioną maskę.

- Ale mróz! - powiedział wesóło.

- Gdzie byłeś? - spytał zaskoczony Pieńków.

- Rybkina odwoziłem do Syrtu - wyjaśnił im Siergiej.

- Zuch - ucieszyła się Natasza. - Zuch z ciebie, Sierioża! Teraz mogę spać spokojnie.

- Dobrej nocy, Natasza - odparli. Natasza wyszła.

- Dlaczego mnie nie wzięłeś? - powiedział z pretensją w głosie Pieńków.

Uśmiech zniknął z twarzy Siergieja. Podeszedł do stołu, usiadł i odsunął papiery.

- Słuchajcie, chłopaki - rzekł półgłosem. - Ja nie znalazłem Rybkina. Do samego Syrtu dojechałem, dawałem sygnały, świeciłem reflektorami, ale nigdzie go nie było. Jakby się pod ziemię zapadł.

Zapanowała cisza. Matti znowu podeszedł do okna. Wydało mu się, że gdzieś w rejonie Starej Bazy wolno porusza się słabe światełko, jakby ktoś szedł z latarką.

4. Mars. Stara Baza.

O siódmej rano naczelnicy grup i działek systemu Ciepły Syrt zebrali się w gabinecie dyrektora systemu, Aleksandra Filipowicza Lamina. W sumie dwadzieścia pięć osób. Wszyscy zasiedli wokół długiego, niskiego stołu. Wentylatory i ozonatory pracowały pełną mocą. Natasza była jedyną kobietą w gabinecie, rzadko zapraszano ją na narady i wielu zebranych jej nie znało. Popatrywali na nią z przyjazną ciekawością. Natasza usłyszała, jak ktoś powiedział ochryple: Gdybym wiedział, to bym się ogolił.

- Pierwsze pytanie, towarzysze, poza porządkiem dnia - powiedział Lamin, nie wstając z miejsca. - Wszyscy jedli śniadanie? Mogę poprosić o przyniesienie konserw i kakao.

- A nie ma czegoś dobrego, Aleksandrze Filipowiczu? - zainteresował się pulchny mężczyzna o różowych policzkach, miał zabandażowane dłonie.

W gabinecie zrobiło się głośno.

- Nie ma - odparł Lamin i pokręcił głową. - Co najwyżej kura w konserwie...

- Słusznie, Aleksandrze Filipowiczu! - rozległy się głosy. - Niech przyniosą. Nie zdążyliśmy zjeść.

Lamin machnął komuś ręką.

- Zaraz będzie. - Wstał. - Wszyscy są? - Popatrzył na zebranych. - Azizbekow... Gorin... Baranów... Nakamura... Małumian... Natasza... Wang... Jeffersona nie widzę... Ach, wybacz... A gdzie Opanasienko? Od Tropicielei ktoś jest?

- Opanasienko w wypadzie - powiedział cichy głos i Natasza zobaczyła Rybkina. Pierwszy raz widziała go nieogolonego.

- W wypadzie? No dobrze, zaczniemy bez niego. Towarzysze, jak wam wiadomo, w ciągu ostatnich tygodni latające pijawki bardzo się uaktywniły. Wczoraj ich bezczelność przeszła wszelkie wyobrażenia - zaczęły atakować w dzień. Na szczęście obeszło się bez ofiar, ale kilku naczelników grup i działek zażądało podjęcia decydujących kroków. Chcę podkreślić, towarzysze, że problem pijawek to stary problem. Wszystkim nam zaszły za skórę. Od dawna o nich dyskutujemy, czasem nawet się kłócimy. Polowym grupom najwidoczniej te stworzenia bardzo przeszkadzają, poza tym pora wreszcie podjąć w ich sprawie, to znaczy w sprawie pijawek, jakąś ostateczną decyzję. Krótko mówiąc, są dwa określone zdania w tej kwestii. Pierwsze - natychmiastowa obława i w miarę możliwości zlikwidowanie pijawek. Drugie-propozycja polityki masowej obrony, jako paliatyw, aż do

czasu, gdy kolonia ostatecznie okrzepnie. Towarzysze - przycisnął ręce do piersi - proszę teraz, byście się wypowiedzieli na ten temat. Tylko starajcie się unikać osobistych wycieczek. Wiem, że wszyscy jesteście zmęczeni, rozdrażnieni i każdy jest z czegoś niezadowolony. Ale bardzo was proszę, byście zapomnieli na razie o wszystkim, co nie dotyczy interesującej nas sprawy. - Jego oczy zwężyły się. - Szczególnie zapalczywych usunę z zebrania, bez względu na stanowisko.

Usiadł. Natychmiast wstał wysoki, bardzo chudy człowiek, z opaloną nierówno twarzą, nieogolony, z rozpalonymi oczami. To był zastępca dyrektora do spraw budowy, Wiktor Kiryłowicz Gajdadymow.

- Nie wiem - zaczął - jak długo potrwa wasza obława, dekadę, miesiąc czy pół roku. Nie wiem, ilu ludzi weźmiecie na obławę -zapewne najlepszych, może nawet wszystkich. Nie wiem wreszcie, czy coś z tej obławy wyjdzie. Ale wiem na pewno jedną rzecz i uważam za swój obowiązek was o tym poinformować. Po pierwsze, z powodu obławy będziemy musieli przerwać budowę bloków mieszkalnych. Za dwa miesiące przybędzie do nas uzupełnienie, a kryzys mieszkaniowy już teraz daje znać o sobie. Na Ciepłym Syrcie nie mogę wydzielić pokoju nawet małżeństwu, co szczególnie denerwuje naszych zagranicznych przyjaciół. Po drugie, z powodu obławy wstrzymana zostanie budowa fabryki materiałów budowlanych. Czym jest taka fabryka w naszych warunkach, sami powinniście wiedzieć. O oranżeriach i szklarniach, których tym latem nie będzie właśnie z powodu obławy, nawet nie wspomnę. Wreszcie trzecie i najważniejsze. Obława zakłóci budowę fabryki regeneracyjnej. Za miesiąc zaczną się jesienne burze i wtedy trzeba będzie postawić krzyżyk na budowie. - Zacisnął zęby, zamknął, po czym znów otworzył oczy. -Wiecie, towarzysze, że wszyscy wisimy tu na włosku. Może zdradzam jakieś tajemnice administracji, ale do licha, czort z nimi -w końcu wszyscy jesteśmy dorosłymi i doświadczonymi ludźmi! Zapasy wody pod Ciepłym Syrtem są na wykończeniu. Już teraz wozimy wodę z odległości dwudziestu, trzydziestu kilometrów czołgami. -Przy stole zawrzało, ktoś krzyknął: A o czym żeście wcześniej myśleli?! - Jeśli nie dokończymy w tym miesiącu fabryki regeneracyjnej, to jesienią przejdziemy na racje głodowe, a zimą będziemy musieli przeciągnąć Ciepły Syrt na dwieście kilometrów stąd. To wszystko.

Usiadł i jednym tchem wypił szklankę wystygłego kakao. Po minucie ciszy Lamin zadał pytanie:

- Kto następny?

- Ja - odparł ktoś. Był to niski, brodaty mężczyzna w ciemnych okularach, naczelnik warsztatów remontowych, Zachar Josifowicz Puczko. - Całkowicie zgadzam się z Wiktorem

Kiryłowiczem. - Zdjął okulary i rozejrzał się, mrużąc oczy. - Zachowujemy się jak dzieci - obława, pif, paf... lubudu... A ja was chciałem zapytać, na czym macie zamiar uganiać się za pijawkami? Może wierzchem na miotle? Przed chwilą Wiktor Kiryłowicz wszystko wam wyjaśnił: piaskowe czołgi wożą wodę. A co to za czołgi? To ruina, a nie czołgi. Jedna czwarta naszych maszyn stoi w moich warsztatach, a remontować nie ma komu. Ci, którzy umieją naprawiać, nie psują, ci, którzy psują, nie umieją naprawiać. Traktują czołg jak długopis - zużyją, to się wyrzuci i kupi nowy. Natasza, oglądałem wasz crawler. Trzeba się starać, żeby doprowadzić maszynę do takiego stanu! Można by pomyśleć, że przebijacie nim mury...

- Zachar, Zachar, do rzeczy - przerwał mu Lamin.

- Chcę powiedzieć tylko jedno. Znam ja takie obławy, aż za dobrze. Połowa maszyn zostanie na pustyni, druga połowa dopełz-nie do mnie i będą prosić: napraw. A czym mam naprawić - nogami? Brakuje rąk. I wtedy się zaczyna. Puczko taki, Puczko siaki, Puczko myśli, że nie warsztaty dla Ciepłego Syrtu, tylko Ciepły Syrt dla warsztatów. Poproszę o ludzi towarzysza Azizbekowa, a on mi nie da. Poproszę towarzysza Nakamurę - przepraszam, pana Naka-murę - a on powie, że już i tak mu się program sypie...

- Do rzeczy, Zachar - niecierpliwił się Lamin.

- Do rzeczy przejdziemy, jak nie zostanie ani jedna sprawna maszyna. Wtedy zaczniemy nosić żywność i wodę na własnych garbach z odległości stu kilometrów i wtedy mnie spytają: Puczko, gdzie byłeś, jak robiliśmy obławę?

Puczko włożył na nos okulary i usiadł.

- Niedobrze - zamruczał ktoś.

Natasza siedziała przybita. Co ze mnie za naczelnik, pomyślała. Nawet o tym wszystkim nie wiedziałam, nawet nie podejrzewałam i jeszcze klęłam tych staruszków, świnią jedną, za biurokracym...

- Chciałbym coś powiedzieć - dał się słyszeć miękki głos.

- Starszy areolog⁵ systemu, Liwanow - poinformował Lamin. Szeroka kwadratowa twarz Liwanowa z czarnymi, blisko osadzonymi oczami też była pokryta plamistą opalenizną.

- Sprzeciwy wobec obławy, ogłoszone tutaj - powiedział - uważam za niezwykle ważne i znaczące. - Natasza popatrzyła na Gajdadymowa, który spał z głową zwieszoną na piersi. - Ale tym niemniej obławę przeprowadzić trzeba. Oto niektóre dane statystyczne. W ciągu trzydziestu lat przebywania człowieka na Marsie latające pijawki dokonały ponad półtora tysiąca zarejestrowanych ataków na ludzi. Trzy osoby zginęły, dwanaście zostało

⁵ Areolog - specjalista od geologii Marsa.

ranych. Ludność systemu Ciepły Syrt wynosi tysiąc dwieście ludzi, z czego ośmiuset przez cały czas pracuje w terenie i znajduje się w stałym zagrożeniu. Jedna czwarta uczonych musi pilnować, co przynosi szkodę państwowym i osobistym planom naukowym. Mało tego. Prócz strat moralnych, pijawki powodują bardzo poważne szkody materialne. Tylko w ciągu ostatnich tygodni i tylko u areologów nieodwracalnemu zniszczeniu uległo pięć unikatowych stanowisk, zepsutych zostało dwadzieścia osiem cennych przyrządów. To oczywiste, że tak dalej być nie może. Pijawki zagrażają pracom naukowym systemu Ciepły Syrt. Nie mam zamiaru umniejszać znaczenia wypowiedzi towarzyszy Gajdadymowa i Puczko. Ich zastrzeżenia zostały wzięte pod uwagę przy tworzeniu planu obławy, który mam przedstawić w imieniu areologów i Tropicieli.

Wszyscy poruszyli się i znowu zamarli. Gajdadymow drgnął i otworzył oczy. Liwanow ciągnął równym głosem:

- Obserwacje wykazały, że centrum rozprzestrzeniania się pijawek w rejonie Ciepłego Syrtu jest działka tak zwanej Starej Bazy -na mapie rzędna 211. Operacja zacznie się na godzinę przed wschodem słońca. Grupa czterdziestu dobrze przygotowanych strzelców na czterech piaskowych czołgach z zapasem żywności na trzy dni zajmuje Starą Bazę. Dwie grupy naganiaczy, orientacyjnie po dwustu ludzi w każdej, na czołgach i crawlerach nadciągają z konkretnych rejonów - pierwsza grupa sto kilometrów na zachód od Syrtu, druga sto kilometrów na północ. O godzinie zero zero obie grupy zaczynają powoli przesuwac się w stronę - odpowiednio - pomocnego zachodu i południa, robiąc jak najwięcej hałasu i zabijając pijawki, próbując przerwać okrażenie. Poruszając się powoli i metodycznie, obie grupy zamykają flanki, spychając pijawki w rejon Starej Bazy. W ten sposób pijawki, które znajdują się na tym terenie, zostaną skupione w rejonie Starej Bazy i zlikwidowane. Taka jest pierwsza część planu. Słucham ewentualnych pytań i sprzeciwów.

- Powoli i metodycznie - powiedział Puczko. - Wszystko to pięknie. Ile maszyn będzie potrzeba?

- I ludzi - dodał Gajdadymow. - I dni.

- Pięćdziesiąt maszyn, czterysta pięćdziesiąt osób i maksimum trzy dni.

- W jaki sposób planujecie zabijać pijawki? - spytał Jefferson.

- W związku z tym, że niewiele o nich wiemy - odparł Liwanow -polegać możemy jedynie na dwóch środkach: zatrutych pociskach i miotaczach płomieni.

- A skąd je weźmiemy?

- Nietrudno zatruć pociski, a jeśli chodzi o miotacze, to jesteśmy w trakcie produkcji.

- Już produkujecie?

- To dobry plan - stwierdził Lamin. - Jak sądzicie, towarzysze? Gajdadymow wstał.

- Nie mam nic przeciwko takiemu planowi - rzekł. - Tylko postarajcie się nie zabierać mi budowniczych. I pozwólcie, że natychmiast się oddalę.

Przy stole znowu zaczęto rozmawiać. Wspaniały plan, nie ma dwóch zdań! A skąd weźmiecie strzelców?, Znajdą się! Brakuje tylko budowniczych, strzelców wystarczy!, A to sobie postrzelamy!

- Jeszcze nie skończyłem, towarzysze - ciągnął Liwanow. - Jest jeszcze jedna część planu. O ile wiemy, terytorium Starej Bazy zryte jest szczelinami i kawernami, przez które pijawki wychodzą na powierzchnię. Zapewne jest tam pełno podziemnych pomieszczeń. Gdy pierścień się zamknie i wybijemy pijawki, możemy albo zacementować te kawerny, szczeliny i tunele, albo kontynuować prześladowanie pod ziemią. W obu przypadkach plan Starej Bazy jest niezbędny.

- O prześladowaniu pod ziemią nie może być mowy - powiedział ktoś. - To zbyt niebezpieczne.

- Ale interesujące - wymamrotał grubas z obandażowanymi rękami.

- Towarzysze, tę kwestię rozstrzygniemy po obławie - uciął Liwanow. - Teraz potrzebujemy planu Starej Bazy. Zwracaliśmy się do archiwum, ale tam z jakiegoś powodu planu nie było. Może któryś ze starszych mieszkańców ma plan?

Siedzący przy stole wymienili niepewne spojrzenia.

- Nie rozumiem - powiedział gniewnie kościsty starszy areodezista. - O jakim planie mowa?

- O planie Starej Bazy.

- Stara Baza została zbudowana piętnaście lat temu, na moich oczach. To była betonowa kopuła, bez żadnych kawern i tuneli. Co prawda, latałem na Ziemię, może beze mnie coś dobudowali?

Drugi areodezista dodał:

- Przy okazji, Stara Baza nie znajduje się na rzędnej 211 tylko 205.

- Dlaczego 205? - zdumiała się Natasza. - Na 211! To na zachód od obserwatorium.

- Co tu ma do rzeczy obserwatorium? - rozłościł się kościsty areodezista. - Stara Baza znajduje się jedenaście kilometrów na południe od Ciepłego Syrtu...

- Chwileczkę, chwileczkę! - zawołał Liwanow. - Mamy na myśli Starą Bazę, znajdującą się na rzędnej 211, trzy kilometry na zachód od obserwatorium.

- A! - przerwał mu kościsty areodezista. - W takim razie macie na myśli Szare Ruiny, pozostałości pierwszego osiedla. Tam, zdaje się, próbował się urządzać Norton.

- Norton lądował trzysta kilometrów stąd! - krzyknął ktoś.

- Ciszej, ciszej! - Lamin poklepał dłonią blat stołu. - Przestańcie. Musimy ustalić, czy ktoś wie cokolwiek o Starej Bazie bądź Szarych Ruinach, jednym słowem o rzędnej 211.

Wszyscy zamilkli. Nikt nie lubił chodzić na ruiny starych osiedli, zresztą nie było kiedy.

- Jednym słowem, nikt nie wie - powiedział Lamin. - I planu nie ma.

- Mogę udzielić pewnej informacji - rzekł sekretarz dyrektora, jednocześnie zastępca do spraw naukowych oraz archiwariusz. - Z tą Starą Bazą to był kompletny mętlik. Na odręcznym szkicu geodezyjnym Nortona jej nie ma, a potem pojawia się z numerem 211. Dwa lata temu, na pisemnym raporcie Wiałaminowa, proszącego o pozwolenie na zbadanie ruiny Starej Bazy, ówczesny naczelnik ekspedycji, Jurkowski, własnoręcznie napisał - sekretarz uniósł nad głową poźółkły skrawek papieru: - Nic nie rozumiałem. Nauczcie się prawidłowo czytać mapę. Nie 211, a 205. Zezwalam. Jurkowski.

Wszyscy się roześmieli.

- Chciałem coś zaproponować - odezwał się cicho Rybkin. Wszyscy spojrzeli na niego. - Można natychmiast pójść na rzędną 211 i zrobić szkic Starej Bazy.

- Słusznie - zgodził się Lamin. - Kto ma czas, niech jedzie od razu. Na starszego wyznaczam towarzysza Liwanowa. Zebranie wznowimy o jedenastej.

Od Ciepłego Syrtu do Starej Bazy w linii prostej było około sześciu kilometrów. Jechali na dwóch piaskowych czołgach. Chętnych było więcej niż uczestników zebrania i Natasza postanowiła jechać swoim crawlerem. Czołgi z rykiem i zgrzytem minęły peryferie Syrtu. Żeby nie trafić w ścianę pyłu, Natasza wybrała drogę okrężną. Gdy zrównała się z centralną wieżą meteorologiczną, ujrzała Rybkina. Mały Tropicielec szedł swoim zwykłym szybkim krokiem, trzymając ręce na długim karabinie, wiszącym na szyi. Natasza zahamowała.

- Feliks! - krzyknęła. - Wy dokąd? Zatrzymał się i podszedł do crawlera.

- Postanowiłem iść na piechotę - oznajmił spokojnie, patrząc na nią. - Nie starczyło dla mnie miejsca.

- Siadajcie - powiedziała Natasza. Nieoczekiwanie poczuła się z Feliksem bardzo swobodnie, zupełnie inaczej niż wieczorami w obserwatorium. Feliks wspiął się zręcznie i zajął siedzenie obok niej. Zdjął z szyi karabin i postawił między kolanami. Crawler ruszył.

- Wczoraj, gdy wyszliście, bardzo się wystraszyłam - przyznała się Natasza. - Siergiej szybko was dogonił?

- Siergiej? - Spojrzał na nią. - Tak... dość szybko. To był dobry pomysł.

Zamilkli. Pół kilometra na lewo szły czołgi, zostawiając za sobą szczelną, nieruchomą ścianę pyłu.

- Zebranie było interesujące, prawda?

- Bardzo - odparł Rybkin. - Jest coś dziwnego z tą Starą Bazą.

- Byliśmy tam kilka razy z chłopakami - powiedziała Natasza. - Gdy budowano nasze obserwatorium. Nic specjalnego. Cementowe płyty, wszystko popękane, porośnięte saksaułem. Wy też myślicie, że pijawki wychodzą stamtąd?

- Jestem przekonany - odrzekł Rybkin. - Tam jest ogromne gniazdo pijawek. Pod wzgórzem jest wielka kawerna, która pewnie łączy się z innymi podziemnymi przejściami. Ale nie znalazłem ich.

Natasza popatrzyła na niego z przerażeniem. Crawler skręcił. Z prawej strony, zza wydm wyłoniło się obserwatorium. Na placyku obserwacyjnym stał długi jak żerdź Marti i machał im ręką. Feliks skinął mu uprzejmie. Kopuły i budynki Ciepłego Syrtu skryły się za bliskim horyzontem.

- Naprawdę, się ich nie boicie? - spytała Natasza.

- Boję się - wyznał Feliks. - Czasem aż mnie mdli ze strachu. Gdybyście widzieli, jakie one mają paszcze. Ale są równie tchórzliwe jak potworne.

- Wiecie co, Feliksie - powiedziała Natasza, patrząc prosto przed siebie. - Matti mówi, że jesteście dziwnym człowiekiem. Ja też tak sądzę. Feliks roześmiał się.

- Pochlebiacie mi - rzekł. - Wam musi wydawać się dziwne, że przychodzę do obserwatorium późnym wieczorem, tylko po to, żeby wypić filiżankę kawy. Ale nie mogę przychodzić w dzień - jestem zajęty. Wieczorem też niemal zawsze jestem zajęty. Gdy mam wolną chwilę, przychodzę do was.

Natasza poczuła, że się czerwieni. Crawler dotarł już do podnóża płaskiego wzgórza, tego samego, które widniało na mapach jako wykrzywiony owal z rzędną 211. Na szczycie, pośród nierównych szarych głazów, krzatali się ludzie.

Natasza postawiła crawler jak najdalej od czołgów piaskowych i wyłączyła silnik. Feliks stał na dole, i patrząc na nią poważnie, podał jej rękę.

- Dziękuję, nie trzeba - szeptała Natasza, jednak oparła się na wyciągniętej dłoni Rybkina.

Szli wśród ruin Starej Bazy. Dziwne to były ruiny: patrząc na nie, w żaden sposób nie można było pojąć, jaki był pierwotny wygląd budowli albo chociaż jej projekt. Zwalone kopuły na sześciobocznej podstawie, zwalone galerie, sztaple potrzaskanych cementowych

bloków i wszystko gęsto porośnięte marsjańskimi cierniami, przykryte pyłem i piaskiem. Gdzieś pod szarymi sklepieniami ziały ciemne dziury. Niektóre z nich prowadziły w głęboki, nieprzenikniony mrok.

Nad ruinami słychać było krzyki.

- Jeszcze jedna kawerna! Tu cementu nie starczy!
- Co za idiotyczny projekt!
- Co wy chcecie od Starej Bazy?
- Cierni pełno! Jak na solnisku...
- Willi, niech pan tam nie wchodzi!
- Tam jest pusto, nikogo nie ma...
- Towarzysze, zacznijmy wreszcie robotę.
- Dzień dobry, Wołodia! Już dawno zaczęliśmy.
- Patrzcie, tu są ślady butów!
- Ktoś tutaj zaglądał... O, tu też...
- Pewnie Tropiciele...

Natasza popatrzyła na Feliksa. Feliks skinął głową.

- To ja - przyznał się.

Nagle stanął, przykucnął i zaczął coś z uwagą oglądać.

- O - powiedział. - Popatrzcie, Nataszo.

Natasza nachyliła się. Ze szczeliny w cemencie zwisała gruba łądyga ciernia z malutkim kwiatkiem na końcu.

- Jaki śliczny! - zawołała. - A ja nawet nie wiedziałam, że cierń kwitnie. Jak pięknie - czerwone z niebieskim...

- Cierń kwitnie bardzo rzadko - rzekł powoli Feliks. - Jak wiadomo, raz na pięć marsjańskich lat.

- Mamy szczęście.

- Za każdym razem, gdy kwiatek traci płatki, na jego miejscu wyrasta nowy pęd, a w miejscu kwiatka zostaje błyszczące kółeczko. O, takie, widzicie?

- Interesujące. A więc można policzyć, ile on ma lat... raz, dwa, trzy, cztery...

- Tu jest osiem pierścieni - odezwała się niepewnie.

- Zgadza się - potwierdził Feliks. - Osiem, kwiatek jest dziewiąty. Ta szczelina w cemencie ma osiemdziesiąt ziemskich lat.

- Nie rozumiem - powiedziała Natasza. Nagle zrozumiała i spytała szeptem: - Więc to nie nasza Baza?

- Nie nasza - odparł Feliks i wyprostował się. - I wy o tym wiedzieliście! - zawołała Natasza.

- Tak, wiemy - odpowiedział Feliks. - Tego budynku nie budowali ludzie. To nie jest cement. To nie jest zwyczajne wzgórze. I pijawki nie bez przyczyny napadają na dwunożnych wyprostowanych.

Natasza patrzyła na niego przez kilka sekund, a potem odwróciła się i krzyknęła na cały głos:

- Towarzysze! Tutaj! Wszyscy tutaj! Patrzcie! Patrzcie, co tu jest! Tutaj!

Gabinet dyrektora systemu Ciepły Syrt nabity był ludźmi. Dyrektor wytarł łysinę chustką i w osłupieniu kręcił głową. Areolog Liwanow stracił opanowanie i akuratność i wrzeszczał, starając się przekrzyczeć harmider:

- To po prostu niewiarygodne! Ciepły Syrt istnieje sześć lat. I w ciągu tych sześciu lat nie zdążyliśmy się zorientować, co jest nasze, a co nie. Nikomu do głowy nie przyszło zainteresować się Starą Bazą!...

- A czym się tam było interesować? - krzyczał Azizbekow. -Dwadzieścia razy obok niej przejeżdżałem. Ruiny jak ruiny. Mało to ruin zostawili po sobie pierwsi osadnicy?

- Ja tam byłem dwa lata temu! Patrzę, leży zardzewiała gąsienica od crawlera. Popatrzyłem i pojechałem dalej.

- Teraz też tam leży?

- O czym tu gadać? Pośrodku Bazy od dawien dawna stoi trygonometryczny znak. Też Marsjanie postawili?

- Tropiciele się zhańbili, wstyd!

- Dlaczego? Przecież to oni odkryli!

Naczelnik grupy Tropicieli, Opanasienko, przybyły dopiero przed kilkoma minutami, ogromny, barczysty, uśmiechał się kpiąco i wachlował złożoną mapą, coś mówiąc dyrektorowi. Dyrektor kręcił głową.

Do stołu przedarł się, depcząc wszystkim po nogach, Puczko. Brodę miał rozczochraną, okulary trzymał wysoko nad głową.

- A wszystko dlatego, że w systemie panuje bajzel! - zapiszczał falsetem. - Niedługo zaczną do mnie przychodzić Marsjanie i prosić, żeby im naprawić czołg albo crawler, a ja im będę naprawiał! Ile razy się zdarzało, że przychodzili do mnie nieznajomi ludzie i prosili, żeby coś naprawić! Widzę, że po mieście chodzą nieznajomi! Nie wiem, skąd przychodzą, nie wiem, dokąd idą! A może przychodzą ze Starej Bazy i do niej wracają?!

Hałas w gabinecie nagle ucichł.

- Chcecie przykładu? Proszę! Jeden taki obywatel siedzi tu z nami od rana! O was mówię, towarzyszu!

Puczko machnął okularami w stronę Feliksa Rybkina. Gabinet wybuchł śmiechem. Opanasienko powiedział dźwięcznym basem.

- No, no, Zachar, przecież to mój Rybkin.

Feliks pokręcił głową, podrapał się po karku i kątem oka spojrzął na Nataszę.

- No to co, że Rybkin? - irytował się Puczko. - A skąd ja mam wiedzieć, że to Rybkin? O tym właśnie mówię, że każdy powinien każdego znać... - Machnął ręką i wrócił na swoje miejsce.

Dyrektor wstał i głośno postukał ołówkiem w stół.

- Wystarczy, wystarczy, towarzysze - powiedział surowo. - Pośmialiśmy się i dosyć. Odkrycie, którego dokonali Tropiciele jest niezmiernie interesujące, ale zebraliśmy się tu w innym celu. Schemat Starej Bazy już mamy. Obławę zaczniemy za trzy dni. Rozkaz obławy zostanie wydany jeszcze dziś wieczorem. Już teraz informuję, że naczelnikiem obławy będzie Opanasienko, jego zastępcą Liwanow. A teraz proszę wszystkich, prócz moich zastępców, o opuszczenie gabinetu i udanie się na swoje stanowiska pracy.

W gabinecie były tylko jedne drzwi na korytarz i gabinet pustoszał bardzo powoli. W pewnej chwili w drzwiach powstał zator.

- Radiogram do dyrektora! - krzyknął ktoś.

- Przekażcie górą!

Złożona kartka papieru popłynęła ponad głowami. Dyrektor, spierający się o coś z Opanasienką, wziął ją i rozwinął. Natasza zobaczyła, że poblądł, a potem poczerwieniał.

- Co się stało? - zahuczał Opanasienko.

- Zwariować można - powiedział dyrektor z rozpaczą. - Jutro będzie tutaj Jurkowski.

- Wołodia? - spytał Opanasienko. - To świetnie!

- Dla kogo Wołodia - rzekł z rozpaczą dyrektor - a dla kogo generalny inspektor Międzynarodowego Zarządu Komunikacji Kosmicznej.

Jeszcze raz przeczytał radiogram i westchnął.

5. „Tachmasib”. Generalny inspektor i inni.

Delikatny gwizdek budzika obudził Jurę dokładnie o ósmej rano czasu pokładowego. Jura uniósł się na łokciu i gniewnie popatrzył na budzik. Budzik odczekał chwilę i zagwizdał znowu. Jura jęknął i usiadł na koi. Nie, nie, więcej nie czytam po nocy, pomyślał. Dlaczego wieczorem nigdy nie chce się spać, a rano człowiek się tak męczy?

W kajucie było chłodno, nawet zimno. Jura objął rękami nagie ramiona i zaszczekał zębami. Potem spuścił nogi na podłogę i precyzyjnie się pomiędzy kój a ścianą wyszedł na korytarz. W korytarzu było jeszcze zimniej, ale za to stał Żylin - potężny, muskularny, w samych slipach. Żylin gimnastykował się. Przez jakiś czas Jura obejmując rękami ramiona stał i patrzył, jak tamten ćwiczy. W rękach Żylin zaciskał dziesięciokilowe hantle. Walczył z cieniem, który nieźle obrywał. Od strasznych ciosów po korytarzu aż fruwał wietrzyk.

- Dzień dobry, Wania - powiedział Jura.

Żylin błyskawicznie i bezszelestnie odwrócił się i posuwistym krokiem ruszył na Jurę, rytmicznie kołysząc się całym ciałem. Twarz miał poważną i skupioną. Jura przyjął pozycję bojową. Żylin położył hantle na podłodze i ruszył do walki. Jura skoczył ku niemu. Już po kilku minutach zrobiło mu się gorąco. Żylin głośno i boleśnie lał go półotwartą dłonią. Jura trzy razy trafił go w czoło, za każdym razem na twarzy Żylina pojawiał się uśmiech zadowolenia. Gdy Jura oblał się potem, Żylin powiedział: Break! i przerwali pojedynek.

- Dzień dobry, stażysto - rzekł Iwan. - Jak się spało?

- Dzięk... ku... je... - dyszał Jura. - Nie... źle.

- Pod prysznic! - zakomenderował Żylin.

Kabina była mała, na jednego człowieka, przed nim stał już niedbale uśmiechnięty Jurkowski w wytwornym czerwono-złotym szlafroku, z kolosalnym miękkim ręcznikiem przerzuconym przez ramię. Mówił przez drzwi:

- W każdym razie... d-doskonale pamiętam, że Krajuchin odmówił wtedy zatwierdzenia tego projektu... Co?

Zza drzwi dobiegł szum lejącej się wody, plusk i niezrozumiały cienki tenorek.

- Nic nie słyszę - orzekł z niezadowoleniem Jurkowski. Podniósł głos. - Mówię, że Krajuchin odrzucił ten projekt, więc jeśli napiszesz, że to była historyczna pomyłka, będziesz miał rację... Co?

Drzwi od prysznicia otworzyły się i stamtąd, wycierając się, wyszedł różowy, odświeżony Michaił Antonowicz Krutikow, nawigator „Tachmasiba”.

- Coś mówiłeś, Wołodieńka - wyjaśnił dobrodusznie - ale nic nie słyszałem. Woda szumiała.

Jurkowski popatrzył na niego z żalem, wszedł pod prysznic i zamknął za sobą drzwi.

- Chłopcy, czy on się pogniewał? - spytał zaniepokojony Michaił Antonowicz. - Mnie się wydaje, że się pogniewał.

Żylin wzruszył ramionami, a Jura powiedział niepewnie:

- Chyba nie.

Michaił Antonowicz nagle krzyknął:

- Ojej! Kasza się rozgotuje! - i szybko pobiegł do kambuza.

- Podobno dzisiaj lądujemy na Marsie? - chciał wiedzieć Jura.

- Też słyszałem takie plotki - przyznał Żylin. - Co prawda, na kursie trzydzieści trzydzieści zarejestrowano statek pod piracką banderą, ale myślę, że przeskoczmy. - Nagle zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Jura też. Pod prysznicem woda lała się silnym strumieniem. Żylin pokręcił krótkim nosem. - Czuję - stwierdził. Jura też powąchał.

- Kasza? - spytał.

- Nie - odparł Żylin. - Kolejna psota niedublowanego fazocyklera. Straszny z niego psotnik. Czuję, że jeszcze dzisiaj trzeba go będzie wyregulować.

Jura spojrział na Iwana z powątpiewaniem. To mógł być żart, ale również dobrze mogła to być prawda. Żylin umiał szóstym zmysłem wyczuwać szwankujące urządzenia.

Spod prysznicia wyszedł Jurkowski. Spojrział majestatycznie na Żylinę i jeszcze bardziej majestatycznie na Jurę.

- K-kadet i p-porucznik - odezwał się. - Kto dzisiaj ma dyżur w kambuzie?

- Michaił Antonowicz - odparł Jura nieśmiało.

- Więc znowu będzie owsianka - rzekł majestatycznie Jurkowski i udał się do swojej kajuty.

Jura odprowadził go wzrokiem. Jurkowski porażał jego wyobraźnię. - I co? - spytał Żylin. - Gromodzierzka! Zeus! Co? Idź się myć.

- Nie. Najpierw ty, Wania.

- W takim razie chodźmy razem. Co tu będziesz sam sterczał. Jakoś się wciśniemy.

Po kąpieli ubrali się i poszli do mesy. Wszyscy już siedzieli przy stole, Michaił Antonowicz nakładał na talerze owsiankę. Na widok Jury Bykow spojrział na zegarek, potem znowu na Jurę. Robił tak każdego dnia. Dzisiaj jednak nie padł żaden komentarz.

- Siadajcie - powiedział tylko.

Jura zajął swoje miejsce obok Żyliny, naprzeciwko kapitana. Michaił Antonowicz, patrząc na niego łagodnie, nałożył mu porcję na talerz. Jurkowski jadł owsiankę z widocznym wstrętem i czytał jakiś gruby raport napisany na maszynie, który położył przed sobą na koszyku z chlebem.

- Iwan - zwrócił się do niego Bykow - niedublowany fazocykler traci regulację. Zajmij się tym.

- Zajmę się, Aleksieju Pietrowiczu - rzekł Iwan. - W trakcie ostatnich rejsów tylko nim się zajmuję. Trzeba albo zmienić schemat, albo dać dubler.

- Zmienić schemat, Aloszeńka - uznał Michaił Antonowicz. - Zestarzało się to wszystko - fazocyklery i teletaktory... Pamiętam, jak szliśmy na Uran na „Hiusie 8” w dwa tysiące pierwszym...

- Nie w dwa tysiące pierwszym, tylko w pięćdziesiątym dziewiątym - poprawił Jurkowski, nie odrywając się od raportu. - Pamiętnikami...

- A mnie się zdaje... - zaczął Michaił Antonowicz w zadumie.

- Nie słuchaj go, Michaił - wtrącił się Bykow. - Kogo obchodzi, kiedy to było? Najważniejsze, kto tam był. Na czym. Jak.

Jura cichutko poruszył się na krześle. Zaczynała się tradycyjna poranna rozmowa. Bojownicy wspominali minione dni. Michaił Antonowicz wybierał się na emeryturę i pisał memuary.

- To znaczy co? - powiedział Jurkowski, wznosząc oczy znad rękopisu. - A priorytet?

- Jaki priorytet? - spytał Bykow.

- Mój priorytet.

- Po co ci ten priorytet?

- Uważam, że to bardzo przyjemnie być pierwszym.

- Ale po co chcesz być pierwszy? Jurkowski zastanowił się.

- Szczerze mówiąc, nie wiem - powiedział. - To po prostu przyjemne.

- Mnie osobiście to zupełnie obojętne - rzucił Bykow. Jurkowski, uśmiechając się pobłaźliwie, zamachał w powietrzu palcem wskazującym.

- Naprawdę, Aleksieju?

- Może rzeczywiście coś w tym jest - przyznał Bykow - ale żeby wyłazić ze skóry tylko po to, by być pierwszym... Mało skromne. Przynajmniej jak na uczonego.

Żylin mrugnął do Jury. Jura zrozumiał to tak: „Zakarbuju sobie”.

- Nie wiem, nie wiem - zastanawiał się Jurkowski, demonstracyjnie wracając do raportu. - W każdym razie, Michaił jest zobowiązany trzymać się prawdy historycznej. W dziewięćdziesiątym dziewiątym roku ekspedycja Daugego i Jurkowskiego po raz pierwszy w historii nauki odkryła i zbadała sondami bombowymi tak zwane „pole amorficzne” na biegunie pomocnym Uranu. Następne badania plamy zostały przeprowadzone rok później.

- Przez kogo? - żywo zainteresował się Żylin.

- Nie pamiętam - odparł z roztargnieniem Jurkowski. - Chyba Lacroix. Michaił, czy nie można by... z-zwolnić stołu? Chciałbym teraz pracować.

Następowały święte godziny pracy Jurkowskiego. Jurkowski zawsze pracował w mesie. Tak się przyzwyczał. Michaił Antonowicz i Żylin udali się na mostek. Jura chciał pójść za nimi - ciekaw był regulacji niedublowanego fazocyklera - ale Jurkowski go zatrzymał.

- K-kadecie - powiedział - bądźcie tak uprzejmi i przynieście mi z kajuty aktówką. Leży na koi.

Jura poszedł. Gdy wrócił, Jurkowski coś drukował na przenośnej maszynie elektronicznej, niedbale przebierając palcami lewej ręki po klawiszach. Bykow już siedział na swoim zwykłym miejscu, w wielkim osobistym fotelu. Obok niego na stoliku wznosiła się sterta gazet i czasopism. Na nosie Bykowa tkwiły duże staromodne okulary. Początkowo Jura był tym wstrząśnięty. Na statku pracowali wszyscy. Żylin codziennie pieścił maszyny, Michaił Antonowicz wyznaczał i przeliczał kurs, wprowadzał dodatkowe komendy na cybersterowanie, kończył wielki podręcznik i jeszcze znajdował czas na swoje memuary. Jurkowski do późnej nocy czytał opasłe raporty, otrzymywał i wysyłał niezliczone radiogramy, coś odszyfrowywał i zaszyfrowywał na komputerze. A kapitan statku Aleksiej Pietrowicz Bykow czytał gazety i czasopisma. No i raz na dobę odstawa! kolejną wachtę. Ale cały pozostały czas spędzał w swojej kajucie albo w mesie. Jurę to szokowało. Trzeciego dnia nie wytrzymał i spytał Żylina, po co na statku kapitan. Kapitan jest od odpowiedzialności - odrzekł Żylin. - Jakby na przykład ktoś się zgubił. Jurze wydłużyła się twarz. Żylin śmiejąc się, wyjaśnił: Kapitan odpowiada za całą organizację rejsu. Przed rejssem nie ma ani jednej wolnej chwili. Zauważyłeś, co on czyta? To gazety i czasopisma z ostatnich dwóch miesięcy. A w czasie rejsu? - spytał Jura. Stali na korytarzu i nie zauważyli, że podszedł Jurkowski. W czasie rejsu kapitan potrzebny jest tylko w razie katastrofy - wyjaśnił z dziwnym uśmiechem. - A wtedy jest potrzebny bardziej niż ktokolwiek inny.

Jura zbliżył się na palcach i położył aktówkę obok Jurkowskiego. Aktówka była wytworna, jak wszystkie rzeczy Jurkowskiego. W rogu umieszczona była złota tabliczka z napisem: „IV Ogólnoswiatowy Kongres Planetologów. 20 XII Conakry”.

- Dziękuję, kadecie. - Jurkowski odchylił się na oparcie krzesła i w zadumie popatrzył na Jurę. - Siedlibyście i rozmawiali ze starcem - powiedział półgłosem - bo za chwilę znowu przyniosą radiogramy i zacznie się kołowrót.

Jura usiadł. Był niezmiernie szczęśliwy.

- Przed chwilą mówiłem o priorytecie i chyba się nieco zagalopowałem. Rzeczywiście, coż znaczy jedno imię w oceanie ludzkich Wysięków, nawałnicach ludzkiej myśli, w ogromnych przyptywach i odpływach ludzkiego rozumu? Pomyślcie, setki ludzi w różnych krańcach wszechświata zebrało dla nas niezbędne informacje, dyżurny na Spupiat, zmęczony, z czerwonymi od niewyspania oczami przyjmował je i kodował, inni dyżurni programowali urządzenia przekaźnikowe, a potem ktoś inny naciśnie klawisz, gigantyczne anteny poruszą się, wyszukując w przestrzeni nasz statek i potężny, nasycony informacją kwant zerwie się z iglicy anteny i pomknie w przestrzeń w ślad za nami...

Jura słuchał, patrząc na jego usta. Jurkowski kontynuował: - Kapitan Bykow ma bez wątpienia rację: własne imię na mapie nie powinno zbyt wiele znaczyć dla prawdziwego człowieka. Cieszyć się ze swoich sukcesów trzeba skromnie, sam na sam ze sobą. A z przyjaciółmi należy się dzielić tylko radością poszukiwania, radością pogoni i śmiertelnej walki. Wiecie, ilu ludzi jest na Ziemi? Cztery miliardy! I każdy z nich pracuje. Albo za czymś się ugania, albo czegoś szuka. Albo walczy na śmierć i życie. Czasem próbuję wyobrazić sobie te cztery miliardy jednocześnie. Kapitan Fred Dolittle prowadzi liniowiec pasażerski, na sto megametrów przed finiszem psuje się reaktor zasilania i Fredowi Dolittle w ciągu pięciu minut siwieją włosy, ale on zakłada czarny beret, idzie do mesy i tam śmieje się z pasażerami, z tymi samymi pasażerami, którzy i tak niczego się nie dowiedzą, dzień później rozjadą się z kosmodromu i na zawsze zapomną imię Freda Dolittle. Profesor Kanayama oddaje całe swoje życie tworzeniu stereosyntetyków i pewnego gorącego wilgotnego poranka znajdują go martwego w fotelu przy stole laboratoryjnym. Kto spośród setek milionów, którzy nosić będą zdumiewająco trwałe i piękne ubrania ze stereosyntetyków profesora Kanayamy, wspomni jego nazwisko? A Jurij Borodin będzie w wyjątkowo trudnych warunkach wznosić kopuły mieszkalne na małej, kamienistej Rhei i ręczę, że żaden z ich przyszłych mieszkańców nigdy nie usłyszy jego imienia. Ale to jest sprawiedliwe. Albowiem również Fred Dolittle nie zapamiętał imion swoich pasażerów, a oni idą na śmiertelnie niebezpieczny szturm nowej planety. Profesor Kanayama nigdy na oczy nie widział tych, którzy noszą ubrania z jego

tkanin, a przecież ci ludzie karmili go i ubierali, póki on pracował. I ty, Jura, zapewne również nigdy nie dowiesz się o heroizmie uczonych, którzy zamieszkają w domach przez was zbudowanych. Taki jest świat, w którym żyjemy. Bardzo dobry świat.

Jurkowski skończył i popatrzył na Jurę z taką miną, jakby liczył, że Jura w tej samej chwili zmieni się na lepsze. Jura milczał. To się nazywało: Dyskusja ze starcem. Obaj bardzo lubili te dyskusje. Wprawdzie Jura niczego nowego się z nich nie dowiadywał, ale zawsze pozostawało w nim wrażenie czegoś wielkiego i błyszczącego. Najprawdopodobniej chodziło o samo oblicze wielkiego planetologa - przecież cały był jakby czerwono-złoty.

Do mesy wszedł Żylin, położył przed Jurkowskim szpule radiogramów.

- Poranna poczta.

- Dziękuję, Wania - odparł lekkim tonem Jurkowski.

Wziął pierwszą z brzegu, włożył do maszyny i włączył deszyfrator. Maszynka wściekle zastukała.

- Proszę - powiedział tym samym tonem Jurkowski, wyciągając kartkę z maszyny. - Znowu na Ceresie nie zrealizowali programu.

Żylin złapał Jurę za rękaw i pociągnął na mostek. Z tyłu rozległ się twardy głos Jurkowskiego:

- Zdjąć go, do licha, i przenieść na Ziemię, niech siedzi jako dozorca muzeum...

Jura stał za plecami Żylina i przyglądał się regulowaniu fazocyklera. Nic nie rozumiem, pomyślał ze znużeniem. I nigdy nie zrozumie. Fazocykler był częścią kombajnu kontroli absolutnego zwierciadła i służył do mierzenia szczelności strumienia radiacji w zakresie roboczym zwierciadła. Żylin obserwował regulację fazocyklera na dwóch ekranach, na których rozbłyskiwały i powoli gasły błękitne iskry i linie. Czasem łączyły się w jeden świecący się obłok i wtedy Jura myślał, że wszystko na marne i regulację trzeba zaczynać od początku. Pięknie. A teraz jeszcze pół stopnia, rozkoszował się życiem. I wszystko rzeczywiście zaczynało się od początku.

Na podwyższeniu, dwa kroki za Jurą siedział za pulpitem maszyny liczącej Michaił Antonowicz i pisał memuary. Pot lał się z niego strumieniami. Jura wiedział już, że zmusił go do tego wydział archiwów Międzynarodowego Zarządu Kosmicznej Komunikacji. Michaił Antonowicz pracowicie skrobał piórem, wznosił oczy w górę, coś liczył na palcach i od czasu do czasu smętnym głosem zaczynał śpiewać wesołe piosenki. Michaił Antonowicz był człowiekiem wyjątkowo dobronudnym. Jeszcze pierwszego dnia podarował Jurze tabliczkę czekolady i poprosił go o przeczytanie fragmentu memuarów. Bardzo przeżył krytykę

prostodusznej młodości, ale od tej pory zaczął uważać Jurę za absolutny autorytet w dziedzinie literatury wspomnieniowej.

- Posłuchaj, Jurik - wykrzyknął. - I ty też, Waniusza.

- Słuchamy, Michaiłe Antonowiczu - powiedział ochoczo Jura. Michaił odchrząknął i zaczął czytać:

- Z kapitanem Stiepanem Afanasiewiczem Warszawskim spotkałem się po raz pierwszy na słonecznych lazurowych brzegach Tahiti. Jasne gwiazdy migotały nad bezkresnym Wielkim lub Cichym Oceanem. Warszawski podszedł do mnie i poprosił o papierosa, tłumacząc, że zapomniał fajki w hotelu. Niestety nie pałę, ale to nie przeszkodziło nam rozpocząć rozmowy. Wiele się o sobie dowiedzieliśmy. Stiepan Afanasiewicz wywarł na mnie jak najlepsze wrażenie. To był przemiły, wspaniały człowiek - bardzo dobry, mądry, o szerokich horyzontach. Byłem wstrząśnięty jego wiedzą. Łagodność, z jaką odnosił się do ludzi, wydała mi się wyjątkowa...

- Może być - ocenił Żylin, gdy Michaił Antonowicz zamilkł patrząc na nich nieśmiało.

- Próbowałem tu tylko dać portret tego niezwykłego człowieka - wyjaśnił.

- Może być - powtórzył Żylin, uważnie obserwując ekran. - Jak tam było powiedziane? „Nad słonecznymi i lazurowymi brzegami migotały jasne gwiazdy”. Bardzo oryginalny obraz.

- Gdzie? Gdzie? - spłoszył się Michaił Antonowicz. - No, Wania, to omyłka. Nie trzeba tak żartować.

Jura zastanawiał się intensywnie, do czego by się tu przyczepić. Bardzo chciał podtrzymać swój ą pozycję znawcy.

- Już wcześniej czytałem wasze rękopisy - powiedział w końcu - i teraz nie będę się zajmował stroną literacką. Tylko dlaczego wszyscy ci ludzie są tacy przemili i wspaniali? Nie wątpię, że to porządni ludzie, ale w ten sposób nie można ich od siebie odróżnić.

- Co prawda, to prawda - powiedział Żylin. - A kogo jak kogo, ale kapitana Warszawskiego odróżniłbym od każdego. Jak to on mówił? Dinozaury, łapserdaki, darmozjady nieszczęsne.

- Wybacz, Wania - rzekł z godnością Michaił Antonowicz - ale przy mnie nic podobnego nie mówił. Szalenie grzeczny i kulturalny człowiek.

- Proszę mi powiedzieć, Michaiłe Antonowiczu - zainteresował się Żylin - co napiszecie o mnie?

Michaił Antonowicz stropił się. Żylin odwrócił się od przyrządów i patrzył na niego z ciekawością.

- Ja, Waniusza, nie miałem zamiaru... - Michaił Antonowicz nagle się ożywił. - A przecież to jest myśl, chłopcy! Naprawdę, napiszę taki rozdział. To będzie ostami. Tak go właśnie nazwę: „Mój ostatni rejs”. Nie, mój brzmi jakoś nieskromnie. Po prostu „Ostatni rejs”. A w nim opiszę, jak lecimy razem i Alosza, i Wołodia, i wy, chłopaki. Tak, to dobry pomysł - „Ostatni rejs”.

I Michaił Antonowicz powrócił do memuarów.

Po pomyślnie zakończonej regulacji fazocyklera, Żylin zaproponował Jurze, by zszedł razem z nim do maszynowego wnętrza statku - do podstawy reaktora fotonowego. Tam było zimno i nieprzyjemnie. Żylin niespiesznie zajął się swoim codziennym check up. Jura powoli szedł za nim, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie, starając się nie dotykać pokrytych szronem powierzchni.

- Jakie to jednak wspaniałe. - W jego głosie brzmiała zawiść.

- Co takiego? - spytał Żylin.

Z brzękiem odchyłał i zatrząskiwał pokrywy, odsuwał półprzezroczyste szyby, za którymi migotała kabalistyczna plątanina jakichś schematów, włączał małe monitory, na których pojawiały się kropki jasnych impulsów, skaczące po siatce współrzędnych, wsuwał mocne, zręczne palce w coś niewyobrażalnie skomplikowanego, różnobarwnego, rozbłyskującego, i robił to wszystko niedbale, lekko, bez zastanowienia, a przy tym tak ładnie i apetycznie, że Jura zapragnął zmienić specjalizację i tak samo od niechcienia władać wstrząsającym, gigantycznym organizmem fotonowego cudu.

- Aż mi ślinka cieknie - rzekł Jura. Żylin roześmiał się.

- Naprawdę - dodał Jura. - Nie wiem, może dla was to wszystko jest zwyczajne i codzienne, może się wam nawet sprzykrzyło, ale i tak jest wspaniałe. Wielki i skomplikowany mechanizm, a obok jeden człowiek... władca. To wspaniałe, gdy człowiek jest władcą.

Żylin czymś szcęknął i na szarej, chropowatej ścianie zapłonęło jak tęcza jednocześnie sześć ekranów.

- Człowiek od dawna jest takim władcą - stwierdził, uważnie obserwując ekrany.

- Pewnie jesteście dumni, że jesteście kimś takim... Żylin wyłączył ekrany.

- Pewnie tak - odparł. - Cieszę się, jestem dumny, i tak dalej. - Ruszył wzdłuż oszronionych przyrządów. - Od dziesięciu lat jestem takim władcą - dodał z dziwną intonacją.

- I wam... - Jura chciał dodać obrzydło, ale się powstrzymał. Żylin w zadumie odkręcał ciężką pokrywę.

- Najważniejsze! - powiedział nieoczekiwanie. - W każdym życiu, tak jak i w każdej sprawie najważniejsze to określić, co jest najważniejsze. - Popatrzył na Jurę. - Nie mówmy dzisiaj o tym, dobrze?

Jura skinął w milczeniu. Ojjoj, pomyślał, czyżby Iwanowi obrzydło? To musi być straszne zajmować się przez dziesięć lat ulubioną pracą i nagle odkryć, że przestało się ją lubić. Musi mu być ciężko... Chociaż nie, nie wygląda, żeby Iwanowi było ciężko... Obejrzał się i żeby zmienić temat, powiedział:

- Powinny tu przychodzić zjawy...

- Ciii - szepnął Żylin z przestachem i też się rozejrzał. - Pełno ich tu. O, tam - wskazał ciemne przejście między dwoma panelami - znalazłem... tylko nie mów nikomu... dziecięcą czapeczkę!

Jura zaśmiał się.

- Musisz wiedzieć - ciągnął Żylin - że nasz „Tachmasib” to dość stary statek. Był na wielu planetach i na każdej lądowały się na niego miejscowe zjawy. Całymi dywizjami. Snują się teraz po statku, jęczą, wyją, włączają w przyrządy, rozregulowują fazocykler... Przeszkadzają im trochę widma bakterii, zabitych podczas dezynfekcji... I w żaden sposób nie można się ich pozbyć.

- Trzeba było wodą święconą.

- Próbowałem. - Żylin machnął ręką, otworzył wielki luk i zanurzył w nim górną część tułowia. - Wszystkiego próbowałem - rozległ się jego dudniący głos z głębi luku. - I zwykłą święconą wodą i deutronową, trytonową. Bez efektu. Ale wymyśliłem, jak się ich pozbyć. - Wyszedł z luku, zatrzasnął pokrywę i spojrzał na Jurę poważnie. - Trzeba przeskoczyć na „Tachmasibie” przez Słońce. Rozumiesz? Jeszcze nie było przypadku, żeby jakaś zjawa wytrzymała temperaturę reakcji termojądrowej. Co, naprawdę nie słyszałeś o moim projekcie statku lecącego przez Słońce?

Jura pokręcił głową. Jeszcze nigdy nie udało mu się uchwycić momentu, gdy Żylin przestawał żartować i zaczynał mówić poważnie.

- Chodźmy - rzekł Iwan, biorąc go pod rękę. - Chodźmy na górę, opowiem ci szczegółowo.

Na górze Jurę przejął Bykow.

- Stażysto Borodin, chodźcie za mną - polecił.

Jura smutno wzdychając popatrzył na Żylina. Ten ostatni ledwie zauważalnie rozłożył ręce. Bykow sprowadził Jurę do mesy i posadził przy stole naprzeciw Jurkowskiego. To była najmniej przyjemna część dnia: dwie godziny przymusowego studiowania fizyki metali. Bykow doszedł do wniosku, że czas lotu stażysta powinien wykorzystać racjonalnie i już pierwszego dnia zasadził Jurę do teoretycznych problemów spawania. Szczerze mówiąc, to nawet było interesujące, ale Jurę przygnębiała myśl, że jego, doświadczonego robotnika i naukowca, zmuszają do studiów, jak zwykłego żaka. Nie śmiał się sprzeciwić, ale nie miał serca do tych zajęć.

Dużo ciekawsze było przysłuchiwanie się i obserwowanie pracy Jurkowskiego.

Bykow wrócił na swój fotel, przez kilka minut przyglądał się, jak Jura niechętnie kartkuje książkę, po czym rozłożył kolejną gazetę. Jurkowski nagle przestał szumieć maszyną elektroniczną i powiedział do Bykova.

- Słyszałeś coś o statystyce skandalów?

- Jakich skandalów? - spytał Bykow zza gazety.

- Mam na myśli skandale... w-w k-kosmosie. Liczba szlachetnych czynów i działań sprzecznych z prawem rośnie wraz z oddalaniem się od Ziemi, osiąga maksimum w pasie asteroid i znowu spada do granic... s-systemu słonecznego.

- Nic dziwnego - stwierdził Bykow, nie odkładając gazety. -Sami pozwoliliście różnym wyjętym spod prawa w rodzaju „Space Pearl” grzebać w asteroidach, więc czego się teraz spodziewacie?

- Pozwoliliśmy! - rozgniewał się Jurkowski. - Nie my, tylko ci głupcy z Londynu. I teraz sami nie wiedzą, co z tym zrobić...

- Jesteś generalnym inspektorem, więc działaj - doradził mu Bykow.

Jurkowski przez jakiś czas patrzył w milczeniu na papiery.

- Już ja dam tym draniom! - zawołał nagle i znowu zaczął szumieć maszyną.

Jura już wiedział, czym jest specrejs 17. W niektórych punktach ogromnej sieci kosmicznych osiedli, obejmującej cały system słoneczny, działo się coś niedobrego i Międzynarodowy Zarząd Kosmicznej Komunikacji postanowił skończyć z tym raz i, w miarę możliwości, na zawsze. Jurkowski był generalnym inspektorem MZKK i przyznano mu, widocznie, nieograniczone pełnomocnictwa. Miał prawo degradować, udzielać nagan, zdejmować, przesuwać, naznaczać, chyba nawet używać siły, i prawdopodobnie gotów był to wszystko robić. Mało tego, Jurkowski miał zamiar spadać na winnych jak jastrząb i dlatego specrejs 17 był absolutnie tajny. Ze strzępów rozmów, z tego, co Jurkowski czytał na głos, wynikało, że fotonowy planetolot „Tachmasib” po krótkim przystanku przy Marsie przedzie

przez pas asteroid, zatrzyma się w systemie Saturna, potem oversunem wyjdzie przed Jowiszem i przez pas asteroid wróci na Ziemię. Jura nie wiedział, nad jakimi właściwie ciałami niebieskimi zawisł groźny cień generalnego inspektora. Żylin powiedział mu tylko, że „Tachmasib” wysadzi Jurę na Japetusie, a stamtąd planetoloty miejscowej komunikacji przeniosą go na Rheę. Jurkowski znowu przestał szumieć maszyną.

- Niepokoją mnie naukowcy przy Saturnie - zdenerwował się.

- Uhu - dobiegło zza gazety.

- Wyobraź sobie, że oni do tej pory nie mogą się rozkręcić i... w-wziąć się wreszcie za program.

-Uhu.

Jurkowski powiedział surowo:

- Tylko sobie nie myśl, że niepokoję się o ten program dlatego, że jest mój...

- Nie myślę.

- Sądzę, że trzeba będzie ich popchnąć - oświadczył Jurkowski.

- Cóż, powodzenia - rzekł Bykow i przewrócił stronę.

Jura poczuł, że cała ta rozmowa - i dziwna nerwowość Jurkowskiego i sztuczna obojętność Bykowa - ma jakieś drugie dno. Widocznie niewyobrażalne pełnomocnictwa generalnego inspektora miały jednak swoje granice. Zarówno Bykow, jak i Jurkowski doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

- Czy to nie czas na obiad? Kadecie, czy moglibyście próżniowo przygotować obiad? - spytał Jurkowski.

Bykow rzucił zza gazety:

- Nie przeszkadzaj mu pracować.

- Ale ja chcę jeść! - naciskał Jurkowski.

- Wytrzymasz.

6. Mars. Obława.

O czwartej rano Feliks Rybkin powiedział: Pora, i wszyscy zaczęli się zbierać. Na dworze było minus osiemdziesiąt trzy stopnie. Jura naciągnął na stopy dwie pary puchowych skarpet, które pożyczyła mu Natasza, ciężkie futrzane spodnie, które dał mu Matti, założył akumulatorowy pas i naciągnął unty. Tropiciele Feliksa, niewyspani i ponurzy, pospiesznie pili gorącą kawę. Natasza biegała do kuchni i z powrotem, nosiła kanapki, kawę i termosy. Ktoś poprosił o bulion - Natasza pobiegła do kuchni i przyniosła bulion. Rybkin i Żylin siedzieli w kucki w kącie pokoju nad otwartą płaską skrzynią, z której sterczały połyskujące ogony granatów rakietowych. Tę broń przywiózł z Ciepłego Syrtu Jurkowski. Matti ostatni raz sprawdził przeznaczony dla Jury elektryczny ogrzewacz kurtki.

Tropiciele skończyli pić kawę i w milczeniu poszli do wyjścia, odruchowo naciągając na twarz maski tlenowe. Feliks z Żylinem podnieśli skrzynię z granatami i też ruszyli do wyjścia.

- Jura, jesteś gotów? - spytał Żylin.

- Już, już - odparł Jura.

Matti pomógł mu włożyć kurtkę i sam podłączył elektryczny ogrzewacz do akumulatorów.

- A teraz leć na dwór - powiedział. - Bo się spocisz. Jura wsunął rękawice i pobiegł za Żylinem.

Na dworze panowała kompletna ciemność. Jura przeciął placyk obserwacyjny i zszedł do czołgu. Tutaj w ciemności rozmawiano po cichu, słychać było pobrzękiwanie metalu o metal. Jura wpadł na kogoś. Z mroku jakiś głos poradził mu, by włożył okulary. Jura poradził głosowi, żeby nie sterczał na drodze.

- Ale cudak - odezwał się ktoś. - Włóż okulary podczerwone.

Jura przypomniał sobie o nich i osłonił oczy. Teraz mógł przynajmniej rozróżnić sylwetki ludzi i szeroki tył czołgu, nagrzany reaktorem atomowym. Na czołg ładowano skrzynie z amunicją. Najpierw Jura stanął, żeby podawać, ale potem pomyślał, że może nie starczyć dla niego miejsca w czołgu i wtedy zostawił go w obserwatorium. Po cichu wdrapał się na czołg, gdzie dwóch mężczyzn z nasuniętymi na nos kapturami przyjmowało skrzynie.

- Kogo tam niesie? - spytał jeden dobrodusznie. - To ja - rzekł Jura.

- A, ten ze stolicy? - powiedział inny. - Włóż do środka, wsuwaj skrzynie pod siedzenia.

„Ten ze stolicy” mówili na Jurę miejscowi spawacze, którym niedawno pomagał wyposażać czołgi obrotnicami dla broni raketowych i demonstrował najnowsze metody spawania w rozrzedzonej atmosferze.

Temperatura w czołgu wynosiła również osiemdziesiąt trzy stopnie poniżej zera i okulary nie pomagały. Jura z zapalem przesuwiał skrzynie po dnie czołgu, wymacał rękami i wypychał je pod siedzenia, wpadając co chwila na sterzące zewsząd ostre kanty. Wkrótce nie było już czego przesuwac. Weszli milczący Tropiciele i zaczęli się sadowić, grzechocząc karabinami. Jurze kilka razy boleśnie nadepnięto na nogi, ktoś nasunął mu kaptur na oczy. W przedniej części czołgu rozległo się skrzywienie - widocznie Feliks wypróbował obrotnicę. Potem dał się słyszeć czyjś głos:

- Jada.

Jura ostrożnie wysunął głowę zza burty. Zobaczył szarą ścianę obserwatorium i błyski reflektorów, prześlizgujących się po placu obserwacyjnym. Zbliżały się ostatnie trzy czołgi grupy centralnej.

- Malinin! - powiedział ściszym głosem Feliks.

- Jestem - odrzyknął Tropiciel, siedzący obok Jury.

- Pietrowski! - Tutaj.

- Homeriki!

- Jedziemy - zakomenderował Feliks po skończeniu wywoływania nazwisk (Jura i Żylin nie zostali wymienieni).

Piaskowy czołg „Mimikrodon” zawarczał silnikiem, szcęknał, przechylił się ciężko i zaczął sunąć pod górę. Jura spojrział w niebo. Gwiazdy szczelnie zasnuwał pył. Nie było kompletnie na co patrzeć. W czołgu trzęsło niemiłosiernie. Jura co chwila spadał z twardego siedzenia, natykając się ciągle na te same twarde kanty. W końcu Tropiciel, który siedział obok niego, spytał:

- Co tak skaczesz?

- A skąd mam wiedziec? - odparł gniewnie Jura.

Chwycił za jakiś trzpień sterzący z burty i poczuł ulgę. Gdy od czasu do czasu w wiszących nad czołgiem kłębach pyłu rozbłyskiwało światło reflektorów, Jura widział na jasnym tle czarny pierścień obrotnicy i zadartą w niebo długą lufę działa raketowego. Tropiciele rozmawiali.

- Byłem wczoraj w tych ruinach. - I jak?

- Szczerze mówiąc, rozczarowałem się.

- Tak, architektura na pierwszy rzut oka dziwaczna, a potem zaczynasz czuć, że gdzieś to już widziałeś.

- Kopuły, paralelepipedy...

- Właśnie. Zupełnie jak Ciepły Syrt.

- Dlatego nikomu do głowy nie przyszło, że to nie nasze.

- Jasne... Po cudach Phobosa i Deimosa... - A mnie właśnie to podobieństwo dziwi.

- Analizowali materiał?

Jurze było niewygodnie, twardo, ponadto doskwierała mu samotność. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Ludzie wydawali mu się obcy, obojętni. Twarz palił siarczysty mróz. W dno czołgu biły fontanny piasku spod gąsienic. Gdzieś obok siedział Żylin, ale nie było go ani widać, ani słyszać. Jura poczuł do niego żal. Chciał, żeby jak najszybciej weszło słońce, żeby zrobiło się jasno i ciepło. I żeby przestało tak trząść.

Bykow puścił Jurę na Marsa z wielką niechęcią i na osobistą odpowiedzialność Żylina. Sam z Michailem Antonowiczem został na statku i kręcił się teraz razem z Fobosem dziewięć tysięcy kilometrów od Marsa. Jura nie wiedział, gdzie znajduje się Jurkowski. Zapewne też brał udział w obławie.

Żeby chociaż karabin dali, pomyślał smętnie Jura. W końcu spawałem im obrotnice.

Wszyscy wokół mieli karabiny i pewnie dlatego czuli się swobodnie i spokojnie.

Człowiek z natury jest niewdzięczny i obojętny, myślał z goryczą Jura. A im starszy, tym gorszy. Gdyby tu byli nasi, byłoby inaczej. Miałbym karabin, wiedziałbym, gdzie jedziemy i po co. Wiedziałbym, co mam robić.

Czołg zatrzymał się nagle. Od świateł reflektorów, miotających się po chmurach pyłu, zrobiło się zupełnie jasno. W czołgu wszyscy zamilkli, po chwili Jura usłyszał nieznamy głos.

- Rybkin, wchodźcie na zachodnie zbocze. Kuźmin na wschodnie. Jefferson, zostańcie na południowym.

Czołg znowu ruszył. Światło reflektorów wpadło do środka i Jura zobaczył Feliksa, stojącego przy obrotnicy z radiofonem w ręku.

- Stań swoją burtą na zachód - zwrócił się Rybkin do kierowcy. Czołg się przechylił i Jura szeroko rozstawił łokcie, żeby nie spaść na dno.

- Dobrze - zgodził się Feliks. - Daj jeszcze trochę do przodu, tam jest równiej.

Czołg znowu się zatrzymał i Rybkin powiedział do radiofonu:

- Rybkin na miejscu, towarzyszu Liwanow.

- Dobrze - odparł Liwanow.

Wszyscy Tropiciele stali, wyglądając przez burty. Jura też patrzył. Nic nie było widać oprócz pyłu powoli opadającego w promieniach reflektorów.

- Kuźmin na miejscu. Tu obok jest jakaś wieża. - Zejdźcie niżej.

- Tak jest.

- Uwaga! - Teraz Liwanow mówił przez megafon i jego głos przetaczał się nad pustynią jak grom. - Obława zaczyna się za kilka minut. Do wschodu słońca pozostała godzina. Naganiacze będą tu za pół godziny. Za pół godziny włączyć syreny. Można strzelać. To wszystko.

Tropiciele zaczęli się krzątać. Znowu rozległ się straszliwy zgrzyt obrotnicy. Burty czołgu najeżyły się karabinami. Pył opadał, sylwetki ludzi stopniowo roztopiały się w ciemnościach nocy. Znowu zalśniły gwiazdy.

- Jura! - zawołał Żylin półgłosem.

- Co? - rozgniewał się Jura.

- Gdzie jesteś? - Tutaj.

- Chodź do mnie - polecił surowo Żylin.

- Gdzie? - spytał Jura i poszedł w stronę głosu.

- Tutaj, do obrotnicy.

W czołgu było mnóstwo skrzyń. Skąd one się tu wzięły?, pomyślał Jura. Potężna dłoń Żylina chwyciła go za ramię i pociągnęła do obrotnicy.

- Siedź tutaj - rzekł srogo Żylin. - Będziesz pomagał Feliksowi.

- Jak? - chciał wiedzieć Jura. Uraza powoli mu przechodziła.

- Tutaj są skrzynie z granatami - powiedział cicho Feliks Rybkin i zaświecił latarką. -

Wyjmujcie granaty po sztuce, zdejmujcie kapturek z tylnej części i podawajcie mnie.

Tropiciele rozmawiali:

- Nic nie widzę.

- Zimno dzisiaj, wszystko ostygło.

- Niedługo jesień. Będzie coraz zimniej...

- Ja widzę tylko jakąś kopułę na górze i w nią celuję. - Po co?

- To jedyne, co widzę.

- A spać można?

Jura nad głową usłyszał cichy głos Feliksa:

- Słuchajcie, wschodnią stronę obserwuję ja. Nie strzelajcie na razie, chcę wypróbować broń.

Jura zdjął kapturek z granatu. Na kilka minut zapadła martwa cisza.

- Ale fajna ta Natasza, co? - dobiegł czyjś szept. Feliks poruszył się. Obrotnica skrzypnęła.

- Tylko niepotrzebnie tak krótko obcina włosy - odpowiedział głos z zachodniej burty.

- Dużo się znasz...

- Do mojej żony podobna. Tylko włosy ma krótsze i jaśniejsze.

- Czemu ten Sieriożka nic nie robi! To do niego nie podobne.

- Jaki Sieriożka?

- Sieriożka Biały, astronom.

- Pewnie żonaty. -Nie.

- Oni ją wszyscy bardzo lubią. Po przyjacielsku. To przecież wspaniała dziewczyna. I mądra. Poznałem ją jeszcze na Ziemi.

- Aha, to pewnie dlatego ganiałeś japo bulion. - A co?

- Nieładnie. Całą noc dziewczyna pracowała, potem nam śniadanie szykowała. A tobie się bulionu zachciało...

- Ciii!

W ciszy, która zapadła natychmiast, Feliks wyszeptał:

- Jura, chcecie zobaczyć pijawkę? Patrzcie!

Jura wysunął głowę. Najpierw zobaczył czarne, pokiereszowane kontury ruin. Potem coś się tam bezszelestnie poruszyło. Długi giętki cień uniósł się nad wieżami i zakołysał, na przemian zasłaniając i odsłaniając jasne gwiazdy. Znowu skrzypnęła obrotnica i cień zastygł. Jura wstrzymał oddech. Teraz, pomyślał. Teraz. Cień zgiął się, jakby się składał i w tym momencie działo raketowe wypaliło.

Rozległ się przeciągły syk, trysnęły iskry, ognisty strumień sięgnął szczytu wzgórza, coś z hukiem pękło, rozbłysło oślepiająco i znów zapadła cisza. Ze szczytu wzgórza posypały się kamyczki.

- Kto strzelał? - spytał głos z megafonu.

- Rybkin - odparł Feliks.

- Trafiłeś?

- Tak.

- Gratulacje - zaryczał megafon.

- Granat - powiedział cicho Feliks.

Jura pospiesznie wsunął mu w dłoń granat.

- Nieźle - stwierdził któryś z Tropicieli z zawiścią. - Na pół.

- To nie karabin.
- Feliksie, czemu nam wszystkim takich nie dali?
- Jurkowski przywiózł wszystkiego dwadzieścia pięć sztuk.
- Szkoda. Dobra broń.

Ze wschodniej burty zaczęli strzelać. Jura kręcił głową, ale niczego nie zobaczył. Za ruinami zaszczała i pękła rakietą, puszczone z innego czołgu. Feliks wystrzelił jeszcze raz.

- Granat - rzekł wyraźnie.

Strzelanina trwała dwadzieścia minut z niewielkimi przerwami. Jura nic nie widział. Podawał granat za granatem. Strzelano z obu burt. Feliks ze strasznym zgrzytem kręcił działem na obrotnicy. Potem włączyli syreny... Nad pustynią popłynęło tęskne, przenikliwe wycie. Jurę rozboleły zęby, poczuł swędzenie pięt. Przeszli strzelać, ale rozmawiać i tak nie można było.

Szybko świtało. Jura mógł teraz zobaczyć Tropiciele. Niemal wszyscy siedzieli oparci plecami o burty, z kapturami na twarzach. Na dnie stały otwarte plastikowe skrzynie ze sterzącymi z nich strzypami kolorowego celofanu, walały się wystrzelane gilzy, puste magazynki. Przed Jurą na skrzynce siedział Żylin z karabinem pomiędzy kolanami. Na odsłoniętych policzkach srebrzył się szron. Jura wstał i spojrzał na Starą Bazę. Szare, powygrzane ściany, ciernie, kamienie. Rozczarował się. Spodziewał się zobaczyć dymiące sterty trupów. Dopiero gdy przyjrzał się uważniej, zauważył żółte, szczeciniaste ciało, zaklinowane w szczelinie pomiędzy cierniami. Na jednej z kopuł lśniło coś ohydnie wilgotnego.

Jura odwrócił się i popatrzył na pustynię. Pod ciemnofioletowym niebem pustynia była szara, pokryta szarymi zmarszczkami wydm, martwa i nudna. Ale wysoko, nad równym horyzontem Jura zobaczył jasnożółty, postrzępiony pas, ciągnący się przez całą zachodnią część nieba. Pas szybko rósł, wypełniając się światłem.

- Naganiacze idą! - wrzasnął ktoś. Głos zagłuszył ryk syren. Jura domyślił się, że żółty pasek nad horyzontem - to chmura pyłu podniesiona przez obławę. Na pustynię padły czerwone plamy światła, słońce wschodziło naprzeciw naganiaczy. Ogromny żółty obłok na horyzoncie rozświetlił się.

- Naganiacze, naganiacze! - krzyknął Jura.

Cały horyzont - na wprost, z prawej i lewej strony - pokrył się czarnymi punktami. Punkty na przemian znikwały i pojawiały się na grzbietach dalekich wydm. Już teraz było widać, że czołgi i crawlery pędzą z maksymalną prędkością i każdy ciągnie za sobą długi

kłębiący się tren. Wzdłuż całego horyzontu pojawiały się krótkie błyski. Nie wiadomo było, czy to wystrzały, czy rozrywające się granaty, czy to może słońce odbija się od przednich szyb maszyn.

Ktoś szturchnął Jurę w bok, chłopak zachwiał się i przysiadł na skrzynkach. Feliks Rybkin szybko instalował na obrotnicy swój miotacz granatów. Kilku Tropicielei rzuciło się na lewą burtę. Naganiacze zbliżali się szybko. Teraz znajdowali się w odległości zaledwie paru kilometrów. Horyzont zasnuł się pyłem, widać było, że przed naganiaczami toczy się po pustyni długi dymiący pas błysków. Megafon ryknął poprzez wycie syren:

- Cały ogień na pustynię! Cały ogień na pustynię!

Z czołgu zaczęto strzelać. Jura widział, jak szerokie ramiona Żylina drgają od wystrzałów, widział białe rozbłyski nad burtą i nie mógł zrozumieć, gdzie strzelają i do kogo. Feliks klepnął go w kaptur, Jura szybko podał mu granat i zerwał kapturek z następnego. Syreny wyły tępo, uparcie, grzechotały wystrzały, wszyscy byli bardzo zajęci, nie miał więc kogo zapytać, co się dzieje. Potem Jura zobaczył, jak od jednego z nadjeżdżających czołgów oderwał się czerwony potok ognia, przypominający splunięcie, i utonął w pasie dymu przed pierścieniem naganiaczy. Wtedy zrozumiał. Wszyscy strzelali do tego dymiącego się pasa - tam były pijawki. Pas był coraz bliżej.

Zza wzgórza, rufą do przodu, powoli wytoczył się czołg Kuźmina. Czołg jeszcze się nie zatrzymał, gdy rozsunęło się nadwozie i wysunęła stamtąd ogromna czarna rura. Rura zaczęła się unosić do góry, a gdy zastygła pod kątem czterdziestu pięciu stopni, Tropiciele Kuźmina z łoskotem wysypali się przez burty pod gąsienice. Z wnętrza buchnął gęsty dym, rura z przeciągłym chrypieniem wypluła ogromny język płomieni, po czym czołg zasnuły chmury pyłu. Na minutę strzelanina ucichła. Na grzbiecie wydmy, w odległości trzystu metrów, wyrzusił się grzyb dymu i pyłu.

Feliks znowu klepnął Jurę w kaptur. Jura podał mu natychmiast jeden po drugim dwa granaty i obejrzał się na czołg Kuźmina. W pyle dostrzegł, jak Tropiciele z trudem wyciągają rurę z czołgu. Jura miał wrażenie, że przez trzask wystrzałów i ryk syreny słyszy niezrozumiałe przekleństwa.

Pas dymu, w którym pojawiały się ogniki wybuchów, był coraz bliżej. W końcu Jura zobaczył pijawki. Były podobne do olbrzymich, szaro-żółtych kijanek. Gibkie i zwinne, pomimo swoich rozmiarów i, zapewne, niemałej wagi, szybko wyskakiwały z chmury pyłu, leciały w powietrzu kilkadziesiąt metrów, po czym znów znikły w pyle. Za nimi podskakując na wydmach, mknęły szerokie kwadratowe czołgi i malutkie crawlery. Jura schylił się po granaty, a gdy się wyprostował, pijawki znajdowały się już bardzo blisko,

błyski wystrzałów zniknęły, czołgi zwolniły, na dachy kabin wyskakiwali ludzie, machając rękami. Nagle skądś z lewej strony, mijając maszynę Kuźmina, z potworną prędkością wyleciał czołg i poszedł wzdłuż ściany pyłu, przez największą gęstwę pijawek. Czołg był pusty. W ślad za nim z pyłu wyskoczył drugi taki sam pusty czołg, a za nim trzeci. Potem wszystko zniknęło w nieprzeniknionym, gęstym i żółtym pyłe.

- Przerwać ogień! - zaryczał megafon.

- Za nimi, za nimi! - odezwał się megafon naganiaczy. Pył przykrył wszystko, zapadł mrok.

- Uwaga! - krzyknął Feliks i schylił się.

Nad czołgiem przeleciało długie, ciemne ciało. Feliks wyprostował się i ostro odwrócił raketnicę w stronę Starej Bazy. Syreny niespodziewanie umilkły. Od razu dał się słyszeć grzechot dziesiątków silników, szcęk gąsienic i krzyki. Feliks już nie strzelał. Po cichu przesuwiał broń to w lewo, to w prawo. Po syrenach to przenikliwe skrzypienie wydało się Jurze rajską muzyką. Z pyłu wyłoniło się kilkunastu ludzi z karabinami. Podbiegli do czołgu i pospiesznie wdrapali się przez burty.

- Co się stało? - spytał Żylin.

- Crawler się przewrócił - odpowiedział ktoś szybko. Ktoś drugi zaśmiał się nerwowo i dodał:

- Powoli i metodycznie.

- Kasza - stwierdził trzeci. - Nie umiemy walczyć.

Łoskot motorów zbliżał się stopniowo, obok nich powoli i niepewnie przepędzili dwa czołgi. Za gąsienicą ostatniego ciągnęło się coś bezkształtnego, oblepionego pyłem.

- Hej, syreny już nie wyją! - stwierdził zdumiony głos. Wszyscy się roześmiali i rozgadali.

- Ale pył.

- Jakby się zaczynała jesienna burza.

- Co robimy, Feliksie? Ej, dowódco!

- Czekamy - odrzekł Rybkin. - Pył zaraz opadnie. - I co, uwolniliśmy się od nich?

- Hej, naganiacze, ustrzeliliście jakąś?

- Na kolację starczy - odparł jeden z naganiaczy.

- Ale podłe, w kawernach się schowały.

- Tutaj tylko jedna przeszła. Boją się syren.

Pył powoli opadał. Można już było zobaczyć niezbyt jasną tarczę Słońca i fioletowe niebo. Potem Jura spostrzegł martwą pijawkę - pewnie tę samą, która przeskoczyła przez

czołg. Leżała na zboczu wzgórza, prosta jak pałka, długa, pokryta twardą rudą szczecina, od ogona do głowy rozszerzająca się niczym lej. Jura patrząc na jej paszczę, poczuł, że wstrząsa nim dreszcz wstrętu. Paszcza była doskonale okrągła, półmetrowej średnicy, wysadzona wielkimi, płaskimi trójkątnymi zębami. Jura obejrzał się i zobaczył, że wokół pełno jest czołgów i crawlerów. Ludzie skakali przez burty i powoli szli po zboczu do ruin Starej Bazy. Silniki ucichły. Nad wzgórzem wznosił się szum głosów, słychać było lekki trzask niewiadome jak podpalonego krzewu.

- Idziemy - zarządził Feliks.

Zdjął z obrotnicy raketnicę i wyszedł z czołgu. Jura ruszył za nim, ale Żylin złapał go za rękaw.

- Spokojnie - powiedział. - Pójdiesz ze mną.

Wydostali się z czołgu i zaczęli wchodzić na wzgórze za Feliksem. Feliks skierował się w stronę wielkiej grupy ludzi, stojących pięć metrów poniżej ruin. Ludzie obstąpili kawernę, głęboką czarną jaskinię, schodzącą pod ruiny. Przed wejściem, z rękami na biodrach, stał człowiek z karabinem na szyi.

- I dużo ich tam... p-przeniknęło?

- Dwie pijawki na pewno - odpowiedziano z tłumy. - A może więcej.

- Jurkowski! - zawołał Żylin.

- Jak mogliście ich... n-nie zatrzymać? - spytał z pretensją Jurkowski.

- Nie zechciały się... z-zatrzymać - wyjaśnili w tłumie. Jurkowski rzekł pogardliwie:

- Trzeba je było... z-zatrzymać! - zdjął karabin. - Pójdę zobaczyć.

Nikt nie zdążył zareagować, gdy Jurkowski nachylił się i niespodziewanie zręcznie skoczył w ciemność. W ślad za nim jak cień wśliznął się Feliks. Tym razem Jura nie zastanawiał się długo. Rzekł tylko: Pozwólcie, towarzyszu - i odebrał karabin sąsiadowi. Oszołomiony sąsiad nie protestował.

- Ty dokąd? - zdumiał się Feliks, zatrzymując się na progu jaskini. Jura zdecydowanie podszedł do kawerny.

- Nie, nie - powiedział szybko Żylin. - Nie wolno ci. Jura pochylił głowę, i ruszył na niego.

- Powiedziałem, nie wolno! - krzyknął Żylin i pchnął go w pierś tak, że Jura usiadł, wzbijając tuman pyłu. W tłumie zachichotali. Obok nich przebiegali Tropiciele, jeden za drugim kryjąc się w jaskini.

Jura zerwał się na równe nogi. Był wściekły.

- Puśćcie mnie! - krzyknął. Rzucił się do przodu i wpadł na Żylinę jak na ścianę.

- Jurik, wybacz, naprawdę nie możesz tam wejść - powiedział Żylin prosząco.

Jura rwał się w milczeniu.

- Co się ciskasz? Przecież widzisz, że ja też zostałem. W jaskini rozległy się stłumione wystrzały.

- No widzisz, poradzili sobie bez nas.

Jura zacisnął zęby i odszedł na bok. W milczeniu wsunął karabin naganiaczowi, który zdążył już ochłonąć, i stanął w tłumie. Miał wrażenie, że wszyscy na niego patrzą. Co za wstyd, co za wstyd, myślał. Jakby go za uszy wytargali. Żeby jeszcze w cztery oczy, w końcu Żylin, to Żylin. Ale nie przy wszystkich... Przypomniał sobie, jak dziesięć lat temu wszedł do pokoju starszego brata i pokolorował mu kredkami wykres. Chciał dobrze... I starszy brat wyprowadził go za ucho na dwór. Co to był za wstyd!

- Nie gniewaj się, Jurik - tłumaczył Żylin. - Ja niechący. Zupełnie zapomniałem, że tu jest mniejsze przyciąganie.

Jura milczał uparcie.

- Nie bój się - ciągnął Żylin łagodnym tonem, poprawiając Jurze kaptur. - Nic mu się nie stanie. Przecież obok niego jest Feliks, Tropiciele... Też w pierwszej chwili pomyślałem, że stary przepadł, ale potem dzięki tobie się opamiętałem...

Żylin coś jeszcze mówił, ale Jura nie słyszał już ani słowa. Już lepiej, żeby mnie wytargał za uszy, myślał z rozpaczą. Żeby mnie publicznie strzelił w twarz. Gówniarz, smarkacz, parszywy egoista! Dobrze Iwan zrobił, że mnie stuknął. Tylko za słabo. Jura aż zasyczał przez zęby, tak mu było wstyd. Iwan martwił się i o mnie, i o Jurkowskiego, i jest pewien, że ja też się martwiłem o niego i o Jurkowskiego... A ja?... To, że Jurkowski skoczył do jaskini, uznałem za zezwolenie na heroiczne czyny. Nawet do głowy mi nie przyszło, że Jurkowskiemu grozi niebezpieczeństwo. Idiota, zachciało mi się walki z pijawkami, sławy... Dobrze chociaż, że Iwan o tym nie wie.

- Uwaga! - usłyszał z tyłu.

Jura odruchowo odsunął się na bok. Przez tłum do jaskini podjechał crawler, ciągnący za sobą przyczepę z ogromnym srebrzystym bakiem. Od baku ciągnął się metalowy wąż z dziwną długą końcówką. Końcówkę trzymał pod pachą człowiek na przednim siedzeniu.

- Tutaj? - spytał rzeczowo i nie czekając na odpowiedź, wycelował końcówką w stronę pieczary. - Podprowadź go bliżej - zwrócił się do kierowcy. - No, chłopaki, odsuniecie się - powiedział do tłumu. - Dalej, jeszcze dalej. Odejdźcie, do was mówię! - krzyknął do Jury.

Wycelował końcówką w czarną dziurę jaskini, ale w tym momencie na progu pojawił się jeden z Tropicieli. - Co jest? - spytał. Człowiek z węzem usiadł.

- Jak rany - zdziwił się. - Co wy tam robicie?

- Chłopaki, to przecież miotacz płomieni! - domyślił się ktoś w tłumie.

Człowiek z miotaczem podrapał się pod kapturem.

- Przecież tak nie można - zaprotestował. - Trzeba było uprzedzić. Pod ziemią zaczęli strzelać z taką zaciętością, że Jura miał wrażenie, iż z jaskini lecą strzepy.

- Po co to? - spytał człowiek.

- To Jurkowski - odpowiedziano z tłumu.

- Jaki Jurkowski? - zdumiał się człowiek. - Syn?

- Nie, par.

Z jaskini kolejno wyszło jeszcze trzech Tropicieli. Jeden z nich na widok miotacza powiedział:

- Bardzo dobrze. Zaraz wszyscy wyjdą i wtedy im damy. Ostatni wyszli Feliks i Jurkowski. Jurkowski mówił zdyszany:

- A więc ta wieża nad nami... p-powinna być czymś w rodzaju stacji pomp wodnych. Bardzo... p-prawdopodobne! Zuch z was, Feliksie. - Zobaczywszy miotacz płomieni, zatrzymał się. - Aa, miotacz! Cóż... m-można. Możecie działać. - Skinął łaskawie człowiekowi z miotaczem.

Człowiek ożywił się, zeskoczył z siedzenia i podszedł do progu pieczary, wlokąc za sobą wąż. Tłum cofnął się. Jeden Jurkowski stał nadal obok człowieka z miotaczem, trzymając się pod boki.

- Gromodzierzca, co? - powiedział Żylin tuż nad uchem Jury. Człowiek z miotaczem wycelował. Jurkowski nagle wziął go za rękę.

- Chwileczkę. A właściwie... p-po co to? Żywe pijawki już dawno są... m-martwe, a martwe... p-przydadzą się biologom. Mam rację?

- Zeus - skomentował Żylin.

Jura tylko wzruszył ramionami. Było mu wstyd.

Pieńków dopił kawą jednym haustem, westchnął i powiedział w zadumie:

- Wypić jeszcze jedną filiżanką, czy nie wypić?

- Daj, naleją ci - zaproponował Marti.

- A ja chcę, żeby Natasza - rzekł Pieńków.

Natasza nalała mu kawy. Za oknem była czarna krystalicznie jasna noc, jakie bywają u schyłku lata, tuż przed jesiennymi burzami. W kącie stołowego leżała sterta futrzanych kurtek, akumulatorowych pasów, untów, karabinów. Nad drzwiami warsztatu przytulnie cykał elektroniczny zegar.

- W końcu nie wiem, wybiliśmy te pijawki, czy nie? - powiedział Matti.

Sierioża oderwał się od książki.

- Komunikat sztabu generalnego - poinformował. - Na polu bitwy zostało szesnaście pijawek, jeden czołg i trzy crawlery. Według niesprawdzonych danych, jeszcze jeden czołg ugrzązał na solniskach na samym początku obławy. Na razie nie udało się go stamtąd ściągnąć.

- To wiem - oznajmił Matti. - Mnie interesuje, czy mogą teraz nocą iść do Ciepłego Syrtu?

- Możesz - stwierdził Pieńków. - Ale weź karabin - dodał po namyśle.

- Jasne. - Głos Mattiego ociekał złośliwością.

- A właściwie po co chcesz chodzić nocą na Ciepły Syrt? Matti spojrzał na niego.

- Powiem ci - rzekł serdecznie. - Wyobraź sobie, że przyszła pora, aby towarzyszyć Biały, Siergiej Aleksandrowicz, wyszedł na obserwację. Trzecia w nocy, a towarzysza Białego, sami rozumiecie, w obserwatorium nie ma. Idą wiać na Ciepły Syrt, na centralną stacją meteorologiczną, wchodzą na pierwsze piętro...

- Laboratorium Osiem - dodał Pieńków.

- Zrozumiałem - rzekł Siergiej.

- Dlaczego ja nic nie wiem? - spytała Natasza urażona. - Dlaczego mnie nikt nigdy nic nie mówi?

- Coś Rybkina długo nie ma - zadumał się Siergiej.

- Rzeczywiście - rzucił Pieńków znacząco.

- Już północ się zbliża - oświadczył Matti. - A Rybkina ciągle nie ma.

- Jak ja mam was dosyć... - Natasza westchnęła. W korytarzu brząknęły drzwi służby.

- Zaraz Rybkin przyjdzie, on się z nas pośmieje - odezwał się Pieńków.

Do drzwi stołowego zastukano.

- Wejdźcie - powiedziała Natasza, gromiąc chłopaków wzrokiem.

Wszedł Rybkin, akuraty, w czystym kombinezonie, śnieżnobiałej koszuli i gładko ogolony.

- Można? - spytał cicho.

- Wejdziesz, Feliksie - zaprosił go Matti i nalał kawy do przygotowanej wcześniej filiżanki.

- Trochę się dzisiaj spóźniłem - tłumaczył się Feliks. - Było zebranie u dyrektora.

Wszyscy popatrzyli na niego wyczekująco.

- Przede wszystkim mówiono o fabryce regeneracyjnej. Jurkowski polecił przerwać na dwa miesiące badania naukowe. Wszyscy naukowcy zostaną zmobilizowani do warsztatów i na budowę.

- Wszyscy? - spytał Siergiej.

- Wszyscy. Nawet Tropiciele. Jutro wydadzą oficjalny rozkaz.

- Diabli wzięli mój program. - W głosie Pieńkova brzmiało znużenie. - Dlaczego ta nasza administracja nie może zorganizować pracy?

- Milcz, Wołodia! Nic nie wiesz!... - rozgniewała się Natasza.

- Tak - powiedział Siergiej w zadumie. - Słyszałem, że mamy problemy z wodą. A co jeszcze było na zebraniu?

- Jurkowski wygłosił przemówienie. Że za bardzo lubimy żyć według rozkładu, uwielbiamy wygrzane miejsca, że w ciągu trzydziestu lat zdążyliśmy stworzyć... jak to on powiedział: nudne i skomplikowane tradycje. Że wygładziła się nam fałda mózgu odpowiedzialna za ciekawość i tylko tym można wytłumaczyć anegdotyczną sytuacją ze Starą Bazą. Generalnie mówił mniej więcej to, co ty, Siergiej, zeszłej dekady, pamiętasz? O tym, że dookoła tajemnice, a my drepczemy w jednym miejscu... Bardzo gorące przemówienie i pewnie bez przygotowania. Potem pochwalił nas za obławę, Powiedział, że przyjechał nas do niej popchnąć i bardzo się cieszy, że sarni się na nią zdecydowaliśmy... Potem wystąpił Puczko i zażądał głowy Liwanowa. Powiedział, że już on mu pokaże powoli i metodycznie...

- A co? - spytał Pieńków.

- Czołgi są poważnie pokieraszowane. Za dwa miesiące naszą grupę, przenoszą na Starą Bazę, więc będziemy sąsiadami...

- Jurkowski wyjeżdża? - zainteresował się Matti.

- Tak, dzisiaj w nocy.

- Ciekawe - zastanawiał się Pieńków - po co on wozi ze sobą tego spawacza?

- Do spawania obrotnic - odparł Matti. - Mówią, że zamierza przeprowadzić jeszcze kilka obław na asteroidach.

- Miałem taki incydent z Jurkowskim - powiedział Siergiej. - Jeszcze w instytucie. Podczas zaliczania kursu planetologii teoretycznej wygonił mnie w bardzo oryginalny sposób. Dajcie, mówi, towarzyszu Biały, wasz indeks i otwórzcie, proszę, drzwi. Zdziwiony podchodzę do drzwi i otwieram je, a on wyrzuca mój indeks na korytarz i mówi: Wróćcie za miesiąc.

- I co? - dociekał Pieńków. - I poszedłem.

- A co on tak? - pytał Pieńków z niezadowoleniem.

- Młody wtedy byłem - przyznał Siergiej. - Bezczelny.

- Teraz też jesteś dobry - zauważyła Natasza.

- To co, wybiliśmy w końcu te pijawki, czy nie? - powtórzył Matti. Wszyscy popatrzyli na Feliksa.

- Trudno powiedzieć - rzekł Feliks. - Zabito szesnaście sztuk, a przewidywaliśmy, że jest ich co najwyżej dziesięć. Ale praktycznie chyba wybiliśmy.

- Przeszedłeś z karabinem? - chciał wiedzieć Matti. Feliks skinął głową.

- No to jasne - odrzekł Matti.

- To prawda, że Jurkowskiego omal nie spalili miotaczem płomieni? - spytała Natasza.

- A mnie razem z nim - odpowiedział Feliks. - Zeszliśmy do kawerny, a oni nie wiedzieli, że tam jesteśmy. Od tej kawerny zaczniemy pracę za dwa miesiące. Tam chyba zostały resztki wodociągu. Bardzo dziwna sprawa - nie okrągłe rury, lecz owalne.

- Ciągłe liczysz na wyprostowanych dwunożnych? - zaciekawiał się Siergiej.

Feliks pokręcił głową.

- Nie, tu ich pewnie nie znajdziemy.

- Gdzie - tu?

- Przy wodzie.

- Nie rozumiem - zdumiał się Pieńków. - Przeciwnie! Jeśli nie tną ich przy wodzie, to znaczy, że nie ma ich nigdzie.

- Nie, nie, nie - zaprotestowała Natasza. - Chyba wiem, w czym rzecz. U nas, na Ziemi, Marsjanie zaczęliby szukać ludzi na pustyni. To naturalne. Jak najdalej od jadowitej zieleni, od przestrzeni zasłoniętych chmurami. Szukaliby na Gobi. Tak, Feliksie? Chciałam powiedzieć, że ja też tak myślę.

- To znaczy, że powinniśmy szukać Marsjan na pustyni? - zastanawiał się Pieńków. - Ładne rzeczy! Po co im w takim razie wodociągi?

- Może to nie wodociągi - odparł Feliks. - Tylko wodoodociągi - coś w rodzaju naszych kanałów drenażowych.

- Moim zdaniem, to przesada - powiedział Siergiej. - Już raczej żyją w podziemnych pustkowiach. To znaczy, nie wiem dlaczego właściwie raczej, ale wszystko jedno - to, co mówisz, jest zbyt śmiałe... nienormalnie śmiałe.

- Inaczej nie można - odparł Feliks cicho.

- Rany koguta! - zawołał Pieńków, wstając od stołu. - Przecież na mnie pora!

Podszedł do sterty futrzanych ubrań.

- Na mnie też - przyznała Natasza. - I na mnie - dodał Siergiej.

Matti wziął się za sprzątanie ze stołu. Feliks podwinął rękawy i zaczął mu pomagać.

- Powiesz teraz, po co ci tyle zegarków? - spytał Matti, zerkając na jego nadgarstki.

- Zapomniałem zdjąć - wymamrotał Feliks. - Teraz zapewne już po nic.

Sprawnie mył talerze.

- A kiedy były po coś?

- Sprawdzalem pewną hipotezę - tłumaczył cicho Rybkin. -Dlaczego pijawki atakują zawsze z prawej strony. Był tylko jeden przypadek, że pijawka zaatakowała z lewej - na Karicera, który był leworęczny i nosił zegarek na prawej ręce.

Matti wytrzeszczył oczy na Feliksa.

- Myślisz, że pijawki bały się cykania?

- To właśnie chciałem sprawdzić. Na mnie osobiście pijawki nie napadły ani razu, a przecież chodziłem po bardzo niebezpiecznych miejscach.

- Dziwny z ciebie człowiek, Feliksie - powiedział Matti, wracając do zmywania.

Do stołowego weszła Natasza i wesoło zapytała:

- Feliksie, idziecie? Pójdziemy razem.

- Idę - powiedział Rybkin i skierował się do przedpokoju, po drodze odwijając rękawy.

7. „Tachmasib”. Pożytek z instrukcji.

Żylin czytał przy stole. Jego oczy szybko przesuwały się po stronach, od czasu do czasu połyskując w błękitnym świetle stojącej na blacie lampy. Przez jakiś czas Jura obserwował Żylina, nagle przyłapał się na tym, że patrzy na niego z przyjemnością. Iwan miał śniadą twarz, o mocnych rysach, wyrazistą niczym grawiura. Prawdziwie męską twarz prawdziwego człowieka. Dobry człowiek z tego Wani Żylina. Możesz przyjść do niego o każdej porze dnia, siedzieć i gadać, co ślina na język przeniesie, i nigdy mu nie przeszkadzasz. I zawsze cieszy się na twój widok. Dobrze, że są na świecie tacy ludzie. Na przykład Żeńka Segal. Z nim można iść na każde ryzyko i dokładnie wiadomo, że nie trzeba go będzie poganiać, że sam będzie człowieka poganiał. Jura wyobraził sobie Żenkę na Rhei, jak razem z chłopakami spawa szczelinowe konstrukcje w czarnej pustce. Biały ogień oksytanu tańczy na krzemianowym fartuchu, a on ryczy piosenki na cały eter, przytrzymując łokciami butlę mieszanki, która zawsze wisi mu na piersi, a nie na plecach, jak każe instrukcja. Tak mu wygodniej i koniec, nie przekonasz go. Czasem tylko, gdy ktoś z butlą na plecach przegoni go na bezwładnościowej spoinie, na osiowym styku albo na narożnej rozpórce bez liny, wtedy spojrzy spode łba i przerzuci butlę na plecy, a i to nie zawsze. Wszelkie instrukcje ma gdzieś. Instrukcja jest dla tych, którzy jeszcze nie umieją. Za to słuchu nie ma za grosz. Fałszuje straszliwie. Ale to nawet dobrze, bo jak tu żyć z człowiekiem, do którego o nic nie można się przyczepić? Porządny człowiek powinien mieć jakąś dziurkę w umiejętnościach, a najlepiej kilka dziurek. Dopiero wtedy jest z niego fajny gość i wiesz na pewno, że to nie jakiś tam pearl. Na przykład Żeńka - wystarczy, żeby zaśpiewał i od razu wiadomo, że jest w porządku.

- Wania - spytał Jura - czy wy macie słuch?

- Coś ty, chłopie - odparł Żylin, nie odrywając się od książki. - Za kogo ty mnie masz?

- Tak właśnie myślałem - powiedział usatysfakcjonowany Jura. - A co czytacie?

Żylin podniósł głowę, przez chwilę patrzył na Jurę, po czym powiedział powoli:

- Zasady sanitarnej dyscypliny dla lejbusarów Jego Imperatorskiej Wysokości.

Jura parsknął. Zrozumiał, że Iwan nie chce powiedzieć, co to za książka. Cóż, jego sprawa...

- Udało mi się dzisiaj wreszcie skończyć Fizykę metali - powiedział Jura. - Co za nuda. Jak można pisać książki w taki sposób? Aleksiej Pietrowicz trochę mnie

przeegzaminował. - Ostatnie słowo Jura wymówił ze szczególnym wstrętem. - I przez cały czas się czepiał. Nie wiecie, Wania, dlaczego on się mnie ciągle czepia?

Żylin zamknął książkę i schował ją do biurka.

- Wydaje ci się - odparł. - Kapitan Bykow nigdy się nie czepia. On tylko wymaga tego, czego należy wymagać. Nasz kapitan to bardzo sprawiedliwy człowiek.

Przez kilka minut Jura zastanawiał się, czy uczciwie będzie powiedzieć to, co chce powiedzieć. Nie zaryzykowałby mówienia tego Bykowowi w oczy; a poza oczy nieładnie... Ale tak bardzo chciałoby się powiedzieć...

- Wania, jakich ludzi nie lubicie najbardziej? Żylin natychmiast udzielił mu odpowiedzi:

- Tych, którzy nie zadają pytań. Są tacy pewni siebie...

Zmrużył oczy, popatrzył na Jurę, chwycił ołówek i szybko narysował jego portret. Stażysta Borodin, bardzo podobny, siedzi skrzywiony nad Fizyką metali.

- A ja nie lubię nudnych - oznajmił Jura, oglądając rysunek. - Mogę go wziąć? Dziękuję... Bardzo nie lubię nudnych. Mają takie nudne, przykre życie. W pracy coś piszą albo coś liczą na maszynach, których nie wymyślili, a sami nawet nie próbują czegoś wymyślić. Nawet im to do głowy nie przyjdzie. Wszystko robią tak, jak inni. Te ich rozważania! - Te buty są ładne i mocne, a te nie, nie umiem u nas w Wiaźmie robić porządnych mebli, trzeba będzie z Moskwy zamówić, o tej książce mówią, że ją trzeba przeczytać, może jutro pójdziemy na grzyby, podobno dużo w tym roku grzybów. Mnie by na te grzyby końmi nie zaciągnęli!

Żylin słuchał w zadumie, starannie rysując na papierze ogromną całość od zera do nieskończoności.

- Zawsze mają mnóstwo wolnego czasu - ciągnął Jura - i nigdy nie wiedzą, co z nim robić. Jeżdżą samochodami swoją głupią ogromną kompanią i przykro patrzeć, jak głupio to robią. Najpierw idą na grzyby, potem do kawiarni i jedzą - ot tak, z nudów - potem zaczynają ścigać się na szosach, ale tylko na tych najlepszych, gdzie jest bezpiecznie i automaty remontowe pod ręką, i motele, i wszystko, co chcesz. Potem zbierają się na jakiejś dacy i tam znowu nic nie robią - nawet nie rozmawiają. Przebierają te swoje parszywe grzyby i patrzą, że to kozłarz, a to kozłarz czerwony. A jak zaczną dyskutować o czymś konkretnym, to ratuj się, kto może. Dlaczego, uważacie, nie puszczają ich w kosmos. A jak się zapytać, po co im to - nie odpowiedzą z sensem, mamrocą tylko coś o swoich prawach. Bardzo lubią mówić o swoich prawach. Ale najbardziej przykre jest to, że zawsze mają ogromnie dużo

czasu i wciąż go zabijają. Ja tu, na „Tachmasibie”, nie wiem, co ze sobą zrobić, chciałbym jak najszybciej zacząć pracować, a oni czuliby się tu jak ryby w wodzie...

Jura stracił wątek i zamilkł. Żylin przez cały czas rysował swoją całość.

- Jaki to ma związek z kapitanem Bykowem? - spytał ze smutkiem.

Jura przypomniał sobie, od czego zaczął.

- Aleksiej Pietrowicz... - wymamrotał niepewnie - jest... taki... nudnawy...

Żylin skinął głową.

- Tak właśnie myślałem - rzekł. - Ale mylisz się, przyjacielu, wsadzając do jednego worka Bykowa i miłośników bezpiecznych szos...

- Nie to miałem na myśli...

- Rozumiem cię. Więc tak. Bykow lubi swoją pracę - to raz. Nie myśli o sobie w jakimś innym charakterze - dwa. A poza tym, przecież Aleksiej Pietrowicz pracuje nawet wtedy, gdy czyta gazety i drzemie w swoim fotelu. Nigdy o tym nie myślałeś?

- Niee...

- Szkoda. Wiesz, na czym polega praca Bykowa? Być zawsze w pogotowiu. To bardzo złożona praca. Ciężka, wyczerpująca. Trzeba być Bykowem, żeby to wszystko wytrzymać. Żeby przywyknąć do prawdziwego napięcia, do stanu nieprzerwanej gotowości. Nie rozumiesz?

- Nie wiem... Jeśli to naprawdę tak...

- Naprawdę tak. To żołnierz kosmosu. Jemu można tylko pozazdrościć, Jureczka, bo znalazł to, co najważniejsze - w sobie i w świecie. Jest potrzebny, niezbędny, nie do zastąpienia. Rozumiesz?

Jura niepewnie kiwał głową. Zobaczył oglądany do znudzenia obraz - słynny kapitan w kapciach i pasiastych skarpetach w pozie mieszczanina w swoim ulubionym fotelu.

- Wiem, że jesteś pod wrażeniem Władimira Siergiejewicza. Cóż, to zrozumiałe. Z jednej strony Jurkowski, który sądzi, że życie to dość monotonna krzątanina z dość nudnymi sprawami i trzeba korzystać z każdej okazji, żeby zapłonąć pełnym blaskiem. Z drugiej Bykow, który uważa prawdziwe życie za nieustanne napięcie, nie uznaje żadnych przypadków, dlatego że jest przygotowany na każdy przypadek i żaden nie będzie dla niego zaskoczeniem... Jest jeszcze trzecia strona. Wyobraź sobie, Jura - przy tych słowach Żylin położył dłonie na stole i odchylił się na oparcie fotela - ogromny gmach ludzkiej kultury: wszystko, co człowiek stworzył sam, wyrwał przyrodzie, przemyślał i zrobił na nowo, tak jak przyroda nie mogła. Wspaniały, majestatyczny gmach! Budują go ludzie, którzy znają swoją pracę i kochają ją. Na przykład Jurkowski, Bykow... Ci ludzie to na razie mniejszość.

Większość to ci, na których gmach się opiera. Tak zwani mali ludzie. Zwyczajni, uczciwi ludzie, którzy może nawet nie wiedzą, co lubią, a czego nie. Po prostu uczciwie pracują tam, gdzie postawiło ich życie. Ale to oni na swoich barkach podtrzymują pałac Myśli i Ducha. Od dziewiątej do piętnastej, a potem jadana grzyby... - Żylin zamilkł. - Oczywiście, chciałoby się, żeby każdy i trzymał, i budował. Bardzo by się chciało. I kiedyś tak będzie. Ale na to potrzeba czasu. I siły. Coś takiego trzeba będzie stworzyć.

Żylin splótł dłonie na karku.

- Przypomniała mi się pewna historia - powiedział. Patrzył prosto na lampę, jego źrenice wyglądały jak łepki od szpilek. - Miałem takiego kolegę, nazywał się Tola, chodziliśmy razem do szkoły. Zawsze był niepozorny, grzebał się w jakichś drobiazgach, majstrował Jakies zeszyciki, kleił pudełka. Bardzo lubił oprawiać stare, zaczytane książki. Był tak dobroduszny, że nie rozumiał złośliwych dowcipów. Przyjmował je dziwnie, wtedy nawet uważaliśmy, że dziko. Wpuściliśmy mu do łóżka traszkę, a on ją wyciągnął, położył na dłoni i długo jej się przyglądał. A potem powiedział półgłosem: Biedaczka i zaniósł do stawu. Gdy dorósł, został statystykiem. Praca, Jak wiadomo, spokojna i wtedy uważaliśmy, że nasz Tola dobrze trafił, że do niczego innego i tak się nie nadaje. Pracował uczciwie, bez pasji, ale sumiennie. My lataliśmy na Jowisza, podnosiliśmy wieczną zmarzlinę, budowaliśmy nowe fabryki, a on siedział w swoim urzędzie i liczył na maszynach, których nie wymyślił. Wzorcowy malutki człowiek. Tylko go wata obłożyć, zanieść do muzeum pod klosz i opatrzyć odpowiednim napisem: „Typowy samowystarczalny człowieczek końca dwudziestego wieku”. Potem umarł. Zaniedbał jakąś drobną dolegliwość, bo bał się operacji, i umarł. Tak się czasem zdarza malutkim ludziom, chociaż nigdy o tym nie piszą w gazetach. Żylin zamilkł, jakby się czemuś przysłuchiwał. Jura czekał.

- To było w Karelii, na brzegu leśnego jeziora. Jego łóżko stało na oszklonej werandzie. Siedziałem przy nim i widziałem jego nieogoloną, ciemną, martwą twarz... i ogromną ołowianą chmurę ponad lasem, po tamtej stronie jeziora. Lekarz powiedział: Umarł. I wtedy uderzył piorun i rozpętała się taka burza, jakie są rzadkością nawet na południowych morzach. Wiatr łamał drzewa i rzucał je na mokre różowe skały, drzewa rozpryskiwały się na drzazgi, ale ich trzasku nie było słychać w ryku wiatru. Jezioro ścianą szło na brzeg, i w tę ścianę waliły niezwykle na północy jasne błyskawice. Z domów zrywało dachy. Wszędzie zatrzymały się zegary - nikt nie wie, dlaczego. Zwierzęta umierały z rozerwanymi płucami. To była wściekła, zwierzęca burza, jakby cała natura stanęła dęba. A on leżał cichy, zwyczajny i, jak zawsze, jego to nie dotyczyło. - Żylin znowu zaczął nasłuchiwać. - Ja, Jurik, jestem człowiekiem spokojnym, nie boję się byle czego, ale wtedy poczułem strach. Nagle

pomyślałem: Więc taki byłeś, nasz malutki, nudny Toliku. Cichy i niepozorny, sam tego nie podejrzewając trzymałeś na barkach równowagę świata. Umarłeś - równowaga runęła i świat stanął dęba. Gdyby wtedy ktoś krzyknął, że Ziemia zerwała się z orbity i pędzi w stronę Słońca, tylko bym kiwnął głową. I jeszcze wtedy pomyślałem... - Żylin zamilkł. - Pomyślałem wtedy: dlaczego on był taki nudny, taki malutki? Naprawdę był bardzo nudnym człowiekiem, Jura. Bardzo. Gdyby ta burza szalała na jego oczach, pewnie by wykrzyknął: Ach! Moje klapki! Moje klapki schną na ganku! I pobiegłby ratować klapki. Dlaczego stał się taki?

Żylin zamilkł i popatrzył surowo na Jurę.

- Sam był sobie winien... - powiedział nieśmiało Jura.

- Nieprawda. Nikt nigdy nie jest sam winien. To ludzie sprawiają, że jesteśmy, jacy jesteśmy. W tym cała rzecz. I jakże często nie płacimy tego długu... Prawie nigdy. A przecież nie ma nic ważniejszego. To jest najważniejsze. Teraz. Wcześniej najważniejszą rzeczą było dać człowiekowi wolność, by mógł być tym, kim chce być. A teraz najważniejsze, to pokazać człowiekowi, jakim trzeba się stać, by być po ludzku szczęśliwym. To jest teraz najważniejsze. - Żylin popatrzył na Jurę i nagle zapytał: - Prawda?

- Chyba tak - odparł Jura. To wszystko było słuszne, ale obce. Nie poruszało go. Ta sprawa wydawała mu się beznadziejna albo nudna.

Żylin siedział, nasłuchując w napięciu. Jego oczy znieruchomiały.

- Co się stało? - spytał Jura.

- Cicho! - Żylin wstał. - Dziwne - dodał. Nadal nasłuchiwał. Jura nagle poczuł, jak podłoga leciutko drgnęła pod ich nogami

i w tym samym momencie przenikliwie zawyła syrena. Zerwał się i rzucił się do drzwi. Żylin złapał go za ramię.

- Spokojnie - rzekł. - Swoje miejsce według instrukcji pamiętasz?

- Tak - odpowiedział Jura i wstrzymał oddech.

- Obowiązki też? - Żylin puścił go. - Marsz! Jura rzucił się na korytarz.

Szedł do przedziału próżniowego, gdzie zgodnie z awaryjną instrukcją miał się znaleźć, szedł szybko, przez cały czas powstrzymując się, żeby nie biec. Stażysta powinien być spokojny, opanowany i zawsze gotów. Ale gdy słyszysz przenikliwe, groźne wycie, gdy statek dygocze niczym ranny, któremu ktoś niezdarnie grzebie palcami w ranie, gdy nie do końca rozumiesz, co masz robić, i zupełnie nie wiesz, co się dzieje... W końcu korytarza rozbłysły czerwone lampki. Jura nie wytrzymał i puścił się biegiem.

Odsunął ciężkie drzwi i wpadł prosto do szarego pomieszczenia, gdzie wzdłuż ścian stały szklane zasłony boksów ze skafandrami próżniowymi. Trzeba było podnieść wszystkie zasłony, sprawdzić skafandry, ciśnienie w butlach, zasilanie, przesunąć zamocowanie każdego skafandra w położenie awaryjne i zrobić coś jeszcze... Potem należało włożyć skafander i z odchylnym hełmem czekać na dalsze rozporządzenia.

Jura wykonywał to wszystko dość szybko i, jak mu się wydawało, sensownie, chociaż drżały mu palce. Czuł napięcie całego ciała, silne i nieprzyjemne, podobne do nieustępnego skurczu. Syrena umilkła, zapanowała złowieszczą cisza. Jura skończył z ostatnim skafandrem i rozejrzał się. W boksach pod podciągniętymi zasłonami paliło się silne, błękitne światło, błyszcząły ogromne skafandry z rozłożonymi rękawami, przypominające okaleczone bezgłowe posągi. Jura wyciągnął i włożył swój skafander. Skafander był sztywny i trochę za duży, było w nim niewygodnie, zupełnie inaczej niż w miękkim skafandrze spawacza. A w tym od razu zrobiło mu się gorąco. Jura włączył odsysacz potu, potem ciężko przestawiając nogi usztywnione grubymi nogawkami, szcękając metalem o metal, podszedł do drzwi.

Statek wibrował, było cicho. W korytarzu pod sufitem płonęły czerwone awaryjne światła. Jura przycisnął plecy do futryny drzwi i oparł stopę o przeciwną. Zastawił drzwi i teraz tylko przewracając go można było wejść do przedziału. (Dziwnie się czuł, gdy czytał ustęp w instrukcji o ochranianiu przedziału próżniowego podczas alarmu. Przed kim ochraniać? Po co?). Wejść do przedziału w czasie alarmu miał prawo tylko ten człowiek - członek załogi lub pasażer - którego kapitan osobiście poleci przepuścić. W tym celu w futrynie wmontowany był radiofon, przez cały czas pracujący na częstotliwości kapitańskiego radiofonu. Jura popatrzył na radiofon i przypomniał sobie, czego jeszcze nie zrobił. Pospiesznie nacisnął guzik wezwania.

- Słucham - dobiegł go głos Bykowa, jak zawsze skrzypiący i obojętny.

- Stażysta Borodin zajął swój posterunek zgodnie z instrukcją - zameldował Jura.

- Dobrze - powiedział Bykow i natychmiast się wyłączył. Jura popatrzył ze złością na radiofon i powtórzył skrzypiącym głosem: Dobrze. Drewno, pomyślał i wykrzywił się, wysuwając język. Statkiem wstrząsnęło i Jura omal nie przygryzł sobie języka. Obejrzał się wstydliwie. A jeśli wszystkowiedzący i wszystko przewidujący Bykow specjalnie wstrząsnął statkiem, żeby przytrzasnąć język bezczelnemu stażystcie? - pomyślał. Mógł sobie wyobrazić, jak Bykow to robi. Musiał mieć ciężkie życie, pomyślał Jura. Pewnie go łamało i szlifowało, póki nie zdarło z niego łupiny wszelkich emocji, w sumie niepotrzebnych, ale takich, bez których człowiek staje się drewnem. Żylin powiedział kiedyś, że z biegiem lat człowiek

zmienia się tylko pod jednym względem - robi się bardziej cierpliwy. Do Bykowa to nie ma zastosowania...

Statek znowu drgnął i Jura zaparł się mocniej. Co się mogło dzieć? Nie wyglądało to na atak meteorytów, na zderzenie tym bardziej. Miszka Uszakow mówił, że zagrożenie w kosmosie to jak cios szpady - albo umiera się od razu, albo wcale... Tak mówił Miszka Uszakow, który w kosmosie był tylko na praktyce spawania budowlanego, a o kosmosie wypowiadał się w kategoriach opowieści o muszkietierach.

Jurze zdrętwiała noga, zmienił ją. W korytarzu świeciły czerwone światełka. Jura przez cały czas próbował sobie przypomnieć, co mu to przypomina, lecz nie mógł, wiedział tylko, że to coś nieprzyjemnego. Żeby chociaż ktoś przyszedł, pomyślał. Żeby można było spytać, co się stało, czego się spodziewać... Popatrzył na przycisk wezwania. A gdyby tak zwrócić się bezpośrednio do Bykowa: Towarzyszu kapitanie, proszę o wyjaśnienie zadania... Jura nagle wyobraził sobie, ilu stażystów stało tu, spoconych ze zdenerwowania, opierając się nogami o futrynę, strasznie przeżywając i próbując zrozumieć, co się dzieje, i zastanawiając się bez przerwy: Zdążę założyć hełm, czy nie zdążę? Pewnie byli to wspaniali chłopcy, z którymi można by pogadać o sensie życia. Teraz wszyscy są już doświadczeni i mądrzy, siedzą sobie na mostkach, a ich statki mkną w przestrzeni... Od czasu do czasu wibrują dygoczą... Od tych myśli ni z tego, ni z owego przed oczami stanęła mu złana potem i krwią twarz Bykowa, który z czysto ludzką rozpaczą obserwuje znieruchomiałymi oczami coś, czego nie udało się przewidzieć i co nadciąga teraz z nieodwracalną nieuchronnością...

Nagle Jura stracił równowagę i znalazł się na podłodze. Pod niskim sufitem zazgrzytało i zagrzechotało. Jura pospiesznie tłukąc butami w metalową podłogę, przewrócił się na brzuch, po czym wstał i skoczył do drzwi. Stał w poprzedniej pozycji, rozkraczony pomiędzy futrynami.

Teraz „Tachmasib” wibrował bez przerwy, jakby też był przerażony. Jura napiął mięśnie, próbując opanować dygot. Żeby chociaż ktoś przyszedł, żeby można było zrozumieć, co się dzieje, żeby chociaż Bykow wydał jakiś rozkaz... Mama będzie strasznie cierpieć... Jak jej powiedzą? Kto powie? Przecież ona może umrzeć, niedawno przeszła operację, ma chore serce... Nie można jej nic mówić... Jura przygryzł wargi, potem zacisnął zęby. Zabolało, ale dygot nie mijał. No, co się dzieje, jak słowo... Musi natychmiast pójść i się dowiedzieć. Wsunąć głowę na mostek i niedbale rzucić: Jak tam, długo jeszcze? -1 odejść... A może oni już nie żyją? Jura z przerażeniem popatrzył na korytarz, czekając, kiedy zza zakrętu wypełźnie Żylin, popatrzy gasnącymi oczami i opuści głowę na sztywniejącą rękę...

Jura opuścił nogę, oderwał się od futryny i zrobił kilka niepewnych kroków po korytarzu. Po trzęsącej się podłodze, pod czerwonymi światełkami, do windy, na spotkanie temu, który wypełźnie... Zatrzymał się i wrócił do drzwi. Spokojnie, powiedział do siebie i odchrząknął, żeby nie chrypieć. Wyobraźnia lubić płatać figle, ale to figle złe i nieuczciwe. Wyobraźnia to nieprzyjaciel. Znowu mocno zaparł się w futrynę. Więc to tak, pomyślał nagle. Więc tak to jest - czekać i być zawsze gotowym, w kapciach i pasiastych skarpetach, z zesłoroczną gazetką, żeby nikt nie zauważył, nie pomyślał... Nic nie wiedzieć na pewno i zawsze być w pogotowiu...

Wibracja to nasilała się, to słabła. Jura wyobraził sobie „Tachmasiba”: kilometrową konstrukcję tytanowych stopów, przypominającą gigantyczny kielich. Teraz przez ciało statku, od ładowni po krawędź absolutnego zwierciadła falą przechodzą dreszcze wibracji. To nasilają się, to słabną... Nie trzeba być superczułym, żeby zorientować się, o co chodzi. Gdyby tak zawibrował, powiedzmy, oksytanowy czujnik, wszystko byłoby jasne, należy wyregulować sprężarkę albo przynajmniej zmienić tłumik... Jura wyraźnie poczuł, jak statek przechyliła się na bok - to było odczuwalne po nacisku na stopę. „Tachmasib” skręcał, najpierw płynnie, potem zrywami. Od każdego zrywu trzęsła się głowa i wszystko, co było w głowie. Co się dzieje, myślał Jura, zapierając się z całych sił o futrynę. Co się tam u nich dzieje? I wtedy w strasznej głuchoj ciszy rozległy się kroki. Niespieszne, pewne i nieznanym kroki. A może to tylko Jura ich nie poznawał? Patrzył na korytarz, a kroki ciągle się przybliżały. Wtedy zza zakrętu wyłonił się Żylin, w roboczym kombinezonie, z płaską skrzynką testera na piersi. Twarz miał poważną i jakby niezadowoloną, na oczy spadała mu jasna grzywa. Żylin podszedł bardzo blisko, poklepał Jurę po kolanie i powiedział półgłosem:

-Noo...

Chciał wejść do przedziału. Jura otworzył i zamknął usta, ale nogi nie cofnął. To był Żylin, miły, długo oczekiwany Żylin, ale Jura nie cofnął nogi. Spytał:

- Co tam u was?

Chciał to powiedzieć niedbale, ale przy ostatnim słowie przełknął ślinę i zepsuł wrażenie.

- A co tam u nas może być... - odparł niechętnie Żylin. - Przepuście no mnie - zakomunikował - muszę coś wziąć...

Jura miał w głowie kaszę i w tej kaszy jedyną wyraźną rzeczą była tylko instrukcja.

Poczekajcie, Wania - wymamrotał i nacisnął guzik wywołania.

Kapitan nie odpowiadał.

- Jurka - powiedział Żylin. - Co z tobą, bracie? Przepuść mnie, zostawiłem w skafandrze...

- Nie mogę - Jura oblizał wargi. - No przecież nie mogę... Zaraz, jak się kapitan odezwie...

Żylin popatrzył na niego uważnie. - A jeśli się nie odezwie?

- Dlaczego się nie odezwie? - Jura przez chwilę wpatrywał się w Żylina rozszerzonymi oczami, po czym nagle schwycił go za rękaw. - Co się stało?

- Nic się nie stało - Żylin nagle się uśmiechnął. - To jak, nie przepuścisz mnie?

Jura z determinacją pokręcił głową

- Przecież nie wolno, Wania! Musisz mnie zrozumieć... - Od nadmiaru uczuć przeszedł na ty. Chciało mu się płakać, i jednocześnie czuł się wspaniale i spokojnie, wiedział, że za nic w świecie nie przepuści Żylina. - Przecież sam byłeś stażystą.

- Taak. - Żylin patrzył na niego przeciągle. - Przestrzegamy litery i ducha instrukcji, co?

- Nie wiem... - wymamrotał Jura. Zrobiło mu się wstyd, ale wiedział, że nogi nie cofnie. Jeśli rzeczywiście musisz wejść, to nie stój tak, wyzwał w myśli Żylina, lej mnie w szczękę i bierz, co ci potrzeba...

- Kapitan Bykow, słucham - rozległo się z radiofonu. Jura ciągle jeszcze nie mógł zebrać myśli.

- Aleksieju Pietrowiczu - powiedział Żylin do radiofonu - chciałem przejść do przedziału próżniowego, a stażysta mnie nie wpuszcza.

- Po co chcesz tam wejść? - zainteresował się Bykow.

- Zostawiłem „syriusza” zesłym razem... w skafandrze.

- Tak - oznajmił Bykow. - Stażysto Borodin, przepuście inżyniera pokładowego Żylina.

Bykow wyłączył się. Jura z ogromną ulgą cofnął nogę. Dopiero teraz zauważył, że statek już nie wibruje... Żylin popatrzył na niego łagodnie i poklepał po ramieniu.

- Wania, nie gniewajcie się... - wymamrotał Jura.

- Przeciwnie! - zawołał Żylin. - To było wyjątkowo interesujące.

- Mam w głowie taką kaszę...

- To, to. - Żylin stanął przed skafandrami. - Właśnie po to pisze się instrukcje. Niezła rzecz, co?

- Nie wiem. Teraz już nic nie wiem. Co się właściwie stało? Żylin znowu sposepniał.

- A co się mogło u nas stać? - syknął przez zęby. - Sztuczna żywność. Pigułki zamiast bułki. Alarm ćwiczebny, stażysto Borodin, i tyle. Rutynowy, przynajmniej dwa razy w ciągu rejsu. W celu sprawdzenia znajomości instrukcji. Wielka to rzecz - instrukcja! - Wyciągnął ze skafandra biały cylinder grubości palca i ze złością trzasnął zasłoną. - Muszę stąd uciekać, Jura. Uciekać, póki mi nie obrzydło.

Jura westchnął głęboko i popatrzył na korytarz. Czerwone światła już się nie paliły, podłoga nie wibrowała. Jura zobaczył, jak z kajuty wyszedł Jurkowski, popatrzył na Jurę, skinął mu majestatycznie i niespiesznie skrył się za zakretem.

Żylin warknął:

- Ryba szuka, gdzie głębiej, a człowiek - gdzie gorzej. Rozumiesz, Jurka? Tutaj wszystko jest dobre. Szkoleniowe alarmy, zorganizowane awarie. A gdzieś jest gorzej. Znacznie gorzej. Tam właśnie trzeba iść, a nie czekać, aż cię zaciągną... Słuchasz mnie, stażysto? Zgodnie z instrukcją powinieneś mnie słuchać.

- Poczekajcie, Wania - powiedział Jura. - Jeszcze nie ochłonąłem...

8. Eunomia. Kosmogoniści.

- Stażysto Borodin - oznajmił Bykow, składając gazetę. - Pora spać.

Jura wstał, zamknął książkę i po chwili wahania włożył ją do szafki. Nie będę dzisiaj czytał, zdecydował. Trzeba się w końcu kiedyś wyspać.

- Dobranoc - powiedział.

- Dobranoc - odparł Bykow i otworzył kolejną gazetę. Jurkowski nie odrywając się od papierów, niedbale machnął długopisem. Gdy Jura wyszedł, Jurkowski spytał:

- Jak myślisz, Aleksieju, co on jeszcze lubi? - Kto?

- Nasz kadet. Wiem, że lubi i umie spawać próżniowo - widziałem na Marsie. Co jeszcze może lubić?

- Dziewczyny - odrzekł Bykow.

- Nie dziewczyny, tylko dziewczynę. Ma fotografię.

- Nie wiedziałem.

- Można się domyślić. Jak się ma dwadzieścia lat i leci gdzieś daleko, bierze się ze sobą jakąś fotografię, z którą potem nie wiadomo, co robić. W książkach piszą, że należy na nią spoglądać ukradkiem i oczy muszą być przy tym pełne łez albo przynajmniej zasnutę mgiełką. Tylko że na coś takiego nie starcza czasu. Ale wróćmy do naszego stażysty.

Bykow odłożył gazetę, zdjął okulary i popatrzył na Jurkowskiego.

- Zrobiłeś wszystko, co miałeś zrobić?

- Nie - rozżościł się Jurkowski. - Nie zrobiłem i nie mam ochoty o tym rozmawiać. Od tej idiotycznej dłubaniny głowa mi puchnie, chcę się trochę rozerwać. Możesz odpowiedzieć na moje pytanie?

- Na to pytanie najlepiej odpowie ci Iwan - stwierdził Bykow. - Spędzaj ą razem sporo czasu.

- Ponieważ jednak Iwana tu nie ma, pytam ciebie. To chyba jasne?

- Nie denerwuj się tak, Wołodia, wątroba cię rozboli. Nasz stażysta to jeszcze chłopiec. Zdolne ręce, ale nie ma jeszcze konkretnych upodobań, ponieważ niczego nie zna. Aleksego Tołstoja lubi.

I Wellsa. Galsworthy wydaje mu się nudny i Droga nad drogami też. Bardzo lubi Żylina, a nie lubi jednego barmana w Mirza-Charle. To jeszcze mały chłopiec. Pączek.

- W jego wieku - wyznał Jurkowski - bardzo lubiłem pisać wiersze. Marzyłem o tym, żeby zostać pisarzem. A potem gdzieś przeczytałem, że pisarze przypominają nieboszczyków: lubią, gdy mówi się o nich dobrze albo wcale... tak. Ale do czego to ja zmierzałem?

- Nie wiem - odparł Bykow. - Moim zdaniem, po prostu wykręcasz się od pracy.

- Nie, nie, pozwól... Już wiem! Interesuje mnie świat wewnętrzny naszego stażysty.

- Stażysta to stażysta.

- Stażysta stażyście nierówny - sprzeciwił się Jurkowski. - Ty jesteś stażystą, ja też. Wszyscy jesteśmy stażystami w służbie przyszłości. Starzy stażyści i młodzi stażyści. Odbywamy staż przez całe życie, każdy po swojemu. A gdy umieramy, potomkowie oceniają naszą pracę i wydają nam dyplom na życie wieczne.

- Albo nie wydają - zadumał się Bykow, patrząc w sufit. - Zazwyczaj, niestety, nie wydają.

- Cóż, nasza wina, ale nie nasza bieda. A właśnie, wiesz, kto zawsze dostaje dyplom?

- No?

- Ci, którzy wychowują zmianę. Tacy jak Krajuchin.

- Być może - zgodził się z nim Bykow. - I co ciekawe: ci ludzie, w odróżnieniu od innych, w ogóle nie myślą o dyplomach.

- A szkoda. Zawsze interesowała mnie taka kwestia: czy stajemy się lepsi z pokolenia na pokolenie? Dlatego zacząłem rozmowę o kadecie. Starcy zawsze mówią: Co to za młodzież dzisiaj... My to dopiero byliśmy!

- Tak mówią tylko głupi starcy, Władimir. Krajuchin tak nie mówił.

- Krajuchin nie lubił teorii. Brał młodych, rzucał do pieca i patrzył, co z tego wyjdzie. Jeśli nie płonęli, uważał ich za równych.

- A jeśli płonęli?

- Zazwyczaj jednak nie.

- Oto odpowiedź na twoje pytanie - rzekł Bykow i znowu sięgnął po gazetę. - Stażysta Borodin jest teraz w drodze do pieca, w piecu zapewne nie spłonie, a gdy spotkacie się za dziesięć lat nazwie cię starą piasecznicą, a ty, jako człowiek uczciwy, przyznasz mu rację.

- Za pozwoleniem - zaprotestował Jurkowski. - Przecież na nas też spoczywa jakaś odpowiedzialność. Chłopca należy czegoś nauczyć!

- Życie go nauczy - rzucił Bykow zza gazety.

Do mesy wszedł Michaił Antonowicz w piżamie, kapciach na bosych stopach, z dużym termosem w ręku.

- Dobry wieczór, chłopcy - pozdrowił ich. - Nagle nabrałem ochoty na herbatę.

- Jak herbata to herbata - odrzekł Jurkowski i zaczął zbierać swoje papiery.

Kapitan i nawigator nakryli stół, Michaił Antonowicz nałożył konfitury na spodeczki, a Bykow nalał wszystkim herbaty.

- A gdzie Jurik? - spytał Michaił Antonowicz.

- Śpi - odparł Bykow.

- A Waniusza?

- Na wachcie - odpowiedział cierpliwie Bykow.

- No i dobrze - rzekł Michaił Antonowicz. Napił się herbaty, zmrużył oczy i dodał: - Nigdy się, chłopcy, nie zgadzajcie na pisanie memuarów. Co za przeraźliwie nudne zajęcie!

- Powinieneś więcej wymyślać - poradził Bykow.

- Jak to?

- Jak w powieściach. „Młoda Marsjanka zamknęła oczy. Jej usta były ponętnie uchylone. Objąłem ją namiętnie i długo...”

- „Całą” - dodał Jurkowski. Michaił Antonowicz zarumienił się.

- Ale się zaczerwienił, stary cap - powiedział Jurkowski. - Jak tam, było coś, Misza?

Bykow zaśmiał się i zakrztusił herbatą.

- A! - zawołał Michaił Antonowicz. - A niech was! - Po chwili namysłu oświadczył: - Wiecie co, chłopaki? Plunę na te memuary! A co mi zrobią?

- Ty nam lepiej powiedz - zaczął Bykow - jak wpłynąć na Jurę? Michaił Antonowicz przestraszył się.

- A co się stało? Spsocił coś?

- Na razie nie. Ale Władimir uważa, że obowiązkowo powinniśmy jakoś na niego wpłynąć.

- Ja myślę, że i tak na niego wpływamy. Od Waniuszy nie odchodzi na krok, a ciebie, Wołodienka, po prostu uwielbia. Już ze dwadzieścia razy mi opowiadał, jak za tymi pijawkami wszedłeś do jaskini...

Bykow podniósł głowę.

- Za jakimi znowu pijawkami?

Michaił Antonowicz zakręcił się na krześle.

- A, stara historia. - Jurkowski nawet nie mrugnął okiem. - To było... d-dawno temu. A więc: jak wpłynąć na Jurę? Chłopiec ma jedyną w swoim rodzaju okazję popatrzeć na świat lepszych ludzi. Z naszej strony byłoby to po prostu... ee...

- Widzisz, Wołodienka - wtrącił się Michaił Antonowicz - Jura to świetny chłopak. Został bardzo dobrze wychowany w szkole. W nim już jest założony... jak to powiedzieć...

fundament porządnego człowieka. Zrozum, Wołodzieńka, Jura już nigdy nie pomyli dobrego ze złym...

- Prawdziwego człowieka - zaznaczył Jurkowski - wyróżnia szeroki horyzont.

- Zgadza się, Wołodzieńka - przyznał Michaił Antonowicz. -I Jura...

- Prawdziwego człowieka kształtują tylko prawdziwi ludzie, robotnicy, i tylko prawdziwe życie, trudne i pełnokrwiste.

- A przecież i nasz Jurik...

- Powinniśmy skorzystać z okazji i pokazać mu prawdziwych ludzi w prawdziwym niełatwym życiu.

- Słusznie, Wołodzieńka, i jestem pewien, że Jurik...

- Wybacz, Michaił, jeszcze nie skończyłem. Jutro będziemy dosłownie obok Eunomii. Wiecie, co to jest Eunomia?

- A jakże - odezwał się Michaił Antonowicz. - Asteroida, większa półoś dwie i sześćdziesiąt cztery jednostki astronomiczne, mimośród...

- Nie to miałem na myśli - przerwał mu niecierpliwie Jurkowski. - Czy wiecie, że na Eunomii już od trzech lat funkcjonuje jedyna na świecie fizyczna stacja badania grawitacji?

- A jakże - powiedział Michaił Antonowicz. - Przecież tam...

- Ludzie pracują tam w wyjątkowo trudnych warunkach - ciągnął Jurkowski w natchnieniu. Bykow przyglądał mu się uważnie. -Dwudziestu pięciu ludzi, twardzi jak diamenty, mądrzy, śmiali, powiedziałbym nawet - rozpaczliwie śmiali! Kwiat ludzkości! Oto wspaniała okazja, żeby chłopak poznał prawdziwe życie!

Bykow milczał.

- Bardzo dobra myśl, Wołodzieńka, ale to... - w głosie Michaiła Antonowicza brzmiała troska.

- Właśnie teraz planują przeprowadzenie interesującego eksperymentu. Badają rozprzestrzenianie się fal grawitacyjnych. Wiecie, co to jest śmierć-planeta? Skalny odłamek, który w pewnym momencie przemienia się w promieniowanie. Wyjątkowo pouczające widowisko!

Bykow nie odzywał się. Milczał również Michaił Antonowicz.

- Zobaczyć prawdziwych ludzi w procesie prawdziwej pracy, czy to nie piękne?

Bykow milczał.

- Myślę, że to będzie bardzo pożyteczne dla naszego stażysty -powiedział Jurkowski i dodał trochę ciszej: - Ja również nie miałbym nic przeciwko temu, żeby na to popatrzeć. Od dawna interesują mnie warunki pracy śmierć-planeciarzy.

Bykow wreszcie się odezwał.

- Cóż - powiedział. - To rzeczywiście może być ciekawe.

- Zapewniam cię, Aleksieju! - wykrzyknął Jurkowski. - Myślę, że wstąpimy tam, prawda?

- Mmm... - zamamrotał Bykow.

- No to pięknie - stwierdził Jurkowski. Popatrzył na Bykova i spytał: - Coś cię niepokoi, Aleksieju?

- Można to i tak nazwać - odparł Bykow. - Na mojej trasie jest Mars. Jest Bamberga z tymi parszywymi kopalniami. Jest kilka satelitów Saturna. Jest system Jowisza. Jest jeszcze kilka innych rzeczy. Jednego tam tylko nie ma. Eunomii.

- Nno, jak ci to powiedzieć... - Jurkowski, spuściwszy oczy, zabębnił palcami po stole.

- Uznamy, że to niedopatrzenie zarządu, Alosza.

- Następnym razem, Władimir.

- Chwileczkę, chwileczkę Alosza. W k-końcu jestem generalnym inspektorem i mogę wydać rozkaz, powiedzmy... w-w celu zmiany kursu...

- Trzeba było tak od razu. A nie mącić mi w głowie wychowawczymi zadaniami.

- Nno, wychowawcze zadania, też oczywiście... tak.

- Nawigatorze - zakomenderował Bykow. - Generalny inspektor rozkazuje zmienić kurs. Wyliczcie kurs na Eunomię.

- Tak jest - odrzekł Michaił Antonowicz i spojrzał z zakłopotaniem na Jurkowskiego. - Wiesz, Wołodieńka, paliwa mamy mało. Eunomia to hak... Przecież trzeba będzie dwa razy hamować. I raz się rozpędzać. Szkoda, że nie powiedziałeś o tym w zeszłym tygodniu.

Jurkowski wyprostował się dumnie.

- W-więc tak, Michaił. Są w pobliżu stacje paliw?

- Są, czemu by miało nie być - odparł Michaił Antonowicz.

- Będzie paliwo - rzekł Jurkowski.

- Będzie paliwo - będzie Eunomia. - Bykow wstał i podszedł do swojego fotela. - My z Miszą nakrywaliśmy do stołu, a ty, generalny inspektorze, sprzątnij.

- Wolterianie - odpowiedział Jurkowski i zaczął zbierać naczynia. Był zadowolony ze swojego małego zwycięstwa. Bykow mógł go przecież nie posłuchać. Kapitan statku, wiozący generalnego inspektora, też miał nieliczne pełnomocnictwa.

Obserwatorium fizyczne „Eunomia” poruszało się wokół Słońca, mniej więcej w tym punkcie, gdzie kiedyś znajdowała się asteroida Eunomia. Gigantyczna skała średnicy dwustu

kilometrów została w ciągu ostatnich kilku lat niemal całkowicie zniszczona w procesie eksperymentów. Z asteroidy został tylko rzadki rój stosunkowo niewielkich odłamków i siedmusetkilometrowy obłok kosmicznego pyłu, ogromna srebrzysta kula, z lekka rozciągnięta siłą pływową. Samo obserwatorium niewiele różniło się od ciężkich, sztucznych satelitów Ziemi: był to system cylindrów i kuł, powiązanych błyszczącymi linami, obracający się wokół osi. W laboratorium pracowało dwudziestu siedmiu fizyków i astrofizyków, „twardych jak diament, mądrych i śmiałych”, często „rozpaczliwie śmiałych”. Najmłodszy z nich miał dwadzieścia pięć, najstarszy trzydzieści cztery lata.

Załoga Eunomii zajmowała się badaniem promieniowania kosmicznego, eksperymentalnym sprawdzaniem jedynej teorii pola, próżnią, niskimi temperaturami, kosmogonią eksperymentalną. Wszystkie nieduże asteroidy w promieniu dwudziestu megametrów od „Eunomii” zostały uznane za śmierć-planety - i albo już je zniszczono, albo właśnie ulegały zniszczeniu. W zasadzie zajmowali się tym kosmogoniści i relatywiści. Likwidacji malutkich planet dokonywano różnymi sposobami. Zmieniano je w rój odłamków, w obłok pyłu lub gazu, czasem w rozbłysk światła. Niszczono je w warunkach naturalnych i w potężnym polu magnetycznym, błyskawicznie i stopniowo, rozciągając proces na dekady i miesiące. To był jedyny w systemie słonecznym kosmogoniczny poligon i jeśli okołoziemskie obserwatoria rejestrowały pojawienie się nowej gwiazdy, która rozbłysła dziwnymi liniami w spektrum, to przede wszystkim zadawano pytanie, gdzie w danym momencie znajdowała się Eunomia, i czy przypadkiem nie w rejonie Eunomii wybuchła nowa gwiazda? Międzynarodowy Zarząd Komunikacji Kosmicznej ogłosił strefę Eunomii zakazaną dla wszystkich rejsowych planetolotów.

„Tachmasib” wyhamował przy Eunomii na dwie godziny przed kolejnym eksperymentem. Relatywiści mieli zamiar przemienić w promieniowanie kamienny odłamek wielkości Everestu, o masie określonej z dokładnością do kilku gramów. Kolejna śmierć-planeta poruszała się po peryferiach poligonu. Tam wysłano dziesięć kosmoskafów z przyrządami obserwacyjnymi i w obserwatorium zostali tylko: naczelnik i dyżurny dyspozytor.

Dyżurny powitał Jurkowskiego i Jurę przed kesonem. To był wysoki, szczupły, bardzo błądy człowiek. Miał jasnoniebieskie, obojętne oczy.

- D-dzień dobry - powiedział Jurkowski. - Jestem Jurkowski, generalny inspektor MZKK.

Wyglądało na to, że dla jasnookiego mężczyzny wizyty generalnych inspektorów to nie pierwsza. Spokojnie, bez pośpiechu obejrzał Jurkowskiego i powiedział:

- Cóż, wejdźcie.

Jasnooki odwrócił się plecami do Jurkowskiego i stukając magnetycznymi podkowami, poszedł w głąb korytarza.

- Chwileczkę - zawołał Jurkowski. - A gdzie jest... n-naczelnik?

Jasnooki rzucił, nie odwracając się:

- Prowadzę was.

Jurkowski i Jura pospieszyli za nim.

- Dziwne... p-porządki. Zdumiewające... - Jurkowski mówił półgłosem.

Błękitnooki otworzył na końcu korytarza okrągły luk i wszedł. Jurkowski i Jura usłyszeli:

- Kostia, masz gości...

Było słyhać, jak ktoś krzyczy dźwięcznym wesołym głosem:

- Szósty! Saszka! Gdzie ty leżysz, wariacie? Zlituj się nad swoimi dziećmi! Odejść na sto kilometrów, tam jest niebezpiecznie! Trzeci! Trzeci! Mówię ci, żebyś się trzymał za mną! Szósty, nie narzekaj na zwierzchnictwo! Zwierzchnictwo okazało troskę, a jemu nie pasuje!...

Jurkowski i Jura znaleźli się w niewielkim pokoju, zastawionym przyrządami. Przed wklęsłym ekranem wisiał szczupły, bardzo smagły mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna, w niebieskich spodniach z zakładką i białej koszuli z czarnym krawatem.

- Kostia - odezwał się błękitnooki i zamilkł.

Kostia zwrócił do gości swoją wesołą, ładną twarz z garbatym nosem i przez kilka sekund przyglądał się im. Powitał ich wyszukаныmi słowami, po czym znowu odwrócił się do ekranu. Na ekranie powoli przemieszczało się po liniach siatki współrzędnych kilkanaście jasnych różnobarwnych punktów.

- Dziewiąty, po co się zatrzymałeś? Straciłeś entuzjazm? Przespaceruj no się jeszcze trochę do przodu... Szósty, robisz postępy. Już się przez ciebie rozchorowałem. Poleciałeś do domu, na Ziemię?

Jurkowski odkaslnął. Wesoły Kostia wyszarpnął z prawego ucha błyszczącą kulkę i odwróciwszy się do Jurkowskiego, spytał:

- Kim jesteście, goście?

- Jestem Jurkowski - powiedział ważnym tonem Jurkowski.

- Jaki Jurkowski? - wesoło i niecierpliwie spytał Kostia. - Znałem jednego, to był Władimir Siergiejewicz.

- To ja - odrzekł Jurkowski.

- Doskonale się składa! - głośno ucieszył się Kostia. - W takim razie stańcie przed tamtym pulpitem. Będziecie kręcić czwartą gałką mikrometryczną- jest na niej arabska cyfra cztery - żeby ta gwiazdeczka nie wyszła z tego kółeczka...

- Ale pozwólcie, że jednak... - zaczął Jurkowski.

- Tylko nie mówcie, żeście nie zrozumieli! - krzyknął Kostia. -Bo się rozczaruję.

Błękitnooki podpłynął do niego i zaczął coś szeptać. Kostia wysłuchał i zatkał ucho błyszczącą kulką.

- Niech mu od tego będzie lepiej - powiedział i dźwięcznym głosem zawołał: - Obserwatorzy, słuchajcie mnie, znowu dowodzę! Wszyscy teraz stoją spokojnie, jak Zaporozcy na obrazie Repina! Nie dotykać sterów! Wyłączam się na dwie minuty. - Znowu wyszarpnął kulkę i spytał: - A więc zostaliście generalnym inspektorem, Władimirze Siergiejewiczu?

- Tak, zostałem - odparł Jurkowski. - I ja...

- A kim jest ten młody chłopak? Też generalny inspektor? -odwrócił się do błękitnookiego. -Niech Władimir Siergiejewicz trzyma oś, a chłopcu daj się pobawić czymś pożytecznym. Najlepiej postaw go przy swoim ekranie, niech popatrzy...

- Może jednak będę mógł powiedzieć dwa słowa? - spytał Jurkowski, patrząc w przestrzeń.

- Oczywiście, mówcie - zgodził się Kostia. - Macie jeszcze całe dziewięćdziesiąt sekund.

- Chciałem... w-wejść na jeden z kosmoskafów - wyjaśnił Jurkowski.

- Oho! - zawołał Kostia. - Lepiej byście sobie zażyczyli kółko od trolejbusu. A jeszcze lepiej, żebyście zechcieli kręcić gałką numer cztery. Na kosmoskaf nawet ja nie mogę. Wszystkie miejsca zajęte, jak na koncercie Blumberga. A starannie kręcąc gałką zwiększycie dokładność eksperymentu o półtora procenta.

Jurkowski majestatycznie wzruszył ramionami.

- N-no, dobrze - powiedział wreszcie. - Widzę, że będę musiał... A dlaczego... t-to nie jest zautomatyzowane?

Kostia już włożył do ucha błyszczącą kulkę. Chudy Ezra zahuczał jak w beczkę:

- Wyposażenie. Zestarzało się.

Włączył wielki ekran i palcem przywołał do siebie Jurę. Jura podszedł do ekranu i obejrzał się na Jurkowskiego. Jurkowski marszcząc brwi trzymał gałkę i patrzył na ekran, przed którym stał Jura. Jura też zaczął patrzeć. Na ekranie świeciło się kilka jasnych,

okrągłych plam, przypominających kleksy albo rzepy. Ezra wskazał kościstym palcem jedną z plam.

- Kosmoskaf- powiedział.

Kostia znowu zaczął komenderować:

- Obserwatorzy, nie śpicie jeszcze? Co tam się u was przeciąga? A, czas? Spal się ze wstydu, Sasza, przecież zostało jeszcze tylko trzy minuty. Koryto? A, fotonowe koryto? To przybył do nas generalny inspektor. Uwaga, teraz będzie na serio. Zostało trzydzieści... dwadzieścia dziewięć... dwadzieścia osiem... dwadzieścia siedem...

- Tutaj - Ezra wskazał palcem środek ekranu. Jura wpatrzył się w środek. Nic tam nie było.

- Piętnaście... czternaście... Władimirze Siergiejewiczu, trzymajcie oś... dziesięć, dziewięć...

Jura wytrzeszczał oczy na ekran. Ezra też kręcił gałką, widocznie i on trzymał jakąś oś.

- Trzy... dwa... jeden... zero!

W środku ekranu rozbłysnął jasny, biały punkt. Następnie ekran stał się biały, potem oślepiający i czarny. Gdzieś pod sufitem przenikliwie, krótko zadzwoniły dzwonki. Rozbłysły i zgasły czerwone lampki na pulpicie obok ekranu. I na ekranie znowu pojawiły się okrągłe plamy, przypominające rzepy.

- Wszystko - powiedział Ezra i wyłączył ekran. Kostia zręcznie zszedł na podłogę.

- Osi można już nie trzymać - oświadczył. - Rozbierzcie się, zaczynam przyjęcie.

- Co takiego? - spytał Jurkowski.

Kostia wyjął spod pulpitu pudełko z pastylkami.

- Częstujcie się - rzucił. - To oczywiście nie czekoladki, ale za to zdrowsze.

Ezra podszedł i wziął dwie pastylki. Jedną podał Jurze. Jura popatrzył niepewnie na Jurkowskiego.

- Pytam, co to? - powtórzył Jurkowski.

- Gamma-radiofag - wyjaśnił Kostia. Obejrzał się na Jurę. - Jedz, chłopcze, jedz - zachęcał. - Liczcie się z tym, że dostaliście właśnie cztery rentgeny.

- Słusznie - rzekł Jurkowski.

Sięgnął do pudełka. Jura położył pastylkę na języku. Była bardzo gorzka.

- A więc, czym możemy służyć generalnemu inspektorowi? - spytał Kostia, chowając pudełko z powrotem pod pulpit.

- Właściwie chciałem... u-uczestniczyć w eksperymencie -wyjaśnić Jurkowski. -1 jednocześnie wyjaśnić sytuację na stacji... potrzeby pracowników... ewentualne skargi... Widzę, że laboratorium jest źle chronione przed promieniowaniem. Ciasno. Kiepska automatyzacja, przestarzałe wyposażenie... co?

- Tak, to prawda, prawda gorzka jak gamma radiofag - westchnął Kostia. Ale jeśli spytacie, na co się skarzę, będę zmuszony odpowiedzieć, że na nic. Oczywiście, są skargi. Na tym świecie nie sposób żyć bez skarg. Ale to skargi na nas. Przyznacie, że byłoby śmieszne, gdybym generalnemu inspektorowi opowiadał o tym, o co inni nas oskarżają. A właśnie, nie jesteście głodni? Nie? To bardzo dobrze. Spróbujcie znaleźć coś jadalnego w naszej piwnicy... Najbliższy tankowiec z pożywieniem przyjdzie dzisiaj wieczorem albo jutro rano. Uwierzcie, to bardzo smutne - fizycy przywykli jeść codziennie i żadne pomyłki w zaopatrzeniu nie są w stanie ich od tego oduczyć. A mówiąc poważnie, jeśli chcecie poznać moje zdanie, to powiem krótko i jasno, jak ukochanej dziewczynie: to właśnie dyplomowani jakościowcy z naszego drogiego MZKK zawsze się na coś skarżą. Jeśli pracujemy szybko, skarżą się, że pracujemy szybko i za szybko wykańczamy drogocenny, unikatowy sprzęt, że u nas wszystko się pali w rękach, a oni nie nadążają. A jeśli pracujemy powoli... Zresztą, jeszcze nie było takiego oryginała, który by się skarżył, że pracujemy za wolno. Przy okazji, Władimirze Siergiejewiczu. Byliście porządnym planetologiem i wszyscy uczyliśmy się z waszych wspaniałych książek i różnych tam raportów! Po coście poszli do MZKK i jeszcze zajęli się generalną inspekcją?

Jurkowski popatrzył na Kostię oszołomiony. Jura skulił się wewnątrz, czekając na grom. Ezra obojętnie mrugał żółtymi krowimi rzęsami.

- A-a... - zająknął się Jurkowski, pochmurniejąc - a właściwie, dlaczego nie?

- Wyjaśnię wam, dlaczego nie - powiedział Kostia i tknął palcem jego pierś. - Jesteście dobrym uczonym, ojcem współczesnej planetologii! Od dzieciństwa biła z was fontanna idei! Że gigantyczne planety powinny mieć pierścienie, że planety mogą kondensować się bez centralnego światła, że pierścień Saturna ma sztuczne pochodzenie - spytajcie Ezry, kto to wymyślił? Ezra od razu wam powie - Jurkowski! I oddaliście te wszystkie łakome kąski na rozszarpanie różnym makrełom, a sami przeszliście do jakościowców!

- No, no, co też wy! - rzekł dobrodusznie Jurkowski. - Przecież jestem tylko... prostym uczonym...

- Byliście prostym uczonym! A teraz, wybaczcie określenie, jesteście prostym generalnym inspektorem. Powiedzcie mi, po co przyjechaliście? Ani o nic spytać, ani niczego

poradzić nie możecie, już nie mówię o pomocy. Powiedzmy nawet, że z uprzejmości oprowadzę was po laboratoriach i zaczniemy chodzić jak dwaj lunatycy, ustępować sobie nawzajem miejsca przed lukami. I obaj będziemy uprzejmie milczeć, bo wy nie wiecie, o co pytać, a ja nie wiem, jak odpowiedzieć. Trzeba by było zebrać wszystkich dwudziestu siedmiu ludzi, żeby wyjaśnić, co się dzieje na stacji, a oni nie wejdą tu nawet z szacunku dla generalnego inspektora, zwyczajnie jest za ciasno. Jeden nawet mieszka w windzie...

- Nie myślcie sobie,... ż-że mnie to cieszy - przerwał mu urzędowym tonem Jurkowski. - Mam na myśli to... p-przeludnienie stacji. O ile wiem, stacja obliczona jest na załogę złożoną z pięciu grawimetrystów. I gdybyście, jako kierownik stacji, trzymali się wytycznych, zatwierdzonych przez MZKK...

- Władimirze Siergiejewiczu! - wykrzyknął wesoly Kostia. -Towarzyszu generalny inspektorze! Ludzie chcą pracować! Grawimetryści chcą pracować? Chcą. Relatywiści chcą? Chcą. Nie mówiąc już o kosmogonistach, którzy wcisnęli się tutaj prawie po moim trupie. A na Ziemi jeszcze setka ludzi ryje ziemię z niecierpliwości... Wielkie rzeczy, winda! A co, mamy czekać, aż MZKK zakończy budowę nowej stacji? Nie, planetolog Jurkowski doszedłby do innego wniosku. Nie robiłby mi wyrzutów z powodu przeludnienia. Nie żądałby wyjaśnień. Tym bardziej że nie jest Heisenbergiem i tak zrozumiałby najwyżej połowę. Planetolog Jurkowski powiedziałby: Kostia! Chciałbym, żebyście zaczęli eksperymenty nad moją nową ideą. Zajmijmy się tym natychmiast! Wtedy odstąpiłbym wam moje łóżko i przeniósł się do windy awaryjnej. Pracowalibyśmy dopóty, dopóki wszystko nie stałoby się jasne jak wiosenny ranek! A wy przyjeżdżacie zbierać skargi. Jakie mogą być skargi ludzi mających ciekawą pracę?

Jura odetchnął z ulgą. Grom nie uderzył. Zamyślona twarz Jurkowskiego posmutniała.

- Tak - powiedział. - Chyba macie rację... K-Kostia. Rzeczywiście nie powinienem był przyjeżdżać tutaj w takim... charakterze. Ja wam... z-zazdroszczę, Kostia. Popracowałbym z wami z przyjemnością. Ale... s-są stacje i są... s-stacje. Nie wyobrażacie sobie, Kostia, ile skandalów jest jeszcze u nas w systemie. I dlatego planetolog Jurkowski musiał zostać generalnym inspektorem Jurkowskim.

- Skandale - rzucił szybko Kostia - to sprawa policji kosmicznej...

- Nie zawsze - odparł Jurkowski. - Niestety, nie zawsze.

W korytarzu coś szcęknęło i zagrzechotało. Dało się słyszeć kłapanie magnetycznych podków. Ktoś zawył:

- Kostiaa! Jest wyprzedzenie! Na trzy milisekundy!

- O! - powiedział Kostia. - Idą moi pracownicy, zaraz zażądają jedzenia. Ezra, jak im najdelikatniej powiedzieć, że tankowiec będzie dopiero jutro?

- Kostia - rzekł Jurkowski - dam wam skrzynkę konserw.

- Naprawdę?! - ucieszył się Kostia. - Jesteście bogiem. Dwa razy daje, kto w porę daje. Jestem wam winien dwie skrzynki.

Przez luk, jeden za drugim, przecisnęło się czterech mężczyzn. Po chwili w pomieszczeniu nie było już gdzie szpilki wetknąć. Jurę wciśnięto w kąt, odgradzono od świata szerokimi plecami. Naprawdę dobrze widział tylko chudy kark Ezry, czyjąś błyszczącą, gładko ogoloną czaszkę i jeszcze jeden muskularny kark. Oprócz tego widział też nogi - tkwiły nad głowami i gigantyczne buty ze lśniącymi startymi podkawkami ostrożnie kołysały się dwa centymetry od ogolonej czaszki. W prześwitach pomiędzy plecami i karkami, Jura mógł dostrzec garbaty profil Kostii i brodatą twarz czwartego robotnika. Jurkowskiego nie było widać. Wszyscy mówili jednocześnie:

- Rozrzut punktów jest bardzo mały. Czytałem szybko, ale trzy milisekundy są chyba pewne...

- Jednak trzy, a nie sześć!

- Nie w tym rzecz! Ważne, że poza granicami błędu!

- Gdyby tak Marsa zniszczyć, to by dopiero była dokładność.

- Tak, wtedy by można połowę grawiskopów sprzątnąć.

- Niesympatyczny przyrząd ten grawiskop. I kto go wymyślił?

- Ciesz się, że chociaż taki jest. Wiesz, jak przedtem to robiliśmy?

- Proszę, już mu się grawiskopy nie podobają!

- A jeść dadzą?

- Właśnie, d propoz jedzenia. Kostia, zjedliśmy cały radiofag.

- Dobrze, że sobie przypomniałeś. Kostia, wydaj nam tabletki.

- Chłopaki, chyba się rąbnałem. Nie trzy milisekundy, tylko cztery.

- Nie zwracaj głowy. Oddaj Ezrze, Ezra policzy jak należy.

- Słusznie... Ezra, weź, kochany, jesteś bardzo opanowany, a mnie się ręce z niecierpliwości trzęsą.

- Dzisiejszy wybuch był wyjątkowej piękności. Prawie oślepiłem. Jak ja lubię anihilację! Czujesz się wtedy jak Stwórca, jak człowiek przyszłości...

- Słuchaj, Kostia, co Pagawa mówił, że teraz będą tylko ogniskowe wybuchy? A co z nami?

- Czy ty sumienia nie masz? Wyobrażasz sobie, że to grawitacyjne obserwatorium? A kosmogoniści, to co, pies?

- Fanas, nie wtrącaj się. Przecież Kostia to naczelnik. A po co jest naczelnik? Żeby wszystko było sprawiedliwie.

- W takim razie, co za korzyść mieć za naczelnika swojego człowieka?

- Oho! To już się nie nadaję na naczelnika? Co to, bunt? Gdzie moje buty, mankiety z brabanckich koronek i pistolety?

- Zjadłbym coś.

- Policzyłem - powiedział Ezra. - No?!

- Nie poganiaj go, on nie może tak szybko.

- Trzy i osiem.

- Ezra! Każde twoje słowo to szczere złoto.

- Błąd plus minus dwa i dwa.

- Jaki nasz Ezra dzisiaj rozmowny.

Jura nie wytrzymał i wyszeptał Eźrze na ucho:

- Co się stało? Dlaczego wszyscy się cieszą? Ezra lekko przechylił głowę i zahuczał:

- Było wyprzedzenie. Udowodniliśmy, że grawitacja rozprzestrzenia się szybciej od światła. Po raz pierwszy udowodniliśmy.

- Trzy i osiem, chłopaki - oznajmił ogolony. - To znaczy, że utarliśmy nosa temu jakośtamowcowi z Leningradu. Jak jego...

- Wspaniały początek. Żeby jeszcze coś zjeść, wybić kosmogonistów i wziąć się za robotę na serio.

- Słuchajcie, uczeni, dlaczego nie ma tu Kramera?

- Kłamię, że ma jeszcze dwie konserwy. Szuka ich teraz u siebie w starych papierach.

Urządzimy sobie ucztę mizernych ciałem - po puszcze na czternastu chłopca.

- Mizernych ciałem i ubogich duchem.

- Cicho, uczeni, i ja mam dla was dobrą nowinę.

- O jakich konserwach kłamał Walerka?

- Podobno ma tam puszkę kompotu z moreli i puszkę kabaczków...

- Żeby tak kiełbasy...

- Słucha mnie tu ktoś czy nie? Baczość, uczeni! No. Pragnę wam oznajmić, że wśród nas przebywa pewien generalny inspektor - Jurkowski, Władimir Siergiejewicz. On właśnie odstąpi nam ze swojego stołu skrzynkę konserw!

- Oo? - zdumiał się ktoś.

- Mało śmieszne. Ale dowcip... Z kąta dobiegło:
- D-dzień dobry.
- Ha! Władimir Siergiejewicz? Jak mogliśmy was nie zauważyć?
- Schamieliśmy, bracia!
- Władimirze Siergiejewiczu! To prawda o tych konserwach?
- Szczera prawda - odparł Jurkowski. - Hura!
- I jeszcze raz...
- Hura!
- I jeszcze raz... - Huraaa!!!
- To konserwy mięsne - dodał Jurkowski. Po pokoju przetoczył się jęk głodu.
- Dlaczego tu jest nieważkość? Takiego człowieka należy podrzucić! Na rękach nosić! Przez otwarty luk wsunęła się jeszcze jedna broda.
- Czego się drzecie? - spytano posepnie. - Wyprzedzenie mamy, ale że żreć nie ma co - o tym wiecie? Tankowiec przyciągnie się tu dopiero jutro.

Przez jakiś czas wszyscy patrzyli na brodę. Potem człowiek z muskularnym karkiem powiedział w zadumie:

- Poznaję kosmogonistę po wyszukanej mowie.
- Chłopaki, przecież on głodny.
- Jeszcze by nie! Kosmogoniści zawsze głodni!
- Może go posłać po konserwy?
- Paweł, przyjacielu - powiedział Kostia. - Pójdiesz po konserwy. Załóż skafander. Brodacz patrzył na niego podejrzliwie.
- Jura - odezwał się Jurkowski. - Zaprowadź towarzysza na „Tachmasiba”. Zresztą, sam pójdę.

- Dzień dobry, Władimirze Siergiejewiczu-powiedział brodacz, rozplywając się w uśmiechu. - To wy do nas?

Odstąpił od luku, przepuszczając Jurkowskiego. Wyszli.

- Dobry człowiek z tego Jurkowskiego. Porządny.
- Po co przeprowadza u nas inspekcję?
- Nie przyjechał tu na inspekcję. Wydaje mi się, że po prostu z ciekawości.
- To co innego.
- A nie można by go namówić, żeby się wystarał o rozszerzenie programu?
- Rozszerzenie programu - w porządku. Ale żeby nie zredukował etatów. Pójdę zabrać moją pościel z windy.

- Tak, inspektorzy nie lubią, żeby ludzie mieszkali w windach.

- Uczeni, nie bójcie się. Już mu o wszystkim opowiedziałem. On nie taki. To przecież Jurkowski!

- Chodźcie, poszukamy sobie stołówki. W bibliotece?

- W bibliotece kosmogoniści wszystko zastawili.

Zaczęli po kolei wychodzić przez luk. Człowiek z muskularnym karkiem podszedł do Kostii i powiedział cicho:

- Daj mi jeszcze jedną tabletkę, Kostia. Coś mnie mdli.

Eunomia została daleko z tyłu. „Tachmasib” trzymał kurs na asteroidę Bamberga - królestwo tajemniczej „Space Pearl Limited”. Jura obudził się w środku nocy - ukłucie pod łopatką bolało i swędziało, strasznie chciało mu się pić. Usłyszał ciężkie nierówne kroki w korytarzu. Wydawało się, że dobiegł go stłumiony jęk. Halucynacje, pomyślał ze złością. Tylko mi tego brakowało. Nie schodząc z łóżka, uchylił drzwi i wyjrzał. W korytarzu, dziwnie przegięty, stał Jurkowski w swoim wspaniałym szlafroku. Twarz miał zapadniętą, oczy zamknięte. Ciężko i łapczywie chwytał powietrze wykrzywionymi ustami.

- Władimirze Siergiejewiczu! - zawołał przestraszony Jura. - Co z wami?

Jurkowski szybko otworzył oczy, próbował się wyprostować, ale zgięło go w pół.

- Cii... cho! - powiedział i szybko, wykrzywiony podszedł do Jury.

Jura odsunął się, aby go przepuścić. Jurkowski wszedł do kajuty, szczelnie zamknął za sobą drzwi i ostrożnie usiadł obok Jury.

- Czemu nie śpisz? - spytał cicho.

- Co z wami, Władimirze Siergiejewiczu? - wyszeptał Jura. - Źle się czujecie?

- Głupstwo, wątroba. - Jura z przerażeniem patrzył na jego kurczowo przyciśnięte do boków, nieruchome ręce. - Zawsze tak, podfe, po napromieniowaniu... A jednak dobrze, że byliśmy na Eunomii. To byli ludzie, Jura! Prawdziwi ludzie! Robotnicy. Czyści. Żadni jakościłowcy im nie przeszkodzą. - Ostrożnie odchylił się plecami na ścianę i Jura pospiesznie podsunął mu poduszkę. - Śmieszne słowo - jakościłowcy - prawda, Jura? Wkrótce zobaczymy innych ludzi... Zupełnie innych... Zgniłki, łajdaki... Gorszi od marsjańskich pijawek... Ty ich pewnie nie zobaczysz, ale ja będę musiał... - Zamknął oczy. - Jura... wybacz... ale może... ja... tu... zasnę. Wziąłem lekarstwo... jeśli zasnę... idź spać... do mnie...

9. Bamberga. Ubodzy duchem.

Bela Barabasz przekroczył pierścień włazu i szczelnie zamknął za sobą drzwi. Na drzwiach widniała czarna plastikowa tabliczka: „The chief manager of Bamberga mines. Space Pearl Limited”⁶. Tabliczka jeszcze wczoraj cała, była rozbita. Kula trafiła w jej lewy dolny róg i pęknięcie przechodziło przez wielką literę B. Podły drań, pomyślał Bela. „Zapewniam pana, że w kopalniach nie ma żadnej broni. Jedynie u pana, mister Barabasz i u policjantów. Nawet ja nie mam”. Łajdak. Korytarz był pusty. Tuż przed drzwiami wisiał radosny plakat: „Pamiętaj, jesteś na procencie. Interesy kompanii są twoimi interesami”. Bela chwycił się za głowę i przez chwilę stał tak, lekko się kołysząc. Boże mój, pomyślał. Kiedy się to wszystko skończy? Kiedy mnie wreszcie stąd zabiorą? Jaki ze mnie komisarz? Przecież ja nic nie mogę. Nie mam już sił. Rozumiecie? Nie mam już sił. Zabierzcie mnie stąd, proszę. Tak, jest mi wstyd i tak dalej. Ale już dłużej nie mogę...

Gdzieś ze szczękiem zatrzaśnięto luk. Bela opuścił ręce i poczłapał po korytarzu. Mijał obrzydłe, reklamowe prospekty na ścianach, zamknięte kajuty inżynierów, wąskie wysokie drzwi komisariatu policji. Ciekawe, do kogo mogli strzelać na piętrze administracji. Oczywiście mnie nie powiedzą, kto strzelał. Ale może uda się do-wiedzieć, do kogo strzelano? Bela wszedł do komisariatu. Przy stole, podpierając ręką policzek, drzemał sierżant Higgins, naczelnik policji, i jeden z trzech policjantów Bambergi. Na stole przed Hig-ginsem leżał mikrofon, po prawej stronie radiostacja, po lewej czasopismo w kolorowej okładce.

- Dzień dobry, Higgins - powiedział Bela. Higgins otworzył oczy.

- Dzień dobry, mister Barabasz. Głos miał męski, z chrypką.

- Co nowego, Higgins?

- Przyszła „Gaja” - stwierdził Higgins. - Przywieźli pocztę. Żona pisze, że bardzo tęskni. Tak jakbym ja nie tęsknił. Do pana były cztery paczki. Powiedziałem, żeby zanieiono. Myślałem, że jest pan u siebie.

- Dziękuję, Higgins. Nie wie pan, kto dzisiaj strzelał na tym piętrze?

- Nie przypominam sobie, żeby dzisiaj strzelano - odrzekł Higgins po chwili zastanowienia.

- A wczoraj wieczorem albo w nocy? Higgins odpowiedział niechętnie:

- W nocy ktoś strzelał do inżyniera Majera.

⁶ (ang.) - główny kierownik kopalni Bambergi.

- Majer panu powiedział? - spytał Barabasz.
- Mnie nie było. Miałem dyżur w saloonie.
- Widzi pan, Higgins - oświadczył Barabasz - przed chwilą byłem u zarządcy, który po raz dziesiąty zapewniał mnie, że broń macie tylko wy, policjanci.
- Bardzo możliwe.
- W takim razie do Maj era strzelał któryś z pańskich podwładnych?
- Nie sądzę - odparł Higgins. - Tom był ze mną w saloonie, a Konrad... Po co Konrad miałby strzelać do inżyniera?
- Więc ktoś jeszcze ma broń?
- Nie widziałem, mister Barabasz, tej broni. Gdybym widział -odebrałbym. Posiadanie broni jest zabronione. Ale nie widziałem.

Barabaszowi nagle wszystko kompletnie zobojętniało.

- Dobra - rzekł. - W końcu czuwanie nad przestrzeganiem prawa to pańskie zadanie. Do mnie należy informowanie MZKK, jak radzicie sobie ze swoimi obowiązkami.

Odwrócił się i wyszedł. Zjechał windą na drugie piętro i przeszedł przez pusty o tej porze saloon. Pod ścianami migwały żółtymi światełkami automaty-sprzedawcy. A może się upić, pomyślał Bela. Uchlać się jak świnia, zwalić na łóżko i przespać dwie doby. A potem wstać i znowu się uchlać. Przeszedł przez saloon i ruszył szerokim długim korytarzem. Korytarz nazywał się „brodway” i ciągnął się od saloonu do toalet. Tutaj też wisiały plakaty, przypominające o tym, że „interesy kompanii są twoimi interesami”, wisiały programy kin na najbliższą dekadę, biuletyny giełdowe, tablice loteryjne, tablice rozgrywek baseballa i koszykówki, odbywające się na Ziemi, i tablice zawodów bokserskich oraz wolnej amerykanki, rozgrywane się na Bamberdze. Na „brodway” wychodziły drzwi obu sal kinowych i biblioteki. Sala sportowa i kościół znajdowały się piętro niżej. Wieczorem nie można się tu było przecisnąć, oczy kłuły kolorowe światła głupich reklam. Zresztą, wcale nie takich głupich - co wieczór przypominały robotnikowi, co czeka go na Ziemi, gdy wróci do rodziny z wypchaną kabzą.

Teraz na „brodwayu” było pusto, panował tu mrok. Bela skręcił w jeden z korytarzy. Po prawej i lewej stronie ciągnęły się jednakowe drzwi. Tutaj mieszkali robotnicy. Zza drzwi dobiegał zapach tytoniu i wody kolońskiej. W jednym z pokoiów Bela zobaczył leżącego na łóżku człowieka. Wszedł. Twarz leżącego była oblepiona plastrami. Samotne oko smutnie patrzyło w niski sufit.

- Co z tobą, Joshua? - spytał Bela, podchodząc. Smutne oko Joshui zwróciło się w jego stronę.

- Leżę - powiedział Joshua. - Upiłem się wczoraj tak, że nic nie pamiętam. Diabeł mnie podkusił... Cały miesiąc się trzymałem. A teraz przepiłem dniówkę, więc leżę i będę leżeć. - Znowu popatrzył ze smutkiem w sufit.

- Tak - rzekł Bela.

I co z nim robić? Przekonywać, że picie jest szkodliwe? O tym sam wie. Jak wstanie, będzie siedział w kopalni po czternaście godzin na dobę, żeby nadrobić zaległości. A potem wróci na Ziemię z popromiennym paralizem, nigdy nie będzie miał dzieci albo urodzą mu się potworki.

- Wiesz, że praca w kopalni powyżej sześciu godzin jest niebezpieczna? - spytał Bela.

- Niech pan odejdzie - szepnął Joshua. - To nie pana sprawa. Nie pan będzie pracował.

Bela westchnął i rzekł:

- Cóż, szybkiego powrotu do zdrowia - westchnął Bela.

- Dziękuję, mister komisarz - warknął Joshua. - Troszczy się pan o niewłaściwe rzeczy. Niech się pan zatroszczy, żeby saloon zamknęli. I bimbrowników znaleźli.

- Dobrze - odparł Bela. - Spróbuję.

Proszę, pomyślał, wracając do siebie. A jak spróbuję zamknąć saloon, to pierwszy będzie wrzeszczał na mityngach, że różni komuniści wtrącają się w nie swoje sprawy. To zaklęty krąg. Zaklęty krąg -

Wszedł do swojego pokoju i zobaczył, że tam siedzi inżynier Samuel Livingston. Inżynier czytał starą gazetę i jadł kanapkę. Na stole przed nim leżały szachy z rozstawionymi figurami. Bela przywitał się i zmęczony usiadł przy stole.

- Zagramy? - zaproponował inżynier.

- Zaraz, zobaczę, co mi przysłali.

Bela otworzył paczki. W trzech były książki, w czwartej list od matki i kilka pocztówek z widokami Nowego Pesztu. Na stole leżała jeszcze różowa koperta. Bela wiedział, co w niej jest, ale mimo to otworzył. „Mister komisarz! Zabieraj się stąd, do diabła, pókiś cały. Nie mąc wody. Życzliwi”. Bela westchnął i odłożył kartkę.

- Pański ruch - powiedział. Inżynier przesunął pionek.

- Znowu nieprzyjemności? - spytał. - Tak.

W milczeniu rozegrał obronę Karo-Kani. Inżynier zdobył niewielką przewagę pozycyjną. Bela wziął kanapkę i zaczął w zadumie żuć, patrząc na deskę.

- Wie pan, Bela - oznajmił inżynier - gdy po raz pierwszy zobaczę pana wesołego, powiem, że przegrałem wojnę ideologiczną.

- Jeszcze pan zobaczy - zapewnił Bela bez szczególnej nadziei.

- Nie - powiedział inżynier. - Pan jest skazany. Jeśli się pan rozejrzy, to sam pan zobaczy, że jest skazany.

- Ja? - spytał Bela. - Czy my?

- Wy wszyscy z tym swoim komunizmem. Nie można być idealistą w naszym świecie.

- Już to słyszeliśmy ze dwadzieścia razy w ciągu ostatnich stu lat.

- Szach - powiedział inżynier. - I dobrze wam mówili. Oczywiście, nie docenili was i dlatego często wygłaszali głupstwa. Twierdzenie, że ustąpicie wojskowej sile albo że przegracie ekonomiczną walkę, było śmieszne. Każdy silny rząd i wystarczająco bogate państwo w naszych czasach jest niepokonane w sensie wojskowym i ekonomicznym. Tak, komunizm jako system ekonomiczny wziął górę, to jasne. Gdzie teraz są te wszystkie imperia Morganów, Rockefellerów i Mitsubishi? Przegrali i odeszli w niepamięć. Zostały żałosne ogryzki w rodzaju naszej „Space Pearl”. Solidne przedsiębiorstwa produkujące luksusowe materace dla wąskiego kręgu odbiorców... a i oni są zmuszeni działać pod przykrywką ogólnej szczęśliwości. Znowu szach. I kilka milionów upartych właścicieli hoteli, agentów nieruchomości, zmęczonych rzemieślników. Oni też są skazani. Wszystko trzyma się na tym, że w obu Amerykach nadal są w obiegu pieniądze. Ale wy znaleźliście się w ślepej uliczce. Jest siła, której nawet wy nie jesteście w stanie pokonać. Mam na myśli Mieszczaństwo. Skostnienie malutkiego człowieka. Mieszczan nie można pokonać siłą. W tym celu trzeba byłoby ich fizycznie zlikwidować. Nie można pokonać ideał, ponieważ mieszczaństwo organicznie nie przyjmuje żadnych idei.

- Był pan kiedyś w państwach komunistycznych, Sam?

- Byłem i widziałem tam mieszczan.

- Ma pan rację, są. Na razie są. Ale nie zauważył pan, że jest ich znacznie mniej niż u was i że są cisi. U nas nie ma wojującego mieszczaństwa. Jeszcze jedno, dwa pokolenia i nie będzie ich zupełnie.

- Biorę gońca - powiedział inżynier.

- Niech pan spróbuje.

Przez jakiś czas inżynier zastanawiał się, po czym wziął gońca.

- Dwa pokolenia? A może dziesięć tysięcy pokoleń? Niech pan zdejmie wreszcie różowe okulary, Bela. Ci malutcy ludzie są wokół pana. Nie liczę poszukiwaczy przygód i mazgajów, którzy zgrywają poszukiwaczy. Weźcie takich jak Joshua, Smith, Blackouter. Takich, których pan nazywa świadomymi albo cichymi, w zależności od nastroju. Mają tak mało pragnień, że niczego nie można im zaproponować. A to, czego chcą, zdobędą bez żadnego komunizmu. Zostaną właścicielami knajp, ożenią się, będą mieli dzieci i będą cicho

żyć dla własnej przyjemności. Komunizm, kapitalizm - co za różnica? Kapitalizm jest nawet lepszy, bo błogosławi taki byt. Człowiek z natury jest bydlęciem. Dajcie mu pełne koryto, nie gorsze niż u sąsiada, pozwólcie mu nabić brzuch i raz dziennie pośmiać się nad jakimś nieskomplikowanym widowiskiem. Zaraz mi pan powie: możemy zaproponować im więcej. A po co im więcej? Malutkie obojętne bydlę odpowie wam: Nie wtrącajcie się do nie swoich spraw.

- Niech pan nie oczernia ludzi, Sam. Joshua i inni wydają się wam bydlętami, bo bardzo się napracowaliście, żeby z nich zrobić bydlęta. Kto wmawiał im od pieluch, że w życiu najważniejsze są pieniądze? Kto uczył ich zazdrościć milionerom, właścicielom domów, sklepikarzom w sąsiedztwie? Karmiliście ich głupimi filmami, głupimi książkami i mówiliście, że wyżej Boga nie podskoczą. Tłukliście im do głowy, że jest Bóg, dom i biznes i więcej nie ma nic na całym świecie. W ten sposób robicie z ludzi bydlęta. A człowiek to nie bydlę, Sam. Wmawiajcie mu od pieluch, że najważniejsza w życiu jest przyjaźń i wiedza, że oprócz jego kołyski jest jeszcze ogromny świat, który on i jego przyjaciele będą zdobywać - wtedy otrzymacie prawdziwego człowieka. Proszę, przegapiłem królową.

- Może pan przechodzić - powiedział inżynier. - Nie będę się spierał. Może wychowanie rzeczywiście odgrywa tak ogromną rolę. Ale u was, przy waszym wychowaniu, przy państwowej nietolerancji mieszczaństwa jednak wyrastają... jak to się mówi... a, osty. A u nas, przy naszym wychowaniu, udaje się wyrosnąć tym, których nazywa pan prawdziwymi ludźmi. Oczywiście, u nas jest znacznie więcej mieszczan. Szach... Nie wiem, co chcecie zrobić z dwoma miliardami mieszczan kapitalistycznego świata. My nie mamy zamiaru ich reedukować. Przyznaję, kapitalizm to trup. Ale niebezpieczny trup. A wy otworzyliście granice. A póki otwarte są granice, mieszczenie wszelkiej maści będą przez nie przeciekać. Żebyście się nimi nie udławili. Jeszcze szach.

- Nie radzę - rzekł Bela.

- O co chodzi?

- Zasłonię się na G8 i panu wisi hetman. Inżynier zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba ma pan rację - powiedział. - Szacha nie będzie.

- Nie neguję zagrożenia, jakie stanowi mieszczaństwo - kontynuował rozmowę Bela. - Któryś z naszych działaczy słusznie powiedział, że ideologia małego posiadacza stanowi dla komunizmu większe niebezpieczeństwo niż zapomniana teraz bomba wodorowa. Tylko niewłaściwie je pan adresował. Mieszczaństwo jest niebezpieczne nie dla komunizmu, lecz dla całej ludzkości. W pańskich rozważaniach, Sam, jest jeden błąd. Mieszczanin to tylko człowiek i zawsze będzie chciał czegoś więcej. Ale jeśli jednocześnie jest bydlęciem, to

dążenie do czegoś więcej przybiera najbardziej potworne postacie. Na przykład - pragnienie władzy. Pragnienie uwielbienia. Popularności. Gdy zderzą się dwaj tacy sami osobnicy, rozszarpują się jak psy. A gdy się dogadają, rwana strzępy otoczenie. I zaczynają się sztuczki w rodzaju faszyzmu, segregacji, ludobójstwa. Właśnie dlatego prowadzimy walkę z mieszczaństwem. Wkrótce będziecie zmuszeni zacząć taką wojnę po prostu po to, żeby nie udusić się we własnym nawozie. Pamięta pan pochod nauczycieli do Waszyngtonu dwa lata temu?

- Pamiętam - odparł Livington. - Ale moim zdaniem walka z mieszczaństwem to krojenie wody nożem.

- Inżynierze - zakpił Bela - to twierdzenie jest tak samo gołosłowne jak apokalipsa. Jest pan po prostu pesymistą. Jak to tam było: Przestępcy wyniosą się nad bohaterami, mędrcy będą milczeć, a głupcy mówić. Nic z tego, co ludzie myślą, nie spełni się.

- Cóż - rzekł Livington. - Bywało i tak. Jestem pesymistą. Dlaczego miałbym być optymistą? A pan?

- Ja nie jestem pesymistą - powiedział Bela. - Tylko złym pracownikiem. Ale czas ubogich duchem minął, Sam. Minął dawno temu, jak powiedziano w apokalipsie.

Drzwi otworzyły się i w progu stanął wysoki człowiek z zakolami i bladą, obwisłą twarzą. Bela zastygł, przyglądając mu się. Po sekundzie go poznał. To już koniec, pomyślał ze smutkiem i ulgą. Koniec. Człowiek przesunął wzrokiem po inżynierze i wkroczył do pokoju. Teraz patrzył tylko na Belę.

- Jestem generalnym inspektorem MZKK - powiedział. - Moje nazwisko Jurkowski.

Bela podniósł się z krzesła. Inżynier też wstał z szacunkiem. Za Jurkowskim do pokoju wszedł potężny opalony człowiek w workowatym kombinezonie. Prześliznął się wzrokiem po Beli i zaczął patrzeć na inżyniera.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł inżynier i wyszedł.

Drzwi się zamknęły. Przeszedł kilka kroków po korytarzu i w zadumie gwizdnął. Następnie wyjął papierosa i zapalił. Tak, pomyślał. Ideologiczna walka na Bamberdze wchodzi w nową fazę. Trzeba pilnie podjąć odpowiednie kroki. Rozmyślając, szedł coraz szybciej. Do windy już prawie wbiegł. Wjechał na najwyższe piętro i wszedł do pokoju radiotelegrafisty. Dyżurny radiotelegrafista spojrział na niego zaskoczony.

- Co się stało, mister Livington? - spytał. Livington przesunął dłonią po mokrym czole.

- Otrzymałem złe wieści z domu. - Głos mu się rwał. - Kiedy będzie najbliższy seans z Ziemią?

- Za pół godziny - odparł radiotelegrafista.

Livington usiadł przy stoliku, wyrwał z notesu kartkę papieru i szybko napisał radiogram.

- Niech pan to jak najszybciej wyśle, Michael - podał mu kartkę. - To bardzo ważne.

Radiotelegrafista spojrział na kartkę i aż gwizdnął ze zdumienia.

- Po co to panu? - spytał. - Kto sprzedaje „Space Pearl” pod koniec roku?

- Pilnie potrzebuję gotówki - oświadczył inżynier i wyszedł. Radiotelegrafista położył przed sobą kratkę i zamyślił się.

Jurkowski usiadł i odsunął łokciem szachy. Żylin siadł z boku.

- Zhańbiliście się, towarzyszu Barabasz - powiedział Jurkowski półgłosem.

- Tak - rzekł Bela i przełknął ślinę.

- Skąd się bierze na Bamberdze spirytus, wyjaśniliście?

- Nie. Najprawdopodobniej spirytus pędzony jest tutaj.

- W ciągu ostatniego roku kompania wysłała na Bambergę cztery transporty sprasowanej celulozy. Jakie prace na Bamberdze wymagają takiej ilości celulozy?

- Nie wiem - odparł Bela. - Nie znam takich prac.

- Ja też nie. Z celulozy pędzi się tu spirytus, towarzyszu Barabasz. To jasne jak słońce. Bela milczał.

- Kto na Bamberdze ma broń? - spytał Jurkowski.

- Nie wiem - odrzekł Bela. - Nie mogę się dowiedzieć. - Ale broń jest?

- Tak.

- Kto sankcjonuje nadliczbowe godziny pracy?

- Nikt ich nie zabrania.

- Zwracaliście się do zarządcy? Bela zacisnął pięści.

- Zwracałem się do tego drania dwadzieścia razy. O niczym nie chce słyszeć. Nic nie widzi, nie słyszy, nie rozumie. Bardzo mi przykro, że mam takie fatalne źródła informacji. Albo, Władimirze Siergiejewiczu, zdejmijcie mnie stąd, albo dajcie pełnomocnictwa rozstrzeliwania gadów. Nic nie mogę zrobić. Tłumaczyłem. Prosiłem. Groziłem. To mur. Dla wszystkich robotników komisarz MZKK to strach na wróble, I don't now nothing and it's not any damn business of yours⁷. Ma gdzieś międzynarodowe prawo robotników. Dłużej nie wytrzymam. Widzieliście plakaty na ścianach?

Jurkowski popatrzył na niego w zadumie, obracając w palcach hetmana.

⁷ (ang.) - Nic nie wiem i, do licha, to nie pańska sprawa.

- Nie ma się na kim oprzeć - ciągnął Bela. - Albo bandyci, albo cisi łajdacy, których jedynym pragnieniem jest zarobić górę forsy. Nie obchodzi ich teraz, czy potem zdechną, czy nie. Przecież ich Prawdziwi ludzie tu nie przyjadą. Same szumowiny i nieudacznicy. Lurnpenproletariat. Z tego wszystkiego wieczorami trzęsą mi się ręce. Nie mogę spać. Przedwczoraj proszono mnie, żebym podpisał protokół o nieszczęśliwym wypadku. Odmówiłem - było jasne, że człowiekowi rozpruli skafander gazową spawarką. Wtedy ten drań sekretarz związków zawodowych powiedział, że złoży na mnie skargę. Miesiąc temu na Bamberdze pojawiły się i tego samego ranka zniknęły trzy dziewczyny. Idę do zarządcy, a ten bydlak śmieje mi się w twarz: Ma pan halucynacje, mister komisarz, pora wracać do żony, już się panu dziewczyny zwidują. Trzy razy do mnie strzelano. Tak, tak, wiem, że żaden głupek nie próbował trafić. Ale wcale mi od tego nie lepiej. I pomyśleć tylko, że posadzono mnie tu po to, żebym chronił życie i zdrowie tych łobuzów! Niech ich piekło pochłonie... - Bela zamilkł i splótł palce, tak że aż mu stawy zatrzeszczały.

- No, no spokojnie, Bela - powiedział srogo Jurkowski.

- Pozwólcie mi odjechać - rzekł Bela. - Ten towarzysz - wskazał Żylin - to pewnie nowy komisarz...

- Nie - odparł Jurkowski. - Poznajcie się, to inżynier pokładowy „Tachmasiba”, Żylin. Żylin skłonił się lekko.

- Jakiego „Tachmasiba”?

- To mój statek - wyjaśnił Jurkowski. - Zrobimy tak. Pójdziemy do zarządcy, powiem mu kilka słów. A później porozmawiamy z robotnikami - Wstał. - Nic takiego się nie stało, Bela, nie zamartwiajcie się. Nie wy pierwsi. Mnie też ta Bamberga kością w gardle stoi.

- Trzeba wziąć kilku naszych - powiedział Bela z troską. - Może dojść do draki. Zarządca utrzymuje całą szajkę gangsterów.

- Jakich naszych? - spytał Jurkowski. - Przecież powiedzieliście, że na nikim nie możecie polegać.

- Więc przyjechaliście sami? - przeraził się Bela. Jurkowski wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Przecież nie jestem zarządcą...

- Dobra - powiedział Bela.

Otworzył sejf i wziął pistolet. Twarz miał bladą i zdecydowaną. Pierwszą kulę wsadzę w tego padalca, pomyślał z ostrą radością. Niech do mnie strzela, kto chce, ale pierwszą dostanie mister Richardson. W swoją tłustą, gładką, podłą gębę.

Jurkowski popatrzył na niego uważnie.

- Wiecie co, Bela - stwierdził - na waszym miejscu zostawiłbym pistolet. Albo oddajcie go towarzyszowi Żylinowi. Boję się, że nie zapanujecie nad sobą.

- Myślicie, że on zapanuje?

- Zapanuję, zapanuję - uśmiechnął się Żylin.

Bela z żalem oddał mu pistolet. W tym momencie wyrósł przed nim dziarski sierżant Higgins w świeżym mundurze galowym i niebieskim hełmie. Zasalutował.

- Sir - powiedział. - Naczelnik policji kopalni Bamberga sierżant Higgins melduje się do pańskiej dyspozycji.

- Bardzo się cieszę, sierżancie Higgins. Chodźcie z nami - powiedział Jurkowski.

Minęli krótki korytarz i wyszli na „broadway”. Dopiero dochodziła szósta, ale „broadway” był już zalany rześnistym światłem i wypełniony robotnikami, huczał od niespokojnych głosów. Jurkowski szedł bez pośpiechu, uśmiechając się uprzejmie i uważnie zaglądając w twarze robotników. Były doskonale widoczne w równym świetle dziennych lamp - osunięte, z niezdrową ziemistą skórą, z podkrążonymi oczami, apatyczno-obojętne, gniewne, ciekawe, złe, nienawidzące. Robotnicy rozstępowali się, by za plecami Higginsa znowu się zewrzeć i iść za nimi.

- Droga dla generalnego inspektora! Nie napierajcie, chłopaki. Pozwólcie przejść generalnemu inspektorowi! - pokrzykiwał sierżant Higgins.

Doszli do windy i wjechali na piętro administracji. Tutaj był jeszcze większy tłum i nikt już nie schodził z drogi. Pomiędzy zmęczonymi twarzami robotników zaczęły przesuwać się jakieś beczelne, wesołe mordy. Teraz sierżant Higgins poszedł przodem, rozpychając tłum swoją niebieską pałką.

- Odsunąć się - mówił niegłośno - pozwólcie przejść... Odsuńcie się...

Jego kark pomiędzy brzegiem kasku a kołnierzem poczerwieniał i pokrył się potem. Pochód zamykał Żylin. Bezczelne mordy przeciskały się do pierwszych rzędów i krzyczały:

- Ej, chłopaki, który to inspektor?

- Nie wiadomo, wszyscy czerwoni jak sok pomidorowy...

- Na wylot czerwoni, i z zewnątrz, i w środku...

- Nie wierzę, chcę zobaczyć...

- Popatrz sobie, kto ci broni...

- Ej, sierżancie! Higgins! Ale masz pan towarzystwo!

Żylinowi ktoś podstawił nogę. Nie odwrócił się, ale zaczął patrzeć pod nogi. Widząc przed sobą kolejny but z miękkiego zamszu, starannie, całym ciężarem stanął na nim. Obok

niego ktoś zawył. Żylin, który miał na nogach potężne, ciężkie buty z magnetycznymi podkawkami, spojrzął na wykrzywioną, pobladłą twarz z wąsikami i powiedział:

- Przepraszam, ale ze mnie niezdarą... Szum narastał. Teraz już krzyczeli wszyscy:

- Kto ich tu prosił?

- Ej, wy! Nie pchajcie nosa w nie swoje sprawy!

- Dajcie nam pracować, jak chcemy! My się do waszych spraw nie mieszamy!

- Wynoście się do siebie i tam sobie rządźcie!

Sierzant Higgins, spocony jak mysz, dotarł wreszcie do drzwi z pękniętą tabliczką i otworzył je przed Jurkowskim.

- Tutaj, sir - powiedział ciężko dysząc.

Jurkowski i Bela weszli. Żylin przekroczył pierścień wjazdu i obejrzał się. Zobaczył rzędy bezczelnych mord, a za nimi, w dymie papierosowym, pochmurne zacięte twarze robotników. Higgins też wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

Gabinet zarządzającego kopalniami mistera Richardsona był przestronny. Pod ścianami stały duże miękkie fotele i oszklone szafki ze wzorcami kamieni i imitacjami największych „kosmicznych pereł” znalezionych na Bamberdze. Zza stołu na powitanie Jurkowskiego wstał sympatyczny człowiek w czarnym garniturze.

- O, mister Jurkowski - zagruchał, ominął stół i podszedł do Jurkowskiego, wyciągając rękę. - Jakże się cieszę...

- Nie martwcie się - powiedział Jurkowski, wymijając stół z drugiej strony. - Ręki wam i tak nie podam.

Zarządca zatrzymał się, uśmiechając się serdecznie. Jurkowski usiadł przy stole i odwrócił się do Beli.

- To jest zarządca? - spytał.

- Tak! - odparł z rozkoszą Bela. - To jest zarządca kopalni mister Richardson.

Zarządca pokręcił głową.

- O, mister Barabasz - rzekł z pretensją. - Czyżbym to panu zawdzięczał nieuprzejmość ze strony mistera inspektora?

- Kto wydał panu patent na kierowanie kopalnią? - spytał Jurkowski.

- Zgodnie z zasadami panującymi na zachodzie, rada dyrektorów kompanii.

- Proszę pokazać.

- Proszę uprzejmie - powiedział zarządzający. Niespiesznie przeszedł przez pokój, otworzył wielki sejf wbudowany w ścianę, wyjął brązową skórzaną teczkę, wyciągnął z niej

kartkę papieru ze złotym brzegiem. - Proszę uprzejmie - powtórzył i położył kartkę przed Jurkowskim.

- Niech pan zamknie sejf - polecił Jurkowski. -I odda klucze sierżantowi.

Sierżant Higgins z kamienną twarzą przyjął klucze. Jurkowski obejrzał patent, złożył na czworo i włożył do kieszeni. Mister Richardson w dalszym ciągu uśmiechał się uprzejmie. Żylin pomyślał, że nigdy w życiu nie widział tak uroczego człowieka. Jurkowski położył łokcie na stole i w zadumie popatrzył na Richardsona.

- Chciałbym się dowiedzieć, mister inspektor - zagruchał Richardson - co oznaczają te wszystkie dość dziwne działania.

- Jesteście oskarżeni o wiele przestępstw przeciwko prawu międzynarodowemu - rzucił niedbale Jurkowski. Mister Richardson, niezwykle zdumiony, rozłożył ręce. - Jesteście oskarżeni o naruszenie norm prawnych przestrzeni kosmicznej. - Zdumienie mister Richardsona nie miało granic. - Jesteście oskarżeni o zabójstwo - na razie niezamierzone - szesnastu robotników i trzech kobiet.

- Ja? - wykrzyknął urażony mister Richardson. - Ja jestem oskarżony o zabójstwo?

- Między innymi - powiedział Jurkowski. - Zwalniam pana ze stanowiska, w najbliższym czasie zostanie pan aresztowany i wysłany na Ziemię, gdzie stanie przed międzynarodowym trybunałem. A teraz nie zatrzymuję pana.

- Ustępuję przed brutalną przemocą - rzekł z godnością mister Richardson.

- I słusznie - odparł Jurkowski. - Proszę przyjść tu za godzinę i przekazać obowiązki swojemu następcy.

Richardson odwrócił się na pięcie, podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

- Przyjaciele! - zawołał. - Ci ludzie mnie aresztowali! Nie podobają im się wasze wysokie zarobki! Chcą, żebyście pracowali po sześć godzin i zostali nędzarnikami!

Jurkowski obserwował go z ciekawością. Higgins rozpinając kaburę, cofnął się do stołu. Richardsona odrzuciło do tyłu. Przez drzwi wdarł się tłum ryczących typów, gabinet wypełnił się robotnikami. Zwarty mur szarych kombinezonów i złych, posępnych twarzy stanął przed stołem. Jurkowski obejrzał się i zobaczył, że Żylin stoi po jego prawej stronie z rękami w kieszeniach, a Bela Pochylony zaciska ręce na oparciu krzesła i nie spuszcza wzroku z Richardsona. Jego twarz była bardziej zacięta niż twarze najbardziej rozeźlonych robotników. Oho, już po zarządzającym, pomyślał Jurkowski. Sierżant Higgins odpychał jednego robotnika pałą i mamrotał:

- Nie dzieje się tu nic niezgodnego z prawem, spokojnie, chłopaki, spokojnie...

Przez tłum przedarł się oblepiony plastrami Joshua.

- Nie chcemy się z nikim kłócić, mister inspektor - wychrypiął, wpatrując się w Jurkowskiego złym wzrokiem. - Ale nie dopuścimy do tych waszych sztuczek.

- Jakich sztuczek? - spytał Jurkowski.

- Przylecieliśmy tu, żeby zarobić...

- A my, żeby nie pozwolić wam zgnić żywcem...

- A ja wam mówię, że to nie wasza sprawa! - zaryczał Joshua. Odwrócił się do tłumu i krzyknął: - Mam rację, chłopaki?

Tłum zaryczał w odpowiedzi i w tym momencie ktoś strzelił.

Za plecami Jurkowskiego z brzękiem posypało się szkło. Bela jęknął, z wysiłkiem podniósł krzesło i zrzucił je na głowę Richardsona, który stał w pierwszym rzędzie i złożył dłonie jak do modlitwy. Żylin wyjął ręce z kieszeni i przygotował się do skoku, Joshua cofnął się przestraszony. Jurkowski wstał i powiedział gniewnie:

- Co za idiota tam strzelał? Omal mnie nie trafił. Sierzancie, czemu stoicie jak słup? Odbierzecie temu bałwanowi broń!

Higgins posłusznie wszedł w tłum. Żylin znowu wsunął ręce w kieszenie i usiadł na rogu stołu. Popatrzył na Belę i zaśmiał się. Na twarzy Beli malowała się rozkosz. Obserwowanie Richardsona sprawiało mu wyraźną przyjemność. Dwóch typków podniosło byłego zarządzającego, ze złością i dezorientacją popatrując na Belę, Jurkowskiego i robotników. Oczy Richardsona były zamknięte, na wysokim, gładkim czole rozlewał się ciemny siniak.

- Przy okazji - powiedział Jurkowski. - Oddajcie całą broń, jaka, macie. To rozkaz, darmozjady! Od tej chwili każdy, u kogo zostanie znaleziona broń, podlega rozstrzelaniu na miejscu. Komisarz Barabasz otrzymuje niniejszym odpowiednie pełnomocnictwa.

Żylin bez pośpiechu obszedł stół, wyjął pistolet i podał go Barabaszowi. Barabasz, patrząc przenikliwie na najbliższego gangstera, powoli odciągnął kurek, który szcęknął głośno w nagle zapadłej ciszy. Wokół gangstera błyskawicznie powstała pusta przestrzeń. Ten pobladł, wyjął z tylnej kieszeni pistolet i rzucił na podłogę. Bela kopnął broń w kąt pokoju i podszedł do typka, trzymającego Richardsona.

- Ty!

Typkę puścił Richardsona i uśmiechając się krzywo, pokręcił głową.

- Ja nie mam - oświadczył.

- Dobrze - rzekł Jurkowski. - Sierzancie, pomóżcie się tym typom rozbroić. Wróćmy do naszej rozmowy. Przerwano nam - zwrócił się do Joshui. - Zdaje się, że mówił pan, że bym nie mieszał się do waszych spraw?

- Tak jest - powiedział Joshua. - Jesteśmy wolnymi ludźmi i przyszedliśmy tu z własnej woli, żeby zarobić. Przestańcie nam przeszkadzać. My wam nie przeszkadzamy i wy nam nie przeszkadzajcie.

- Tę kwestię na razie zostawimy - odparł Jurkowski. - Teraz chcę wam o czymś powiedzieć. - Wyjął z kieszeni i rzucił na stół kilka oślepiająco błyszczących, kolorowych kamyków. - To tak zwane kosmiczne perły, znacie je dobrze. Zwyczajne szlachetne i półszlachetne kamienie, które tutaj na Bamberdze przez bardzo długi czas podlegały działaniu kosmicznego promieniowania i niskich temperatur. Żadnych szczególnych cech, jeśli nie liczyć niezwykłego blasku, nie posiadają. Bogate damulki płacą za nie ogromne pieniądze i na tej skrajnej głupocie wyrosła wasza kompania. Korzystając z popytu na kamienie, kompania zarabia krocie.

- I my też - krzyknęto z tłumu.

- I wy też - zgodził się Jurkowski. - Ale jest jeszcze coś. W ciągu ośmiu lat istnienia kompanii na Bamberdze odpracowało trzyletnie kontrakty około dwóch tysięcy ludzi. Wiecie, ilu z tych, którzy wrócili, jeszcze żyje? Mniej niż pięciuset. Średnia długość życia robotnika po powrocie nie przekracza dwóch lat. Trzy lata harujecie na Bamberdze po to, żeby potem dwa lata gnąć żywcem na Ziemi. Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że na Bamberdze nie przestrzega się postanowień Międzynarodowej Komisji, zabraniającej pracy w tych kopalniach powyżej sześciu godzin na dobę. Na Ziemi tylko się leczycie, cierpicie, bo nie możecie mieć dzieci albo rodzą się wam potwory. To przestępstwo kompanii, ale nie o kompanii teraz mowa.

- Chwileczkę. - Joshua podniósł rękę. - Pozwoli pan, że ja coś Powiem. Wszystko to już słyszeliśmy, komisarz o niczym innym nie mówi. Nie wiem jak inni, ale ja nie mam nic wspólnego z tymi, co umarli. Jestem zdrowy i nie mam zamiaru umierać.

- Zgadza się - zahuczał tłum. - Mięczaki niech umierają.

- Będę miał dzieci czy nie dzieci - to moja sprawa. I to ja będę się leczył, a nie pan. Chwała Bogu, od dawna jestem pełnoletni i odpowiadam za swoje czyny. Nie chcę słuchać żadnych przemówień.

Odebraliście broń gangsterom i bardzo dobrze. Znajdźcie bimbrowników, zamknijcie saloon. Dobrze mówię? - Odwrócił się, do tłumu. W tłumie rozległy się niezrozumiałe głosy. - Co tam mamroczenie? Dobrze mówię. Kto to słyszał, żeby za drinka płacić dwa dolary? Łapowników uspokójcie. To też będzie słuszne. Ale do mojej pracy się nie mieszajcie. Przyleciałem tu, żeby zarobić i zarobię. Postanowiłem otworzyć własny interes i otworzę. Nie potrzebuję pańskich przemówień. Za słowa domu nie kupisz...

- Dobrze, Joe! - krzyknął tłum.

- Niedobrze - powiedział Jurkowski. Nagle poczerwieniał i za-ryczał: - Co wy sobie myślicie, że wam tu pozwolą zdechnąć? To nie dziewiętnasty wiek! Wasza sprawa, wasza sprawa - mówił znowu normalnym tonem. - Was tutaj, idiotów, jest co najwyżej czterystu. A nas cztery miliardy. I nie chcemy, żebyście umierali. I nie umrzecie. Nie będę wam mówił o waszej nędzy duchowej. Już widzę, że tego nie rozumiecie. Może wasze dzieci to rozumieją, jeśli będziecie je mieli. Będę mówił językiem, który jest dla was zrozumiały. Językiem prawa. Ludzkość przyjęła prawo, zabraniające człowiekowi wpuścić się do grobu. Prawo, rozumiecie? Prawo! Odpowiadać z tego tytułu będzie kompania, a wy zapamiętajcie, że ludzkości wasze kopalnie nie są potrzebne. Kopalnie na Bamberdze można zamknąć w każdej chwili i wszyscy tylko odetchną z ulgą. Weźcie pod uwagę, że jeśli komisarz MZKK doniesie o choćby jeszcze jednym przypadku jakichś skandali - wszystko jedno jakich -nadgodziny, łapówki, spirytus, strzelanina - kopalnie zostaną zamknięte, a Bamberg zmieniona w kosmiczny pył. Takie jest prawo i mówię wam to w imieniu ludzkości. - Jurkowski usiadł.

- Już po naszej forsie - powiedział ktoś głośno. Tłum zahuczał. Ktoś krzyknął:

- Kopalnie zamkniecie, a nas na bruk, tak? Jurkowski wstał.

- Nie opowiadajcie bzdur - rzekł. - Co za idiotyczne wyobrażenia o życiu! Czy wy wiecie, ile jest jeszcze pracy na Ziemi i w kosmosie? Prawdziwej, naprawdę niezbędnej, potrzebnej wszystkim? Nie garstce sytych damulek, lecz wszystkim! Mam dla was propozycję od MZKK - chętni mogą w ciągu miesiąca rozliczyć się z kompanią

i przejść na budowę na innych asteroidach i sputnikach dużych planet. Gdybyście wszyscy zgodnie przegłosowali zamknięcie tych śmierdzących kopalni, zrobiłbym to jeszcze dzisiaj. A pracy będziecie mieli po uszy.

-A ile zapłacą? - wrzasnął ktoś.

- Oczywiście pięć razy mniej - odpowiedział Jurkowski. - Za to pracy wystarczy wam na całe życie, i zdobędziecie przyjaciół, prawdziwych ludzi, którzy z was też zrobią prawdziwych ludzi! I zdrowie zachowacie, i weźmiecie udział w największym przedsięwzięciu świata.

- Co za frajda pracować u kogoś? - spytał Joshua.

- Nam to nie pasuje - sprzeciwiano się w tłumie.

- To ma być biznes?

- Każdy cię będzie uczył, co wolno, a czego nie...

- Przez całe życie być robotnikiem...

- Biznesmeni! - wykrzyknął Jurkowski z gryzącą pogardą. -Pora kończyć. Ten pan - wskazał mister Richardsona - ten pan został aresztowany i będzie sądzony. Wybierzcie teraz sami spośród was tymczasowego zarządzającego i poinformujcie mnie. Będę u komisarza Barabasza.

- Niedobre to prawo, mister inspektor - rzekł posępnie do Jurkowskiego Joshua - które nie pozwala zarobić robotnikowi. A wy, komuniści, jeszcze się chwalicie, że jesteście za robotnikami.

- Przyjacielu - powiedział miękko Jurkowski - komuniści są za całkiem innymi robotnikami. Za robotnikami, a nie właścicielami.

W pokoju Barabasza Jurkowski nagle klepnął się w czoło.

- Fajtłapa - stwierdził. - Zostawiłem w gabinecie zarządzającego kamienie.

Bela zaśmiał się.

- To już ich nie zobaczycie - powiedział. - Ktoś zostanie właścicielem.

- Licho z nimi - rzekł Jurkowski. - Ale wasze nerwy... eee... Bela, są naprawdę, do niczego.

Żylin zachichotał.

- Jak on go tym krzesłem!...

- A co, wstrętna mordą? - spytał Bela.

- Nie, dlaczego - odparł Żylin. - Bardzo kulturalny i grzeczny człowiek.

- Grzeczny impertynent - zauważył pogardliwie Jurkowski. -A jakie tu pomieszczenia, co? Jaki sobie pałac wybudowali, a śmierć-planeciarze mieszkają w windach! Ja się rym zajmę, ja tego tak nie zostawię...

- Może zjecie obiad? - zaproponował Bela.

- Nie, zjemy obiad na „Tachmasibie”. Zaraz skończymy tę mitręgę...

- Mój Boże - rozmarzył się Bela. - Posiedzieć przy stole z normalnymi, porządnymi ludźmi, nie słuchać ani o dolarach, ani o akcjach, ani o tym, że wszyscy ludzie to bydłota... Władimirze Siergiejewiczu - dodał błagalnie - nie dałoby się kogoś przysłać...

- Wytrzymajcie jeszcze trochę, Bela - rzekł Jurkowski. - Niedługo zamkną ten kramik.

- A propos akcji - odezwał się Żylin. - U radiotelegrafisty teraz pewnie tłok...

- O, na pewno - przyznał Bela. - Sprzedają i kupują kolejkę do radiotelegrafisty. Oczy wytrzeszczone, piana na ustach... Kiedy ja się stąd wydostanę!...

- Dobrze, dobrze - powiedział Jurkowski - Dajcie, przejrzy wszystkie protokoły.

Bela podszedł do sejfu.

- Właśnie, Bela, da się wybrać mniej więcej przyzwoitego zarządzającego?

Bela grzebał w sejfie.

- Dlaczego nie - odparł. - Da się. Inżynierów tu mają raczej niezłych. Właściciele.

Ktoś zastukał do drzwi. Wszedł posępny, oblepiony plastrami Joshua.

- Chodźmy, mister inspektorze - rzekł pochmurnie. Jurkowski stękając wstał.

- Chodźmy.

- Zapomniał pan tam kamieni - rzekł posępnie Joshua, wyciągając do niego otwartą dłoń.. - To wziąłem. Różni tu u nas ludzie bywają.

10. „Tachmasib”. Gigantyczna fluktuacja.

To była zwykła godzina przedobiadowych zajęć. Jura ślęczał nad Kursem teorii metali. Rozczochrany, niewyspany Jurkowski bez zapału przeglądał kolejny raport i od czasu do czasu ziewał, dyskretnie zasłaniając usta dłonią. Bykow siedział w swoim fotelu i kończył czytać ostatnie czasopisma. Był dwudziesty czwarty dzień podróży, gdzieś pomiędzy orbitą Jowisza i Saturna.

„Zmiany siatki krystalicznej typu kadmowego w zależności od temperatury w zakresie małych temperatur określa się, jak widzieliśmy, w stosunku...” - czytał Jura. Ciekawe, co będzie, pomyślał, gdy Aleksiejowi Pietrowiczowi skończą się wszystkie gazety? Przypomniał sobie opowiadanie Caldwell, w którym chłopiec w gorące południe struga nożem malutki kijek i wszyscy czekają, co będzie, gdy kijek się skończy. Jura parsknął i w tym samym momencie Jurkowski odwrócił się gwałtownie do Bykowa.

- Gdybyś wiedział, jak mi to wszystko obrzydło - powiedział. - Jak chciałbym się odprężyć...

- Weź hantle od Żylina - poradził Bykow.

- Doskonale wiesz, o czym mówię - odparł Jurkowski.

- Domyślam się - warknął Bykow. - Domyślam się już od dawna. - I co w związku z tym... m-myślisz?

- Nieposkromiony starcze - rzekł Bykow i zamknął czasopismo - Nie masz dwudziestu pięciu lat. Czemu ciągle pchasz się na rożen?

Jura słuchał z przyjemnością.

- Dlaczego... ee... n-na rożen? - zdumiał się Jurkowski. - To będzie niewielki, absolutnie bezpieczny zwiad...

- Może starczy? - spytał Bykow. - Najpierw absolutnie bezpieczny zwiad w jaskini pijawek, potem bezpieczny zwiad u kosmogonistów... właśnie, jak tam twoja wątroba? I w końcu zupełna fanfaronada - nalot na Bambergę.

- Wybacz, ale to było moim obowiązkiem - stwierdził Jurkowski.

- Twoim obowiązkiem było wziąć zarządzającego na „Tachmasiba”, zmylibyśmy mu głowę, zagrozili spalaniem kopalni reaktorem, poprosili robotników o wydanie nam gangsterów i bimbrowników - i wszystko obeszło się bez tej idiotycznej strzelaniny. Co ty masz za manierę, żeby wybierać ze wszystkich wariantów najbardziej niebezpieczny?

- Co znaczy - niebezpieczny? - chciał wiedzieć Jurkowski. - Niebezpieczeństwo to pojęcie subiektywne. Dla ciebie to niebezpieczne, a dla mnie bynajmniej.

- No i dobrze - powiedział Bykow. - Zwiad w pierścieniu Saturna uważam za niebezpieczny. Dlatego nie pozwolę na przeprowadzenie tej akcji.

- Dobrze, dobrze - odparł. - Jeszcze do tego wrócimy. - Z rozdrażnieniem przewrócił kilka kartek raportu i ponownie zwrócił się do Bykowa. - Czasem mnie zdumiewasz, Aleksieju! - Gdyby ktoś nazwał cię tchórzem, rozmażałbym go po ścianie, a czasem patrzę na ciebie i... - Potrząsnął głową i przewrócił jeszcze kilka stron raportu.

- Jest głupia odwaga - rzekł zjadliwie Bykow - i jest odwaga rozumna!

- Rozumna odwaga to oksymoron. „Spokój górskiego strumienia, chłód letniego słońca” - jak mówi Kipling. - Śpiewajmy pieśń szaleństwu śmiałych!...

- Pośpiewaliście i starczy - oświadczył Bykow. - W naszych czasach trzeba pracować, a nie śpiewać. Nie wiem, co to jest oksymoron, ale rozumna odwaga to jedyny rodzaj odwagi, który można zaakceptować w naszych czasach. Bez żadnych nieboszczyków. Komu potrzebny nieboszczyk Jurkowski?

- Co za utylitaryzm! - wykrzyknął Jurkowski. - Nie mówię, że tylko ja mam rację! Ale nie zapominaj, że istnieją ludzie o różnych temperamentach. Mnie na przykład niebezpieczne sytuacje sprawiają prawdziwą przyjemność. Nudzi mnie zwyczajne życie! I chwała Bogu, nie tylko mnie...

- Wiesz co, Wołodia - powiedział Bykow - następnym razem weź sobie na kapitana Bagrata - jeśli on do tego czasu jeszcze będzie żył - i lataj sobie z nim choćby na Słońce. A ja nie mam zamiaru popierać takich przyjemności.

Obaj gniewnie zamilkli. Jura znowu zaczął czytać: Zmiana siatki krystalicznej typu kadmowego z zależności od temperatury... Czy naprawdę Bykow ma rację? A jeśli tak? Co za nuda! To jednak prawda, że to, co najmądrzejsze, jest najnudniejsze...

Z mostka wyszedł Żylin z kartką w ręku. Podszedł do Bykowa mówiąc półgłosem:

- Aleksieju Pietrowiczu, to od Michaiła Antonowicza...

- Co to jest? - spytał Bykow.

- Program na cybernawigator rejsu od Japetu.

- Dobrze, zostaw, potem przejrzę - powiedział Bykow.

To już program rejsu od Japetu, pomyślał Jura. Polecą sobie dalej, a mnie tu nie będzie. Popatrzył ze smutkiem na Żylina. Żylin miał na sobie kraciatą koszulę z podwiniętymi rękawami.

- Zrozum, Aleksieju. Jestem już stary. Za rok, dwa na zawsze zostanę na Ziemi, jak Dauge, jak Misza... Może ten rejs to dla mnie ostatnia szansa. Dlaczego nie chcesz mnie puścić?...

Żylin na palcach przeszedł przez mesę i przysiadł na kanapie.

- Nie chcą cię puścić nie dlatego, że to niebezpieczne - tłumaczył Bykow - tylko dlatego, że to szalenie niebezpieczne. Władimir, to bredzenie szaleńca - sztuczne pochodzenie pierścieni Saturna. To starczy marazm, słowo daję...

- Nigdy nie miałeś wyobraźni, Aleksieju - rzekł sucho Jurkowski. - Kosmogonia pierścieni Saturna nie jest jasna i ja uważam, że moja hipoteza ma takie samo prawo istnienia jak każda inna, że tak powiem, bardziej racjonalna. Już nie mówię o tym, że hipoteza oprócz naukowego bagażu niesie również znaczenie moralne - powinna budzić wyobraźnię i zmuszać ludzi do myślenia...

- Co tu ma do rzeczy wyobraźnia? - spytał Bykow. - To czysta matematyka. Prawdopodobieństwo przybycia obcych do systemu słonecznego jest niezwykle małe. Prawdopodobieństwo, że przyszloby im do głowy rozbijać sputniki i budować z nich pierścienie, jest, moim zdaniem, jeszcze mniejsze...

- Cóż wiemy o prawdopodobieństwie? - wygłosił Jurkowski.

- Dobrze, załóżmy, że masz rację - zgodził się Bykow. - Załóżmy, że w niepamiętnych czasach do systemu słonecznego rzeczywiście przybyli obcy i w jakimś celu zbudowali pierścień wokół Saturna. Chcieli pozostawić po sobie jakiś ślad. Ale powiedz mi, czy naprawdę wierzysz, że uda ci się znaleźć potwierdzenie swojej hipotezy podczas tego pierwszego i jedyne go zwiadu?

- Cóż wiemy o prawdopodobieństwie? - powtórzył Jurkowski.

- Ja wiem jedno - rozgniewał się Bykow. - Nie masz absolutnie żadnych szans i cały ten pomysł to wariactwo.

Znowu zamilkli. Jurkowski wziął się za raport. Miał bardzo smutną i starą twarz. Jurze zrobiło się go żal, ale nie wiedział, jak pomóc. Popatrzył na Żylina. Żylin trwał w skupieniu. Spojrzał na Bykova. Bykow udawał, że czyta gazetę. Ale widać było, że jemu też żal Jurkowskiego.

- Aleksieju Pietrowiczu - powiedział nagle Żylin - dlaczego sądzicie, że jeśli szansa jest niewielka, to nie ma na co liczyć?

Bykow opuścił czasopismo.

- Ty myślisz inaczej?

- Świat jest wielki - powiedział Żylin. - Bardzo spodobały mi się słowa Władimira Siergiejewicza: Cóż wiemy o prawdopodobieństwie?

- To czego nie wiemy o prawdopodobieństwie? - spytał Bykow. Jurkowski nie podnosił oczu znad raportu, ale widać było, że słucha w napięciu.

- Przypomniał mi się pewien człowiek - powiedział Żylin. -Miał bardzo ciekawe życie... - Żylin zamilkł niezdecydowany. -Może wam przeszkadzam, Władimirze Siergiejewiczu?

- Opowiadaj - zażądał Jurkowski i zdecydowanie zamknął raport.

- To zajmie trochę czasu - uprzedził Żylin.

- Tym lepiej - rzekł Jurkowski. - Opowiadaj. I Żylin zaczął opowiadać.

Opowieść o gigantycznej fluktuacji.

Byłem jeszcze chłopcem, wielu rzeczy wówczas nie rozumiałem i niejedno zapomniałem, może nawet to, co najciekawsze. Była noc i twarzy tego człowieka nie udało mi się zobaczyć. Głos miał zwyczajny, troszkę smutny i zachrypnięty, od czasu do czasu pokasływał, jakby był skrępowany. Jednym słowem, jeśli go kiedyś gdzieś zobaczę, prawdopodobnie nie poznam.

Spotkaliśmy się na plaży. Właśnie wyszedłem z wody i siedziałem na kamieniu. Po chwili usłyszałem, jak za moimi plecami sypią się kamyczki - schodził z nasypu - i zapachniało dymem papierosowym. Mężczyzna zatrzymał się obok mnie. Jak już powiedziałem, działo się to nocą. Niebo było pokryte chmurami i na morzu zaczynał się sztorm. Wzdłuż plaży wiał silny, ciepły wiatr. Nieznajomy palił. Wiatr wydmuchiwał z jego papierosa długie, pomarańczowe iskry, które lecąc znikaly nad pustą plażą. Pamiętam ten widok bardzo dobrze. Miałem wtedy zaledwie szesnaście lat i nie sądziłem, że ten człowiek się do mnie odezwie. Ale odezwał się. Zaczął bardzo dziwnie.

- Świat pełen jest zdumiewających rzeczy - powiedział.

Doszedłem do wniosku, że po prostu myśli na głos, więc siedziałem cicho. Odwróciłem się i popatrzyłem na niego, ale nic nie zobaczyłem. Było zbyt ciemno. A on powtórzył:

- Świat pełen jest zdumiewających rzeczy. - I zaciągnął się papierosem, osypując mnie deszczem iskier.

I tym razem sienie odezwałem: byłem wówczas bardzo nieśmiały. Zgasił papierosa, zapalił nowego i siadł na kamieniu obok mnie. Od czasu do czasu coś mruczał, ale szum wody głuszył słowa i docierały do mnie tylko niezrozumiałe dźwięki. W końcu powiedział głośno:

- Nie, tego już za wiele. Muszę o tym komuś opowiedzieć. -I po raz pierwszy od momentu pojawienia się, zwrócił się bezpośrednio do mnie:

- Proszę mnie wysłuchać, niech pan nie odmawia. Oczywiście nie odmówiłem.

- Jestem zmuszony zacząć od początku, ponieważ jeśli od razu powiem panu, o co chodzi, nie zrozumie pan i nie uwierzy. A bardzo mi zależy, żeby pan uwierzył... Nikt mi nie wierzy, a teraz sprawy zaszły tak daleko... - Zamilkł, po czym oznajmił: - To zdarzyło się jeszcze w dzieciństwie. Zacząłem naukę gry na skrzypcach i rozbiłem trzy szklanki i półmisek.

- Jak to? - spytałem.

Od razu przypomniał mi się dowcip, w którym jedna dama mówi do drugiej: „Wyobraź sobie pani, wczoraj dozorca rzucał nam drwa i trafił w żyrandol”. Jest taki stary dowcip.

Nieznajomy roześmiał się smutno i powiedział:

- Niech pan sobie wyobrazi - w ciągu pierwszego miesiąca nauki, już wtedy mój nauczyciel powiedział, że w życiu nie widział czegoś podobnego.

Zamilkłem. Też pomyślałem, że to musiało dziwnie wyglądać. Wyobraziłem sobie, jak on wymachując smyczkiem od czasu do czasu trafia w kredens. To rzeczywiście mogło go daleko zaprowadzić.

- To znane prawo fizyczne - wyjaśnił nieoczekiwanie. - Zjawisko rezonansu. -I przytoczył odpowiednią szkolną anegdotę z fizyki, jak przez most maszerowała kolumna żołnierzy i most runął. Potem wyjaśnił, że szklanki i półmiski też można rozbijać za pomocą rezonansu, jeśli dobierze się drgania o odpowiednich częstotliwościach. Muszę wam powiedzieć, że właśnie od tamtej pory zacząłem rozumieć, że dźwięk to drganie.

Nieznajomy wyjaśnił mi, że rezonans w życiu codziennym (i w domowym gospodarstwie, jak się wyraził) to rzecz niezwykle rzadka. Zachwycił się, że jakiś starożytny zbiór praw bierze pod uwagę taką możliwość i przewiduje ukaranie właściciela koguta, który swoim Pianiem rozbije dzban sąsiadowi.

Zgodziłem się, że to rzeczywiście rzadkie zjawisko. Osobiście nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Bardzo, bardzo rzadkie - powiedział. - A ja swoimi skrzypcami rozbiłem w ciągu miesiąca cztery szklanki i półmisek. Ale to był dopiero początek. - Zapalił kolejnego papierosa i oznajmił: - Moi rodzice i znajomi już wkrótce spostrzegli, że naruszam prawo kromki chleba.

Chciałem pokazać, że i ja coś niecoś wiem, i powiedziałem.

- Dziwne nazwisko.

- Jakie nazwisko? - spytał. - A, prawo? To nie nazwisko. To, jakby panu powiedzieć, żart. Wie pan, jest pewna grupa przysłów mówiąca o tym, że to, co złe, zdarza się częściej niż to, co dobre: czego się bał, na to i trafił, chleb zawsze upada na podłogę posmarowaną stroną... Albo w formie naukowej: prawdopodobieństwo pożądanego zdarzenia jest zawsze mniejsze niż połowa.

- Połowa czego? - spytałem i w tym samym momencie zrozumiałem, że palnąłem głupotę.

- Nie zna pan zasady prawdopodobieństwa? - zdumiał się nieznajomy.

Odpowiedziałem, że jeszcze tego nie przerabialiśmy.

- W takim razie niczego pan nie zrozumie - powiedział rozczarowany.

- Niech więc pan wyjaśni - rozgniewałem się, on zaś pokornie zaczął wyjaśniać.

Oświadczył, że prawdopodobieństwo to liczbowa charakterystyka możliwości wystąpienia jakiegoś zdarzenia.

- Co ma z tym wspólnego chleb? - spytałem.

- Chleb może upaść na ziemię posmarowaną lub nie posmarowaną stroną - powiedział. - Jeśli, ogólnie mówiąc, będzie pan rzucał chlebem na chybił-trafił, to będzie upadał raz tak, a raz tak. W połowie przypadków upadnie posmarowaną, a w połowie nieposmarowaną stroną na ziemię. Jasne?

- Jasne - odpowiedziałem. Nagle przypomniałem sobie, że jeszcze nie jadłem kolacji.

- W takich wypadkach mówi się, że prawdopodobieństwo pożądanego zdarzenia równe jest połowie -jednej drugiej.

Dalej mówił, że jeśli będzie się rzucać chleb na przykład sto razy, to on może upaść na ziemię nie posmarowaną stroną nie pięćdziesiąt, lecz pięćdziesiąt pięć albo dwadzieścia razy i że gdy będzie się go rzucać bardzo długo, masło znajdzie się na górze mniej więcej w połowie przypadków. Wyobraziłem sobie ten nieszczęsny chleb z masłem (a może i z kawiozem) po rym, jak rzucono nim tysiąc razy na podłogę, niechby nawet niezbyt brudną, i spytałem, czy rzeczywiście byli ludzie, którzy się tym zajmowali. Nieznajomy zaczął wyjaśniać, że w tym celu wykorzystywano zazwyczaj nie chleb, lecz monetę, jak w grze w orła i reszkę. Coraz

bardziej się rozpalając tłumaczył, jak się to robi, i wkrótce przestałem go rozumieć. Siedziałem, patrząc na pochmurne niebo, i myślałem, że spadnie deszcz. Z tego pierwszego wykładu o teorii prawdopodobieństwa zapamiętałem tylko na wpół znajomy termin „wartość oczekiwana”. Mężczyzna często go używał, a ja za każdym razem wyobrażałem sobie salę w rodzaju poczekalni, z podłogą wyłożoną kafelkami, w której siedzą ludzie z teczkami i aktówkami i od czasu do czasu podrzucając monety lub chleb na coś w skupieniu czekają. Do dziś często widuję ten obraz we śnie. W pewnym momencie nieznajomy ogłuszył mnie dźwięcznym terminem „twierdzenie Laplace’a” i powiedział, że to wszystko nie ma nic wspólnego z tym, co się przydarzyło jemu.

- Widzi pan, chciałem opowiedzieć o czymś zupełnie innym - rzekł zgaszonym głosem.

- Przepraszam, zapewne jest pan matematykiem? - spytałem.

- Nie - odparł posępnie. - Jaki tam ze mnie matematyk? Jestem fluktuacją.

Z grzeczności nic nie powiedziałem.

- Ale przecież jeszcze nie opowiedziałem panu mojej historii - zreflektował się.

- Mówił pan o chlebie - przypomniałem.

- Pierwszy zauważył to mój wujek - ciągnął. - Byłem dość roztargniony i często upuszczałem chleb. A on zawsze upadał masłem do góry.

- To chyba dobrze.

- Dobrze, jeśli dzieje się tak od czasu do czasu... A mnie zawsze! Rozumie pan, zawsze!

Niczego nie rozumiałem i powiedziałem mu o tym.

- Mój wujek trochę znał matematykę i pasjonował się teorią prawdopodobieństwa. Poradził mi, żebym rzucił monetę. Rzucaliśmy razem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jestem człowiekiem skończonym, a mój wujek to rozumiał. Tak właśnie wtedy powiedział: „Jesteś człowiekiem skończonym!”.

W dalszym ciągu nic nie rozumiałem.

- Podrzuciłem monetę sto razy, mój wujek też. Jemu orzeł wypadł pięćdziesiąt trzy razy, a mnie dziewięćdziesiąt osiem. Wujek wytrzeszczał oczy ze zdumienia. Ja też. Potem rzuciłem monetę jeszcze dwieście razy i, niech pan sobie wyobrazi, orzeł wypadł mi sto dziewięćdziesiąt osiem razy. Już wtedy powinienem był zrozumieć, czym kończą się takie rzeczy. Powinienem był przewidzieć, że kiedyś musi nastąpić dzisiejszy wieczór! - Chlipnął. - Ale wtedy, widzi pan, byłem młody, młodszy od pana. I wydało mi się to bardzo interesujące. Uważałem, że to bardzo zabawne być koncentracją wszystkich cudów na świecie.

- Czym? - zdumiałem się.

- K-koncentracją cudów. Nie udało mi się znaleźć bardziej odpowiedniego słowa.

Trochę się uspokoił i zaczął opowiadać po kolei, paląc papierosa za papierosem i pokasłując. Opowiadał, starannie opisując wszystkie detale i niezmiennie tłumacząc w sposób naukowy wszystkie opisywane wydarzenia. Zdziwił mnie, jeśli nie głębią, to wielostronnością swojej wiedzy, zasypał terminami z dziedziny fizyki, matematyki, termodynamiki i kinetycznej teorii gazów. Potem, gdy byłem już dorosły, często się dziwiłem, czemu taki czy inny termin wydaje mi się znajomy. Nieznajomy snuł również rozważania filozoficzne. Daleki był od samokrytyki, niejednokrotnie mienił się fenomenem, cudem natury i gigantyczną fluktuacją. Dopiero wtedy zrozumiałem, że to nie zawód. Oświadczył, że cudów nie ma, są tylko wydarzenia bardzo mało prawdopodobne.

- W przyrodzie - ciągnął mentorskim tonem - najczęściej zachodzą najbardziej prawdopodobne zdarzenia, najmniej prawdopodobne zdarzają się znacznie rzadziej.

Miał na myśli prawo wzrostu entropii, ale wtedy zabrzmiało to dla mnie bardzo tajemniczo. Potem próbował wyjaśnić mi pojęcia najbardziej prawdopodobnego stanu i fluktuacji. Moją wyobraźnię wstrząsnął wtedy ów znany przykład z powietrzem, które skupiło się w jednej połowie pokoju.

- W tym wypadku - mówił - wszyscy, którzy siedzieli w drugiej połowie, udusiliby się, a pozostali uznaliby to, co się stało, za cud. A to wcale nie cud, lecz całkiem realny, aczkolwiek niezwykle mało prawdopodobny fakt. To była gigantyczna fluktuacja - niewielkie odchylenie od najbardziej prawdopodobnego stanu.

Według jego słów, właśnie on stanowił takie odchylenie. Otaczały go cuda. Dwunastokolorowa tęcza było dla niego chlebem powszednim - widział ją sześć czy siedem razy.

- Pokonam na głowę każdego synoptyka amatora - chwalił się, z udręką w głosie. - Widziałem zorze polarne w Ałma Acie, widmo Brockenu na Kaukazie i dwadzieścia razy obserwowałem zielony promień albo miecz głodu, jak go nazywają. Gdy przyjechałem do Batumi zaczęła się susza. Wtedy udałem się w podróż na Gobi i tam trzy razy złapał mnie tropikalny deszcz.

W szkole i na studiach zdawał dziesiątki egzaminów i za każdym razem wyciągał zestaw numer pięć. Kiedyś podczas zaliczania jednego z kursów miano oceniać zgodnie z liczbą zdających jedynie cztery zestawy, a on i tak wyciągnął piąty, na godzinę przed egzaminem wykładowca dodał jeszcze jeden. Chleb upadał mu na ziemię nie posmarowaną stroną („Chyba jestem na to skazany do końca życia - rzekł. - To zawsze będzie mi

przypominać, że nie jestem zwykłym człowiekiem, lecz gigantyczną fluktuacją”). Dwa razy zdarzało mu się obserwować wielkie powietrzne soczewki („To makroskopijne fluktuacje szczelności powietrza” - wyjaśnił niezrozumiale) i dwa razy zapalały zapalki w jego rękach.

Wszystkie cuda, z którymi się zetknął, dzielił na trzy grupy -przyjemne, nieprzyjemne i neutralne. Chleb spadający posmarowaną stroną do góry zaliczał do pierwszej grupy. Chroniczny katar regularnie i niezależnie od pogody zaczynający się i kończący pierwszego dnia miesiąca, należał do drugiej grupy. Do trzeciej zaś należały różnorodne zjawiska przyrodnicze, mające zaszczyt wydarzać się w jego obecności. Kiedyś, na przykład, doszło przy nim do naruszenia drugiego prawa termodynamiki: woda w wazonie z kwiatami nieoczekiwanie zaczęła zabierać ciepło z otaczającego ją powietrza i doprowadziła się do wrzenia, a w pokoju pojawił się szron. („Długo chodziłem jak ogłuszony i teraz zawsze, zanim napiję się wody, najpierw sprawdzam palcem...”). Niejednokrotnie do jego namiotu - wiele podróżywał - wlatywały pioruny kuliste i godzinami wisały pod sufitem. W końcu się do tego przyzwyczaił i wykorzystywał je jak żarówki - czytał przy świetle.

- Wie pan, co to jest meteoryt? - zagadnął niespodziewanie.

Młodość skłonna jest do płaskich dowcipów, więc odpowiedziałem, że meteoryty to spadające gwiazdy, nie mające nic wspólnego z gwiazdami, które nie spadają.

- Meteoryty trafiają czasem w domy - rzekł w zadumie. - Ale to zdarza się bardzo rzadko. Zarejestrowano również jeden jedyny wypadek, gdy meteoryt trafił w człowieka. To jedyny, rozumie pan, wypadek w swoim rodzaju ...

- No i co? - spytałem.

- To ja jestem tym człowiekiem! - wyszeptał, pochylony nade mną.

- Żartuje pan - wzdrygnąłem się.

- Absolutnie - powiedział ze smutkiem.

Jak twierdził, wydarzyło się to na Uralu. Szedł sobie pieszo przez góry, i zatrzymał się, żeby zawiązać sznurowadło. Wtedy rozległ się ostry, szeleszczący świst, a on poczuł uderzenie w dolną część ciała i ból oparzenia.

- W spodniach była o, taka dziura - opowiadał. - Płynęła krew, rozumie pan, ale niezbyt mocno. Szkoda, że teraz jest ciemno, pokazałbym panu bliznę.

Zebrał wtedy na miejscu wydarzenia kilka podejrzanych kamyczków i trzymał je w biurku - być może któryś z nich jest meteorytem.

Zdarzały mu się również rzeczy absolutnie niewytłumaczalne z naukowego punktu widzenia. Przynajmniej przy dzisiejszym poziomie nauki. Na przykład kiedyś ni z tego, ni z owego stał się źródłem potężnego pola magnetycznego. Przejawiło się to tym, że wszystkie

znajdujące się w pokoju przedmioty, należące do ferromagnetyków, zerwały się ze swoich miejsc i runęły w jego stronę. Stalowe wieczne pióro wbiło mu się w policzek, coś mocno uderzyło go w głowę i plecy. Zasłonił się rękami i stał tak, drżąc z przerażenia, od stóp do głowy oblepiony nożami, widelcami, łyżkami i nożyczkami. Nagle wszystko się skończyło. Zjawisko trwało najwyżej dziesięć sekund. Nieznajomy zupełnie nie wiedział, jak je wytłumaczyć.

Innym razem otrzymał list od przyjaciela i już czytając pierwszą linijkę stwierdził, że dokładnie taki sam list otrzymał przed kilkoma laty. Przypomniał sobie nawet, że na odwrocie powinien być nieduży kleks. Odwrócił list i rzeczywiście zobaczył kleks.

- Te rzeczy więcej się nie powtarzały - oznajmił ze smutkiem. - Uznałem je za najbardziej znaczące w mojej kolekcji, ale tylko do dzisiejszego wieczora.

Często przerywał swoją przemowę, żeby oznajmić: W sumie, widzi pan, nie byłoby tak źle, ale dzisiaj... Tego już nadto, zapewniam pana.

- Nie sądzi pan - spytałem - że może pan być interesującym przypadkiem dla nauki?

- Myślałem o tym - odrzekł. - Pisałem. Rozumie pan, proponowałem. Ale nikt mi nie wierzy. Nawet rodzina. Tylko wujek wierzył, ale on już nie żyje. Wszyscy uważają mnie za oryginała i kiepskiego żartownisia. Nie wyobrażam sobie, co pomyślą po dzisiejszym wydarzeniu. - Z westchnieniem rzucił niedopałek. - Może to nawet lepiej, że nikt mi nie wierzy. Jeszcze utworzyliby komisję, która wszędzie by za mną chodziła i czekała na cuda. Z natury jestem samotnikiem, a po tym wszystkim charakter jeszcze mi się pogorszył. Czasem ze strachu nie śpię w nocy.

Co do komisji, miał rację. Przecież nie mógł wywoływać cudów na poczekaniu. Był tylko koncentracją cudów, punktem przestrzeni, w którym zachodzą mało prawdopodobne wydarzenia. Bez komisji i obserwacji nie obeszłoby się.

- Pisałem do jednego znanego uczonego - kontynuował. - W zasadzie, co prawda, tylko o meteorycie i wodzie w wazonie. Ale on, rozumie pan, potraktował to humorystycznie. Odpowiedział, że meteoryt spadł nie na mnie, tylko na pewnego, zdaje się, japońskiego kierowcę. I dość zjadliwie poradził mi, żebym zwrócił się do lekarza. Bardzo zainteresował mnie ten kierowca. Pomyślałem, że być może on również jest gigantyczną fluktuacją. Sam pan rozumie, to możliwe. Ale okazało się, że kierowca zmarł wiele lat temu. - Zamyślił się. - A do lekarza poszedłem. Okazało się, że z punktu widzenia medycyny wcale nie jestem interesujący. Lekarz stwierdził u mnie rozstrój systemu nerwowego i wysłał tutaj, do kurortu. Więc pojechałem. Skąd mogłem wiedzieć, co się tu zdarzy?

- Godzinę temu odleciała moja znajoma! - wyszeptał, chwytając mnie za ramię.

Nie zrozumiałem.

- Spacerowaliśmy tam, na górze, po parku. W końcu też jestem człowiekiem i miałem bardzo poważne zamiary. Poznaliśmy się w stołówce, poszliśmy przejść się po parku i ona odleciała.

- Dokąd? - wykrztusiłem.

- Nie wiem. Szliśmy, ona nagle krzyknęła, jęknęła, oderwała się od ziemi i uniosła się w powietrze. Byłem w szoku, zdążyłem tylko chwycić ją za nogę i proszę...

Wsunął mi do ręki jakiś twardy przedmiot. To był kłapek, zwykły jasny kłapek średniego rozmiaru.

- Widzi pan, to nie jest do końca niemożliwe - mamrotał fenomen. - Chaotyczny ruch molekuł ciała, ruch Browna cząstek żywego koloidu został uporządkowany, oderwało ją od ziemi i zaniósło nie wiadomo dokąd. Bardzo mało prawdopodobne zdarzenie... Niech pan mi powie, czy powinienem uważać się za zabójcę?

Milczałem wstrząśnięty. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że pewnie to wszystko wymyślił. A on tymczasem mówił przygnębiony:

- Zresztą nawet nie o to chodzi. W końcu mogła zaczepić się gdzieś o drzewo. Nie szukałem, bałem się, że nie znajdę. Ale wie pan, wcześniej te cuda dotyczyły tylko mnie, nie za bardzo lubiłem fluktuacje, ale fluktuacje lubiły mnie. A teraz?! Jeśli takie sztuczki zaczną się dziać z moimi znajomymi?... Dzisiaj odlatuje dziewczyna, jutro zapadną się. pod ziemią współpracownicy, pojutrze... na przykład pan. Przecież nie jest pan przed niczym ubezpieczony.

Sam to już rozumiałem. Poczułem ciekawość i lęk. No, pomyślałem, żeby tak się coś stało! Wydało mi się. nawet, że się unoszę i wczepiłem się rękami w kamień pod sobą. Nieznajomy wstał gwałtownie.

- Wie pan co, lepiej sobie pójdę - powiedział smętnie. - Nie lubię niepotrzebnych ofiar. Pan niech siedzi, a ja pójdę. Że też mi to wcześniej do głowy nie przyszło!

Ruszył pospiesznie wzdłuż brzegu, potykając się na kamieniach. Potem krzyknął z oddali:

- Niech mi pan wybaczy, jeśli coś się panu stanie! To przecież nie zależy ode mnie!

Szedł szybko i po chwili widziałem już tylko jego małą czarną figurkę na tle lekko fosforyzujących fal. Wydało mi się, że zamachnął się i rzucił w fale coś białego. Pewnie ten kłapek. W ten sposób się rozstaliśmy.

Nie poznałbym go. Chyba żeby towarzyszył mu jakiś cud. Nigdy więcej o nim nie słyszałem. Zdaje się, że tamtego lata nad morzem nic szczególnego się nie wydarzyło.

Widocznie dziewczyna tylko zaczepiła się o jakiś sęk i później się pobrali. W końcu miał bardzo poważne zamiary. Wiem tylko jedno. Jeśli kiedyś, ściskając rękę nowemu znajomemu, poczuję nagle, że staję się źródłem silnego pola magnetycznego i w dodatku zauważę, że nowy znajomy dużo pali, często pokasłuje - o tak, khym-khum - to, rozumiecie, znaczyć będzie, że to on, fenomen, koncentracja cudów, gigantyczna fluktuacja.

Żylin zakończył swoją opowieść i popatrzył triumfalnie na słuchaczy. Jurze spodobało się opowiadanie, ale jak zwykle nie wiedział, czy Żylin to wszystko wymyślił, czy opowiadał prawdę. Na wszelki wypadek przez cały czas uśmiechał się sceptycznie.

- Piękne - powiedział Jurkowski. - Ale najbardziej podoba mi się morał.

- A cóż to za morał? - spytał Bykow.

- Morał brzmi: Nie ma rzeczy niemożliwych, są tylko mało prawdopodobne - wyjaśnił Jurkowski.

- Poza tym - dodał Żylin - świat pełen jest zdumiewających rzeczy. To raz. I dwa: co wiemy o prawdopodobieństwie?

- Wy mnie tu nie zagadujcie. - Bykow wstał. - Tobie, Iwan, chyba nie dają spokoju pisarskie laury Michaiła Antonowicza. Umieść to opowiadanie w swoich memuarach.

- Tak zrobię - skinął głową Żylin. - Prawda, że dobre?

- Dziękuję, Waniusza - powiedział Jurkowski. - Wspaniale się odprężyłem. Ciekawe, jak u niego mogło się pojawić pole elektromagnetyczne?

- Magnetyczne - poprawił Żylin. - Mówił o magnetycznym.

- Taak - rzeki Jurkowski i zamyślił się.

Po kolacji zostali w mesie we trzech. Schodzący z wachty Michaił Antonowicz z rozkoszą usadowił się w fotelu Bykowa, żeby poczytać przed snem Opowieść o księciu Genji, a Jura z Żylinem zasiedli przed ekranem magnetowizora, żeby obejrzeć coś lekkiego. Światło w mesie było przygaszone, na ekranie przelewały się mroczne barwy strasznej dżungli, którą przedzierali się pierwsi odkrywcy, w kącie błyszczała łysina Michaiła Antonowicza. Panowała cisza.

Żylin widział już Pierwszych odkrywców, teraz znacznie bardziej interesowało go obserwowanie Jury i nawigatora. Jura był całkowicie pochłonięty filmem, co jakiś czas poprawiał na głowie cienką obręcz fonoprojektora. „Odkrywcy” strasznie mu się podobali. Żylin śmiejąc się do siebie myślał, jak strasznie głupi i prymitywny jest ten film, zwłaszcza gdy ogląda się go po raz kolejny i ma się po trzydziestce. Te bohaterские czyny,

przypominające samobiczowanie w ekstazie, bezsensowne od początku do końca, ten dowódca Sanders, którego należałoby natychmiast zdjąć ze stanowiska, obsztorcować i wysłać na Ziemię na stanowisko archiwariusza, żeby nie szalał i nie gubił niewinnych ludzi, nie mających prawa mu się przeciwstawić. A przede wszystkim uciszyć tę histeryczkę Prasko-winę, wysłać samą do dżungli, skoro tak się tam pcha. Co za załoga! Sami infantylni samobójcy. Doktor był niezły, ale autor zabił go zaraz na początku, pewnie żeby nie wyłamował się z idiotycznego planu szalonego dowódcy.

Najzabawniejsze było to, że Jura wszystkiego tego nie może nie widzieć, ale spróbuj go oderwać teraz od ekranu i posadzić nad księciem Genji!... Tak to już po prostu jest, że każdy normalny chłopak do pewnego wieku będzie wolał dramat pościgu, zwiadu i śmierci od dramatu ludzkiej duszy, subtelnych przeżyć, które są tak pasjonujące i tragiczne... O, na pewno przyzna, że Lew Tołstoj jest wielki jako pomnik ludzkiej duszy, że Galsworthy jest monumentalny i znamienity jako socjolog, a Dmitrij Strogow nie ma sobie równych w badaniach nad światem wewnętrznym nowego człowieka. Ale to będą cudze słowa. Przyjdzie oczywiście czas, gdy przeżyje szok, widząc księcia Andrzeja żywego wśród żywych, i zatchnie się z przerażenia i żalu, gdy zrozumie do końca Somsa, gdy poczuje wielką dumę, widząc oślepiające słońce, płonące w niewyobrażalnie skomplikowanej duszy strogowskiego Tokmakowa... Ale to stanie się znacznie później, gdy będzie miał już własne doświadczenia wewnętrznych przeżyć.

Co innego Michaił Antonowicz. O, właśnie uniósł głowę i wpatruje się małymi oczkami w ciemność pokoju. Zapewne ma przed sobą tego dziwnie uczesanego pięknisia w dziwnym ubraniu, z niepotrzebnym mieczem za pasem, subtelnego i drwiącego grzesznika, japońskiego Don Juana, dokładnie takiego, jaki wyskoczył spod pióra genialnej Japonki w pałacu i wyruszył w niewidzialną podróż po świecie, póki nie znaleźli się dla niego genialni tłumacze. Michaił Antonowicz widzi go teraz tak, jakby nie dzieliło ich dziewięć wieków i półtora miliarda kilometrów, ale widzi go tylko on. Jura zobaczy to wszystko za jakieś pięć lat, gdy w jego życie wejdzie Tokmakow, Forsyte'owie, Katia z Daszą i wielu, wielu innych...

Ostatni odkrywca umarł pod zatkniętą flagą i ekran zgasł. Jura ściągnął z karku fonodemonstrator i w zadumie powiedział:

- Wspaniały film.
- Cudo - odezwał się poważnie Żylin.
- A jacy ludzie! - Jura pociągnął się za sterczące na czubku głowy włosy. - Jak stalowa klinga... Herosi. Tylko Praskowina jakaś taka nienaturalna.
- Taak, chyba tak.

-Ale za to Sanders! Jaki podobny do Władimira Siergiejewicza!

- Mnie oni wszyscy przypominają Władimira Siergiejewicza powiedział Żylin.

- No co wy! - Jura obejrzał się, zobaczył Michaiła Antonowicza i jego głos zmienił się w szept: - Pewnie, że są prawdziwi i czyści, ale...

- Chodźmy lepiej do mnie - zaproponował Żylin. Wyszli z mesy i skierowali się do kajuty Żylina.

- Wszyscy byli wspaniali - mówił Jura - ale Władimir Siergiejewcz to zupełnie inny człowiek, potężniejszy, ważniejszy...

Weszli do pokoju. Żylin siadł i patrzył na Jurę.

- A jakie bagna! - ciągnął Jura. - Jak to fantastycznie zrobione - brązowa ciecz z ogromnymi białymi plamami, i lśniąca śliską skórą w trzcinach... I krzyk dżungli... - Zamilkł nagle. - Wania - powiedział ostrożnie po chwili - widzę, że wam nie za bardzo się podobało?...

- No coś ty! - zawołał Żylin. - Tylko ja już widziałem ten film, no i za stary jestem na te wszystkie bagna. Sam po nich chodziłem i wiem, jak tam jest naprawdę.

Jura wzruszył z niezadowoleniem ramionami.

- Uwierz mi, przyjacielu, nie o bagna tu chodzi - Żylin odchylił się na oparcie fotela i przyjął ulubioną pozycję: odchylona głowa, palce splecione na karku i rozłożone łokcie. - Nie myśl, że to aluzja do różnicy wieku pomiędzy nami. Nie. To przecież nieprawda, że bywają dzieci i bywają dorośli. Nie. Tak naprawdę jest to znacznie bardziej skomplikowane. Bywają dorośli i dorośli. Na przykład ty, ja i Michaił Antonowicz. Powiedz, czy będąc zdrowym na umyśle, zacząłbyś czytać Opowieść o księciu Genjil Widzę odpowiedź twą na licu twym. A Michaił Antonowicz czyta ją już piąty raz. A ja po raz pierwszy odkryłem całe to piękno dopiero w tym roku... - Żylin zamilkł na chwilę, po czym wyjaśnił: - Piękno książki, oczywiście. Piękno Michaiła Antonowicza odkryłem znacznie wcześniej.

Jura patrzył na niego z powątpiewaniem.

- No, ja wiem, że to klasyka i tak dalej - oznajmił. - Ale nie czytałbym Genji pięć razy. Tam wszystko jest takie poplątane, skomplikowane... A życie jest proste, znacznie prostsze niż piszą w książkach.

- Życie jest złożone - powiedział Żylin. - Znacznie bardziej złożone, niż pokazują to filmy takie jak Pierwsi odkrywcy. Jeśli chcesz, spróbujemy to omówić. Weźmy Sandersa. Ma żonę i syna. Ma przyjaciół. A jednak z taką łatwością idzie na śmierć. Ma sumienie. I tak lekko prowadzi na śmierć swoich ludzi...

- Zapomniał o tym wszystkim, bo...

- O tym, Jurik, nie zapomina się nigdy. I w filmie powinno być nie to, że Sanders umarł śmiercią bohatera, a to, że zapomniał. Jego śmierć była pewna, przyjacielu. Tego w kinie nie ma, dlatego wszystko wydaje się proste. A gdyby było, film wydałby ci się nudny.

Jura milczał.

- No? - spytał Żylin.

- Może - przyznał z niechęcią Jura. - Aleja i tak uważam, że na życie trzeba patrzeć prościej.

- Przejdzie ci - obiecał Żylin.

Zamilkli. Żylin zmrużył oczy, patrzył na lampę.

- Jest tchórzostwo, jest bohaterstwo, jest praca - ciekawa i nieciekawa - powiedział Jura. - Czy trzeba to wszystko plątać, brać tchórzostwo za bohaterstwo i na odwrót?

- A kto tak płacze, kimże jest ten łajdak? - wykrzyknął Żylin.

- Ja tylko ogólnie powiedziałem, jak to się dzieje w niektórych książkach - zaśmiał się Jura. Wezmą jakiegoś typa, będą się nad nim roztkliwiać i potem wychodzi, że to „piękny paradoks” albo „postać pełna sprzeczności”. A to zwykły typ. Tak jak ten Genja.

- Wszyscy jesteśmy po trochu końmi - powiedział przenikliwie Żylin. - Każdy z nas jest koniem na swój sposób. To życie wszystko płacze. Jego Wysokość Życie. To błogosławione łajdactwo. Życie zmusza dumnego Jurkowskiego, by prosił nieustępliwego Bykowa. Życie zmusza Bykowa, żeby odmówił swojemu najlepszemu przyjacielowi. Kto z nich jest koniem, to znaczy typem? Życie zmusza Żylina, który absolutnie zgadza się z żelazną linią Bykowa, do stworzenia bajki o gigantycznej fluktuacji - przynajmniej w ten sposób może wyrazić swój protest przeciw samej nieugiętości tej linii. Żylin też jest typem. Wciąż rozrzewniony, ponadto brak mu stałości przekonań. A znamienity spawacz próżniowy Borodin? Czy to nie on widział sens życia w tym, żeby złożyć się na odpowiednim ołtarzu? I kto zachwiał nim, nie logiką, a tylko wyrazem twarzy? Zdemoralizowany oberżysta z Dzikiego Zachodu. Zachwiał?

- N-no, w pewnym sensie...

- I czy ten Borodin nie jest typem? Czy życie jest proste? Wybrał zasadę i dalej jazda. Ale zasady dlatego są dobre, że się starzeją. Starzeją się szybciej niż człowiek, więc człowiekowi zostają tylko te, które podyktowała sama historia. W naszych czasach historia okrutnie oznajmiła Jurkowskim: basta! Żadne odkrycia nie są warte jednego ludzkiego życia. Ryzykować życiem można tylko w imię życia. Nie wymyślili tego ludzie, lecz podyktowała historia, ludzie tylko zrobili tę historię. Ale tam, gdzie zasada ogólna zderza się z zasadą osobistą - tam kończy się życie proste i zaczyna złożone. Takie właśnie jest życie.

- Tak - powiedział Jura. - Zapewne.

Zamilkli i Żylin znowu poczuł męczące uczucie rozdwojenia, które nie opuszczało go od kilku lat. Jak gdyby za każdym razem, wychodząc w rejs, zostawiał na Ziemi jakąś niezwykle ważną sprawę. Najważniejszą dla ludzi, niezwykle ważną, ważniejszą od całego wszechświata, ważniejszą od najwspanialszych tworów ludzkich rąk.

Na Ziemi zostawiali ludzie, młodzież, dzieci. Zostawały miliony milionów takich Jurików i Żylin czuł, że może im pomóc, przynajmniej niektórym z nich. Wszystko jedno gdzie. W szkolnym internacie. W przykładowym klubie. W Domu Pionierów. Pomóc wejść w życie, pomóc odnaleźć siebie, określić swoje miejsce na świecie, nauczyć chcieć od razu wielu rzeczy, nauczyć pragnąć pracy do upadłego.

Nauczyć nie kłaniać się autorytetom, a badać je i porównywać ich osiągnięcia z życiem.

Nauczyć aktywnie podchodzić do doświadczenia ludzi bywałych, bo życie zmienia się niezwykle szybko.

Nauczyć pogardy do mieszczańskiej mądrości.

Nauczyć, że kochać i płakać z miłości to nie wstyd.

Nauczyć, że sceptycyzm i cynizm są tanie, że to dużo łatwiejsze i nudniej sze niż dziwić się i cieszyć życiem.

Nauczyć wierzyć w poruszenia duszy bliźniego swego.

Nauczyć, że lepiej się dwadzieścia razy pomylić co do człowieka, niż każdego podejrzewać.

Nauczyć, że nie chodzi o to, jak na ciebie wpływają inni, lecz o to, jak ty wpływasz na innych.

Nauczyć ich, że jeden człowiek nic nie jest wart.

- Wania, zagrajmy w szachy - westchnął Jura.

- Zagrajmy - rzekł Żylin.

11. Diona. Na czworaka.

Dyrektora obserwatorium na Dionie Jurkowski znał od dawna, jeszcze z czasów jego aspirantury w Instytucie Planetologii. Władysław Kimowicz Szerszeń chodził wówczas na wykłady Jurkowskiego „Planety giganty”. Jurkowski pamiętał go i lubił za żywość umysłu oraz wyjątkową konsekwencję w dążeniu do celu.

Szerszeń wyszedł prosto na kesoń powitać starego mentora.

- Nie spodziewałem się, nie spodziewałem - mówił, prowadząc Jurkowskiego pod łokieć do swojego gabinetu.

Szerszeń zmienił się. Nie był już tym zgrabnym, ciemnowłosym chłopakiem, zawsze opalonym i trochę mrukowatym. Teraz Szerszeń był blady, wyłysiał, przytył i ciągle się uśmiechał.

- Nie spodziewałem się! - powtarzał z przyjemnością. - Że też się do nas wybraliście, Władimirze Siergiejewiczu! I nikt nas nie powiadomił...

W gabinecie posadził Jurkowskiego przy swoim stole, odsunął na bok teczkę ze stertą fotokorekty, a sam siadł na taborecie naprzeciwko. Jurkowski rozglądał się, życzliwie kiwając głową. Gabinet był niewielki, ściany gołe. Prawdziwe miejsce pracy uczonego na międzyplanetarnej stacji. Sam Władysław idealnie pasował do tego miejsca. Miał na sobie znoszony, ale wyprasowany kombinezon z podwiniętymi rękawami, pulchna twarz była gładko ogolona, a rzadkie posiwiałe włosy starannie uczesane.

- Postarzeliście się, Władysławie - rzekł Jurkowski z żalem. -I... f-figura już nie ta. Kiedyś wyglądaliście jak sportsmen.

- Sześć lat tutaj, niemal bez wyjazdów, Władimirze Siergiejewiczu - odparł Szerszeń. - Przyciąganie jest pięćdziesiąt razy mniejsze niż na Planecie, znęcać się nad sobą ekspanderami, jak to robi nasza młodzież, nie mam czasu, poza tym serce nie pozwala, no to tyję. Zresztą, ładna figura mi niepotrzebna, Władimirze Siergiejewiczu. Żonie i tak wszystko jedno, a dla dziewcząt się odchudzać... I temperament nie ten, i nie wypada...

Śmiali się przez chwilę.

- A wy, Władimirze Siergiejewiczu, prawie się nie zmieniliście.

- Tak - powiedział Jurkowski. - Włosów ubywa, rozumu przybywa.

- Co nowego w instytucie? - spytał Szerszeń. - Co nowego u Abdula Kadyrowicza?

- Abdul ugrzął - odparł Jurkowski. - Czekają na wasze rezultaty, Władysławie. Właściwie cała planetologia Saturna opiera się na was. Rozpieściliście ich... r-rozpieściliście.

- Cóż - rzekł Szerszeń. - Na nas możecie polegać. W następnym roku zaczniemy głębinowe badania... Dobrze by było, gdybyście mi ludzi podrzucili Władimirze Siergiejewiczu, specjalistów. Doświadczonych specjalistów.

- Specjaliści - uśmiechnął się Jurkowski. - Specjalistów wszyscy potrzebują. Ale to przecież właśnie wy macie przygotowywać specjalistów. To wy, wy powinniście dawać ich instytutom, a nie instytuty wam. A ja słyszałem, że puściliście Millera na Tetydę. Nawet to, co wam dajemy, tracie. Szerszeń pokręcił głową.

- Drogi Władimirze Siergiejewiczu - oświadczył -ja mam pracować, a nie przygotowywać specjalistów. Rzeczywiście, Miller. Nie powiem, porządny atmosferyk, dwadzieścia niezłych prac. Ale na Dionie trzeba realizować program, a nie nadszpeciwać Millerom. I takich jak on niech instytut trzyma u siebie. Nam tutaj potrzebna jest zdyscyplinowana młodzież... Kto tam siedzi w dziale koordynacji? Ciągłe Barkan?

- Tak - powiedział Jurkowski.

- Właśnie widać.

- No, no, Barkan to porządny pracownik. Ale teraz otwarto pięć nowych obserwatoriów w przestrzeni. I wszyscy potrzebują ludzi.

- Towarzysze! - wykrzyknął Szerszeń. - Trzeba umieć planować! Obserwatoriów naotwierali, a specjalistów nie przybywa! Przecież tak nie można!

- Dobrze-przyznał rozbawiony Jurkowski. -Waszego... n-niezadowolonia, nie omieszkać przekazać Barkanowi. Właśnie, Władysławie, szykujcie wasze pretensje i skargi. W sprawie ludzi, sprzętu. Korzystajcie z okazji, macie przed sobą przedstawiciela władzy, zdolnego decydować i karać, wyższej władzy, Władysławie - Szerszeń w zdumieniu uniósł brwi. - Rozmawiacie z generalnym inspektorem MZKK.

Szerszeń drgnął.

- Więc to tak! - powiedział powoli. - Tego się nie spodziewałem! - uśmiechnął się. - A ja dureń zachodzę w głowę, jak to się stało, że szef światowej planetologii, tak nagle, bez uprzedzenia... Ciekawe, w wyniku jakich oszczerstw nasza malutka Diona dostała zaszczytu generalnej wizyty?

Znowu się roześmiali.

- Posłuchajcie, Władysławie - rzekł Jurkowski. - Jesteśmy zadowoleni z pracy waszego obserwatorium i o tym wiecie. Jestem z was bardzo zadowolony. Dobrze... p-pracujecie. I wcale nie miałem zamiaru niepokoić was w moim... o-oficjalnym charakterze.

Ale chodzi o ludzi. Niejaki, powiedziałbym, zrozumiałe zdumienie budzi fakt, że u was... W u-ubiegłym roku zakończono u was dwadzieścia prac. Dobrych prac. Niektóre znamienite. Na przykład... t-ta o określeniu głębokości ezosferycznych warstw po konfiguracji cienia pierścieni. To dobre prace. Ale nie ma wśród nich ani jednej samodzielnej. Szerszeń i Szatrowa... Szerszeń i Awerin... Powstaje pytanie: czemu nie po prostu Awerin i Szatrowa? Czemu nie po prostu Swirski? Można odnieść wrażenie, że prowadzicie swoją młodzież na pasku. Zgadza się, że najważniejszy jest rezultat, zwycięzców się nie sądzi... a-ale przy całym waszym obciążeniu, nie macie prawa zapominać, że przygotowujecie specjalistów, którzy prędzej czy później będą musieli zacząć samodzielną pracę. I uczyć następnych. Co wy na to?

- Słuszne pytanie, Władimirze Siergiejewiczu - rzekł Szerszeń po chwili milczenia. - Ale jak na nie odpowiedzieć - nie mam pojęcia. Wiem, że wygląda to podejrzanie. Powiedziałbym, ohydnie. Kilka razy próbowałem odmówić współautorstwa, żeby po prostu zachować twarz. I wyobraźcie sobie, nie pozwalają mi. Ale ja ich rozumiem! Na przykład Tola Krawiec. - Poklepał dłonią po fotokorekcie. - Wspaniały obserwator. Mistrz pomiarów precyzyjnych. Doskonały inżynier. Ale... - Rozłożył ręce. - Czy ma za mało doświadczenia, czy co... Ogromny, niebywale interesujący materiał obserwacyjny i praktycznie absolutna niezdolność przeprowadzenia wykwalifikowanej analizy rezultatów. Rozumiecie, Władimirze Siergiejewiczu, przecież jestem uczonym, boli mnie sama myśl, że można było zmarnować taki materiał, publikując go w stanie surowym, żeby wnioski wyciągał Abdul Kadyrowicz... A dlaczego, z jakiej niby racji? Nie wytrzymuję, siadam, zaczynam interpretować sam. A chłopak ma ambicję. W ten sposób mamy Szerszeń i Krawiec.

- Taak - powiedział Jurkowski. - Zdarza się. Ale wy się nie denerwujcie, nikt niczego strasznego nie podejrzewa... Przecież was znamy. Tak. Anatolij Krawiec. Wydaje się, że go sobie... p-przypominam. Taki potężny. Bardzo uprzejmy. Tak, tak, przypominam sobie. Pamiętam, był z niego bardzo pilny student. Ale myślałem, że on jest na Ziemi, w Abastumani... t-tak. Opowiedzcie mi, proszę, o waszych pracownikach. Już ich wszystkich zapomniałem.

- Cóż - rzekł Szerszeń. - To nie będzie trudne. Jest nas tu ośmiu ludzi na całej Dionie. Ditza i Oleniewą pomijam, to inżynierowie, kontrolerzy. Zdolni, kompetentni, ani jednej awarii w ciągu trzech lat. O mnie też nie będziemy mówić, w sumie zostanie nam pięcioro, właściwie samych astronomów. Awerin, astrofizyk. Bardzo obiecujący, cenny robotnik, ale na razie zbyt szybko się rozprasza. Osobiście nigdy mi się to w ludziach nie podobało. Dlatego właśnie nie dogadaliśmy się z Millerem. Tak. Witalij Swirski. Też astrofizyk.

- Pozwólcie - przerwał mu Jurkowski, rozjaśniony. - Awerin i Swirski! Jakże... co to byli za przyjaciele! Pamiętam, byłem w kiepskim nastroju i ściałem na egzaminie Awerina. Swirski odmówił zdawania u mnie. Bardzo dobrze pamiętam ten wzruszający bunt... To była przyjaźń!

- Teraz trochę się od siebie odsunęli - stwierdził ze smutkiem Szerszeń.

- A co się... stało?

- Dziewczyna - odparł gniewnie Szerszeń. - Obaj zakochali się po uszy w Zinie Szatrowej...

- Pamiętam! - Wykrzyknął Jurkowski. - Malutka, wesoła, oczy niebieskie, jak... n-niezapominajki. Wszyscy ją adorowali, a ona tylko z nich żartowała. Taka z niej była żartownisia.

- Teraz się zmieniła - powiedział Szerszeń. - Zaplątałem się w tych sercowych sprawach. Tak, Władimirze Siergiejewiczu, w tej kwestii zawsze występowałem i będę występował przeciwko wam. Odległe bazy to nie miejsce dla młodych dziewcząt.

- Zostawmy to, Władysławie. - Jurkowski sposepniał.

- Ale nie w tym rzecz. Ja też dużo się spodziewałem po tej parze. Awerin i Swirski... A oni zażądali różnych tematów. Teraz ich stary temat opracowujemy ja i Awerin, a Swirski pracuje oddzielnie. Właśnie, Swirski. Spokojny, opanowany, może nieco zbyt flegmatyczny. Chcę postawić go na moim miejscu, gdy pójdę na urlop. Jeszcze nie do końca samodzielny, trzeba mu pomagać. O Toli Krawcu wam opowiadałem. Zina Szatrowa... - Szerszeń zamilkł i podrapał się po karku. - Dziewczyna! - wykrzyknął. - Mądra, zna się na swojej robocie, ale... taka dziewczynska. Emocje. Zresztą, nie zgłaszam pretensji do jej pracy. Na swój chleb na Dionie zarabia. I wreszcie, Bazanow.

Szerszeń zamilkł i zamyślił się. Jurkowski zerknął na fotokorektę, po czym nie wytrzymał, zsunął wieko zacisku, zasłaniające kartę tytułową. „Szerszeń i Krawiec - przeczytał. - Pyłowa składowa pasów Saturna”. Westchnął i przeniósł wzrok na Szerszenia.

- No więc? - spytał. - Co z tym... B-Bazanowem?

- Bazanow to doskonały pracownik - powiedział zdecydowanie Szerszeń. - Trochę niepokorny, ale jasny, świeży umysł. Tylko ciężko z nim współpracować.

- Bazanow... nie pamiętam. Czym się zajmuje?

- Atmosferą. Problem polega na tym, że straszny z niego skrupulant. Praca gotowa, jeszcze Miller mu pomagał, pora publikować - a on nie! Ciągłe z czegoś niezadowolony, coś mu się wydaje nieuzasadnione... Są tacy samokrytyczni ludzie. Samokrytyczni i uparci. Od

dawna korzystamy z jego rezultatów, a powołać się na niego nie możemy, głupia sytuacja... Ale szczerze mówiąc, nie bardzo się tym przejmuję. Poza tym, on jest taki uparty i drażliwy.

- Tak - przyznał Jurkowski - taki był z niego... b-bardzo samodzielny student. Tak... bardzo. - Jakby niechcący sięgnął po fotokorektę i niby w roztargnieniu zaczął kartkować. - Tak... i-interesujące. A tej pracy jeszcze nie widziałem.

- To moja ostatnia - uśmiechnął się Szerszeń. - Korektę zapewne sam zawiozę na Ziemię, jadąc na urlop. Paradoksalne rezultaty, Władimirze Siergiejewiczu. Fascynujące. Spójrzcie tylko...

Szerszeń obszedł stół i pochylił się nad Jurkowskim. Do drzwi ktoś zastukał.

- Przepraszam, Władimirze Siergiejewiczu - powiedział Szerszeń i wyprostował się.

Przez niski owalny luk wszedł zgięty wpół kościsty blady chłopak. Jurkowski poznał go - to był Pietia Bazanow, dobroduszny, bardzo sprawiedliwy, mądry i serdeczny. Jurkowski już zaczął się do niego życzliwie uśmiechać, ale Bazanow tylko chłodno skinął głową, po czym podszedł do stołu i położył teczkę przed Szerszeniem.

- Oto wyliczenia - powiedział. - Współczynniki absorpcji.

- Cóż to, Piotrze... n-nawet przywitać się ze mną nie chcecie? -rzekł Jurkowski spokojnie.

Bazanow powoli zwrócił do niego swoją chudą twarz i popatrzył na niego, mrużąc oczy.

- Przepraszam, Władimirze Siergiejewiczu-powiedział. - Dzień dobry. Obawiam się, że trochę się zapomniałem.

- Obawiam się, że rzeczywiście trochę się zapomnieliście, Bazanow - odezwał się półgłosem Szerszeń.

Bazanow wzruszył ramionami i wyszedł, zatraskując za sobą luk. Jurkowski wyprostował się gwałtownie i wyrzuciło go zza stołu. Szerszeń schwycił go za rękę.

- U nas magnetyczne podkowy trzyma się na podłodze, towarzyszu generalny inspektorze - powiedział z uśmiechem. - To nie „Tachmasib”.

Jurkowski patrzył na zamknięty luk. Czy to naprawdę Bazanow, pomyślał ze zdumieniem. Szerszeń spoważniał.

- Nie dziwcie się zachowaniu Bazanowa - powiedział. - Pokłóciłem się z nim trochę. On uważa, że obliczanie jest poniżej jego godności i już drugą dobę terroryzuje całe obserwatorium.

Jurkowski ściągnął brwi, próbując coś sobie przypomnieć. Po czym machnął ręką.

- Nie mówmy o tym - powiedział. - Dajcie, Władysławie, swoje paradoksy.

Cienka lina windy była przeciągnięta od reaktywnego pierścienia „Tachmasiba” przez kamieniste ruiny do cylindrycznej wieży. Jura powoli, ostrożnie szedł wzdłuż liny, z zadowoleniem czując, że okres przygotowawczy w warunkach nieważkości nie minął bez śladu. Jakies pięćdziesiąt metrów przed nim połyskiwał w żółtym świetle Saturna skafander Michaiła Antonowicza.

Ogromny żółty sierp Saturna wзираł mu zza ramienia. Przed nimi nad bliskim horyzontem płonął zielonkawy, wyszczerbiony księżyc - Tytan, największy satelita Saturna i największy satelita w Układzie Słonecznym. Jura obejrzał się na Saturna. Pierścieni z Diony nie było widać. Zobaczył tylko cienki srebrzysty promień, przecinający sierp na pół. Nie oświetlona część tarczy Saturna migotała zielenią. Gdzieś z tyłu poruszała się teraz Rhea.

Michaił Antonowicz poczekał na Jurę i razem precyzyjnie przeszli przez niskie półokrągłe drzwi. Obserwatorium mieściło się pod ziemią, na powierzchni były tylko wieże interferometrów i paraboloidy anten, przypominające ogromne talerze. W kesońce, wychodząc ze skafandra, Michaił Antonowicz powiedział:

- Pójdę, Jurik, do biblioteki, a ty się tu pokręć, popatrz, pracownicy tu młodzi, szybko się z nimi zaznajomisz... A za dwie godziny się spotkamy... Albo wrócisz prosto na statek...

Poklepał Jurę po ramieniu i grzmocąc magnetycznymi podkowami poszedł korytarzem w lewo. Jura skierował się na prawo. Korytarz był okrągły, obity matowym plastikiem. Pod nogami leżał niezbyt szeroki stalowy chodnik, pokiereszowany podkowami. Wzdłuż korytarza ciągnęły się rury, w których coś chlupotało i bulgotało. Pachniało sosnowym lasem i nagrzanym metalem.

Jura minął otwarty luk. W środku nie było nikogo, migotały jedynie kolorowe światełka na pulpitych. Jak cicho, pomyślał Jura. Nikogo nie widać i nie słychać. Skręcił w poprzeczny korytarz i usłyszał muzykę. Ktoś gdzieś grał na gitarze smętną melodię. Czyżby i na Rhei tak było? - pomyślał nagle. Lubił, żeby wokół było gwarno, żeby wszyscy byli razem, śmiali się, żartowali i śpiewali. Zrobiło mu się smutno. Potem pomyślał, że pewnie wszyscy teraz pracują. Ale to mu nie pomogło. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że ludzie muszą się nudzić w tych okrągłych pustych korytarzach - tutaj i na innych dalekich planetach. To pewnie przez tę gitarę.

Nagle nad samym uchem usłyszał wyraźnie czyjś głos: To cię zupełnie nie powinno obchodzić! Rozumiesz? Zupełnie! Jura zatrzymał się. Korytarz był pusty. Drugi głos, miękki i przepraszający powiedział: Nie miałem nic złego na myśli, Witalij. To rzeczywiście nie jest potrzebne ani tobie, ani jej, ani Władysławowi Kimowiczowi. Nikomu to niepotrzebne.

Chciałem tylko powiedzieć... Zły głos przerwał: Już to słyszałem, już mi to obrzydło! Odczepcie się ode mnie z waszym Awerinem, nie wtrącajcie się do moich spraw! Proszę tylko o jedno: pozwólcie mi odpracować moje trzy lata i niech was pochłoną najgłębsze tartary...

Po lewej stronie Jury otworzył się luk i na korytarz wyskoczył białowłosy chłopak, mniej więcej dwudziestopięcioletni. Czuprynę miał rozczochraną, twarz czerwoną i wykrzywioną. Z przyjemnością trzasnął lukiem i zatrzymał się przed Jurą. Przez chwilę przyglądali się sobie.

- Kim jesteście? - spytał jasnowłosy.

- Ja... - powiedział Jura. - Jestem z „Tachmasiba”.

- A - rzekł ze wstrętem jasnowłosy. - Jeszcze jeden pupilek! Ominął Jurę i szybko poszedł korytarzem, co chwila podlatując pod sufit i mamrocząc: Niech was tartary pochłoną!... Niech was wszystkich tartary pochłoną... Jura rzucił chłodno:

- Co, przytłukliście sobie palec? Jasnowłosy nie odwrócił się.

No, no, pomyślał Jura. Wcale tu nie tak nudno...

Odwrócił się do luku i zobaczył, że przed nim stoi jeszcze jeden człowiek, pewnie ten, który mówił przeproszającym tonem. Przysadzisty, barczysty i ubrany nie bez elegancji. Miał ładną fryzurę i rumianą smutną twarz.

- Wy z „Tachmasiba”? - zagadnął cicho i serdecznie skinął głową.

- Tak.

- Z Władimirem Sergiejewiczem Jurkowskim? Dzień dobry. -Człowiek wyciągnął rękę. - Nazywam się Krawiec, Anatolij. Będziecie u nas pracować?

- Nie - powiedział Jura. - Jestem tu przejazdem.

- Ach, przejazdem? - spytał Krawiec, wciąż trzymając dłoń Jury. Jego ręka była sucha i chłodna.

- Jurij Borodin - przedstawił się Jura.

- Bardzo mi przyjemnie - rzekł Krawiec i puścił rękę Jury. -Więc przejazdem. Powiedzcie mi, Jura, czy Władimir Sergiejewicz rzeczywiście przyjechał do nas na inspekcję?

- Nie wiem - powiedział Jura.

Rumiana twarz Anatolija Krawca posmutniała.

- No, oczywiście, skąd mielibyście wiedzieć... Rozumiecie, u nas zaczęła krążyć ta dziwna pogłoska... Dawno znacie Władimira Sergiejewicza?

- Miesiąc - odparł niechętnie Jura.

Krawiec mu się nie podobał. Może dlatego, że rozmawiał z jasnowłosym takim przeprasającym tonem. Albo dlatego, że przez cały czas zadawał pytania.

- A ja znam go dłużej - powiedział Krawiec. - Uczyłem się u niego. - Nagle się spostrzegł. - Ale dlaczego my tu stoimy? Wejdźcie!

Jura wszedł do luku. To było widocznie laboratorium obliczeniowe. Wzdłuż ścian ciągnęły się przezroczyste stelaże elektronicznej maszyny. Pośrodku stał matowobiały pulpit i wielki stół zavalony papierami i schematami. Stało na nim kilka niewielkich maszyn elektronicznych do ręcznych obliczeń.

- To nasz mózg - wyjaśnił Krawiec. - Siadajcie. Jura stał. Milczenie przeciągało się.

- Na „Tachmasibie” też jest taka maszyna - oznajmił Jura.

- Teraz wszyscy prowadzą obserwacje - rzekł Krawiec. - Dlatego nikogo nie ma. Prowadzimy wiele obserwacji, bardzo dużo pracujemy. Czas mknie jak strzała. Czasem z powodu pracy dochodzi do sporów i zadrażnień... - machnął ręką ze śmiechem. - Nasi astrofizycy zupełnie się pokłócili. Każdy z nich ma swoją ideę i każdy uważa tego drugiego za idiotę. Rozmawiają przeze mnie i obrywam od obydwu.

Krawiec zamilkł i popatrzył wyczekująco na Jurę.

- Cóż - stwierdził Jura, patrząc w bok. - Zdarza się. Pewnie, pomyślał, nikt nie ma ochoty wyrzucać śmieci.

- Mało nas tutaj - rzucił Krawiec. - I wszyscy jesteśmy bardzo zajęci. Nasz dyrektor, Władysław Kimowicz, to bardzo dobry człowiek, ale też zajęty. Więc na pierwszy rzut oka może się wydać, że tu u nas nudno. A tak naprawdę przez okrągłą dobę każdy siedzi nad swoją pracą.

Znowu popatrzył wyczekująco na Jurę. Jura odezwał się uprzejmie:

- No jasne, czym innym można się zajmować w kosmosie. Kosmos jest przecież po to, żeby pracować. Chociaż tu u was rzeczywiście trochę pusto. Tylko gitara gdzieś gra.

- Aa - uśmiechnął się Krawiec. - To nasz Ditz zagłębił się w rozmyślaniach.

Luk otworzył się, do laboratorium weszła niewysoka dziewczyna z wielką stertą papierów. Ramieniem zamknęła luk i popatrzyła na Jurę. Chyba się przed chwilą obudziła, bo oczy miała lekko podpuchnięte.

- Dzień dobry - powitał ją Jura.

Dziewczyna bezdźwięcznie poruszyła wargami i cichutko podeszła do stołu.

- To Zina Szatrowa - odezwał się Krawiec. - A to, Zinoczka, Jurij Borodin, przybył razem z Władimirem Siergiejewiczem Jurkowskim.

Dziewczyna skinęła głową, nie podnosząc oczu. Jura zastanawiał się, czy wszystkich przybyłych na „Tachmasibie” z Jurkowskim pracownicy obserwatorium traktują tak dziwnie. Spojrzał na Krawca. Krawiec patrzył na Zinę, która w milczeniu przekładała kartki. Gdy przysunęła do siebie elektroniczną maszynę i zaczęła stukać w klawisze, Krawiec odwrócił się do Jury i powiedział:

- No co, Jura, chcecie...

Przerwał mu delikatny trzask wezwania radiofonu. Krawiec przeprosił i pospiesznie wyciągnął z kieszeni radiofon.

- Anatolij? - spytał głęboki głos.

- Tak, to ja, Władysławie Kimowiczu. - Anatolij, odwiedź Bazanowa. Jest w bibliotece. Krawiec zerknął na Jurę.

- U mnie... - zaczął.

Głos w radiofonie nagle się oddalił.

- Dzień dobry, Władimirze Siergiejewiczu... Tak, tak schematy przygotowane...

Połączenie zostało przerwane, dały się słyszeć krótkie sygnały. Krawiec wsunął radiofon do kieszeni i niezdecydowanie patrzył na Zinę i Jurę.

- Będę musiał pójść - powiedział. - Dyrektor prosi, żebym pomógł naszemu specjalście od atmosfery... Zina, bądź tak miła, pokaż naszemu gościowi obserwatorium. Weź pod uwagę, że to dobry przyjaciel Władimira Siergiejewicza. Trzeba przyjąć go jak najlepiej.

Zina nie odzywała się słowem, jakby nie słyszała słów Krawca. Pochyliła się nad maszyną. Krawiec uśmiechnął się smutnie do Jury, uniósł brwi, lekko rozłożył ręce i wyszedł.

Jura podszedł do pulpitu i ukradkiem popatrzył na dziewczynę. Miała miłą i jakby znużoną twarz. Co to wszystko znaczy: Władimir Siergiejewicz rzeczywiście przyjechał tu na inspekcję? Weź pod uwagę, że to dobry przyjaciel Władimira Siergiejewicza. Niech was tartary pochłoną! Jura czuł, że to wszystko oznacza coś niedobrego i odczuwał silną potrzebę włączenia się do wydarzeń. Po prostu nie mógł odejść i zostawić tego wszystkiego tak, jak było. Znowu popatrzył na Zinę. Dziewczyna pilnie pracowała. Jura jeszcze nigdy nie widział, żeby taka miła dziewczyna była równie smutna i milcząca. Ktoś ją musiał skrzywdzić, pomyślał nagle. Jasne jak Słońce, że ktoś ją skrzywdził. Jeśli na twoich oczach skrzywdzono człowieka, ty też jesteś winien, przypomniało mu się machinalnie. No dobra...

- Co to? - spytał głośno Jura i wskazał palcem pierwszą z brzegu migającą lampkę.

Zina drgnęła i podniosła głowę.

- To? - Po raz pierwszy podniosła na niego oczy. Miała intensywnie niebieskie, ogromne oczy.

- Tak, właśnie to - powiedział odważnie Jura. Zina nie odrywała od niego wzroku.

- Powiedzcie mi - zaczęła - będziecie u nas pracować?

- Nie - rzekł Jura i podszedł do stołu. - Nie będę u was pracował. Jestem tu przejazdem. Nie jestem żadnym przyjacielem Władimira Siergiejewicza, ledwie się znamy. I nie jestem żadnym pupiłkiem, tylko spawaczem próżniowym.

Przesunęła dłonią po twarzy.

- Chwileczkę - wyszeptała. - Spawaczem? Dlaczego spawaczem?

- A dlaczego nie? - spytał Jura.

Czuł, że w jakiś niezrozumiały dla niego sposób jego zawód ma teraz ogromne znaczenie i że dla tej dziewczyny to dobrze, że on jest właśnie spawaczem, a nie kimś innym. Jeszcze nigdy Jura nie cieszył się tak, że jest spawaczem.

- Przepraszam - tłumaczyła się dziewczyna. - Pomyliłam was z kimś.

- Z kim?

- Nie wiem. Myślałam... Nie wiem. To nieważne. Jura obszedł stół dookoła i zatrzymał się obok niej.

- Opowiadajcie - zażądał. - Co?

- Wszystko. Wszystko, co się tu dzieje.

Nagle Jura zobaczył, że na błyszcząco wypolerowaną powierzchnię stołu kapią małe kropelki. Poczuł, że zaczyna go dławić w gardle.

- No nie - powiedział gniewnie.

Zina potrząsnęła głową. Jura przestraszony obejrzał się na luk i rzekł groźnie:

- Przestańcie beczeć! Co za wstyd!

Podniosła głowę. Miała żalowaną, mokrą twarz, a oczy jeszcze bardziej podpuchnięte.

- Gdyby... was... tak - wykrztusiła.

Jura wyciągnął chusteczkę i położył na jej mokrej dłoni. Zaczęła ocierać policzki.

- Ktoś was skrzywdził? - spytał cicho Jura. - Krawiec? Zaraz pójde i mordę mu obiję, chcecie?

Złożyła chusteczkę i spróbowała się uśmiechnąć.

- Powiedzcie, naprawdę jesteście spawaczem próżniowym? - spytała.

- Tak. Tylko proszę, nie płaczcie już. Pierwszy raz widzę człowieka, który płacze na widok spawacza.

- Czy to prawda, że Jurkowski przywiózł do obserwatorium swojego protegowanego?

- Jakiego protegowanego? - zdumiał się Jura.

- U nas mówili, że Jurkowski chce posadzić na Dionie swojego pupila, astrofizyka...

- Co za brednie! - zdumiał się Jura. - Na pokładzie jest tylko Jurkowski, załoga i ja. Żadnych astrofizyków.

- Naprawdę?

- Naprawdę, naprawdę! I w ogóle - Jurkowski i pupile! Co za pomysł! Kto wam to powiedział? Krawiec? - Pokręcił głową. - Dobrze. - Jura wymacał nogą taboret i usiadł. - Opowiadajcie. Wszystko opowiadajcie. Kto was skrzywdził?

- Nikt - szepnęła cicho. - Po prostu jestem złym pracownikiem. W dodatku obdarzonym chwiejną psychiką. - Uśmiechnęła się niewesoło. - Nasz dyrektor w ogóle jest przeciwny kobietom w obserwatorium. Dobrze, że nie odesłał mnie od razu. Chyba bym się ze wstydu spaliła. Na Ziemi musiałabym zmienić specjalizację, a wcale nie mam ochoty. Tutaj wprawdzie i tak nic mi nie wychodzi, ale za to jestem w obserwatorium, u wielkiego uczonego. Kocham to wszystko. - Gorączkowo przełknęła ślinę. - I myślałam, że mam powołanie...

- Pierwszy raz słyszę - syknął przez zęby Jura - żeby człowiek kochał swoją pracę i żeby mu nic nie wychodziło.

Wzruszyła ramionami.

- Przecież kochacie to, co robicie? - Tak...

- I nic wam nie wychodzi?

- Nie mam talentu - powiedziała.

- Jak to możliwe?

- Nie wiem.

Jura przygryzł wargi i zamyślił się.

- Posłuchajcie - powiedział. - Posłuchajcie, Zina, a jak inni? - Kto?

- Inni w obserwatorium... Zina westchnęła.

- Wszyscy się bardzo zmienili. Bazanow wszystkich nienawidzi, a tych dwóch głupków wyobraziło sobie nie wiadomo co, pokłócili się i teraz ani ze mną, ani ze sobą nie rozmawiają...

- A Krawiec?

- Krawiec to sługus - oświadczyła obojętnie. - Jego to nie obchodzi. - Nagle popatrzyła na Jurę stropiona. - Tylko nie mówcie tego nikomu. Wtedy już zupełnie nie będę miała życia. Zaczną się różne uwagi, pretensje, rozważania o istocie kobiecej natury...

Jura patrzył na nią zwężonymi oczami.

- Jak to? - powiedział. -1 nikt o tym nie wie?

- A kogo to interesuje? - Uśmiechnęła się żałośnie. - Przecież to najlepsze z dalekich obserwatoriów...

Luk otworzył się na oścież. Ten sam jasnowłosy chłopak wsunął się po pas do pokoju, utkwiał wzrok w Jurze, nieprzyjemnie zmarszczył nos, spojrzął na Zinę, potem znowu na Jurę. Zina wstała.

- Poznajcie się - powiedziała drżącym głosem. - To Swirski, Witalij Swirski, astrofizyk. A to Jurij Borodin...

- Przekazujesz pracę? - spytał nieprzyjemnym tonem Swirski. - To nie przeszkadzam.

Zaczął zamykać luk, ale Jura podniósł rękę.

- Jedną chwileczkę - powiedział.

- Nawet nie jedną - wyszczerzył się uprzejmie Swirski. - Ale innym razem. Teraz nie chciałbym zakłócać waszego tete-a-tete, kolego.

Zina jęknęła i zasłoniła twarz dłonią.

- Nie jestem dla ciebie kolegą, durniu - powiedział cicho Jura i podszedł do Swirskiego. Swirski patrzył na niego wściekle. - I porozmawiamy teraz, jasne? Ale najpierw przeprosisz dziewczynę, bydlaku.

Jura był pięć metrów od luku, gdy Swirski wysunął szczękę i ruszył w jego stronę przez pokój.

Bykow chodził po mesie z rękami założonymi za plecy i opuszczoną głową. Żylin stał oparty o drzwi. Jurkowski złączył palce i siedział przy stole. Zdenerwowany Michaił Antonowicz opowiadał namiętnie, przyciskając do lewej strony piersi krótką rękę.

- Uwierz mi, Wołodienka, nigdy w życiu nie wysłuchałem tylu nieprzyjemnych rzeczy o ludziach. Wszyscy są wstrętni, głupi, jeden Bazanow dobry. Szerszeń to, uważacie, tyran i dyktator, wszystkich wykończył, bezczelnie narzuca swoją wolę. Wszyscy się go boją. Był jeden śmiały człowiek na Dionie, Miller, to i jego, uważacie, Szerszeń wygryzł. Nie, nie, Bazanow nie neguje naukowych zasług Szerszenia, on, uważacie, nawet jest pod wrażeniem, i to prawda, że sława obserwatorium jest zasługą właśnie Szerszenia, ale za to, uważacie, wewnątrz panuje upadek moralny. Szerszeń ma swojego prowokatora i informatora, niejakiego pozbawionego talentu Krawca. Ten Krawiec, uważacie, wszędzie podsłuchuje, następnie donosi, a potem według wytycznych dyrektora rozprzestrzenia plotki i wszystkich ze sobą skłóca. Gdy rozmawialiśmy, ten nieszczęsny Krawiec przyszedł do biblioteki po jakąś książkę. A tu jak Bazanow na niego nie wrzaśnie: Poszedł won! - drze się. Biedny Krawiec,

taki miły, sympatyczny chłopak, nawet nie zdążył się przedstawić. Poczerwieniał i wyszedł, nawet książki nie wziął. Oczywiście nie mogłem tego wytrzymać i zdrowo objechałem Bazanowa. Powiedziałem mu wprost: No jakże wy tak, Pietia? Jak tak można?

Michaił Antonowicz łapał oddech, ocierając twarz chusteczką.

- No i tak - ciągnął. - Bazanow, uważacie, jest niezwykle czysty moralnie. Nie może znieść, żeby ktoś kogoś adorował. Tutaj jest taka młoda pracownica, Zina, astrofizyk, to on do niej przykleił od razu dwóch kawalerów, i jeszcze sobie wydumał, że oni się przez nią pokłócili. Dziewczyna, uważacie, robi awanse i jednemu, i drugiemu, a ci jak koguciki... Zresztą, zauważ Wołodieńka, że on sam dodał, że to tylko plotki, ale fakt pozostaje faktem - cała trójka skłócona ze sobą. Mało tego, że Bazanow kłóci się ze wszystkimi astronomami, to jeszcze wciągnął w te swary inżynierów kontrolerów. Wszystkich uważa za kretyńców, mazgajów, pracować nikt nie umie, sami ignoranci... Włosy mi dęba stanęły, gdy tego słuchałem! Wyobraź sobie tylko, Wołodieńka... Czy ty wiesz, kogo on uważa za sprawcę tych wszystkich bied?

Michaił Antonowicz zrobił efektowną pauzę. Bykow stanął i popatrzył na niego. Jurkowski zmrużył oczy. Widać było jak silnie drgają mu zuch wy.

- Ciebie! - powiedział Michaił Antonowicz, głos mu się załamał. - Uszom nie wierzyłem! Generalny inspektor MZKK wycisza te wszystkie skandale, wozi po obserwatoriach jakichś swoich tajemniczych pupilów, załatwia im tam stanowiska, a prostych pracowników pod byle pretekstem zwalnia i odsyła na Ziemię. Wszędzie pozasadzał swoich podopiecznych, tak jak tego Szerszenia! Tego już nie wytrzymałem. Powiedziałem mu: Przepraszam kochany, ale liczą się słowa.

Michaił Antonowicz znowu westchnął głęboko, po czym zamilkł. Bykow zaczął chodzić po mesie.

- Tak - rzekł. - Czym się skończyła wasza rozmowa? Michaił Antonowicz odparł dumnie:

- Nie mogłem go dłużej słuchać. Nie mogłem słuchać jak ciebie, Wołodieńka, i kolektyw najlepszego obserwatorium obrzuca się błotem. Wstałem, pożegnałem się zgryźliwie i wyszedłem. Mam nadzieję, że zrobiło mu się wstyd.

Jurkowski siedział wpatrzony w stół. Bykow powiedział z uśmiechem.

- Dobrze tu u ciebie żyją w bazach, generalny inspektorze. W przyjaźni.

- Na twoim miejscu, Wołodieńka, podjąłbym odpowiednie kroki - zatroskał się Michaił Antonowicz. - Bazanowa trzeba odesłać na Ziemię bez prawa pracy na pozaziemskich stacjach. Tacy ludzie są niebezpieczni, Wołodieńka, sam wiesz...

- Dobrze. Dziękuję, Michaił. Podejmę pewne środki - powiedział Jurkowski, nie podnosząc oczu.

- Może po prostu jest zmęczony? - powiedział cicho Żylin.

- Czy to coś zmienia? - spytał Bykow.

- Tak - odpowiedział mu Jurkowski i ciężko westchnął. - Baza -nowa trzeba będzie zabrać.

W korytarzu dały się słyszeć pospieszne kroki ciężkich magnetycznych podków.

- Jura wraca - rzekł Żylin.

- Cóż, zjedzmy obiad - zaproponował Bykow. - Jesz z nami, Władimir?

- Nie. Będę na obiedzie u Szerszenia. Muszę z nim jeszcze sporo rzeczy omówić.

Żylin stał przy wejściu na mostek kapitański i pierwszy zobaczył Jurę. Wytrzeszczył oczy i podniósł brwi. Wtedy w stronę wchodzącego odwrócili się pozostali.

- Co to znaczy, stażysto? - spytał Bykow.

- Co z tobą, Jurik? - wykrzyknął Michaił Antonowicz.

Jura wyglądał okropnie. Lewe oko otoczone czerwono-niebieskim siniakiem. Nos zdeformowany, wargi spuchnięte i poczerniałe. Lewa ręka zwisała, palce prawej oblepione były plastrami. Na przedzie kurtki widać było zmyte w pośpiechu ciemne palmy.

- Biłem się - odparł posępnie Jura.

- Z kim się biliście, stażysto?

- Ze Swirskim.

- Kto to?

- Młody astrofizyk w obserwatorium - wyjaśnił niespiesznie Jurkowski. - Dlaczego się biliście, kadecie?

- Obraził dziewczynę - oświadczył Jura, patrząc Żylinowi prosto w oczy. - Zażądałem, żeby przeprosił.

- No?

- No i pobiliśmy się.

Żylin ledwie zauważalnie skinął z aprobatą. Jurkowski wstał, przeszedł się po mesie i zatrzymał przed Jurą, głęboko wsuwając ręce w kieszenie szlafroka.

- Rozumiem, kadecie - powiedział chłodno - że urządziliście w obserwatorium ohydną burdę.

- Nie - odparł Jura.

- Pobiliście pracownika obserwatorium.

- Tak - przyznał Jura. - Ale nie mogłem inaczej. Musiałem go zmusić, żeby przeprosił.

- Zmusiłeś? - spytał szybko Żylin.

Jura wahał się przez chwilę, po czym udzielił wymijającej odpowiedzi.

- Generalnie tak. Potem.

- Do diabła, co to ma do rzeczy, Iwan! - zawołał rozdrażniony Jurkowski.

- Przepraszam, Władimirze Siergiejewiczu - mruknął pokornie Żylin.

Jurkowski znowu zwrócił się do Jury.

- Jakby na to patrzeć - burda. Tak to przynajmniej wygląda - stwierdził. - Posłuchajcie, kadecie, chętnie wierzę, że kierowały wami najszlachetniejsze pobudki, ale będziecie musieli przeprosić.

- Kogo? - spytał natychmiast Jura.

- Po pierwsze, oczywiście Swirskiego.

- A po drugie?

- Po drugie musicie przeprosić dyrektora obserwatorium.

- Nie - sprzeciwił się Jura.

- Będziecie musieli. -Nie.

- Co znaczy - nie? Urządziliście bójkę w jego obserwatorium. To wstrętne. I odmawiacie przeprosin?

- Nie będę przeproszał łajdaka - powiedział pewnym głosem Jura.

- Milczeń, stażysto! - wrzasnął Bykow.

Zapadła cisza. Michaił Antonowicz wzdychał ze smutkiem i kiwał głową. Jurkowski popatrzył zdumiony na Jurę.

Żylin nagle odbił się od ściany, podszedł do Jury i położył mu rękę na ramieniu.

- Wybaczcie, Aleksieju Pietrowiczu - powiedział. - Wydaje mi się, że trzeba pozwolić Borodinowi opowiedzieć wszystko po kolei.

- A kto mu broni? - rzekł gniewnie Bykow. Widać było, że jest bardzo niezadowolony z tej całej sytuacji.

- Opowiadaj, Jura - zachęcał Żylin.

- Co tu opowiadać? - zaczął po cichu Jura. Po czym krzyknął: -To trzeba było widzieć! I słyszeć! Tych idiotów trzeba natychmiast ratować! Obserwatorium, obserwatorium! To melina! Tutaj ludzie płaczą, rozumiecie? Płaczą!

- Spokojnie, kadecie - strofował Jurkowski.

- Nie mogę spokojnie! Mówicie, przeprosić... Nie będę przeproszał inkwizytora! Łobuza, który napuszcza dwóch głupków na siebie i na dziewczynę! Gdzie macie oczy,

generalny inspektorze? Tę instytucję trzeba ewakuować na Ziemię, bo niedługo zaczną biegać na czworaka i gryźć!

- Uspokój się i opowiedz wszystko po kolei - powiedział Żylin.

Jura opowiedział. Jak spotkał się z Ziną Szatrową i jak ona płakała. Jak zaczął od Swirskiego, który tak zdziaczał, że wierzył w każdą bzdurę o ukochanej dziewczynie. Jak zmusił Awerina, żeby pogadał ze Swirskim „od serca” i jak się wyjaśniło, że Swirski nigdy nie nazywał Awerina beztalenciem i wazeliniarzem i że Awerin nawet nie podejrzewał, że niejednokrotnie wyprowadzano go nocą z pokoju Ziny. Jak odebrali Ditzowi gitarę i dowiedzieli się, że on nigdy nie rozpuszczał plotek o Bazanowie i Tani Oleninej... I jak od razu okazało się, że to wszystko sprawki Krawca i że Szerszeń musi o nich wiedzieć... Że to on jest największym łajdakiem...

- Przysłali mnie do was, Władimirze Siergiejewiczu, żebyście coś zrobili. I już lepiej coś zróbcie, bo inaczej oni zrobią... Są gotowi na wszystko.

Jurkowski siedział w fotelu przy stole, a jego twarz była tak stara i żalosna, że Jura zamilkł i stropiony obejrzał się na Żylina. Ale Żylin znowu ledwie zauważalnie skinął.

- Za te słowa też odpowiecie - wycodził przez zęby Szerszeń.

- Milcz! - krzyknął malutki, smagły Awerin siedzący obok Jury. - Nie śmieję przerywać! Towarzysze, jak on śmie przez cały czas przerywać?

Jurkowski przeczekał szum i ciągnął:

- To wszystko jest tak ohydne, że wykluczałem nawet ewentualność takiego zjawiska. Musiał wtrącić się postronny człowiek, chłopiec, żeby... Tak. Ohydne. Nie spodziewałem się tego po was, młodych. Jakie to się okazało proste: cofnąć was w rozwoju, postawić na czworaka... Trzy lata, jeden maniak z ambicjami i jeden prowincjonalny intrygant. I wy się ugięliście, zdziczeliście, straciliście ludzką twarz. Młodzi, weseli, uczciwi ludzie... Wstyd!

Jurkowski zrobił pauzę i popatrzył na astronomów. Teraz to nie ma sensu, pomyślał. Teraz oni wcale o mnie nie myślą. Siedzą zbici w gromadkę, patrząc z nienawiścią na Szerszenia i Krawca.

- Dobrze. Nowego dyrektora przyślą wam z Tytana. Macie dwa dni na mityngi i myślenie. Myślcie. Wy, biedni i słabi, do was mówię: myślcie! A teraz idźcie.

Wstali i ze spuszczoneymi głowami wyszli z gabinetu. Szerszeń też wstał i chwiejąc się na magnetycznych podkowach, podszedł bardzo blisko do Jurkowskiego.

- To samowola - wychrypiał. - Zakłóćcie pracę obserwatorium. Jurkowski odsunął go ze wstrętem.

- Posłuchajcie, Szerszeń - powiedział. - Na waszym miejscu zastrzeliłbym się.

12. „Pierścień 1”. Ballada o jednonogim kosmicie.

- Wiesz - powiedział Bykow, patrząc na Jurkowskiego znad okularów i *Fizyki metali* - przecież Szerszeń uważa się za niesłusznie oskarżonego. Jakby nie było, najlepsze obserwatorium i tak dalej...

- Szerszeń mnie nie interesuje - mruknął Jurkowski. Zatrzasnął aktówkę i przeciągnął się. - Interesuje mnie, jak ci ludzie mogli dojść do czegoś takiego... Szerszeń nie jest tu istotny.

Bykow zastanawiał się przez kilka minut.

- No i jak sądzisz? - spytał w końcu.

- Mam pewną teorię... a raczej hipotezę. Sądzę, że w nich zanikła już niezbędna w przeszłości odporność na szkodliwe pod względem społecznym działania, ale jeszcze pozostały osobiste antyspołeczne zadatki.

- Możesz jaśniej?

- Proszę bardzo. Weźmy ciebie. Co byś zrobił, gdyby podszedł do ciebie jakiś plotkarz i powiedział, że... powiedzmy, Michaił Kru-tikow kradnie i sprzedaje artykuły żywnościowe? Widziałeś w życiu wielu plotkarzy, wiesz, ile są warci. Kazałbyś się takiemu... o-oddalić. A teraz weźmy naszego kadeta. Co by zrobił on, gdyby mu powiedziano... n-no, powiedzmy to samo? Wzięłby to za dobrą monetę i natychmiast poleciał do Michaiła wyjaśnić sprawę. Wtedy od razu zrozumiałby, że to głupota, wróciłby i... p-pobił łajdaka.

- Aha - mruknął z zadowoleniem Bykow.

- Tak. Nasi przyjaciele na Dionie to już nie ty, ale jeszcze nie kadet. Przyjmują kłamstwo za dobrą monetę, ale resztki fałszywej dumy nie pozwalają im pójść wyjaśnić wszystko.

- Cóż - orzekł Bykow. - Może i tak.

Wszedł Jura, usiadł w kucki przed otwartą biblioteczką i zaczął wybierać sobie książkę na wieczór. Wydarzenia na Dionie zupełnie wytrąciły go z równowagi, ciągle nie mógł dojść do siebie.

Pożegnanie z Ziną było milczące i bardzo wzruszające. Zina również nie mogła ochłonać. Ale przynajmniej się uśmiechała. Jura chciał zostać na Dionie dopóty, dopóki Zina nie zacznie się śmiać na cały głos. Był przekonany, że umiałby ją rozweselić i w jakimś stopniu pomóc zapomnieć o strasznych dniach władzy Szerszenia. Bardzo żałował, że nie

może zostać. Za to na korytarzu chwycił jeszcze Swirskiego i zażądał, żeby z Ziną szczególnie uważali. Swirski łypnął wściekle oczami i odpowiedział: „Jeszcze mu mordy nie obiliśmy”.

- A-Aleksieju - powiedział Jurkowski. - Czy nie będę komuś przeszkadzał na mostku?

- Jesteś generalnym inspektorem - odparł Bykow. - Komu mógłbyś przeszkadzać?

- Chcę się połączyć z Tytanem - tłumaczył Jurkowski. - I w ogóle posłuchać eteru.

- Idź śmiało.

- A ja mogę? - spytał Jura.

- Ty też możesz - zgodził się Bykow. - Wszyscy wszystko mogą. Rano Bykow przeczytał ostatnie czasopismo, długo i uważnie

obejrzał okładkę i nawet chyba zainteresował się ceną. Następnie westchnął, zaniósł czasopismo do swojej kajuty, a gdy wrócił, Jura zrozumiał, że „chłopiec dostrugał swój kijek do końca”. Bykow był teraz bardzo serdeczny, rozmowny i wszystkim na wszystko pozwalał.

- Pójdę z wami - powiedział Bykow.

Wszyscy trzej weszli na mostek. Michaił Antonowicz najpierw popatrzył na nich zdumiony ze swojego piedestału, a potem rozpląnął się w uśmiechu i pomachał im długopisem.

- Nie będziemy ci przeszkadzać - rzekł Bykow. - My do radiostacji.

- Tylko uważajcie, chłopcy - uprzedził Michaił Antonowicz. - Za pół godziny nieważkość.

Na żądanie Jurkowskiego „Tachmasib” szedł na stację „Pierścień 1”, sztucznego satelitę Saturna, poruszającego się w pobliżu Pierścienia.

- Nie dałoby się bez nieważkości? - spytał kapryśnie Jurkowski.

- Widzisz, Wołodienka - odpowiedział przeproszającym tonem Michaił Antonowicz - tutaj dla „Tachmasiba” jest bardzo ciasno, przez cały czas trzeba manewrować.

Minęli Żylina, grzebiącego w kombajnie kontroli i usiedli przed radiostacją. Bykow zaczął manipulować gałkami. W głośniku zawyło i zatrzeszczało.

- Muzyka sfer - skomentował z tyłu Żylin. - Podłączcie deszyfrator, Aleksieju Pietrowiczu.

- Tak, rzeczywiście - przyznał Bykow. - Pomyślałem, że to zakłócenia.

- Radiotelegrafista - głos Jurkowskiego ociekał pogardą. Głośnik nagle zaryczał nienaturalnym głosem:

- ...minut słuchacie Aleksandra Blumberga, retransmisja z Ziemi. Powtarzam...

Głos odpłynął, zamieniony w senne chrypienie. Potem ktoś powiedział: ...nie mogę pomóc. Będziecie musieli, towarzysze, poczekać. A jeśli przyślemy swój bot? - Wtedy czekać będziecie krócej.

Bykow włączył automatyczny wyszukiwacz i strzałka popęł-zła po skali, zatrzymując się na każdej działającej stacji: ...osiemdziesiąt hektarów baterii selenowych dla oranżerii, czterdzieści kilometrów miedzianego drutu sześć setnych, dwadzieścia kilometrów.....masła nie ma, cukru nie ma, zostało sto paczek „Herkulesa”, suchary i kawa. A, i jeszcze papierosów nie ma... *...And hear me? I'm not going to stand this impudence... Hear me? I'm...*⁸

Q-2, Q2 nic nie rozumiem... co on ma za radiostację?... Q-2 daje namiar. Raz, dwa, trzy.....bardzo tęsknię. Kiedy wreszcie wrócisz? I dlaczego nie piszesz? Całuję, twoja Anna. Kropka. Czang, nie bój się, to bardzo proste. Bierzesz całą wymienną... Siódmy, siódmy, dla was oczyszczono trzeci sektor. Siódmy, lądujcie w trzecim sektorze... Sasza, krążą plotki, że jakiś inspektor generalny przyleciał. Może nawet sam Jurkowski...

- Wystarczy - przerwał seans Jurkowski. - Szukaj Tytana. Parszywcy - warknął. - Już wiedzą.

- Ciekawe - rzekł wieloznacznie Bykow. - Jest ich w systemie zaledwie stu pięćdziesięciu, a tyle szumu...

Radiostacja trzeszczała i wyła. Bykow dostroił i zaczął mówić do mikrofonu:

- Tytan, Tytan, ja „Tachmasib”. Tytan, Tytan.

- Tytan słucha - odezwał się kobiecy głos.

- Generalny inspektor Jurkowski wzywa dyrektora systemu -Bykow popatrzył wesoło na Jurkowskiego. - Dobrze mówię, Wołodia? - spytał w mikrofon.

Jurkowski skinął głową przychylnie.

- Halo, halo, „Tachmasib”! - głos kobiety stał się drobinę zdenerwowany. - Poczekaście chwileczkę, połączę was z dyrektorem.

- Czekamy - powiedział Bykow i podsunął mikrofon Jurkowskiemu.

Jurkowski odchrząknął.

- Lizoczka! - krzyknął ktoś w głośniku. - Daj no mi dyrektora, szybciotko!

- Zwolnijcie częstotliwość - odparła srogo kobieta. - Dyrektor jest zajęty.

- Jak to - zajęty? - spytał urażony głos. - Ferenc, to ty? Znowu bez kolejki?

- Zwolnijcie częstotliwość - powiedział surowo Jurkowski.

⁸ (ang.) ...Słyszycie mnie? Nie mam zamiaru znosić podobnej bezczelności... Słyszycie? Nie mam...

- Wszyscy mają zwolnić częstotliwość - rozległ się powolny, skrzypiący głos. - Dyrektor słucha generalnego inspektora Jurkowskiego.

- A niech mnie... - przestraszył się ktoś. Jurkowski zadowolony z reakcji spojrzął na Bykowa.

- Zajcew - rzekł. - Dzień dobry, Zajcew.

- Dzień dobry, Wołodia - zaskrzypiał dyrektor. - Co cię tu sprowadza?

- Ja... d-do ciebie na inspekcję. Przybyłem wczoraj. Prosto na Dionę. Szerszenia zdjąłem. Szczegóły później. Posłuchaj, zrobimy... t-tak. Na miejsce Szerszenia przyślij Millera... Szerszenia postaraj się jak można najszybciej odesłać na Ziemię. I jeszcze jednego, nazwisko Krawiec. Z młodych, ale wcześniejszy. Dopilnuj tego osobiście i weź pod uwagę, że jestem z ciebie niezadowolony. Mogłeś się z tym uporać wcześniej, sam. Dalej... - Jurkowski zamilkł. W eterze panowała pełna szacunku cisza. - Wyzaczyłem sobie dalszą trasę. Teraz idę na „Pierścień 1”, zatrzymam się tam na dwie, trzy doby, a potem zajrzę do ciebie na Tytana. Wydaj polecenie, żeby przygotowali paliwo dla „Tachmasiba”. I jeszcze jedno. - Jurkowski znowu zamilkł. - Mam na pokładzie jednego chłopaka, spawacza próżniowego. Z grupy ochotników, pracujących u ciebie na Rhei. Bądź tak dobry, poradź, gdzie go wysadzić, żeby natychmiast odesłali go na Rheę. - Jurkowski znowu zamilkł. W eterze było cicho. - Słucham cię - powiedział w końcu.

- Jedną chwilę - rzekł dyrektor. - Sprawdzamy. A ty co, jesteś na „Tachmasibie”?

- Tak - odparł Jurkowski. - Obok mnie siedzi Aleksiej. Michaił Antonowicz krzyknął:

- Pozdrowienia dla Fiedieńki!

- Misza przekazuje ci pozdrowienia. - A Grigorij też jest z tobą?

- Nie. To nie wiesz? - zdziwił się Jurkowski.

W eterze zapadła cisza. Potem skrzypiący głos ostrożnie zapytał:

- Coś się stało?

- Nie, nie - odparł Jurkowski. - Po prostu zabroniono mu latać. Już rok.

W eterze rozległo się westchnienie.

- Taak - powiedział dyrektor. - Nam wkrótce też zabronią.

- Mam nadzieję, że jeszcze nieprędko - rzekł sucho Jurkowski. - No, jak tam twoje informacje?

- Więc tak - zwlekał Zajcew. - Minutę. Słuchaj. Na Rheę spawacz nie ma po co lecieć. Ochotników przetrzuciliśmy na „Pierścień 2”. Tam są potrzebniejsi. Jeśli się uda, wyślesz go na „Pierścień 2” prosto z „Pierścienia 1”. Jeśli nie - wyleci z Tytana.

- Co znaczy - uda się, nie uda się?

- Dwa razy na dekadę na Pierścień chodzą Szwajcarzy, wożą prowiant. Możliwe, że zastaniesz szwajcarski bot na „Pierścieniu 1”

- Rozumiem. No cóż, dobrze. Póki co, nic więcej do ciebie nie mam. Na razie.
- Spokojnej plazmy, Wołodia - żegnał go dyrektor. - Nie zwalcie się w Saturna.
- A niech cię - warknął Bykow i wyłączył radiostację.
- Wszystko jasne, kadecie? - spytał Jurkowski.
- Jasne - westchnął Jura.
- Co, niezadowolony?
- Nie, wszystko jedno gdzie się pracuje - powiedział Jura. -Nie w tym rzecz.

Obserwatorium „Pierścień 1” poruszało się w płaszczyźnie Pierścienia Saturna po orbicie kołowej i robiło pełny obrót w ciągu czternastu i pół godziny. Stacja była młoda, skończono ją budować dopiero przed rokiem. Załoga składała się z dziesięciu planetologów zajmujących się badaniem Pierścienia i czterech inżynierów kontrolnych. Inżynierowie mieli huk roboty: niektóre agregaty, systemy grzewcze, regeneratory tlenowe i hydrosystem ciągle jeszcze nie były wyregulowane. Związane z tym niewygody nie przeszkadzały zbytnio planetologom, zwłaszcza że większość czasu spędzali w kosmoskach pływając nad Pierścieniem.

Praca planetologów Pierścienia w systemie Saturna miała ogromne znaczenie. Liczono, że w Pierścieniu odnajdą wodę, żelazo, rzadkie metale - to dałoby systemowi autonomię pod względem zaopatrzenia w paliwo i materiały. Co prawda, nawet gdyby poszukiwania zakończyły się sukcesem, wykorzystanie tych złazisk i tak byłoby na razie niemożliwe. Nie mieli takiego urządzenia, pocisku, który mógłby wejść w lśniące warstwy pierścienia Saturna i powrócić nie uszkodzony.

Aleksiej Pietrowicz Bykow podprowadził „Tachmasiba” do zewnętrznej linii doków i ostrożnie przycumował. Podejście do sztucznych satelitów to sprawa delikatna, wymagająca mistrzostwa i zegarmistrzowskiej precyzji. W takich wypadkach Aleksiej Pietrowicz wstawał z fotela i sam wchodził na mostek. Przy zewnętrznych dokach stał już jakiś bot, sądząc po obrysach - tankowiec.

- Stażysto - powiedział Bykow. - Macie szczęście. Pakujcie walizkę.
- Jura nie odezwał się.
- Załoga na ląd - ogłosił Bykow. - Jeśli zaproszą was na kolację, nie zapomnijcie o obowiązkach. To nie hotel. A najlepiej weźcie ze sobą konserwy i wodę mineralną.
 - Zwiększymy cyrkulację - dodał półgłosem Żylin.

Z zewnątrz dało się słyszeć skrzypienie i zgrzyt - to dyżurny dyspozytor mocował do zewnętrznego luku „Tachmasiba” hermetyczne nadproże. Po pięciu minutach oznajmił przez radio: Można wychodzić. Tylko ubierzcie się ciepło.

- Dlaczego? - spytał Bykow.

- Regulujemy klimatyzację - odpowiedział dyżurny i wyłączył się.

- Co to znaczy ciepło? - zdenerwował się Jurkowski. - Co mam założyć - flanelę? Albo, jak to się nazywało? Walonki? Pikowane kurtki? Waciaki?

- Weź sweter. Włóż ciepłe skarpety. Kurtkę futrzaną z elektrycznym ogrzewaniem - powiedział Bykow.

- Włożę pulower - stwierdził Michaił Antonowicz. - Mam bardzo ładny pulower. Z żaglem.

- A ja nie mam nic - westchnął ze smutkiem Jura. - Mogę tylko włożyć kilka podkoszulków.

Skandal - oburzył się Jurkowski. - Ja też nic nie mam.

- Weź swój szlafrok - poradził Bykow i udał się do swojej kajuty.

Do obserwatorium weszli wszyscy razem, ubrani różnie i ciepło. Bykow miał na sobie grenlandzką futrzaną kurtkę. Michaił Antonowicz włożył kurtkę i unty. Unty były pozbawione magnetycznych podków i Michaiła Antonowicza ciągnęli jak balon na uwięzi. Żylin włożył jeden sweter, a jeden dał Jurze. Prócz tego Jura miał na sobie futrzane spodnie Bykowa, które sięgały mu pod pachy. Futrzaną spodnie Żylina oraz pulower Michaiła Antonowicza z żaglem i białą marynarkę miał na sobie Jurkowski.

W kesonie powitał ich dyżurny dyspozytor w podkoszulku i kąpielówkach. W kesonie panował potworny upał, jak w łaźni szwedzkiej.

- Dzień dobry - powitał ich dyspozytor. Spojrzawszy na gości spochmurniał. - Przecież powiedziałem, żeby ubrać się ciepło. Zamarzniecie w pantoflach.

- Wy co, młody człowieku, żarty sobie stroicie? - powiedział złowieszczo Jurkowski.

Dyspozytor spojrział na niego zdumiony.

- Jakie żarty? W mesie jest minus piętnaście stopni. Bykow otarł pot z czoła i powiedział:

- Idziemy.

Z korytarza buchnął lodowaty chłód, wdarły się kłęby pary. Dyspozytor objął się rękami i krzyknął:

- Błagam, szybciej!

Obicie korytarza było miejscami rozebrane i żółta siatka termoelementów bezwstydnie błyszczała błękitnym światłem. Obok mesy wpadli na inżyniera kontrolera. Inżynier miał na sobie bardzo drugie futro, spod którego wystawał błękitny podkoszulek. Na głowie widniała czapka uszanka.

Jurkowski drgnął ze złości i otworzył drzwi do mesy.

W mesie przy stole siedziało pięciu przypiętych pasami ludzi, w futrach z podniesionymi kołnierzami. Byli podobni do posterunkowych z czasów Aleksieja Tiszajskiego i ciągnęli gorącą kawę z przezroczystych termosów. Na widok Jurkowskiego jeden z nich odchylił kołnierz i wypuszczając obłoczek pary powiedział:

- Dzień dobry, Władimirze Siergiejewiczu. Chyba ubraliście się za lekko. Siadajcie. Kawy?

- Co się tu u was dzieje? - spytał Jurkowski.

- Regulujemy - odparł ktoś.

- A gdzie Markuszyn?

- Markuszyn czeka na was w kosmoskafie. Tam jest ciepło.

- Zaprowadźcie mnie.

Jeden z planetologów wstał i wypłynął z Jurkowskim na korytarz. Drugi, chudy rozczochrany chłopak, zwrócił się do nich:

- Powiedzcie, czy wśród was są jeszcze jacyś generalni inspektorzy?

- Nie - odrzekł Bykow.

- W takim razie powiem wprost - pieskie życie. Wczoraj w całym obserwatorium było plus trzydzieści, w mesie nawet trzydzieści trzy. Nocą temperatura nagle spadła. Odmroziłem sobie piętę. Przy takich skokach temperatury nikt nie ma specjalnej ochoty pracować, dlatego pracujemy po kolei w kosmoskafach. Tam jest atomowa klimatyzacja. U was się to nie zdarza?

- Zdarza - rzekł Bykow. - W czasie awarii.

- I to tak przez cały rok? - spytał z przerażeniem i współczuciem Michaił Antonowicz.

- Nie, skąd! Dopiero z miesiąc. Wcześniej skoki temperatur nie były tak duże. Ale zorganizowaliśmy brygadę pomagającą inżynierom i... sami widzicie.

Jura starannie ssał gorącą kawę. Czuł, że zamarza.

- Brr - wzdrygnął się Żylin. - Nie ma tu jakiejś oazy? Planetolodzy spojrzeli na siebie.

- Chyba tylko w kesonie - odparł jeden.

- Albo pod prysznicem - rzekł drugi. - Ale tam jest wilgoć.

- Bardzo niewygodnie - poskarżył się Michaił Antonowicz.

- Wiecie co - zaproponował Bykow. - Chodźmy wszyscy do nas.
- Ech - rzekł chudy planetolog. - A potem znowu tu wracać?
- Chodźmy, chodźmy - ponaglił Michaił Antonowicz. - Tam sobie porozmawiamy.
- To wbrew zasadom gościnności - opierał się chudy Zapadła cisza.
- Ale zabawnie siedzimy - cztery na cztery - powiedział Jura. - Jak w turnieju szachowym.

Wszyscy spojrzeli na niego.

- Chodźmy do nas - zdecydował Bykow, wstając.
- Jakoś niezręcznie - odezwał się jeden z planetologów. - Posiedzmy jednak u nas.
Może uda nam się pogadać.

- U nas jest ciepło - powiedział Żylin. - Malutki ruch regulatora i będzie jeszcze cieplej. Posiedzimy w lekkich ubraniach i nie będziemy pociągać nosami.

Do mesy wsunął się posępny człowiek w futrze na gołym ciele. Patrząc w sufit, powiedział nieuprzejmie:

- Bardzo was przepraszam, ale musicie się jednak rozejść do kajut. Za pięć minut nie będzie tu powietrza.

Człowiek skrył się. Bykow bez słowa podążył w stronę wyjścia. Wszyscy ruszyli za nim.

W triumfalnej ciszy przeszli przez korytarz, zachłysnęli się gorącym powietrzem w pustym kesonie i weszli na pokład „Tachmasiba”. Chudy planetolog szybko ściągnął z siebie futro i marynarkę i zaczął odplątywać szalik. Ciepłą odzież wcisnęli do ściennej szafy. Potem nastąpiła wzajemna prezentacja i uściski lodowatych rąk. Chudy przedstawił się jako Rafael Gorczałow. Pozostali nazywali się: Josef Ylczek, Jewgienij Sadowski i Paweł Szemiakin. Gdy już odtajali, okazali się wesołymi i rozmownymi chłopakami. Dużo o sobie opowiadali. Okazało się, że Gorczałow i Sadowski zajmują się badaniem turbulentnych ruchów w Pierścieniu, nie są żonaci, lubią Grina i Strogowa, wolą kino od teatru, a obecnie czytają Próby Montaigne’a, neorealistycznego malarstwa nie rozumieją, ale nie wykluczają, że coś w nim jest. Josef Ylczek szuka w Pierścieniu rudy żelaza metodą neutronowych odbić za pomocą bomb wybuchowych, z zawodu jest skrzypkiem, był mistrzem Europy w biegu na czterysta metrów przez płotki, a do systemu Saturna trafił, mszcząc się na dziewczynie za jej chłód i obojętność. Paweł Szemiakin natomiast jest żonaty i ma dzieci, pracuje jako asystent w instytucie planetologii, wściekle broni hipotezy sztucznego pochodzenia Pierścienia i ma zamiar położyć głowę, ale przemienić hipotezę w teorię.

- Cała bieda w tym - mówił z zapałem - że nasze kosmoskafy jako badawcze pociski nie wytrzymują krytyki. Są ciche i nietrwałe. Gdy siedzę w kosmoskafie nad Pierścieniem, chce mi się płakać ze złości. To wszystko jest na wyciągnięcie ręki... A schodzenia w Pierścień absolutnie nam zabroniono. A jestem pewien, że pierwszy zwiad w Pierścieniu od razu przyniósłby coś interesującego. Przynajmniej jakiś punkt zaczepienia...

- Jaki na przykład? - spytał Bykow. - Nno, nie wiem...

- Ja wiem - oświadczył Grigorij. - On ma nadzieję, że znajdzie na jakimś odłamku ślad bosej stopy. Wiecie, jak on pracuje? Spuszcza się jak najbliżej Pierścienia i ogląda odłamki przez powiększający czterdziestokrotnie binoktar. I wtedy podchodzi z tyłu potężny asteroid i wali go w rufę. Pasza wpada na binoktar i w czasie gdy on się składa, drugi asteroid...

- Głupoty - przerwał gniewnie Szemiakin. - Gdyby udało się udowodnić, że Pierścień jest efektem rozpadu jakiegoś ciała, to już by było coś, a nam zabroniono się zajmować połowem odłamków.

- To się tak łatwo mówi - złapać odłamek - powiedział Bykow. - Znam tę pracę. Pot się z ciebie leje i nigdy do końca nie wiesz, kto kogo złapał. W końcu się okazuje, że utraciłeś awaryjną rakietę i paliwa do bazy ci nie starczy. Nie, dobrze robią, że zabraniają tej głupoty.

- Ale za to, chłopcy, jakie to pasjonujące! Jaka to żywa, delikatna praca! - rozmarzył się Michaił Antonowicz.

Planetolodzy popatrzyli na niego z pełnym szacunku zdumieniem. Jura nigdy by nie pomyślał, że gruby, pocziwy Michaił Antonowicz zajmował się kiedyś polowaniem na asteroidy. Bykow spojrzał chłodno na Michaiła Antonowicza i dźwięcznie odchrząknął. Michaił Antonowicz obejrzał się na niego przestraszony i pospiesznie oświadczył:

- Ale to oczywiście, bardzo niebezpieczne... Nieusprawiedliwione ryzyko. I w ogóle nie ma takiej potrzeby...

- Właśnie, a propos śladów - odezwał się w zadumie Żylin. - Jesteście tu daleko od źródeł informacji i pewnie nie wiecie... - Popatrzył na planetologów.

- O czym nie wiemy? - spytał Sadowski. Po wyrazie twarzy było widać, że czuje silny głód informacji.

- Na wyspie Honsiu - zaczął Żylin - niedaleko od Dano-ura, w wąwozie pomiędzy górami Siramine Titigatake, w nieprzebytym lesie archeolodzy odkryli system jaskiń. Znaleźli w nich mnóstwo pierwotnych narzędzi i sprzętów - i co najciekawsze - wiele skamieniałych śladów ludzi pierwotnych. Archeolodzy uważają, że w jaskiniach dwieście wieków temu żyli pierwotni Japończycy, których potomkami byli wycięci później w pień przez plemię Jamato prowadzonymi przez imperatora Dzimu-tenno, boskim wnukiem Ameterasu.

Bykow chrząknął i złapał się za podbródek.

- To znalezisko wstrząsnęło światem - mówił Żylin - pewnie o nim słyszeliście.

- Gdzie tam... - posmutniał Sadowski. - Żyjemy tu jak w głuszy...

- Sporo o tym pisano i mówiono. Najciekawsze znalezisko odkryto stosunkowo niedawno, gdy porządnie oczyszczono główną jaskinię. Wyobraźcie sobie: w skamieniałej glinie odnaleziono ponad dwadzieścia par śladów bosych stóp z daleko rozstawionymi wielkimi palcami, a wśród nich... - Żylin obrzucił słuchaczy znaczącym spojrzeniem. Jura już wiedział, ale tym nie mniej efektowna pauza również na nim wywarła wielkie wrażenie. - Ślad buta... - powiedział Żylin zwyczajnym głosem.

Bykow wstał i wyszedł z mesy.

- Aloszeńka - zawołał Michaił Antonowicz. - Dokąd idziesz?

- Znam tę historię - rzucił Bykow, nie odwracając się. - Czytałem. Zaraz wrócę.

- Buta? - spytał Sadowski. - Jakiego buta?

- Mniej więcej numer czterdziesty piąty - odparł Żylin. - Podeszwa żłobkowana, niski obcas, tępy kwadratowy nosek.

- Bzdura - powiedział zdecydowanie Ylczek. - Kaczka dziennikarska.

- A nie odbiła się tam przypadkiem nazwa producenta? - zaśmiał się Gorczakow.

- Nie. - Żylin pokręcił głową. - Żeby tam był jakiś napis! A to zwyczajny ślad buta...

Lekko przykryty śladem bosej stopy - ktoś stanął na nim później.

- Kaczka! - zawołał Ylczek. - To oczywiste. Masowy wyłów rusalek na wyspie Mań, duch Bonapartego, zamieszkujący maszynę liczącą w Massachusetts.

- Plamy na Słońcu ułożone są w kształcie twierdzenia Pitagorasa! - wygłosił Sadowski. - Mieszkańcy Słońca szukają kontaktu z MZKK!

- Coś ty, Waniusza, troszeczkę, tego... - powiedział z niedowierzaniem Michaił Antonowicz.

Szemiakin milczał. Jura też.

- Czytałem przedruk z naukowego dodatku do „Asahisimbun” - ciągnął dalej Żylin. - Początkowo też myślałem, że to kaczka. W naszej prasie takiej informacji nie zamieszczono. Ale artykuł podpisany był przez profesora Usodzuki, a to wielki człowiek, słyszałem o nim od japońskich kolegów. W tym artykule między innymi pisze, że chce położyć kres potokowi dezinformacji, ale nie ma zamiaru dawać żadnych komentarzy. Zrozumiałem to tak, że oni sami nie wiedzą, jak to wyjaśnić.

- Dzielny Europejczyk w łapach rozjuszonych sinantropów! - wygłosił Sadowski. - Pozostał po nim jedynie ślad buta „Shoes Majestic”. Kupujcie wyroby „Shoes Majestic”, jeśli chcecie, by po was cokolwiek zostało.

- To nie były sinantropy - tłumaczył cierpliwie Żylin. - Wielki palec odróżnia się nawet na pierwszy rzut oka. Profesor Usodzuki nazywa ich nahonantropami.

Szemiakin w końcu nie wytrzymał.

- Dlaczego właściwie miałyby to być kaczka? - Spytał. - Dlaczego ze wszystkich hipotez wybieramy najbardziej prawdopodobną?

- Właśnie, dlaczego? - rzucił Sadowski. - Ślady zostawił zapewne kosmita. Oto jak tragicznie zakończył się pierwszy kontakt.

- A dlaczego nie? - spytał Szemiakin. - Kto inny mógł nosić buty dwieście stuleci temu?

- O rany - powiedział Sadowski. - To po prostu mógł być ślad jednego z archeologów. Żylin pokręcił głową.

- Po pierwsze, glina była tam zupełnie skamieniała. Wiek śladu nie budził wątpliwości. Naprawdę myślicie, że profesor Usodzuki nie wziął pod uwagę takiej możliwości?

- W takim razie to kaczka - upierał się Sadowski.

- Powiedzcie, Iwan - odezwał się znów Szemiakin. - Nie było tam fotografii śladu?

- A jakże - powiedział Iwan. - I fotografia śladu, i fotografia jaskini, i fotografia Usodzuki... Nie zapominajcie, że Japończycy mają nieduże stopy, najwyżej czterdziesty trzeci numer.

- Więc tak - wtrącił się Gorczakow. - Naszym zadaniem jest stworzenie logicznie niesprzecznej hipotezy, objaśniającej japońskie znalezisko.

- Proszę bardzo - powiedział Szemiakin. - Proponuję kosmitę. Znajdźcie sprzeczność tej hipotezy.

- Znowu kosmita. - Sadowski machnął ręką. - Po prostu jakiś brontozaur.

- Najprościej zasugerować - powiedział Gorczakow - że to jednak ślad Europejczyka. Jakiegoś turysty.

- Tak, albo jakieś nieznane zwierzę, albo turysta - przyłączył się Vlczek. - Ślady zwierząt miewają zdumiewające kształty.

- Wiek, wiek - rzucił cichutko Żylin.

- Wobec tego nieznane zwierzę.

- Na przykład kaczka - dodał Sadowski. Wrócił Bykow, i zasiadłszy w fotelu spytał:

- No, i co tam u was?

- Towarzysze próbują jakoś wytłumaczyć japoński ślad - powiedział Żylin. -
Zaproponowano: kosmitę, Europejczyka, nieznaną zwierzę.

- I cóż? - spytał Bykow.

- Wszystkie te hipotezy - rzekł Żylin - nawet hipoteza o kosmicie zawierają jedną poważną sprzeczność.

- Jaką? - dociekał Szemiakin.

- Zapomniałem wam powiedzieć - rzekł Żylin. - Dno jaskini miało czterdzieści metrów kwadratowych. Ślad buta znajduje się pośrodku.

- I? - pytał Szemiakin.

- Jest tylko jeden - dodał Żylin. Zapadła cisza.

- Tak - odezwał się Sadowski. - Ballada o jednonogim kosmicie.

- Może inne ślady zostały starte? - zasugerował Vlczek. - Absolutnie wykluczone -
odparł Żylin. - Dwadzieścia par

wyraźnych śladów bosych stóp i jeden wyraźny ślad buta pośrodku.

- Moja propozycja brzmi: kosmita był jednonogi - powiedział Bykow. - Przynieśli go
do jaskini, postawili w pionie i po wyjaśnieniu stosunków, zjedli na miejscu.

- A co? - powiedział Michaił Antonowicz. - Według mnie, logicznie niesprzeczne.
Co?

- Niedobrze, że jest jednonogi - zadumał się Szemiakin. - Trudno mi sobie wyobrazić
jednonogą rozumną istotę.

- Może był inwalidą? - zaproponował Gorczakow.

- Jedną nogę mogli zjeść od razu.

- Co za bzdury - powiedział Szemiakin. - Wracajmy do pracy.

- Nie, nie - zaprotestował Ylczek - Trzeba to rozpatrzyć. Mam taką hipotezę: kosmita
miał szeroki krok. Oni wszyscy są nienormalnie długonodzy.

- Rozwaliłby sobie głowę o sklepienie jaskini - sprzeciwił się Sadowski. - Może był
skrzydlaty, przyleciał do jaskini, zobaczył, że nic dobrego go tu nie czeka, odbił się i odleciał.
A wy co myślicie, Iwan? Żylin otworzył usta, ale zamiast odpowiedzieć podniósł palec i
ostrzegł:

- Uwaga! Generalny inspektor!

Do mesy wszedł czerwony, rozczochrany Jurkowski.

- Fu! - powiedział. - Jak przyjemnie, jak chłodno... Planetolodzy, wzywa was
kierownictwo. U was jest teraz około czterdziestu stopni. - Zwrócił się do Jury. - Zbieraj się,

kadecie. Umówiłem się z kapitanem tankowca, że podrzuci cię na „Pierścień 2”. - Jura drgnął i przestał się uśmiechać. - Tankowiec staruje dopiero za kilka godzin, ale lepiej być tam wcześniej. Wania, odprowadzisz go. Tak! Planetolodzy! Gdzie planetolodzy? - Wyjrzał na korytarz. - Szemiakin! Pasza! Przygotuj fotografie, które zrobiłeś nad Pierścieniem. Muszę je obejrzeć. Michaił, nie odchodź, poczekaj chwileczkę. Aleksiej, rzuć książkę, muszę z tobą pomówić.

Bykow odłożył książkę. W mesie został tylko on, Jurkowski i Michaił Antonowicz. Jurkowski, kołysząc się, przebiegł z kąta w kąt.

- Co z tobą? - spytał Bykow, patrząc podejrzliwie na jego ewolucje.

Jurkowski zatrzymał się gwałtownie.

- Oto co, Aleksiej - powiedział. - Umówiłem się z Markuszy-nem, daje mi kosmoskaf. Chcę polecieć nad Pierścieniem. Absolutnie bezpieczny rejs, Aleksieju - Jurkowski nieoczekiwanie się rozszłościł. - No i co tak patrzysz? Chłopaki latają tak po dwa razy na dobę, już od roku. Wiem, że jesteś uparty. Ale nie mam zamiaru schodzić w Pierścień. Podporządkuję się twoim zarządzeniom. I ty uszanuj moją prośbę. Proszę cię w sposób najbardziej uniżony, do licha. W końcu jesteśmy przyjaciółmi czy nie?

- Właściwie o co ci chodzi? - spytał spokojnie Bykow. Jurkowski znowu przeszedł się po pokoju.

- Daj mi Michaiła - wyrzucił z siebie.

- Co? - zdumiał się Bykow, prostując się powoli.

- Albo polecę sam - odparł natychmiast Jurkowski. - A nie znam zbyt dobrze kosmoskafów.

Bykow milczał. Michaił Antonowicz stropiony patrzył to na jednego, to na drugiego.

- Chłopcy - odezwał się. - Ja z przyjemnością... O czym tu mówić?

- Mógłbym wziąć pilota ze stacji - ciągnął Jurkowski. - Ale proszę o Michaiła. Dlatego, że Michaił jest sto razy bardziej doświadczony i ostrożny. Rozumiesz? Ostrożny!

Bykow milczał. Jego twarz pociemniała i sposępniała.

- Będziemy bardzo ostrożni - zapewniał Jurkowski. - Będziemy iść na wysokości dwudziestu, trzydziestu kilometrów nad płaszczyzną, nie niżej. Zrobię kilka zdjęć w dużej skali, popatrzę sobie i za dwie godziny wrócimy.

- Aloszeńka - rzekł nieśmiało Michaił Antonowicz. - Przecież przypadkowe odłamki nad Pierścieniem są bardzo rzadko spotykane. I wcale nie takie straszne...

Bykow w milczeniu patrzył na Jurkowskiego. No i co z nim robić? - myślał. Co robić z tym szaleńcem? Michaił ma chore serce. To jego ostami rejs. Przytępiła mu się reakcja, a w

kosmoskafie jest ręczne sterowanie. Ja nie mogę sterować kosmoskafami, Żylin też nie. A młodego pilota z nimi puścić... Już oni by się na pewno nawzajem przekonali, żeby wejść w Pierścień. Dlaczego ja, stary dureń, nie nauczyłem się sterować kosmoskafami?

- Alosza - nalegał Jurkowski. - Bardzo cię proszę. Pewnie już nigdy nie zobaczę Pierścienia Saturna. Jestem stary, Alosza.

Bykow wstał i, nie patrząc na nikogo, w milczeniu wyszedł z mesy. Jurkowski zasłonił twarz dłońmi.

Co za nieszczęście! - powiedział z żalem. - Dlaczego ja mam taką okropną reputację? Co, Misza?

- Bardzo jesteś nieostrożny, Wołodienka - rzekł Michaił Antonowicz. - Naprawdę, sam jesteś sobie winien.

- A po co być ostrożnym? - spytał Jurkowski. - Proszę, powiedz mi, po co? Żeby dożyć do pełnej duchowej i cielesnej niemocy? Doczekać momentu, gdy życie ci obrzydnie i umrzeć z nudów w łóżku? To śmieszne, Michaił, żeby tak się trząść nad własnym życiem.

Michaił Antonowicz pokręcił głową.

- Jakiś ty, Wołodienka - powiedział cicho. - Jak możesz tego nie rozumieć. Ty sobie umrzesz i po wszystkim. A po tobie ludzie zostaną, przyjaciele. Wiesz, jak im będzie gorzko? A ty tylko o sobie, Wołodienka, zawsze tylko o sobie.

- Ech, Misza - westchnął Jurkowski. - Nie będę się z tobą kłócił. Powiedz mi lepiej, zgodzi się Aleksiej, czy nie?

- Ależ on już się zgodził - stwierdził Michaił Antonowicz. - Nie widzisz tego? Ja z nim latam piętnaście lat, dobrze go znam.

Jurkowski znowu przebiegł się po pokoju.

- A czy chociaż ty, Misza, chcesz lecieć czy nie? - krzyknął. - Czy ty też... zgadzasz się?

- Bardzo chcę - powiedział Michaił Antonowicz i poczerwieniał. - Na pożegnanie.

Jura pakował walizkę. Nigdy nie umiał spakować się jak należy, a teraz w dodatku się spieszył, żeby nikt nie zauważył, jak bardzo nie chce schodzić z „Tachmasiba”. Iwan stał obok i Jurze było tak strasznie smutno na myśl, że zaraz będą się żegnać i że nigdy więcej się nie spotkają.

Jak leci wrzucał do walizki bieliznę, zeszyty z notatkami, książki - również Drogą nad drogami, o której Bykow powiedział: Z chwilą gdy ta książka zacznie ci się podobać, możesz

uważać się za dorosłego. Iwan pogwizdując, obserwował Jurę wesołymi oczami. Jura w końcu zamknął walizkę, obejrzał ze smutkiem kajutę i powiedział:

- To chyba wszystko.

- Jak wszystko, to chodź się pożegnać - rzekł Żylin.

Wziął od Jury nieważką walizkę i poszli korytarzem, mijając pływające w powietrzu dziesięciokilogramowe hantle, mijając prysznic i kuchnię, skąd pachniało kaszą owsianą. Weszli do mesy. W mesie był tylko Jurkowski. Siedział przy pustym stole, obejmując rękami łysiejącą głowę. Przed nim leżała przymocowana zaciskami samotna, pusta kartka papieru.

- Władimirze Siergiejewiczu - powiedział Jura. Jurkowski podniósł głowę.

- A, kadet - uśmiechnął się ze smutkiem. - Cóż, pożegnajmy się.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Jestem wam bardzo wdzięczny - powiedział Jura.

- No, no - rzekł Jurkowski. - No, co też ty, naprawdę. Wiesz przecież, że nie chciałem cię brać. Ale nie miałem racji. Czego ci życzyć na pożegnanie? Dużo pracuj, Jura. Pracuj rękami, pracuj głową. Zwłaszcza nie zapominaj pracować głową. I pamiętaj, że prawdziwi ludzie to ci, którzy dużo myślą o wielu rzeczach. Nie pozwól leniuchować komórkom. - Jurkowski popatrzył na Jurę ze znajomym wyrazem twarzy, jakby czekał, że Jura właśnie teraz, na jego oczach zmieni się na lepsze. - Idź.

Jura skłonił się niezręcznie i wyszedł z mesy. Przed drzwiami na mostek obejrzał się. Jurkowski patrzył w zadumie za nim, ale już go chyba nie widział. Jura wszedł na mostek. Michaił Antonowicz i Bykow rozmawiali przy pulpicie sterowniczym. Gdy Jura wszedł, zamilkli i popatrzyli na niego.

- Tak - rzekł Bykow. - Jesteś gotów, Jura. Iwan, odprowadzisz go.

- Do widzenia - powiedział Jura. - Dziękuję. Bykow w milczeniu podał mu swą ogromną dłoń.

- Bardzo wam dziękuję, Aleksieju Pietrowiczu - powtórzył Jura. - I wam, Michaile Antonowiczu.

- Nie ma za co, Jurik, nie ma za co - odparł Michaił Antonowicz. - Szczęśliwej pracy. I koniecznie napisz list. Adresu nie zgubiłeś?

Jura w milczeniu poklepał się po kieszeni na piersi.

- To i dobrze, to pięknie. Napisz, a jak zechcesz, przyjedź. Naprawdę, gdy tylko wrócisz na Ziemię od razu przyjedź. U nas jest wesoło. Dużo młodzieży. Moje memuary poczytasz.

Jura uśmiechnął się słabo.

- Do widzenia - powiedział.

Michaił Antonowicz pomachał długopisem, a Bykow zahuczał:

- Spokojnej plazmy, stażysto.

Jura i Żylin wyszli z mostku. Ostatni raz otworzyły się i zamknęły za Jurą drzwi kesonu.

- Żegnaj, „Tachmasibie” - powiedział Jura.

Szli niekończącym się korytarzem obserwatorium, gdzie było gorąco jak w saunie, i dotarli na drugi pokład dokowy. Przed otwartym lukiem tankowca siedział na malutkiej bambusowej ławeczce długonogi rudy mężczyzna w rozpiętym mundurze ze złotymi guzikami i pasiastych szortach. Przeglądając się w malutkim lusterku rozczesywał palcami rude bokobrody i wysuwając szczękę, śpiewał jakiś tyrolski motyw. Na widok Jury i Bylina, schował lusterko do kieszeni i wstał.

- Kapitan Korf? - spytał Żylin.

- Ja - odparł rudy.

- Na „Pierścień 2” dostarczycie tego oto towarzysza - powiedział Żylin. - Zdaje się, że generalny inspektor z wami rozmawiał?

- Ja - potwierdził rudy kapitan Korf. - Barco dopsze. Bagasz? Żylin pokazał walizkę.

- Ja - przemówił kapitan Korf po raz trzeci.

- No to żegnaj, Jurik - powiedział Żylin. - Nie zwieszaj nosa na kwintę. No, co ty, jak słowo daję?

- Niczego nie zwieszam - odrzekł smętnie Jura.

- Już ja dobrze wiem, dlaczego zwieszasz nos - domyślał się Żylin. - Wyobraziłeś sobie, że już nigdy się nie spotkamy i natychmiast zrobiłeś z tego tragedię. A żadnej tragedii tu nie ma. Jeszcze sto razy będziesz spotykał dobrych i złych ludzi. A możesz mi powiedzieć, czym różni się jeden porządny człowiek od drugiego?

- Nie wiem - westchnął Jura.

- A ja ci powiem - powiedział Żylin. - Niczym szczególnym. Jutro będziesz ze swoimi przyjaciółmi, wszyscy ci będą zazdrościć, a ty będziesz się chwalił. Ja z inspektorem Jurkowskim... Opowiesz, jak strzelałeś do pijawek na Marsie, jak własnymi rękami takim krzesłem rąbnąłeś mistera Richardsona na Bamberdze, jak uratowałeś niebieskooką dziewczynę przed łajdakiem Szerszeniem. O śmierć-planeciarzach też coś na pewno nakłamięs...

- No, co wy, Wania - Jura uśmiechnął się słabo.

- Dlaczego nie? Wyobraźnię masz bujną. Już to widzę, jak im śpiewasz balladę o jednonogim kosmicie. Tylko pamiętaj - tam były dwa ślady. O drugim nie zdążyłem opowiedzieć. Był na suficie, dokładnie nad pierwszym. Nie zapomnij. No, żegnaj.

- Tilalalala ia! - cichutko zajadłował za ich plecami kapitan Korf.

- Do widzenia, Wania — powiedział Jura.

Obiema rękami uścisnął dłoń Żylina. Żylin poklepał go po ramieniu, odwrócił się i wyszedł na korytarz. Jura usłyszał, jak w korytarzu ktoś krzyknął:

- Iwan! Jest jeszcze jedna hipoteza! W jaskini nie było żadnego kosmity. Był tylko jego but.

Jura uśmiechnął się słabo.

- Tilalalala ia! - śpiewał za nim kapitan Korf, rozczesując rude bokobrody.

13. „Pierścień 1”. Powinien żyć.

- Wołodzieńka, posuń no się troszeczkę - prosił Michaił Antonowicz. - Boja się łokciem o ciebie opieram. Jeśli nagle przyjdzie nam na przykład zrobić wiraż...

- Bardzo chętnie... - powiedział Jurkowski. - Tylko niestety nie mam gdzie. Tu jest zdumiewająco ciasno. Kto budował... te... a-aparaty...

- O, tak... I starczy, starczy, Wołodzieńka...

W kosmoskafie było bardzo ciasno. Malutka, okrągła rakietka obliczona była na jednego człowieka, ale zwykle wsiadało dwóch. Ponadto, zgodnie z zasadami bezpieczeństwa, przy pracach nad Pierścieniem załoga powinna być w skafandrach z odchylonymi hełmami. Dwie osoby w skafandrach, z hełmami wiszącymi za plecami prawie nie mogły się ruszyć. Michaił Antonowicz miał szczęście siedzieć w wygodnym fotelu sterującego, z szerokimi miękkimi pasami i bardzo przeżywał, że jego przyjaciel Wołodzieńka musi gnieść się pomiędzy futerałem regeneratora i pulpitem wyrzutnika bombowego.

Jurkowski, przyciskając twarz do binoklów, od czasu do czasu trząsał migawką aparatu fotograficznego.

- Trochę przyhamuj, Misza - mówił. - Tak... zatrzymaj się... Jak tu niewygodnie...

Michaił Antonowicz, wpatrzony w ekran teleprojektor, z przyjemnością trzymał ster. Kosmoskaf płynął powoli dwadzieścia pięć kilometrów od średniej płaszczyzny Pierścienia. Przed nimi wznosił się ogromny żółty garb Saturna. Niżej, z prawej i lewej strony, przez cały ekran ciągnęło się płaskie, lśniące pole. W dali zasnuwała je zielona mgiełka i wydawało się, że gigantyczna planeta jest przecięta na pół. Pod kosmoskafem płynęło kamieniste kruszywo. Tęczowe roje kanciastych odłamków, drobnego żwiru, lśniącego, skrzącego się pyłu. Czasem w tym kruszywie powstawały dziwne wiry i wtedy Jurkowski mówił: Przyhamuj, Michaił... O, tak... - i kilka razy trząsał migawką. Nieokreślone, niezrozumiałe ruchy zwracały szczególną uwagę Jurkowskiego. Pierścień nie był garścią kamieni, rzuconych w martwy inercyjny ruch wokół Saturna, żył swoim niepojętym życiem i jego zasady trzeba było dopiero zrozumieć.

Michaił Antonowicz czuł się szczęśliwy. Delikatnie ścisnął rękę steru, z rozkoszą czując, jak miękko i posłusznie reaguje rakietka na każdy ruch jego palców. Jak by to było pięknie - prowadzić statek bez cybernawigatora, bez tej całej elektroniki, cybernetyki i bioniki, licząc tylko na siebie, upając się pełną i bezgraniczną pewnością siebie i wiedząc, że

pomiędzy tobą a statkiem jest tylko miękki, wygodny ster i nie trzeba jak zwykle całym wysiłkiem woli tłumić myśli, że pod twoimi nogami drzemie, wprawdzie poskromiona, ale straszna siła, zdolna roznieść w pył całą planetę. Michaił Antonowicz miał bogatą wyobraźnię, w duszy zawsze był trochę konserwatystą i powolny kosmoskaf z jego słabymi silnikami wydawał mu się przytulny i swojski w porównaniu z fotonowym potworem „Tachmasibem” i innymi takimi monstrami, z którymi Michaił Antonowicz miał do czynienia w ciągu dwudziestu pięciu lat pracy nawigatora.

Diamentowy, mieniący się tęczowo rój Pierścienia, jak zwykle budził w nim cichy zachwyt. Michaił Antonowicz zawsze miał słabość do Saturna i jego pierścieni. Pierścień był zdumiewająco piękny, znacznie piękniejszy, niż mógłby to wyrazić Michaił Antonowicz, jednak za każdym razem, gdy go widział, miał ochotę o nim opowiedzieć...

- Jak pięknie - powiedział w końcu. - Jak się wszystko mieni. Ja może nie powinienem...

- Zahamuj no, Misza - rzekł Jurkowski. Michaił Antonowicz zahamował.

- Są na przykład lunatycy - zaczął znowu. - A ja mam taką samą słabość...

- Zahamuj jeszcze - powiedział Jurkowski.

Michaił Antonowicz zamilkł i przyhamował. Jurkowski trzasnął migawką. Michaił Antonowicz milczał przez chwilę, po czym odezwał się do mikrofonu:

- Aloszeńka, słyszysz nas?

- Słucham - odezwał się basem Bykow.

- Aloszeńka, u nas wszystko w porządku - oznajmił szybko Michaił Antonowicz. - Po prostu chciałem się podzielić. Bardzo tu pięknie, Aloszeńka. Słońce się tak mieni na kamieniach i pył tak się srebrzy... Jak to wspaniale, Aloszeńka, żeś nas puścił. Chociaż na koniec popatrzeć... Ach, żebyś ty widział, jak tu jeden kamyczek lśni! - Zamilkł przepełniony uczuciami.

Bykow odczekał chwilę, po czym spytał:

- Długo jeszcze macie zamiar iść na Saturna?

- Długo, długo! - powiedział rozdrażniony Jurkowski. - Poszedłbyś gdzieś, Aleksieju, zajął się czymś. Nic nam się nie stanie.

- Iwan jest tutaj w ramach profilaktyki - Bykow zamilkł i po chwili dodał: - Ja też.

- Nie martw się, Aloszeńka - rzekł Michaił Antonowicz. - Nie ma szalejących kamieni, jest bardzo spokojnie i bezpiecznie.

- To dobrze, że nie ma kamieni - stwierdził Bykow. - Ale ty i tak bądź bardziej uważny.

- Przyhamuj, Michaił - polecił Jurkowski.
- Co się stało? - spytał Bykow.
- Turbulencja - odparł Michaił Antonowicz.
- A - odezwał się Bykow i zamilkł.

Piętnaście minut upłynęło w milczeniu. Kosmoskaf oddalił się od krawędzi Pierścienia na trzysta kilometrów. Michaił Antonowicz trzymał ster i walczył z pragnieniem, by rozpędzić się tak, żeby lśniące odłamki zwały się w jeden błyszczący pas. To byłby piękny widok. Michaił Antonowicz lubił robić takie rzeczy, gdy był młodszy.

- Zatrzymaj się, Michaił - wyszeptał nagle Jurkowski. Michaił Antonowicz przyhamował.

- Zatrzymaj się, mówię! - zawołał Jurkowski. - No? Kosmoskaf zawisł bez ruchu. Michaił Antonowicz obejrzał się na Jurkowskiego. Jurkowski wcisnął twarz w binoklar, jakby chciał wypchnąć korpus kosmoskafa i wyrzucić na zewnątrz.

- Co tam? - spytał Michaił Antonowicz.

- Co u was? - spytał Bykow. Jurkowski nie odpowiedział.

- Michaił! - krzyknął nagle. - Po ruchu Pierścienia... Widzisz, pod nami jest długi czarny odłamek... Idź prosto nad nim... dokładnie nad nim, nie wyprzedzaj go...

Michaił Antonowicz odwrócił się do ekranu, znalazł czarny długi odłamek na dole i poprowadził kosmoskaf, starając się nie wypuszczać odłamka z krzyża celowniczego.

- Co tam u was? - spytał znowu Bykow.

- Jakiś odłamek - powiedział Michaił Antonowicz. - Czarny i długi.

- Odchodzi - wycedził Jurkowski przez zęby. - Wolniej o metr! - krzyknął.

Michaił Antonowicz zmniejszył prędkość.

- Nie, tak nie da rady... Misza, patrz, czarny odłamek widzisz? -zaszeptał pospiesznie Jurkowski.

- Widzę.

- Prosto po kursie o dwa stopnie od niego jest grupa kamieni...

- Widzą - powiedział Michaił Antonowicz. - Tam coś tak ładnie błyszczy...

- Otóż to... Trzymaj kurs na ten blask... Nie strać go tylko... Czy to ja mam w oczach coś takiego...

Michaił Antonowicz wprowadził błyszczącą kropkę w krzyż celowniczy i dał maksymalne powiększenie na teleprojektor. Zobaczył pięć okrągłych, dziwnie jednakowych białych kamieni, a pomiędzy nimi coś błyszczącego, nie do końca widocznego,

przypominającego srebrzysty cień pająka z rozcapierzonymi łapami. Jakby kamienie rozjeżdżały się, a pająk czepiał się ich rozstawionymi łapami.

- Jak zabawnie! - zachwycił się Michaił Antonowicz.

- No, co się tam u was dzieje? - wrzasnął Bykow.

- Poczekaj, Aleksieju, poczekaj - wymamrotał Jurkowski. -Tutaj trzeba by było zejść niżej...

- Zaczyna się - powiedział Bykow. - Michaił, ani na metr niżej!

Zdenerwowany Michaił Antonowicz, sam tego nie zauważając już schodził kosmoskafem w dół. To było tak zdumiewające i niezrozumiałe - pięć jednakowych białych kamieni i dziwny srebrzysty cień pomiędzy nimi.

- Michaił! - ryknął Bykow i zamilkł.

Michaił Antonowicz opamiętał się i gwałtownie zahamował.

- Co robisz?! - krzyknął nieswoim głosem Jurkowski. - Stracisz je!

Długi, czarny odłamek powoli, ledwie zauważalnie dla oczu nasuwał się na dziwne kamienie.

- Aloszeńka! - zawołał Michaił Antonowicz. - Tutaj rzeczywiście jest coś dziwnego! Mogę zejść jeszcze odrobinę niżej? Źle widać!

Bykow milczał.

- Stracisz je, stracisz - ryczał Jurkowski.

- Aloszeńka! - krzyknął z rozpaczą Michaił Antonowicz. - Zejdę! Na pięć kilometrów, dobrze?

Kurczowo ścisnął rękę steru, starając się nie wypuszczać błyszczącego punktu z krzyża celownika. Czarny odłamek nasuwał się powoli i nieubłaganie. Bykow nie odpowiadał.

- No schodźże, schodź - powiedział Jurkowski niespodziewanie spokojnie.

Michaił Antonowicz w rozpaczę popatrzył na migoczący ekran lokatora meteorów i poprowadził kosmoskaf w dół.

- Aloszeńka - mamrotał - ja tylko odrobinę, żeby nie stracić z oczu. Dookoła jest spokojnie, pusto.

Jurkowski pospiesznie trząskając migawkami aparatów. Czarny długi odłamek nasuwał się powoli i w końcu zasłonił białe kamienie i błyszczącego pająka pomiędzy nimi...

- Ech - powiedział Bykow. - Z twoim Bykowem... Michaił Antonowicz zahamował.

- Aloszeńka! - zawołał. - Już po wszystkim.

Bykow przez cały czas milczał i wtedy Michaił Antonowicz spojrział na radiostację. Odbiór był wyłączony.

- Ajajajaj! - krzyknął Michaił Antonowicz. - Jak ja mogłem... Pewnie łokciem?

Włączył odbiór.

- ...chajł, wracaj! Michaił, wracaj! Michaił, wracaj! - powtarzał monotonicznie Bykow.

- Słyszę, Aloszeńka, słyszę! Ja tu niechcący odbiór wyłączyłem!

- Natychmiast wracaj - powiedział Bykow.

- Zaraz, zaraz, Aloszeńka! - zapewniał Michaił Antonowicz. - Już skończyliśmy i wszystko jest w porządku... - Zamilkł. Podłużny, czarny kształt powoli odpływał, odsłaniając grupę białych kamieni. Znowu błysnął w Słońcu srebrzysty pająk.

- Co tam się u was dzieje? - spytał Bykow. - Możecie mi wreszcie wytłumaczyć?

Jurkowski odepchnął Michaiła Antonowicza i nachylił się nad mikrofonem.

- Aleksieju! - krzyknął. - Pamiętasz bajkę o gigantycznej fluktuacji? Zdaje się, że mamy szansę jedną na miliard!

- Jaką szansę?

- Zdaje się, że znaleźliśmy...

- Patrz, patrz Wołodzieńka! - wymamrotał Michaił Antonowicz, z przerażeniem patrząc na ekran. Masa szczelnego szarego pyłu nasuwała się z boku i nad nią płynęły w poprzek dziesiątki błyszczących, kanciastych kamieni. Jurkowski aż jęknął - zaraz wszystko zasłonią, pochłoną, zgniotą i odciągną nie wiadomo dokąd i te dziwne białe kamienie, i tego srebrzystego pająka, i nikt nigdy nie dowie się, co to było...

- Na dół! - ryknął. - Michaił, na dół!... Kosmoskał drgnął.

- Z powrotem! - krzyknął Bykow. - Michaił, to rozkaz - z powrotem!

Jurkowski wyciągnął rękę i wyłączył odbiór.

- Na dół, Misza, na dół. Tylko na dół, szybko!

- Co ty, Wołodzieńka! Nie można - rozkaz! Co ty! - Michaił Antonowicz sięgnął do radiostacji. Jurkowski schwycił go za rękę.

- Popatrz na ekran, Misza. - Powiedział. - Za dwadzieścia minut będzie już za późno...

- Michaił Antonowicz, nic nie mówiąc, wrywał się do radiostacji. - Michaił, nie bądź głupcem... mamy szansę jedną na miliard... Nigdy nam nie wybaczą... Zrozum że to, stary durniu!

Michaił Antonowicz sięgnął jednak do radiostacji i włączył odbiór. Usłyszeli, jak ciężko dyszy Bykow.

- Oni nas nie słyszą - zwrócił się do kogoś.

- Misza - wyszeptał ochryple Jurkowski. -Nie wybaczę ci tego nigdy w życiu. Zapomnę, że byłeś moim przyjacielem. Zapomnę, że byliśmy razem na Golkondzie... Misza, to przecież sens mojego życia, zrozum... Czekałem na to przez całe życie... Wierzyłem w to... To kosmici, Misza...

Michaił Antonowicz popatrzył na twarz przyjaciela i aż zmrużył oczy - nie poznał go.

- Misza, pył się nasuwa... Wejź pod ten pył, proszę cię, błagam... Szybko się uwiniemy, tylko postawimy radioboję i wrócimy. To bardzo proste i bezpieczne, i nikt się nie dowie...

- No i co z takim robić! - wykrzyknął Bykow.

- Coś znaleźli - usłyszeli głos Żylina.

- Nie można przecież. Nie prosz. Nie można. Ja obiecałem. On oszaleje z niepokoju.

Nie prosz...

Szara ściana pyłu nasuwała się coraz bardziej.

- Puść mnie - rzekł Jurkowski. - Sam będę sterował. Zaczął w milczeniu wydzierać Michaiła Antonowicza z fotela.

To było tak dzikie i straszne, że Michaił Antonowicz zupełnie się stropił.

- No dobrze... - wymamrotał. - Dobrze... Poczekaj... - Przez cały czas nie mógł poznać Jurkowskiego. To było jak zły sen.

- Michaił Antonowiczu! - zawołał Żylin.

- Słucham - powiedział słabo Michaił Antonowicz i Jurkowski z całych sił uderzył w przełącznik pancerną pięścią. Metalowa rękawica ścięła przełącznik niczym brzytwa.

- Na dół! - zaryczał Jurkowski.

Michaił Antonowicz przerażony rzucił kosmoskaf w dwudziestopięciokilometrową przepaść. Przez cały czas drżał z żalu i strasznych przeczuć. Minęła minuta, druga...

- Misza, Misza, przecież ja rozumiem... - powiedział jasnym głosem Jurkowski.

Porowate głązy na ekranie rosły, poruszając się powoli. Jurkowski mechanicznie nasunął na głowę przezroczysty hełm skafandra.

- Misza, Misza, ja rozumiem. - Dobiegł Żylina głos Jurkowskiego.

Bykow zgarbiony siedział przed radiostacją, obiema rękami wczepiony w bezużyteczny już mikrofon. Mógł tylko słuchać i próbować rozumieć, co się dzieje, i czekać, i mieć nadzieję. Jak wróć, stłukę do krwi. I tego generalnego łajdaka i tego cacanego nawigatora. Nie, nie stłukę. Niech tylko wróć. Niech wróć. Obok, z rękami w kieszeniach, milczał ponury Żylin.

- Kamienie - mówił żałośnie Michaił Antonowicz. - Kamienie...

Bykow zamknął oczy. Kamienie w Pierścieniu. Ostre, ciężkie. Lecą, pełzną, wirują. Otaczają. Popychają, ohydnie skrzypią, trąc o metal. Pchnięcie. Potem jeszcze silniejsze. To jeszcze głupstwo, nic strasznego. Niczym groch sypią się po poszyciu statku pełnące drobiny, i to też głupstwo, ale gdzieś z tyłu już nadciąga ten najcięższy i najszybszy, jakby puszczony z gigantycznej katapulty, lokatory go nie widzą za ścianą pyłu, a gdy zobaczą, będzie już za późno... Pęka korpus, przedziały zwijają się w harmonię, przenikliwie świszczy powietrze i ludzie stają się biali i łamliwi jak lód... No nie, przecież są w skafandrach. Bykow otworzył oczy.

- Żylin - powiedział. - Idź do Markuszyna, spytaj, gdzie jest drugi kosmoskaf. Niech przygotują dla mnie pilota.

Żylin ulotnił się.

- Misza - zawołał bezdźwięcznie Bykow. - Jakoś... Misza... jakoś...

- Oto on - powiedział Jurkowski.

- Ajajajajaj... - zajęczał Michaił Antonowicz.

- Pięć kilometrów?

- Coś ty, Wołodienka? Znacznie mniej. Dobrze, że kamieni nie ma, co?

- Wyhamuj powoli. Ja przygotuję boję. Głupi byłem, że zepsułem radiostację...

- Co to może być, Wołodienka? Patrz, jaki potwór!...

- On je trzyma, widzisz? Tu są kosmici. A ty jęczałeś.

- Coś ty, Wołodienka? Czy ja jęczałem? Ja tylko...

- Stań jakoś tak, żeby go nie daj Boże nie zahaczyć... Zapadła cisza. Bykow słuchał w napięciu. Może im się uda, pomyślał.

- Co się tak grzebiesz?

- Nie wiem... jakieś to wszystko dziwne... jakoś mi tak nieswojo...

- Wyjdź pod łapę i wyrzuć magnetycznego kota.

- Dobrze, Wołodienka...

Co oni tam znaleźli, zastanawiał się Bykow. Co to za łapa? Czemu się tak guzdrzą? Czy naprawdę nie można szybciej?

- Nie trafiłeś - powiedział Jurkowski.

- Poczekaj, Wołodienka, nie umiesz. Daj mnie.

- Patrz, jakby wrosła w kamień... Zauważyłeś, że wszystkie są jednakowe?

- Tak, wszystkie pięć. Mnie się to od razu wydało dziwne... Wrócił Żylin.

- Nie ma kosmoskafu - oznajmił.

Bykow nawet nie pytał, co to znaczy, że nie ma kosmoskafu. Odłożył mikrofon, wstał i powiedział:

- Chodźmy do Szwajcarów.

- W ten sposób nic nam nie wyjdzie - usłyszeli głos Michaiła Antonowicza.

Bykow zatrzymał się.

- Tak... rzeczywiście... Co by tu wymyślić?

- Poczekaj, Wołodienka. Czekaj, ja wyjdę i zrobię to ręcznie.

- Słusznie - stwierdził Jurkowski. - Wyjdźmy.

- Nie, Wołodienka, ty siedź tutaj. I tak się nie przydasz...

- Dobrze. Zrobię jeszcze kilka zdjęć - powiedział Jurkowski po namyśle.

Bykow pośpiesznie ruszył do wyjścia. Żylin wyszedł za nim z mostka i zamknął drzwi na klucz.

- Weźmiemy tankowiec - mówił idąc Bykow - po namiarze dotrzemy do tego miejsca i będziemy na nich czekać.

- Słusznie, Aleksieju Pietrowiczu - zgodził się Żylin. - Ale co oni tam znaleźli?

- Nie wiem - syknął Bykow przez zęby. - I nie chcę wiedzieć. Gdy będę rozmawiał z kapitanem, ty wejdiesz na mostek i zajmiesz się namiarem.

W korytarzu obserwatorium Bykow złapał rozgrzanego dyżurnego i polecił:

- Idziemy teraz na tankowiec. Zdejmiesz grodz i zamkniesz luk.

Dyżurny skinął głową.

- Drugi kosmoskaf wraca - powiedział. Bykow zatrzymał się.

- Nie, nie - dodał dyżurny z żalem. - Będą nieprędko. Za jakieś trzy godziny.

Bykow w milczeniu poszedł dalej. Minęli keson i bambusowe krzeselko i weszli na mostek tankowca. Kapitan Korf i jego nawigator pochyleni nad niskim stolikiem oglądali błękitny szkic.

- Dzień dobry - rzekł Bykow.

Żylin, nie mówiąc ani słowa, podszedł do radiostacji i zaczął nastrojać się na częstotliwość kosmoskafu. Kapitan i nawigator wpatrywali się w niego zdumieni. Bykow zbliżył się do nich.

- Kto z was jest kapitanem? - Spytał.

- Kapitan Korf- przedstawił się rudy mężczyzna. - Kim wy są? Dłazszego?

- Jestem Bykow, kapitan „Tachmasiba”. Proszę o pomoc.

- Cieszę się - rzekł kapitan Korf i popatrzył na Żylina przy radiostacji.

- Dwóch naszych towarzyszy weszło w Pierścień - poinformował Bykow.

- O! - Na twarzy kapitana pojawiła się konsternacja. - Jaka nieostrożność!!

- Potrzebny mi statek. Proszę was o niego.

- Mój statek - chciał wiedzieć zdeorientowany Korf - iść w Pierścień?

- Nie - zaprzeczył Bykow. - W Pierścień tylko w ostateczności. Jeśli zdarzy się nieszczęście.

- A gdzie wasz statek? - spytał Korf podejrzliwie.

- Mam fotonowy frachtowiec - odparł Bykow.

- A - powiedział Korf. - Tak, to nie można. Na mostku rozległ się głos Jurkowskiego:

- Poczekaj, ja zaraz wyjdę.

- A ja ci mówię, siedź, Wołodienka - odezwał się Michaił Antonowicz.

- Długo się z tym grzebiesz. Michaił nie odpowiedział.

- To oni? W Pierścieniu? - spytał Korf, wskazując palcem radiostację.

- Tak - powiedział Bykow. - Zgadza się? Żylin podszedł i stanął obok.

- Tak - rzekł kapitan Korf w zadumie. - Trzeba pomóc. Nawigator zaczął mówić tak szybko, że Bykow rozumiał tylko pojedyncze słowa. Korf słuchał i kiwał głową. Czerwony na twarzy odwrócił się do Bykova:

- Nawigator nie chce lecieć. Nie ma obowiązku.

- Niech zejdzie - powiedział Bykow. - Dziękują, kapitanie Korf.

Nawigator powiedział jeszcze kilka zdań.

- Mówi, że idziemy na pewną śmierć.

- Powiedzcie mu, żeby wyszedł - powiedział Bykow. - Musimy się spieszyć.

- Może lepiej by było, gdyby pan Korf też zszedł? - spytał ostrożnie Żylin.

- Ho, ho! - zawołał Korf. - Ja jestem kapitanem!

Machnął nawigatorowi ręką i podszedł do pulpitu sterowniczego. Nawigator wyszedł, nie patrząc na nikogo. Po chwili huknął zewnętrzny luk.

- Dziefczyny - stwierdził kapitan Korf, nie odwracając się. - One robią nas słabymi. Słabymi jak one. Ale trzeba stawiać opór. Przygotujmy się.

Sięgnął do bocznej kieszeni, wyciągnął fotografię, postawił na pulpicie przed sobą.

- O tak - powiedział. - I tylko tak. Inaczej nie można. Na miejsca, panowie.

Bykow usiadł przy pulpicie obok kapitana. Żylin przypiął się pasami przed radiostacją.

- Dyspozytor! - zawołał kapitan.

- Dyspozytor, słucham - odezwał się dyżurny obserwatorium.

- Proszę o pozwolenie na start!

- Pozwalam!

Kapitan Korf nacisnął starter i wszystko się przesunęło. I wtedy Żylin przypomniał sobie o Jurze. Przez kilka sekund patrzył na radiostację, wzdychającą głosem Michaiła Antonowicza. Nie wiedział, jak postąpić. Tankowiec już opuścił strefę obserwatorium i kapitan Korf, manewrując sterami, wyprowadzał statek na namiar. Nie panikujmy, myślał Żylin. Jeszcze nie jest źle. Na razie nie stało się nic strasznego.

- Michaił! - usłyszeli Jurkowskiego. - Długo tam jeszcze?

- Zaraz, Wołodienka - powiedział Michaił Antonowicz. Jego głos brzmiał dziwnie, jakby był zmęczony czy roztargniony.

- Hej! - rozległ się z tyłu głos Jury.

Żylin odwrócił się. Na mostek wszedł Jura, zaspany i bardzo ucieszony.

- Wy też na „Pierścień 1”? Bykow spojrzał na niego dziko.

- Himmel Donnerweter! - wyszeptał Korf. On też zupełnie zapomniał o Jurze. - Pasażer! Do kajuta! - krzyknął groźnie, a jego rude bokobrody zjeżyły się.

Michaił Antonowicz nagle głośno powiedział:

- Wołodia... Bądź tak dobry, odsuń kosmoskaf na trzydzieści metrów. Będziesz umiał? Jurkowski mruknął coś z niezadowoleniem.

- Spróbuję - powiedział. - A po co to?

- Tak mi będzie wygodniej, Wołodia. Proszę cię.

Bykow nagle wstał i szarpnął na sobie zapięcie kurtki. Jura popatrzył na niego z przerażeniem. Twarz Bykowa, zawsze czerwonoceglasta, nagle zrobiła się sinobiałą. Jurkowski krzyknął:

- Kamień! Misza! Kamień! Wracaj! Rzuć wszystko!

Dał się słyszeć słaby jęk i Michaił Antonowicz powiedział drżącym głosem:

- Odejdź, Wołodienka. Szybko. Ja nie mogę.

- Prędkość - wychrypiał Bykow.

- Co to znaczy - nie mogę? - zawył Jurkowski. Słysząc było, jak ciężko dyszy.

- Odejdź, odejdź, tu nie można - mamrotał Michaił Antonowicz. - Nic z tego nie wyjdzie... Nie trzeba, nie trzeba...

- Więc o to chodzi... - powiedział Jurkowski. - Czemu nie mówiłeś? Nic nie szkodzi. Zaraz... Chwila... Ale ci się zachciało...

- Prędkość, prędkość - ryczał Bykow.

Kapitan Korf wykrzywił piegowatą twarz i zawisł nad klawiaturą sterowania. Wzrastało przeciążenie.

- Zaraz, Miszeńka, zaraz - mówił różnym głosem Jurkowski. -O, tak... Ech, żeby tak mieć łom...

- Za późno - powiedział niespodziewanie spokojnie Michaił Antonowicz.

W ciszy, jaka zapadła, słysząc było jak ciężko, ochryple dyszą.

- Tak - powiedział Jurkowski. - Za późno.

- Odejdź - powiedział Michaił Antonowicz. -Nie.

- To nie ma sensu.

- To nic - rzekł Jurkowski. - Szybko pójdzie. Rozległ się suchy śmieszek.

- Nawet nie zauważymy. Zamknij oczy, Misza.

Po krótkiej przerwie ktoś - nie wiadomo, kto - cicho i żałośnie zawołał:

- Alosza... Aleksiej...

Bykow w milczeniu odepchnął kapitana Korfa jak kociaka i wpił się palcami w klawisze. Tankowcem szarpnęło. Żylin, wciśnięty w fotel strasznym przeciążeniem, zdążył tylko pomyśleć: Dopalenie! I na sekundę stracił przytomność. Po czym przez szum w uszach usłyszał krótki, urywany krzyk bólu i przez czerwoną zasłonę zobaczył, jak strzałka autonamiaru drgnęła i zaczęła się kołysać.

- Misza! - krzyknął Bykow. - Chłopaki!

Opadł głową na pulpit i głośno zapłakał.

Jura źle się czuł. Mdliło go, bardzo bolała głowa. Męczył go jakiś dziwny podwójny koszmar. Leżał na swoim łóżku w ciasnej, ciemnej kajucie „Tachmasiba” i jednocześnie to był jego duży jasny pokój na Ziemi. Do pokoju wchodziła mama, kładła mu na policzku przyjemnie chłodną rękę i mówiła głosem Żylina: Nie, jeszcze śpi. Jura chciał powiedzieć, że nie śpi, ale nie mógł. Jacyś ludzie, znajomi i nieznajomi, przechodzili obok niego i jeden z nich - w białym fartuchu - nachylił się i bardzo mocno uderzył Jurę w bolącą, rozbitą głowę, a po chwili Michaił Antonowicz żałośnie powiedział: Alosza... Aloszeńka..., a Bykow, straszny i blady jak trup, schwycił rękami pulpit i Jurę rzuciło na korytarz, na twarde kanty. Grała przejmująco smutna muzyka i czyjś głos mówił: Podczas badania Pierścienia Saturna zginęli inspektor Międzynarodowego Zarządu Kosmicznej Komunikacji Władimir Siergiejewicz Jurkowski i najstarszy nawigator, kosmonauta Michaił Antonowicz Krutikow... I Jura płakał, jak płaczą we śnie nawet ludzie dorośli, gdy przyśni im się coś smutnego...

Gdy Jura doszedł do siebie, zobaczył, że leży w kajucie „Tachmasiba”, a obok stoi lekarz w białym fartuchu.

- No proszę - powiedział Żylin, uśmiechając się smutno. - Dawno tak trzeba było.

- Oni naprawdę zginęli? - spytał Jura. Żylin w milczeniu skinął głową. - A Aleksiej Pietrowicz? - Żylin nic nie powiedział.

- Głowa bardzo boli? - spytał lekarz. Jura zastanowił się.

- Nie - odpowiedział. - Nie bardzo.

- To dobrze - rzekł lekarz. - Poleżysz pięć dni i będziesz zdrow.

- Nie odeślą mnie na Ziemię? - spytał Jura. Nagle bardzo się przestraszył, że go odeślą.

- Nie, dlaczego? - zdumiał się lekarz, a Żylin chcąc mu dodać otuchy, oznajmił:

- Już się o ciebie pytali z „Pierścienia 2”, chcą cię odwiedzić.

- Niech odwiedzają - powiedział Jura.

Lekarz powiedział Żylinowi, że Jurę trzeba co trzy godziny poić miksturą, uprzedził, że przyjdzie pojutrze i wyszedł. Żylin powiedział, że zaraz wróci i poszedł go odprowadzić. Jura znowu zamknął oczy. Zginęli, pomyślał. Nikt więcej nie nazwie mnie kadetem i nie poprosi, żeby porozmawiać ze starcem. Nikt nie zacznie dobrym głosem czytać nieśmiało swoich memuarów o przemyślanych i wspaniałych ludziach. Tego już nigdy nie będzie. I to jest najstraszniejsze. Można sobie rozbić głowę o ścianę, można rwać koszulę - wszystko jedno, nigdy już nie zobaczy Władimira Siergiejewicza jak stoi przed prysznicem w swoim wytworknym szlafroku, z ogromnym ręcznikiem na ramieniu, jak Michaił Antonowicz z łagodnym uśmiechem nakłada na talerze odwieczną owsiankę. Nigdy, nigdy, nigdy... Dlaczego nigdy? Jak to może być, żeby nigdy? Jakiś idiotyczny kamień w jakimś idiotycznym Pierścieniu idiotycznego Saturna... I ludzi, którzy powinni być, którzy mają obowiązek być, dlatego że bez nich świat jest gorszy... tych ludzi już nie ma i nigdy nie będzie...

Jura pamiętał jak przez mgłę, że oni coś tam znaleźli. Ale to było nieważne, to nie było to najważniejsze, chociaż oni uważali, że było... Oczywiście, każdy, kto ich nie znał, też będzie myślał, że to najważniejsze. Zawsze tak jest. Jeśli nie znasz tego, kto dokonał wielkiego czynu, najważniejszy jest czyn. A jeśli go znasz, co wtedy znaczy czyn? Mogłoby go w ogóle nie być, żeby tylko był człowiek. Człowiek powinien żyć.

Jura pomyślał, że za kilka dni spotka się z chłopakami i oni zaczną pytać, co i jak. Nie będą pytać ani o Jurkowskiego, ani o Krutikowa, będą pytać, co Krutikow i Jurkowski znaleźli. Będą płonąć z ciekawości. Przede wszystkim będzie ich interesować, co Jurkowski i Krutikow zdążyli przekazać o swoim znalezisku. Oni będą zachwycać się męstwem Jurkowskiego i Krutikowa, ich ofiarnością i będą wykrzykiwać z zawiścią: To byli ludzie! A najbardziej będzie ich zachwycać, że zginęli na posterunku. Jurę dławili żal i złość. Już

wiedział, co im odpowie. Żeby nie krzycheć na nich: Głupcy! Żeby nie zapłakać, żeby nie pobić się z nimi, powie im: Poczekajcie. Jest jedna historia... I zacznie tak: Na wyspie Honsiu, w wąwozie góry Titigatake, w nieprzebytym lesie znaleziono jaskinię...

Wszedł Żylin, usiadł w nogach łózka Jury. I poklepał go po kolanie. Żylin był w kraciastej koszuli, z podwiniętymi rękawami. Twarz miał zapadłą i zmęczoną. Był nieogolony. A co z Bykowem, pomyślał Jura.

- Wania, a co z Aleksiejem Pietrowiczem?

Żylin nie odpowiedział.

EPILOG

Autobus bezszelestnie podjechał do niskiego, białego ogrodzenia i zatrzymał się przed wielkim pstrym tłumem witających. Żylin siedział przy oknie i patrzył na wesołe, poczerwieniałe od mrozu twarze, na migoczące w słońcu zasy przed budynkiem dworca lotniczego, na oszronione drzewa. Otworzyły się drzwi, mroźne powietrze wdarło się do autobusu. Pasażerowie ruszyli do wyjścia, rzucając żartobliwe pożegnania stewardesie. W tłumie witających panował wesoły szum - przed drzwiami obejmowali się, ściskali ręce, całowali. Żylin szukał znajomych twarzy, nie znalazł i odetchnął z ulgą. Popatrzył na Bykowa. Bykow siedział nieruchomo, z twarzą wtuloną w futrzany kołnierz grenlandzkiej kurtki.

Stewardesa wyjęła z siatki swoją walizeczkę i wesoło powiedziała:

- Co z wami, towarzysze? Dojechaliśmy! Koniec trasy.

Bykow wstał ciężko i nie wyjmując rąk z kieszeni skierował się do wyjścia. Żylin z teczką Jurkowskiego szedł za nim. Tłumu już nie było. Ludzie grupkami szli do dworca, śmiejąc się i rozmawiając. Bykow postął chwilę na śniegu, mrużąc oczy przed słońcem i też udał się w stronę dworca. Śnieg skrzypiał pod nogami. Obok sunął długi błękitny cień. Po chwili Żylin zobaczył Daugego.

Malutki zakutany po uszy, z ciemną pomarszczoną twarzą, Dauge pospiesznie kuśtykał w ich stronę, mocno opierając się na grubej, wypolerowanej lasce. W ręce w ciepłej futrzanej rękawicy z jednym palcem ściskał bukiet zwiędłych niezapominajek. Patrząc prosto przed siebie, podszedł do Bykowa wsunął mu bukiet i przycisnął twarz do grenlandzkiej kurtki. Bykow objął go i mruknął:

- I po co to, siedziałbyś w domu, widzisz, jaki mróz...

Wziął Daugego pod ręką i powoli poszli w stronę dworca -ogromny, pochylony Bykow i malutki, zgarbiony Dauge. Żylin szedł za nimi.

- Jak płuca? - spytał Bykow.

- Tak sobie... - powiedział Dauge - ani lepiej, ani gorzej...

- Powinieneś wyjechać w góry. Nie jesteś młodzieniaszkiem, trzeba o siebie dbać...

- Nie mam kiedy - tłumaczył się Dauge. - Dużo rzeczy trzeba zakończyć. Bardzo dużo rzeczy jest zaczętych, Alosza.

- I co z tego? Trzeba się leczyć, bo nie zdążysz skończyć.

- Najważniejsze to zacząć. - Tym bardziej.

- Są postanowienia w sprawie ekspedycji na Transpluton - powiedział Dauge. - Nalegają, żebyś poszedł ty. Poprosiłem ich, żeby poczekali, aż wrócisz.

- Cóż - odparł Bykow. - Pojadę do domu, odpocznę... I proszę bardzo.

- Kierownikiem ma być Arnautow.

- Wszystko jedno - powiedział Bykow.

Zaczęli wchodzić po schodach. Daugemu było niewygodnie, chyba jeszcze nie przyzwyczał się do swojej laski. Bykow podtrzymywał go za łokieć. Dauge powiedział cichutko:

-A ja ich nie objąłem, Alosza... Ciebie objąłem, Wanię objąłem, a ich nie...

Bykow nic nie powiedział. Weszli do westybulu. Żylin wszedł po schodach i nagle w cieniu za kolumną zobaczył jakąś kobietę, która patrzyła na niego. Odwróciła się szybko, ale zdążył zauważyć pod futrzaną czapką jej twarz, kiedyś piękną, teraz starą, obwisłą, niemal brzydką. Gdzie ją widziałem? - zastanowił się Żylin. - Jakbym ją gdzieś widział, i to nieraz. A może jest do kogoś podobna?

Pchnął drzwi i wszedł do westybulu. Więc teraz Transpluton, zwany Cerberem. Daleki. Od wszystkiego daleki. Od Ziemi daleki, od ludzi daleki, od najważniejszego daleki. Znowu stalowe pudełko, znowu obce, pokryte lodem skały. To, co najważniejsze, zostaje na Ziemi. Jak zawsze. Ale przecież tak nie można, to nieuczciwe. Trzeba się zdecydować, Iwanie Żylin, najwyższa pora! Pewnie niektórzy powiedzą - z żalem lub kpiną - Nerwy mu nie wytrzymały. Bywa. Aleksiej Pietrowicz może tak pomyśleć. Tak, właśnie tak pomyśli: Nerwy nie wytrzymały. A taki był twardy chłopak. Ale to nawet lepiej. Przynajmniej nie będzie mu przykro, że zostawiam go właśnie teraz, gdy jest sam... Lżej mu będzie myśleć, że mi nerwy nie wytrzymały, niż widzieć, że w nosie mam te wszystkie Transplutony. On jest taki stały, taki nieugięty w swoich przekonaniach... I z takim uporem trwa przy swoich błędach. Błędach twardych jak stal...

To, co najważniejsze, jest na Ziemi. Najważniejsze zawsze zostaje na Ziemi i ja zostanę na Ziemi. Postanowione, pomyślał. Postanowione. To, co najważniejsze, jest na Ziemi...

1962 r.